


Kontynuacja kultowych powieści
OKRUTNY KSIĄŻĘ i ZŁY KRÓL



KRÓLOWA NICZEGO



AUTORKA #1 NA LISTACH BESTSELLERÓW NYT

HOLLY BLACK



KRÓLOWA NICZEGO

Tłumaczenie: Stanisław Kroszczyński

HOLLY BLACK



Tytuł oryginału: *The Queen of Nothing*

Copyright © 2019 by Holly Black

All rights reserved.

Illustrations by Kathleen Jennings

Cover art copyright © 2019 by Sean Freeman

Cover design by Karina Granda

Cover copyright © 2019 by Hachette Book Group, Inc.

Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-7686-875-2

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

Redakcja: Urszula Przasnek

Korekta: Renata Kuk

Skład i łamanie: Robert Majcher

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Konwersja: eLitera s.c.

Spis treści

Strona redakcyjna

Dedykacja

Mapa

Księga Pierwsza

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Księga Druga

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

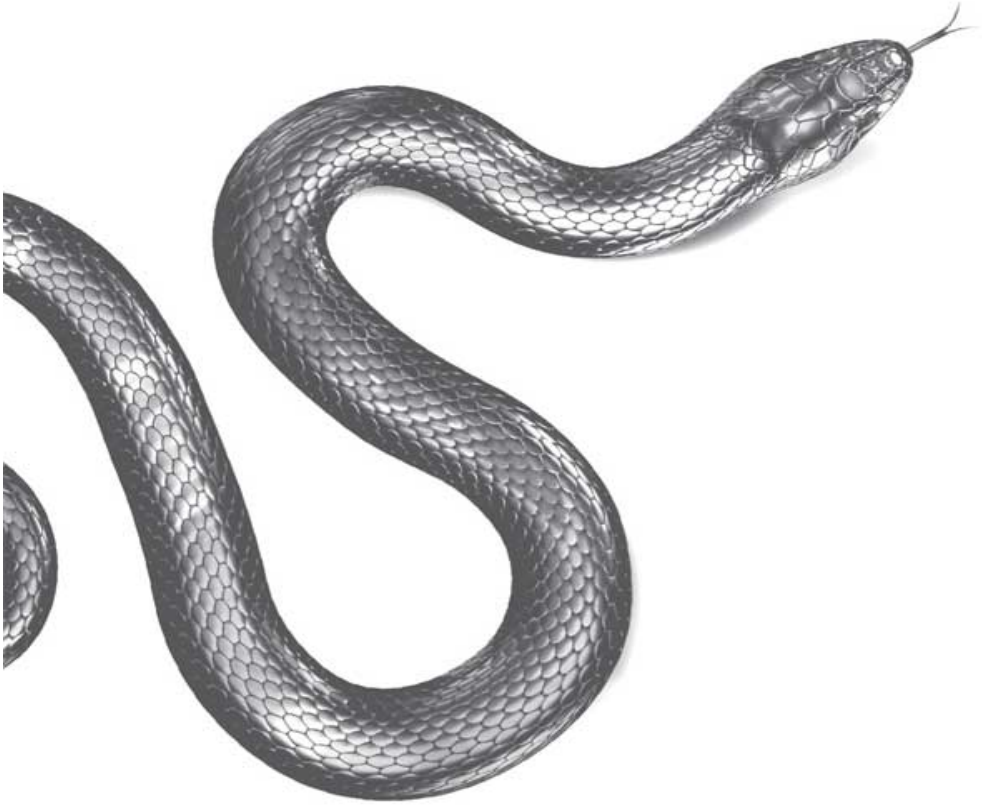
Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Epilog

Podziękowania



*Dla Leigh Bardugo:
nigdy mi się nie pozwolisz wykręcić!*





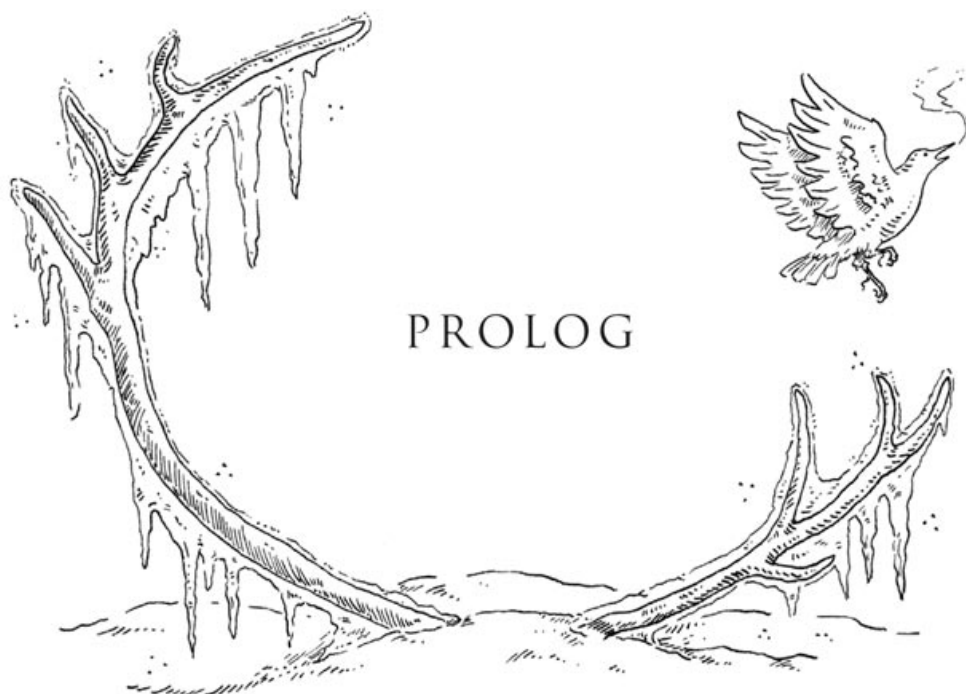


KSIEGA PIERWSZA

Król Elfów tak oto ślubował,
gdy ziemską żonę pojmował:
Jej dziecię krzyżem, wodą naznaczone,
od losu elfów będzie uwolnione.

Cóż, jeśli kres to wszystkich nas?
Jeszcze jest czas! Jeszcze czas!

Edmund Clarence Stedman,
Elfowa pieśń



Bafen, królewski astrolog, mrużąc oczy, spoglądał na gwiazdne mapy i próbował odegnać ze swojego oblicza grymas, który wciąż powracał wraz z myślą, że najmłodszy z książąt Elfhame wkrótce zapewne zostanie upuszczony na swoją królewską główkę.

Minął tydzień od narodzin księcia Cardana i wreszcie przedstawiono go Najwyższemu Królowi. Pięcioro poprzednich spadkobierców pokazano mu natychmiast, wciąż jeszcze rozwrzeszczanych tuż po przyjściu na świat, lecz pani Asha nie zgodziła się na odwiedziny Najwyższego Króla, dopóki nie poczuła, że dostatecznie odzyskała siły po porodzie.

Noworodek był chudy, pomarszczony i spoglądał na Eldreda czarnymi oczami. Uderzał przypominającym bicz ogonkiem tak mocno, że aż strach brał, że rozsypią się jego powijaki. Pani Asha nie bardzo wiedziała, jak z nim postępować. Trzymała go tak, jakby liczyła, że ktoś rychło uwolni ją od tego brzemienia.

– Opowiedz nam o jego przyszłości – ponaglił astrologa Najwyższy Król. Tylko nieliczni przedstawiciele Ludku obecni byli podczas prezentacji nowego księcia. Oprócz śmiertelnika Vala Morena, pełniącego obowiązki nadwornego poety oraz seneszała, w ceremonii brało udział jedynie dwóch członków Wiecznej Rady: Randalin, minister kluczy, oraz Bafen. W pustej sali słowa Najwyższego Króla rozbrzmiewały głośnym echem.

Bafen wahał się, nie mógł jednak już dłużej się ociągać. Przed narodzinami księcia Cardana panowanie króla Eldreda zostało pobłogosławione pięciorgiem dzieci, co u Ludku było zjawiskiem zgoła wyjątkowym, biorąc pod uwagę, jak rzadka jest krew elfów i jak

niewiele ich się rodzi. Gwiazdy przepowiadały wówczas przyszłe osiągnięcia księżniczek i książąt w dziedzinie sztuk pięknych – poezji i pieśni – lub w polityce, a także o wszelkiego rodzaju ich cnotach czy też i niegodziwościach. Tym razem jednak astrolog ujrzał w gwiazdach coś całkiem innego.

– Książę Cardan będzie ostatnim twoim dziedzicem – oznajmił Bafen. – Z nim nadejdzie zniszczenie korony i rozpad tronu.

Pani Asha gwałtownie wciągnęła powietrze. Przycisnęła do piersi dziecię, które zaczęło się gwałtownie wiercić.

– Chciałabym wiedzieć, kto podsunął ci taką interpretację znaków. Może to księżniczka Elowyn przyłożyła do tego rękę? A może książę Dain?

A może najlepiej byłoby, gdyby rzeczywiście upuściła tego dzieciaka – przemknęło przez myśl Bafenowi.

Najwyższy Król Eldred przesunął dłonią po podbródku.

– Czy nie da się temu jakoś zaradzić?

Przekleństwem, ale i błogosławieństwem było dla Bafena, że choć umiał czytać w gwiazdach, więcej w nich widział zagadek niż jasnych odpowiedzi. Nieraz pragnął móc odczytać więcej, lecz nie tym razem. Skłonił tylko głowę, by nie patrzeć w oczy Najwyższego Króla.

– Tylko z przelanej przezeń krwi może powstać wielki władca, lecz nie stanie się to pierwej niż to, o czym mówiłem wprzód.

Eldred zwrócił się do pani Ashy i jej dziecka, zwiastuna złego losu. Niemowlę milczało jak kamień, nie płakało i nie gaworzyło, wciąż tylko trzepało ogonem.

– Zabierz chłopaka – polecił Najwyższy Król. – Wychowaj go, jak uznasz za stosowne.

Wyraz oblicza pani Ashy nie zmienił się ani trochę.

– Wychowywać go będę, jak przystoi jego pozycji. Jest wszak księciem i twoim synem, panie.

Powiedziała to oschłym tonem, co przywiodło Bafenowi niemiłą myśl, że niejedno proroctwo się spełniło właśnie za sprawą decyzji mających przeciwdziałać przepowiedzianym zdarzeniom.

Przez chwilę stali w milczeniu, potem Eldred skinął na Vala Morena, który zszedł z podwyższenia, by zaraz powrócić z płaskim drewnianym pudełkiem o pokrywie zdobionej motywem splecionych korzeni.

– Dar – wyjaśnił Najwyższy Król. – W podzięce za to, jak się przysłużyłaś dynastii Kolcowojów.

Val Moren otworzył pudełko i oczom obecnych ukazał się wspaniały naszyjnik z wielkich szmaragdów. Eldred wziął go, założył na szyję pani Ashy. Wierzchem dłoni musnął jej policzek.

– Twoja wspaniałomyślność jest wielka, mój panie – rzekła, nieco udobruchana.

Dzieciak pochwycił małą dłoń i jeden z kamieni i spoglądał na ojca pustym wzrokiem.

– Idź teraz i odpocznij – odezwał się Eldred, łagodniejszym już głosem.

Tym razem posłuchała go i odeszła z wysoko uniesioną głową, mocno trzymając dziecko w ramionach. Bafen poczuł dreszcz, to było przecucie, które nie miało nic wspólnego z gwiazdami.

Najwyższy Król Eldred nigdy więcej nie odwiedził już pani Ashy, nie wezwał jej też do siebie. Zapewne powinien był puścić w niepamięć niezadowolenie z proroctwa i zająć się kształceniem syna, jednak widok księcia Cardana wciąż przypominałby mu zapowiedź niepewnej przyszłości, wołał więc go unikać.

Pani Asha jako matka księcia stała się osobą nadzwyczaj mile widzianą na Dworze, choć może nie przez Najwyższego Króla. Z natury beztroska i frywolna, pragnęła jak najszybciej powrócić do wesołego świata dworskich rozrywek. Z dziećciem uczeptionym spódnicy nie mogła jednak chodzić na bale, wystarała się więc o kotkę, która straciła swoje małe i mogła wykarmić jej synka.

Układ ten sprawdzał się, dopóki książę Cardan nie potrafił jeszcze raczkować. Potem kotka znowu była ciężarna, a w dodatku chłopczyk zaczął ją ciągać za ogon. Uciekła więc do stajni; i tak oto ona także go porzuciła.

Dorastał więc w pałacu, przez nikogo niekochany, bez kogoś, kto trzymałby go w ryzach, kto śmiałby zakazać mu kradzieży jedzenia ze stołu i łapczywego zajadania się po kątach, bo rzucał się na strawę jak mały dzikus. Jego siostry i bracia śmiali się tylko i bawili się nim, jakby był małym pieskiem a nie elfowym dziećciem.

Rzadko był ubrany, najczęściej owijał się po prostu girlandami kwiatów, a kiedy strażnicy próbowali doń podejść, obrzucał ich kamieniami. Nikt oprócz matki nie był w stanie wpłynąć na niego w jakikolwiek sposób, ta zaś wcale nie próbowała powstrzymywać jego wybryków, wręcz przeciwnie.

– Ty jesteś księciem – powtarzała stanowczym tonem, kiedy brakowało mu śmiałości, by sięgnąć po coś lub czegoś zażądać. – Wszystko do ciebie należy. Żeby mieć, musisz tylko sobie wziąć. – Czasem zaś mówiła: – Chcę tego. Weź to dla mnie.

Powiada się, że elfowe dzieci nie są takie jak dzieci śmiertelników. Mało potrzebują miłości. Nie trzeba ich utulać nocą. Potrafią słodko spać w zimnym kącie sali balowej, zwinięte w kłębek na obrusie. Nie trzeba też ich karmić, bo piją rosę i wystarczają im okruchy chleba i śmietana, którą znajdują w kuchni. Nie trzeba ich pocieszać, bo rzadko płaczą.

Jeśli jednak elfowe dzieci nawet niewiele potrzebują miłości, to elfowy mały książę potrzebował kogoś, kto by choć trochę nim kierował. Zabrakło życzliwego przewodnika,

gdy starszy brat Cardana zaproponował mu zabawę w strzelanie do orzecha umieszczonego na głowie pewnego śmiertelnika. Cardan po prostu nie miał dość rozsądku, by się od tej rozrywki powstrzymać. Poddawał się impulsom, ulegał zachciankom.

– Kto celnie strzela, zyskuje przychyłość naszego ojca – stwierdził książę Dain z leciutkim, prowokującym uśmieszkiem. – Ale może to dla ciebie zbyt trudne. Lepiej wcale nie próbować, niż odnieść niepowodzenie.

Dla Cardana, który żadną miarą nie potrafił zwrócić na siebie życzliwej uwagi ojca, a desperacko tego pragnął, pokusa była nie do odparcia. Nie zastanawiał się, kim jest ów śmiertelnik ani w jaki sposób znalazł się na Dworze. Cardanowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby o cokolwiek brata podejrzewać, tymczasem chodziło o ukochanego Vala Morena i o to, że seneszał oszalałby z bólu w razie śmierci chłopaka.

Dzięki czemu Dain zyskałby na znaczeniu jako prawa ręka Najwyższego Króla.

– Zbyt trudne? Lepiej nie próbować? To są słowa tchórza – zakrzyknął Cardan, rozpierając go dziecięcą zuchowatością. W rzeczywistości starszy brat bardzo go onieśmielał i wskutek tego jeszcze bardziej chciał się popisać.

Książę Dain uśmiechnął się błogo.

– W takim razie przynajmniej zamienimy się strzałami. Jeśli chybisz, zawsze będziesz mógł rzec, że to moja strzała pobiła.

Książę Cardan powinien być ostrożniejszy wobec tak wielkiej dobroci, lecz za mało jej w życiu doznał, by odróżnić prawdziwą od fałszywej.

Załoczył więc strzałę Daina na cięciwę i napiął łuk, celując w orzech. Nagle poczuł przerażenie – mógł przecież chybić, mógł zranić tego człowieka. Jednocześnie jednak poczuł złowieszczą rozkosz na myśl o dokonaniu czegoś tak potwornego, że ojciec nie mógłby już dłużej go ignorować. Tak, skoro nie jest w stanie zwrócić na siebie uwagi Najwyższego Króla czymś dobrym, może trzeba pomyśleć o czymś naprawdę, ale to naprawdę złym?

Ręka Cardana zadrżała.

W wodnistych oczach śmiertelnika dostrzegł zamrożony strach. Rzecz jasna człowiek stał bez ruchu spętany urokiem, inaczej nikt z własnej woli przecież by na coś takiego nie pozwolił. To sprawiło, że Cardan podjął decyzję.

Roześmiał się z przymusem, opuścił łuk, zdjął strzałę z cięciwy.

– Nie, w takich warunkach strzelać nie zamierzam – oznajmił, trochę zaniepokojony, czy jednak się nie ośmiesza, bo przecież nie podejmuje wyzwania. – Wiatr wieje z północy i przez to włosy wpadają mi do oczu.

Wtedy książę Dain uniósł łuk i wypuścił strzałę Cardana. Jej grot trafił śmiertelnika prosto w gardło. Młodzieniec upadł, prawie nie wydając głosu, wciąż z otwartymi oczami, lecz teraz wpatrzonymi już w nicłość.

Stało się to tak szybko, że Cardan nie zdążył krzyknąć, nie zdążył zareagować. Wpatrywał się w brata i z wolna docierała doń straszliwa, miazdząca prawda.

– Ojej – odezwał się książę Dain, uśmiechnięty. – Niech to. Wygląda na to, że to jednak twoja strzała pobiła. Myślę, że powinieneś poskarżyć się ojcu na ten wiatr, co wieje ci w oczy.

Później książę Cardan zarzekał się, że to nie była jego wina, lecz nikt nie chciał go słuchać. Dain już się o to postarał. Dawał wszystkim do zrozumienia, jak bezwzględny i arogancki jest młody książę, jak uparł się, żeby strzelać i zgodnie z prawdą zapewniał, że Cardan nawet nie próbował trafić w orzech. Najwyższy Król nawet nie zgodził się wysłuchać Cardana.

Choć Val Moren domagał się życia za życie, Cardana za śmierć śmiertelnika ukarano tak, jak karze się księcia. Do Wieży Zapomnienia Najwyższy Król posłał panią Ashę – zamiast Cardana. Cóż, prawdę mówiąc, Eldred od dawna czekał okazji, by to uczynić, bo kochanka nużyła go już i sprawiała kłopoty. Książę Cardan został oddany pod opiekę okrutnego Balekina, najstarszego z rodzeństwa i jedyne, który zechciał się nim zająć.

W ten sposób książę Cardan zyskał tak złą reputację, że nie pozostawało mu już nic innego, jak tylko o nią odpowiednio dbać.



Ja, Jude Duarte, Najwyższa Królowa Elfhame na wygnaniu, spędzam większość poranków, przysypiając przed telewizorem. Oglądam zawody kucharzy, kreskówki i powtórki teleturnieju, podczas którego uczestnicy nadziewają pudła na rożen, tłuką butelki, potem muszą wyciąć sobie nożem otwór w wielkiej rybie, a następnie przejść na drugą stronę. Popołudniami, jeśli mój brat Dąb się na to zgadza, uczę go fechtunku. Nocami wykonuję rozmaite zlecenia dla tutejszych elfów.

Siedzę cicho, staram się nie wychylać i prawdopodobnie od tego należało zacząć. I o ile przeklinam Cardana, o tyle samą siebie też muszę przeklinać, skoro byłam tak głupia, żeby dać się złapać w zastawioną przez niego pułapkę.

Gdy byłam dzieckiem, wyobrażałam sobie, jak by to było, gdybym wróciła do śmiertelnego świata. Taryn, Vivi i ja opowiadałyśmy sobie, jak tam się żyło. Wspominałyśmy zapachy świeżo przystrzyżonej trawy i benzyny, zabawy z dziećmiakami sąsiadów na podwórku i kąpiele w ogrodowych basenach, nad którymi unosiła się ostra woń chloru. Śniłam o mrożonej herbacie z proszku i oranżadzie. Tęskniłam za rzeczami tak zwykłymi jak gorący asfalt, druty wysokiego napięcia, głupie reklamy w telewizji.

Teraz, gdy na dobre utknęłam w śmiertelnym świecie, dręczy mnie dojmująca tęsknota za krainą elfów. Brakuje mi magii, tęsknię za nią. Może nawet brakuje mi strachu. Mam wrażenie, że choć całymi dniami nie mogę zasnąć, nigdy tak naprawdę się nie budzę.

Postukuję palcami w malowane drewno piknikowego stołu. Jest wczesna jesień, w Maine robi się już chłodno. Popołudniowe słońce rozświetla trawnik wokół apartamentowca.

Obserwuję, jak Dąb bawi się z innymi dziećmi pośród drzew rosnących między naszym terenem a autostradą. To są dzieci z naszego domu, niektóre młodsze, inne starsze od mojego ośmioletniego braciszka, a wszystkie wyspały się z tego samego żółtego szkolnego autobusu. Bawią się w zupełnie chaotyczną wojnę, co polega na tym, że ganiają się, wymachując przy tym patykami. Tłuką się, jak to dzieci, starając się trafić w broń, a nie w przeciwnika, krzyczą i śmieją się, kiedy któryś patyk się łamie. Nie mogę powstrzymać natrętnej myśli, że postępują dokładnie wbrew wszelkim zasadom szermierki.

I niby co z tego? Tylko się przyglądam. I przyglądając się, dostrzegam, że Dąb używa czarów.

Wydaje mi się, że robi to nieświadomie. Skrada się w stronę innych dzieci, aż dociera do miejsca, w którym nie ma za czym się schować. Idzie w ich kierunku, widoczny jak na dłoni, a pomimo to one go nie zauważają. Jest coraz bliżej, a dzieciaki nadal nie patrzą w jego stronę. Potem nagle wyskakuje, wymachując patykiem, one zaś krzyczą naprawdę zaskoczone. A więc był niewidzialny. Posłużył się magią. A ja, ponieważ dzięki géisowi magia się mnie nie ima, początkowo tego nie zauważyłam. Dzieciaki myślą, że jest taki zręczny, a może szczęście mu sprzyja, tylko ja widzę, jak bardzo się naraża.

Czekam, aż dzieci rozejdą się do swoich mieszkań. Odchodzą, jedno po drugim, wreszcie zostaje już tylko mój braciszek. Nie potrzebuję magii, żeby podejść go bezszelestnie, i to nawet mimo suchych liści. Szybkim ruchem zakładam mu duszenie od tyłu, na tyle mocno, żeby porządnie się wystraszył. Bodzie w tył, o mało nie trafia mnie rogami w podbródek. Nieźle. Próbuje się uwolnić, ale nie wkłada w to wystarczająco dużo serca. Przecież wie, że to ja, a mnie się nie boi.

Przyciskam mocniej. Jeżeli będę go tak trzymać odpowiednio długo, straci przytomność.

Próbuje coś powiedzieć, chyba musi już czuć skutki niedotlenienia. Zapomina o wszystkim, czego się nauczył, zaczyna wariować. Tłucze na oślep powietrze, drapie mnie, kopie po nogach. Czuję się paskudnie. Chciałam go trochę przestraszyć, tak żeby na poważnie się bronił, nie zaś wprawić go w przerażenie.

Puszczam go, odwraca się, chwieje. Oczy ma pełne łez.

– Po co to było? – pyta mnie oskarżycielskim tonem.

– Po to, żeby ci przypomnieć: walka to nie jest zabawa – mówię, a czuję się przy tym, jakbym mówiła głosem Madoka, nie swoim własnym. Nie chciałabym, by Dąb dorastał tak jak ja, w gniewie i strachu. Chciałabym jednak, żeby przeżył, a akurat tego Madok potrafił nauczyć.

Niby jak i skąd mam wiedzieć, czego ten mały potrzebuje, skoro nie mam żadnych doświadczeń oprócz własnego porąbanego dzieciństwa? Może to, co wydaje mi się cenne, zupełnie do niczego się nie nadaje?

– Co zrobisz, kiedy trafisz na przeciwnika, który naprawdę chce zrobić ci coś złego?

– Mało mnie to obchodzi – oznajmia Dąb. – Mam to wszystko gdzieś. Nie chcę być królem. Nigdy, przenigdy nie chcę być królem.

Przez chwilę gapię się na niego. Chciałabym wierzyć, że kłamie, ale przecież on nie może kłamać.

– Nie zawsze jest nam dane wybierać swój los – sprzeciwiam się.

– To ty sobie rządz, jak ci tak zależy! – woła. – Ja nie zamierzam. Nigdy.

Muszę zacisnąć zęby, żeby na niego nie wrzeszczeć.

– Przecież wiesz, że nie mogę, bo jestem na wygnaniu – przypominam mu.

Tupie kopytkiem.

– A ja co? Tak samo! W dodatku znalazłem się w świecie ludzi tylko dlatego, że tato chce tej głupiej korony i ty jej chcesz, i wszyscy jej chcą. Tylko nie ja. Jest przeklęta.

– Każda władza to przekleństwo – tłumaczę. – Najgorsi z nas zrobią wszystko, żeby ją zdobyć, a ci, którzy najlepiej by ją sprawowali, nie chcą takiego brzemienia. To jednak nie znaczy, że mogą bez końca unikać odpowiedzialności.

– Nie możesz mnie zmusić, żebym został królem – oznajmia wzburzony, po czym odwraca się i odchodzi szybkim krokiem, a po chwili rusza biegiem w stronę budynku.

Siadam na zimnej ziemi. Wiem, że tę rozmowę kompletnie schrzaniłam. Wiem, że Madok wytrenował Taryn i mnie znacznie lepiej, niż ja uczę Dęba. Wiem, że to była głupota i arogancja z mojej strony sądzić, że zdołam utrzymać kontrolę nad Cardanem.

Wiem, że w tej wielkiej grze książąt i królowych zostałam zmieciona z szachownicy.



Dąb zamknął się w swoim pokoju i nie zamierza mnie wpuścić. Vivienne, moja elfowa siostra, stoi przy blacie w kuchni i szczerzy się do telefonu.

Kiedy wchodzę, chwyta mnie za ręce i obraca mną w kółko, aż kręci mi się w głowie.

– Heather znowu mnie kocha – woła, a w jej głosie brzmi dziki śmiech.

Heather była dziewczyną Vivi. Śmiertelniczką. W przeszłości potrafiła pogodzić się z wybrykami Vivi, nawet zaakceptowała to, że w ich mieszkaniu pojawił się Dąb. Kiedy jednak dowiedziała się, że Vivi nie jest istotą ludzką i w dodatku posłużyła się wobec niej magią, rzuciła moją siostrę i wyniosła się z domu. Przykro mi to powiedzieć, bo z całego serca życzę siostrze szczęścia, a z Heather była szczęśliwa – ale naprawdę zasłużyła sobie na to rozstanie.

– Co takiego? – Cofam się, mrugam zdezorientowana.

Vivi macha ręką z telefonem.

– Dostałam od niej esemes. Chce wrócić. Wszystko będzie tak jak przedtem.

Liście odrastają na winorośli, ale to nie te same liście. Stłuczone orzechy nie wracają do swoich skorup. Nieczęsto się zdarza, że dziewczyny, na które kiedyś rzucono czar, budzą się nagle pewnego ranka i postanawiają wszystko odpuścić nieludzkiej byłej narzeczonej.

– Pokaż to – mówię. Wyciągam rękę po telefon Vivi. Oddaje mi aparat.

Przesuwam szybko wiadomości, większość z nich jest od Vivi, same przeprosiny i niewczesne obietnice oraz coraz bardziej desperackie błagania. Ze strony Heather głównie milczenie oraz kilka takich samych esemesów: *Potrzebuję czasu, muszę to przemyśleć.*

A potem to:

Chcę zapomnieć o elfach. Chcę zapomnieć, że ty i Dąb nie jesteście ludźmi. Nie chcę już więcej tak się czuć. Jeśli cię poproszę, żebyś dała mi to zapomnienie, zrobisz to dla mnie?

Wstrzymuję oddech, wpatruję się w te słowa przez długą chwilę.

Wiem, dlaczego Vivi tak zrozumiała tę wiadomość, natomiast jestem pewna, że zrozumiała ją błędnie. Gdybym ja napisała te słowa, to zgoda Vivi byłaby ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła. Wolałabym raczej, żeby mi pomogła zrozumieć, jak to możliwe, że choć ona i Dąb nie są istotami ludzkimi, to jednak mogą mnie kochać. Chciałabym, żeby Vivi mnie przekonała: nie ma co udawać, że tego wszystkiego nie było. Chciałabym, żeby Vivi przyznała się do błędu i przysięgła, że pod żadnym pozorem drugi raz tego nie zrobi.

Gdybym to ja wysłała tę wiadomość, byłaby ona próbą.

Oddaję telefon Vivi.

– Co jej odpowiesz?

– Odpowiem, że zrobię wszystko, cokolwiek ona zechce – mówi moja siostra. Niezwykła odpowiedź nawet jak na ludzką istotę, a doprawdy przerażająca w przypadku kogoś, kto będzie musiał dotrzymać takiej obietnicy.

– Ale może ona wcale nie wie, czego chce – oponuję.

Cokolwiek zrobię, będę niełojalna. Vivi jest moją siostrą, a Heather ludzką istotą. Jednej i drugiej jestem coś winna.

Tymczasem w tej akurat chwili Vivi wcale nie zamierza przyjmować do wiadomości niczego oprócz tego, że wszystko będzie dobrze. Uśmiecha się radośnie, uszczęśliwiona. Sięga po jabłko, rzuca je w powietrze.

– Co się dzieje z Dębem? Wbiegł do mieszkania i z hukiem zatrzęsął drzwi. Myślisz, że kiedy będzie nastolatkiem, będzie urządził takie sceny jeszcze częściej?

– Nie. On nie chce być Najwyższym Królem – wyjaśniam.

– A, wielkie rzeczy. – Vivi zerka w stronę jego pokoju. – Już się bałam, że to coś poważnego.



Tej nocy mam robotę, ale myślę o tym z ulgą.

Elfowie w śmiertelnym świecie mają nieco inne potrzeby niż ci, którzy zamieszkują Elfhame i całe Elysium. Najczęściej to samotnicy żyjący gdzieś na skraju obu światów. Nie zaprzatają sobie głów biesiadami oraz dworskimi intrygami.

Okazuje się też, że mają mnóstwo przeróżnych zleceń dla kogoś takiego jak ja, czyli śmiertelniczki, która zna ich obyczaje i nie ma nic przeciwko temu, żeby wdać się w rozróbę. Bryerna spotkałam już tydzień po tym, jak przybyłam z Elfhame. Tuż przy naszym apartamentowcu natknęłam się na pokrytego czarnym futrem pokurcza o koziej głowie i kozich kopytach. W ręce trzymał melonik i oznajmił, że jest starym kumplem Karakana.

– Jeśli dobrze rozumiem, masz wyjątkowy status – stwierdził, dziwnie przyglądając mi się złotymi kozimi oczyma, przez czarne szparki poziomych źrenic. – Uznana za zmarłą, zgadza się? Nie figurujesz w rejestrze stanu cywilnego. Nie chodziłaś w tym świecie do szkoły.

– Oraz szukam roboty – uzupełniłam, bo już się domyślałam, do czego zmierza. – Nieoficjalnie.

– Trudno o bardziej nieoficjalne zlecenia niż to, co mogę zaoferować – zapewnił, przykładając pazurzystą dłoń do serca. – Pozwól, że się przedstawię. Bryern. I jestem puka, na wypadek, gdybyś tego nie zauważyła.

Nie domagał się ode mnie żadnych obietnic ani przysięg lojalności. Obiecał za to tyle roboty, ile tylko zechcę, oraz wynagrodzenie proporcjonalne do śmiałości moich poczynań.

Tej nocy jesteśmy umówieni nad wodą. Przyjeżdżam na rowerze, który sobie kupiłam. Używany. Tylną oponę trzeba ciągle dopompowywać, ale za to kupiłam go tanio. Bardzo się przydaje, ułatwia mi poruszanie się po okolicy. Bryern jest jak zwykle wystrojony: kapelusik ozdobiony wstążką, za którą zatknął kilka kolorowych kaczych piórek, do tego tweedowa marynarka. Na mój widok wydobywa z kieszonki zegarek, ostentacyjnie sprawdza godzinę i marszczy brwi.

– Ojej, czyżbym się spóźniła? – pytam. – Wybacz. Przywykłam określać czas według pozycji księżyca.

Spogląda na mnie z urazą.

– Nie musisz tak się wywyższać tylko dlatego, że przebywałaś na Najwyższym Dworze. Teraz już nie jesteś kimś wyjątkowym.

Nie jestem. Poza tym że jestem Najwyższą Królową na Elfhame. Tak tylko sobie pomyślałam i przygryzam policzek od wewnątrz, żeby przypadkiem nie powiedzieć tego na głos. Po co się ośmieszać? Przecież on ma rację. Jestem nikim.

– Jaką masz fuchę? – pytam obojętnym tonem.

– W Starym Porcie jest taka jedna, z naszych, która pożera tutejszych. Mam kontrakt od kogoś, kto chciałby wymóc na niej obietnicę, że przestanie to robić.

Trudno mi uwierzyć, żeby kogoś obchodziło, co dzieje się z ludźmi – w każdym razie nie na tyle, by zapłacić mi za to, że coś w tej sprawie zrobię.

– Tutejszych? To znaczy ludzi?

Potrząsa głową.

– Nie, skąd. Ona zżera naszych. Z Ludku.

Potem przypomina sobie, z kim rozmawia, i chyba trochę mu głupio. Staram się nie przyjąć tej jego drobnej wpadki jako komplementu.

Elfka. Morduje i pożera inne elfy? Nie zanoszą się na łatwe zadanie.

– Od kogo jest zlecenie?

Bryern chichocze nerwowo.

– Od kogoś, kto nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego, natomiast gotów jest ci zapłacić, żeby sprawa ostatecznie została zakończona.

Bryern lubi mnie zatrudniać między innymi dlatego, że potrafię podejść elfów. Nie spodziewają się po śmiertelnej istocie ani zuchwałej kradzieży kieszonkowej, ani tego, że wpakuje im nóż pod żebra. Nie przypuszczają, że śmiertelna dziewczyna może nie ulec ich czarom, za to zna ich zwyczaje i potrafi przejrzeć ich perfidne układy, w których niemal

zawsze chodzi o to, żeby druga strona dobrowolnie zgodziła się na coś, czego tak naprawdę najmniej sobie życzy.

Jest jeszcze inny powód. Wie, że bardzo potrzebuję pieniędzy. Tak bardzo, że biorę wszystkie zadania, nawet jeśli od samego początku wiem, że będzie trudno.

– Adres?

Wciska mi złożoną karteczkę.

– Spodziewam się, że taka robota będzie nieźle płatna?

– Pięćset amerykańskich dolarów – oznajmia, jakby to była nie wiadomo jaka bająńska suma.

Nasz czynsz wynosi tysiąc dwieście dolarów miesięcznie, że nie wspomnę już o zakupach czy opłatach za prąd i wodę. Skoro Heather odeszła, na mnie przypada mniej więcej osiemset dolarów. Poza tym przydałaby mi się nowa dętka do roweru. Pięćset dolarów to żałośnie mało, zwłaszcza za coś takiego.

– Tysiąc pięćset – odpowiadam, unosząc brwi. – Gotówka. Sprawdzę żelazem. Połowa z góry, a jeśli nie wrócę, drugą połowę zapłacisz Vivienne jako dar dla pogrążonej w żałobie rodziny.

Bryern zaciska usta, ale ja wiem, że ma pieniądze. Tylko nie chce mi porządnie zapłacić, żebym nie zaczęła kręcić nosem na drobniejsze robótki.

– Niech będzie tysiąc – proponuje w ramach kompromisu, po czym sięga do kieszeni tweedowej marynarki, wyciąga z niej banknoty spięte srebrną spinką. – Zobacz, połowę tego mam przy sobie. Możesz od razu wziąć.

– Niech będzie – zgadzam się. Nawet nieźle jak na zadanie, które może przy odrobinie szczęścia uda mi się wykonać w jedną noc.

Wręcza mi gotówkę, pociąga nosem.

– Daj znać, kiedy wykonasz pracę.

Zamiast breloczka mam przy kluczach żelazną gałkę od łóżka. Ostentacyjnie przesuwam nią wzdłuż krawędzi banknotów, by upewnić się, czy są prawdziwe. Zawsze warto przypomnieć Bryernowi, że nie opłaca się próbować ze mną głupich sztuczek.

– I jeszcze pięć dych na pokrycie kosztów – dodaję pod wpływem impulsu.

Marszczy czoło, ale sięga do innej kieszeni i wyciąga pięćdziesiąt dolarów.

– Tylko się postaraj – mówi.

Nie ociąga się i nie targuje, a to zły znak. Może zanim podjęłam się tej pracy, warto było zadać kilka pytań. Z pewnością należało ostrzej się targować.

Teraz jest już za późno.

Wsiadam na rower, macham na pożegnanie Bryernowi i ruszam do miasta. Dawno, dawno temu wyobrażałam sobie, że będę kiedyś dosiadać wspaniałego rumaka i odnosić triumfy

w rycerskich turniejach, a kierować mną będą honor oraz duma. Cóż, pech chciał, że rozwinęły się we mnie zupełnie inne uzdolnienia.

Jak sądzę, nieźle radzę sobie z zabijaniem przedstawicieli Ludku, ale najlepiej potrafię mocno im zaleźć za skórę. Mam nadzieję, że ten talent mi się przyda, gdy spróbuję wyperswadować krwiożerczej istocie jej kanibalistyczne rozrywki.

Zanim jednak się z nią zmierzę, muszę się czegoś o niej dowiedzieć.

Najpierw odwiedzam hoba o imieniu Sroka, który mieszka w dziupli drzewa w Deering Oaks Park. Dowiaduję się, że tamta jest czerwonym kapturem, co nie jest najpomyślniejszą wiadomością. Dorastałam jednak pod czujną opieką kogoś bardzo podobnego, więc przynajmniej nieźle znam ich naturę.

Czerwone kaptury nade wszystko łakną przemocy, krwi i morderstwa, wręcz zaczynają świrować, kiedy im tego zabraknie. Są przy tym tradycjonalistami – swoje czepki czy kaptury nurzają we krwi pokonanych nieprzyjaciół, co ponoć ma im zapewnić przejęcie mocy od pokonanych.

Pytam o imię, ale Sroka nie wie. Odsyła mnie do Ladhara, klurikona, który snuje się po zapleczach knajp, spija piankę z piwa, kiedy nikt nie patrzy, i bezwstydnie oszukuje śmiertelników, gdy gra z nimi na pieniądze.

– Co ty, nie wiedziałaś? – dziwi się Ladhar i zniża głos: – To Grima Mog.

Miałabym ochotę zarzucić mu kłamstwo, no ale wiadomo. Przez następną chwilę oddaje się fantazji, jak to zaraz odnajdę Bryerna i każę mu zezreć wszystkie dolary, które od niego dostałam.

– Co, do jasnej cholery, ona tutaj robi?

Grima Mog to przerażająca postać, generał wojsk Zębatego Dworu na Północy. Tego samego dworu, z którego uciekli Karakan i Bomba. Kiedy byłam mała, Madok czytał mi do snu traktaty o jej bitewnych strategiach. Na samą myśl o spotkaniu z nią oblewa mnie zimny pot.

Przecież nie mogę z nią walczyć. Do tego coś mi mówi, że trudno ją będzie przechytryć.

– Słyszałem, że masz na nią zlecenie – odzywa się Ladhar. – Może zjadła kogoś, kogo lubiła pani Nore.

Nie muszę wykonywać tej pracy – powtarzam sobie. Przecież już nie należę do Dworu Cieni Daina. Już nie próbuję sprawować rządów jako szara eminencja kryjąca się za tronem Najwyższego Króla Cardana. Nie muszę się narażać.

Nie muszę.

Ale chcę wiedzieć.

Dodajcie do tego urażoną dumę, a ujrzyście mnie nad ranem u bram magazynu, w którym mieszka Grima Mog. Nie jestem taka głupia, żeby tam iść z pustymi rękami. Kupiłam u rzeźnika kawał surowego mięcha, które niosę teraz w termoizolacyjnej torbie, do tego

zaopatrzyłam się w butlę porządnego, mocnego piwa, zrobiłam też niezdarnie kilka kanapek z miodem, które zawinęłam w folię.

Przez jakiś czas błędę po korytarzach, aż natrafiam na drzwi, chyba od mieszkania. Pukam trzy razy. Mam nadzieję, że ostry zapach krwawego mięsa będzie silniejszy niż smród mojego strachu.

Drzwi otwierają się i widzę kobietę okrytą szlafrocikiem. Zgarbiona opiera się na laseczce z gładzonego czarnego drewna.

– Czego chcesz, dziecinko?

Czary się mnie nie imają, więc oglądam ją w prawdziwej postaci. Widzę zielony odcień skóry i potężne zębiska. Mój ojczym ma takie same. Madok. Ten sam, który zabił moich rodziców. Ten sam, który czytał mi o jej bitewnych strategiach. Madok, ongiś głównodowodzący armii Najwyższego Dworu, obecnie nieprzyjaciel Tronu. No i o mnie chyba też nie myśli zbyt ciepło. Jedyna nadzieja, to że on i Najwyższy Król Cardan wykończą się wzajemnie w śmiertelnych zmaganiach.

– Przyniosłam podarunek – mówię, wyciągając w jej stronę termoizolacyjną torbę. – Czy mogę wejść? Chciałabym zawrzeć pewien układ.

Marszczy leciutko brwi.

– Chyba sobie nie wyobrażałaś, że będziesz się zajadać elfami i nikt nie przyśle do ciebie kogoś, kto będzie chciał cię namówić, żebyś przestała – zawile wyjaśniam cel mojego przybycia.

– A może ciebie zjem, ślicznotko – odpowiada i wyraźnie rozpromienia się na tę myśl. Cofa się jednak, pozwala mi wejść do swojego matecznika. Jasne, pewnie nie wypadaloby jej robić sobie ze mnie kolacji na korytarzu.

Jej sanktuarium to obszerny loft o wysokich stropach i ceglanych ścianach. Fajny. Gładkie, nawoskowane podłogi. Wielkie okna wpuszczają mnóstwo światła i dają niezły widok na miasto. Umebłowany starociami. Tapicerka na kilku fotelach jest pocięta, tak jakby ktoś od czasu do czasu niechcący zawadzał o nią sztychem dobrze naostrzonej klingi.

W mieszkaniu cuchnie krwią – metaliczny zapach jakby miedzi, do tego nuta nieco mdlącej słodyczy. Kładę swoje podarki na masywnym drewnianym stole.

– Dla ciebie – mówię. – W nadziei że wybaczysz mi nietakt, jakim było wtargnięcie bez zaproszenia.

Obwąchuje mięso, przygląda się kanapce z miodem, pięścią otwiera butelkę. Upija potężny łyk, cały czas patrząc na mnie.

– Ktoś wyuczył cię grzeczności. Ciekawe, po co te wszystkie starania, moja mała kózko. Najwyraźniej jesteś ofiarą, którą ktoś mi przysłał, mając nadzieję zaspokoić mój apetyt ciałem śmiertelnej istoty.

Uśmiecha się, ukazując zębiska. Domyślam się, że w tym momencie zrzuca zasłonę czaru, ale pewności mieć nie mogę, bo już przedtem przez nią przejrzałam.

Mrugam do niej. Mruga też ona, czekając, jak się zachowam.

Jest niezadowolona, że nie podnoszę wrzasku i nie biegnę do drzwi. To widać wyraźnie. Pewnie miała nadzieję dopaść mnie od tyłu, podczas ucieczki.

– Ty jesteś Grima Mog – odzywam się. – Stałaś na czele armii. Niosłaś zgubę swoim nieprzyjaciołom. Naprawdę tak zamierzasz spędzić stare lata?

– Stare lata! – powtarza moje słowa jak najstraszniejszą obelgę. – To prawda, że poszłam w odstawkę, ale znajdę jeszcze inną armię i stanę na jej czele. I to będzie większa armia niż tamta.

Czasami ja też powtarzam sobie podobne słowa. Dziwnie jednak jest słyszeć je z cudzych ust. Ale dzięki temu wpadam na pewien pomysł.

– Cóż, miejscowi przedstawiciele Ludku woleliby nie być zjadani. Nawet jeśli czynisz to tylko dla zabicia czasu, planując swój następny ruch. Rzecz jasna, jako istota ludzka, nie zamierzam cię namawiać na pożeranie śmiertelników. Wątpię zresztą, czy zyskałabyś w ten sposób to, czego szukasz.

Czeka, co powiem dalej.

– Człowiek to dla ciebie żaden przeciwnik – ciągnę więc, przypominając sobie, co wiem o czerwonych kapturach. – Bo przecież o to ci chodzi, prawda? O porządną bijatykę. Założę się jednak, że i tutejsi elfowie, których zabiłaś, nie byli godnymi przeciwnikami. Marnujesz tu swój talent.

– Kto cię przysłał? – pyta po chwili milczenia. Patrzy teraz na mnie zupełnie inaczej. Próbuje mnie rozszyfrować.

– Co zrobiłaś, że tak się rozgniewała? Mam na myśli twoją królową. – pytam. – Chyba trzeba naprawdę nieźle się postarać, żeby stracić taką pozycję na Zębatym Dworze.

– Kto cię przysłał?! – ryczy Grima Mog.

Chyba trafiłam w czuły punkt. Moja specjalność.

Staram się powstrzymać uśmiech, ale naprawdę tęskniłam za upajającym poczuciem władzy, które bierze się z takiej gry. Strategicznej gry o wszystko, byle przechytrzyć przeciwnika. Niechętnie, ale muszę przyznać, że brakowało mi tego ryzyka. Kiedy za wszelką cenę próbujesz wygrać, nie ma czasu na zbędne żale. Wygrać, a przynajmniej nie dać się zabić.

– Już chyba mówiłam. Tutejsi Ludkowie, którzy nie lubią być zjadani.

– Ale dlaczego ty? Dlaczego przysłali mi tu taką chudzinę? Ty masz mnie do czegoś przekonać?

Cały czas dyskretnie rozglądam się po pokoju. Dostrzegam na lodówce duże, okrągłe pudło, leży na lodówce. Coś jakby staromodny futerał na kapelusze. Pilnuję się, by ani na

chwilę nie zatrzymać na nim wzroku.

– Prawdopodobnie dlatego, że dla nich moje niepowodzenie będzie oznaczało niewielką stratę.

Grima Mog śmieje się, upija kolejny łyk piwa.

– Fatalistka z ciebie. Jak więc mnie przekonasz?

Podchodzę do stołu, zgarniam jedzenie. Tak naprawdę chodzi mi o to, żeby zbliżyć się do pudła na kapelusze.

– Choćby tak, że schowam swoje prezenty do twojej lodówki.

Grima Mog jest rozbawiona.

– Zapewne, zapewne. Takiej staruszce jak ja przydałby się w domu ktoś młody do pomocy. Tylko żebyś się nie zdziwiła. W mojej spiżarni znajdziesz więcej, niż się spodziewałaś, moja mała kózko.

Otwieram drzwi lodówki. Witają mnie szczątki zamordowanych przez nią elfów. Zgromadziła tam jakoś zakonserwowane ręce i głowy, pieczone oraz gotowane. Resztki z uczy. Robi mi się trochę niedobrze.

Na jej twarzy pojawia się złośliwy uśmiech.

– Pewnie zamierzałaś wyzwać mnie na pojedynek, co? Zamierzałaś przechwalać się, że potrzeba mi godnej przeciwniczki i że to ty mi stawisz czoło... Ale teraz widzisz, co to znaczy przegrać w walce z Grimą Mog.

Biorę głęboki wdech. Potem hop, w górę. Zrzucam okrągłe pudło, chwytam je w locie.

– Tego nie ruszaj! – wrzeszczy, a widząc, że zdejmuję pokrywę, zrywa się na równe nogi.

I rzeczywiście, jest. Kaptur. Sztywny od niezliczonych warstw zastygłej krwi.

Grima Mog jest już w pół drogi do mnie, obnaża zęby. Wyciągam z kieszeni zapalniczkę, kciukiem wznieciam gazowy płomyk. Na widok ognia Grima Mog staje jak wryta.

– Wiem, że skorupę na tym czepeczku budowałaś przez wiele, wiele lat – mówię niespiesznie i kpiącym tonem, modląc się jednocześnie, żeby dłoń mi nie zdrząła, żeby płomyk nie zgasł. – Pewnie jest na nim krew będąca wspomnieniem twojego pierwszego zabójstwa, podobnie jak pamiątka ostatniego. Bez tego nie byłoby trofeum, reliktu dawnych zwycięstw. Niczego by nie było. A teraz muszę zawrzeć z tobą ugodę. Przysięgnij, że nie będzie więcej morderstw. Nie będziesz zabijać ani elfów, ani ludzi. Dopóty, dopóki przebywasz w śmiertelnym świecie.

– A jeśli nie przysięgnę, spalisz mój skarb? – kończy za mnie Grima Mog. – To nie jest honorowy układ.

– Pewnie mogłabym ci zaproponować walkę, tylko że wtedy pewnie bym przegrała. A tak, to zwyciężę.

Grima Mog wymierza we mnie oskarżycielskim gestem czarną laseczkę.

– Tyś jest ludzkim dziecięciem Madoka, prawda? Oraz wygnanym seneszalem naszego nowego Najwyższego Króla. Przepędzono cię tak samo jak mnie.

Zaskoczona potwierdzam skinieniem głowy. Nie przypuszczałam, że Grima Mog domyśli się, kim jestem.

– A co ty takiego zrobiłaś? – pyta ze złośliwym uśmiechem. – Naprawdę nieźle musiałaś się postarać.

– Kara za głupotę – odpowiadam, bo w końcu po co temu zaprzeczać. – Oddałam wróbla w garści za dziecięcia na sęku.

Śmieje się – gromko, dudniąc.

– Ha, więc dobrana z nas para, córuchno czerwonego kaptura! Tylko sama wiesz, że morderstwo mam w kościach i we krwi. Nie zamierzam zaprzestać zabijania. Skoro ugrzęzłam w śmiertelnym świecie, chcę mieć jakąś rozrywkę.

Przybliżam płomień do jej kaptura. Zaczyna już czernieć, w powietrzu rozchodzi się ohydny smród.

– Przestań! – krzyczy i rzuca mi spojrzenie pełne najczystszej nienawiści. – Dosyć. Pozwól, że teraz ja ci coś zaproponuję, kózko. Zawalczemy. Do przegranej, ale nie na śmierć. Jeżeli wygram, mój kaptur pozostanie nietknięty, a ja dalej będę sobie polować. Do tego oddasz mi swój mały palec.

– Żebyś go zjadła? – pytam, ale odsuwam płomień od jej krwawego czepka.

– Jeśli zechcę, to go zjem – odpowiada. – A może będę go sobie nosić jako broszkę. Co ci do tego? Zrobię z nim, co zechcę. Najważniejsze, że będzie moją własnością.

– A czemu miałabym się na to zgodzić?

– Bo jeśli ty wygrasz, otrzymasz ode mnie żadaną obietnicę. Do tego powiem ci coś ważnego o twoim Najwyższym Królu.

– Nic nie chcę o nim wiedzieć – wyrzucam z siebie zbyt jednak prędko i zbyt gniewnie. Nie spodziewałam się, że wspomni o Cardanie.

Tym razem jej śmiech jest jeszcze bardziej rehotliwy i jeszcze bardziej gromki.

– Kłamczuszka.

Spoglądamy na siebie przez długą chwilę. Grima Mog patrzy na mnie w zasadzie całkiem przyjaźnie. Wie, że mnie przekonała, że zgodzę się na jej warunki. Wiem to i ja, chociaż to przecież śmieszne, żalosne. Ona jest legendarną maszyną do zabijania. Niby jakim cudem mogłabym zwyciężyć?

Jednak imię Cardana tłucze mi się po czaszce.

Czy ma już nowego seneszala? Czy ma nową kochankę? Czy zaczął chodzić na spotkania Rady? Czy mówi o mnie? Czy razem z Lokim naśmiewają się ze mnie? Czy Taryn też się wtedy śmieje?

– Dobrze, a więc do pierwszej krwi – mówię, odganiając natrętne myśli. To rozkosz móc skupić na kimś całą swoją złość. – Ale palca nie dostaniesz. Jeśli wygrasz, odzyskasz kaptur. I tylko tyle. Po czym wyjdę stąd i na tym koniec. Ugoda polega na tym, że w ogóle zgadzam się z tobą walczyć.

– Do pierwszej krwi? Nudziarstwo. – Grima Mog jest leciutko pochylona do przodu, spięta. – Walczmy, dopóki któraś z nas krzyknie, że ma dość. Niech to się skończy gdzieś między rozlewem krwi a odpełnieniem, by umrzeć w drodze do domu. – Wzdycha, jakby to przywołało jakieś miłe myśli. – Daj mi szansę, niech połamie ci wszystkie kości w tym chudziutkim ciałku.

– Widzę, że stawiasz na moją próżność.

Wtykam jej kaptur do jednej kieszeni, a zapalniczkę do drugiej.

Nie zaprzecza.

– Czy stawiam trafnie? – dopytuje.

Walka do pierwszej krwi to rzeczywiście nudziarstwo. Obtańcowywanie się nawzajem, finty i uniki, szukanie luki w obronie. To nie jest prawdziwa walka. Kiedy odpowiadam, słowo samo wyrывa się z moich ust:

– Tak.

– Świetnie. – Czubkiem laski Grima Mog pokazuje sufit. – Wyjdźmy na dach.

– Dobry pomysł, tak będzie schludniej – odpowiadam.

– Liczę, że masz przy sobie jakąś broń, bo ja ci niczego nie pożyczę.

Idzie w stronę drzwi, stękając, jakby rzeczywiście była tą staruszką, której pozory przybrała za pomocą czarów.

Idę za nią, wychodzimy z apartamentu. Wędrujemy słabo oświetlonym korytarzem, potem wchodzimy po schodach, na których jest jeszcze ciemniej. Nerwy mam napięte jak postronki. Mam nadzieję, że nie popełniam jakiegoś straszliwego błędu. Grima Mog wspina się po dwa stopnie na raz, spieszy jej się. Z trzaskiem otwiera metalowe drzwi prowadzące na dach. Słyszę szcęk stali, kiedy dobywa ukrytego w lasce miecza o wąskiej głowni. Jej usta rozciągają się w szerokim uśmiechu, ukazując ostre zęby.

Wyciągam długi nóż, który noszę w wysokim bucie. Długi, trochę jednak za krótki jak na moje obecne potrzeby. Ma nieco za mały zasięg. Nie mogę jednak rzucić na siebie łudzącego czaru, a dziwnie bym wyglądała na rowerze z Brzaskiem przewieszonym przez plecy.

Teraz jednak żałuję, że nie wymyśliłam jakiegoś sprytnego sposobu. Miecz bardzo by mi się przydał.

Wychodzę na pokryty asfaltem dach budynku. Wschodzące słońce barwi niebo na kolor różowy i złoty. Chłodna bryza niesie ze sobą zapach cementu, śmietników oraz nawłoci z pobliskiego parku.

Moje serce łomocze w przyspieszonym tempie, zarówno z przerażenia, jak i wyczekiwania. Kiedy Grima Mog naciera, jestem gotowa. Odbijam uderzenie, schodzę z linii ataku. Robię to jeszcze raz, i jeszcze, co działa jej na nerwy.

– Obiecywałaś dobrą zabawę – warczy.

Teraz jednak już wiem, jak się porusza. Wiem też, że jest wygłodniała, spragniona krwi i przemocy. Wiem również, że przyzwyczała się do polowania na ofiary, z którymi radzi sobie bez trudu. Mam więc nadzieję, że jest nazbyt pewna siebie. Możliwe, że popełni jakiś błąd, nie doceniając mnie jako przeciwniczki, która nie jest zupełnie bezbronna.

Mało prawdopodobne, ale możliwe.

Kiedy atakuje znowu, wykonuję półobrót i kopię ją pod kolano. Na tyle mocno, że z hukiem upada. Z rykiem dźwiga się i rusza na mnie z pełnym impetem. Przez chwilę paraliżuje mnie widok jej wściekle wykrzywionej twarzy i tych strasznych zębów.

Potwór! – wrzeszczy mój umysł.

Zaciskam szczęki, by powstrzymać przemożną chęć zrobienia kolejnego uniku. Nasze klingi lśnią jak rybie łuski w blasku świtu. Metal szczeka o metal, dźwięcznie niczym dzwon. Przesuwamy się po dachu w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Pamiętam o pracy nóg. Pot ścieka mi po czole, czuję go pod pachami. Oddech staje się gorący, w mroźnym powietrzu buchają kłęby pary.

Jak dobrze walczyć z kimś innym niż tylko z samą sobą.

Grima Mog mruży oczy, obserwuje mnie, wypatruje luki w obronie. Mój umysł i mięśnie przypominają sobie wszystkie nauki Madoka, wszystkie wskazówki Ducha, który tak starał się wypłenić ze mnie złe nawyki. Grima Mog naciera serią potężnych ciosów, próbuje zepchnąć mnie ku krawędzi dachu. Ustępuję, bronię się desperacko pod gradem uderzeń. Ona dysponuje dłuższą głównią, więc jestem w niekorzystnej sytuacji. Przedtem wstrzymywała się, ale teraz już nie.

Wciąż mnie spycha, jestem coraz bliżej krawędzi i pustki. Bronię się z wściekłą desperacją. Jestem mokra od potu, czuję krople spływające mi między łopatkami.

A potem nagle potykam się o metalową rurę, którą ktoś porzucił na dachu. Chwieję się, tracę równowagę, wtedy ona uderza. Mam tylko jedną możliwość obrony przed nadzianiem na jej ostrze, lecz ta zasłona ma swoją cenę: nie jestem w stanie utrzymać noża, który wypada mi z dłoni, uderza o dach i leci poza jego krawędź. W następnej chwili słyszę głucho uderzenie, gdy nóż spada na bruk.

Nie należało brać tej roboty. Niepotrzebnie zgodziłam się na taki pojedynek. I niepotrzebnie zgodziłam się zostać małżonką Cardana, i niepotrzebnie dałam się wygnać do świata śmiertelników.

Złość dodaje mi energii, którą wykorzystuję, by zejść z linii ataku. Ostrze miecza mija mnie siłą bezwładu, wtedy uderzam Grimę Mog ramieniem i chwytam za rękojęść jej

miecza.

Nie jest to szczególnie honorowa forma ataku, ale ja honor odpuściłam sobie już dość dawno temu. Grima Mog jest bardzo silna, lecz to ją zaskoczyło. Przez chwilę jest zdezorientowana, dopiero potem uderza czołem w moje czoło. Zataczam się w tył, ale jednak omal nie wyrwałam jej broni!

Omam.

Serce wali mi jak oszalałe, trochę kręci mi się w głowie.

– To nie po rycersku, dziewczynko – poucza mnie Grima Mog. Obie dyszymy ciężko. Czuję, jakby moje płuca były z ołowiu.

– Bo też i nie jestem rycerzem.

Jakby dla podkreślenia tych słów sięgam po jedyną broń, którą mi teraz pozostała – metalową rurę. Jest ciężka i tępa, ale niczego innego nie mam. Przynajmniej jest dłuższa od noża.

Grima Mog rechocze:

– Powinnaś się poddać, ale cieszy mnie, że się nie poddajesz.

– Jesteś optymistką – odpowiadam.

Gdy znowu naciera, ma przewagę prędkości, lecz teraz to ja mam większy zasięg. Krążymy wokół siebie, ona uderza, ja się zasłaniam czymś równie finezyjnym jak kij bejsbolowy. W tej chwili pragnę wielu rzeczy, ale najbardziej ze wszystkiego, to znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie na tym dachu.

Tracę siły. Nie jestem przyzwyczajona do takiego ciężaru jak ta rura, która zupełnie nie nadaje się do szermierki.

Podдай się – nawołuje mój spanikowany mózg. Wystarczy, że krzykniesz. Dopóki stoisz, jeszcze możesz. Oddaj jej ten kaptur, zapomnij o forsie i wiedz do domu. Jeśli zabraknie gotówki, Vivi przecież zawsze może zaczarować liście. Tylko ten jeden raz, nic złego przecież ci się nie stanie. Nie walczysz o królestwo. Bo i tak już je utraciłaś.

Grima Mog jakby wyczuła, co się dzieje w mojej głowie, bo rusza na mnie ze zdwojonym impetem, zmienia rytm uderzeń, wali szybciej, agresywniej, żeby tylko ominąć moją obronę.

Pot spływa mi do oczu.

Madok definiował walkę na różne sposoby – jako strategiczną grę rozgrywaną w przyspieszonym tempie, jako taniec... ale akurat w tej chwili to starcie jest dla mnie niczym kłótnia. Kłótnia, w której zmuszona jestem bezustannie odpierać argumenty, więc nie mam szansy dojść do słowa. Pomimo ciężaru, trzymam rurę w jednej ręce, drugą zaś wyciągam z kieszeni kaptur.

– Co ty wyprawiasz? Obiecałaś... – zaczyna Grima Mog.

Rzucam kaptur w jej twarz. Odruchowo chwyta go, a ja w tej samej chwili walę ją z boku moją rurą

Trafiam w zębra, potem w ramię; Grima Mog upada z bolesnym wyciem. Walę znowu, żelastwo zatacza łuk i uderza jej wyciągniętą rękę. Miecz Grimy Mog leci daleko z głośnym brzękiem.

Podnoszę rurę nad głowę.

– Dosyć! – Grima Mog ma zakrwawione zęby, na jej twarzy maluje się zdumienie. – Poddaję się.

– Poddajesz się?

Rura jest wciąż gotowa do zadania kolejnego ciosu.

– Tak, ty mała oszustko – mówi zgrzytliwym głosem. Dźwiga się do pozycji siedzącej. – Pokonałaś mnie. A teraz pomóż mi wstać.

Rzucam rurę na ziemię i podchodzę, chociaż obawiam się, że zaraz dobędzie noża i wbije mi go pod zebro. Ale nie, wyciąga tylko rękę i pozwala się dźwignąć na nogi. Wkłada kaptur na głowę, potem podtrzymuje zdrową ręką zranione ramię.

– Zębaty Dwór połączył siły z dawnym głównodowodzącym, czyli twoim ojcem, oraz zgrają innych zdrajców. Wiem z dobrego źródła, że twój Najwyższy Król zostanie zdetronizowany i to jeszcze przed najbliższą pełnią. I co, smaczne kąski ode mnie dostałaś?

– Dlatego odeszłaś? – pytam. – Dlatego, że nie jesteś zdrajczynią?

– Odeszłam z powodu innej małej kózki. A teraz zmykaj. Zabawa była lepsza, niż się spodziewałam, ale na razie mam dość.

Jej słowa pobrzmiewają w mojej głowie: *Twój Najwyższy Król zostanie zdetronizowany.*

– Nadal winna mi jesteś obietnicę – przypominam ochrypłym głosem.

I ku mojemu zdumieniu Grima Mog obiecuje, że zaprzestanie polowań na ziemiach śmiertelników.

– Wpadnij jeszcze kiedyś, to znów powalczymy – woła za mną, gdy zmierzam ku schodom. – Znam sekretów bez liku, córo Madoka. A coś mi podpowiada, że i ty nie masz nic przeciwko odrobinie przemocy.



Niemal natychmiast ogarnia mnie takie zmęczenie, że gdy pomyślę o jeździe rowerem, wolałabym już położyć się na chodniku. Decyduję się więc wracać autobusem. Niecierpliwi pasażerowie zerkają na mnie wilkiem, bo chwilę trwa, zanim udaje mi się umocować rower na znajdującym się z przodu bagażniku. Kiedy jednak widzą, że krwawię, uznają, że lepiej nie zwracać na mnie uwagi.

Mój dzienny rytm dziwnie się ma do ludzkiego świata. W krainie elfów powrót do domu o świcie to jakby ktoś ze śmiertelnych przywłókł się do swojej siedziby po północy. Jednak w ludzkim świecie światło poranka powinno rozproszyć cienie. Ranek to czas porządných obywateli, którzy wczesnie wstają, a nie szlajających się szumowin. Jakaś starsza kobieta w różowiułkim kapeluszu bez słowa wręcza mi kilka chusteczek. Jestem jej bardzo wdzięczna. Staram się jako tako doprowadzić do porządku. Przez resztę drogi wyglądam oknem, patrzę na błękitne niebo. Wszystko mnie boli i zaczynam rozczulać się nad sobą. Przetrzęsam kieszenie, znajduję cztery aspiryny i połykam je wszystkie.

Twój Najwyższy Król zostanie zdetronizowany jeszcze przed najbliższą pełnią. I co, smaczne kąski ode mnie dostałaś?

Próbuję wmówić sobie, że już mnie to nie obchodzi. Nawet lepiej, jeśli Elfhame upadnie. A poza tym Cardan ma wielu doradców, niech oni go ostrzegają. Jest przecież Dwór Cieni, wciąż jeszcze ma połowę swojego wojska. Do tego władcy pomniejszych dworów, którzy zaprzysięgli mu wierność. No i jeszcze Wieczna Rada. Poza tym pewnie nowy seneszał, o ile oczywiście Najwyższy wysilił się, żeby takowego sobie wybrać.

Wściekam się na myśl, że ktoś mógłby zająć moje miejsce u boku Cardana, ale mimo wszystko zastanawiam się, kto najmniej nadawałby się na to stanowisko. Nie może wybrać sobie Nicassii, bo przecież ta jest ambasadorką Toni. Nie weźmie na senesza Lokiego, bo już go mianował mistrzem biesiad, a poza tym Loki jest nieznośny. No i nie panią Aszę, bo... bo byłaby po prostu zbyt okropna. Obowiązki nudziłyby ją śmiertelnie, poza tym natychmiast zaprzedałaby się temu, kto zapewni jej największe korzyści. Chyba Cardan ma dość rozumu, żeby wybrać sobie kogoś innego. Ale kto wie, może i nie ma. Potrafi być zupełnie nieobliczalny. Możliwe, że razem ze swoją podłą, bezwzględną matką okrywają śmiesznością ród Kolcowojów i Koronę Krwi. Mam nadzieję, że tak właśnie jest. Mam nadzieję, że będą tego żałować, że przede wszystkim on będzie tego żałować.

A potem wkroczy Madok i przejmie władzę.

Przyciskam czoło do chłodnej szyby i powtarzam sobie, że to już nie mój problem. Zamiast starać się – niestety bezskutecznie – nie myśleć o Cardanie, próbuję w ogóle nie myśleć.

Nagle czuję, że ktoś szarpie mnie za ramię.

– Hej, mała. – To kierowca autobusu, na jego twarzy dostrzegam wyraz niepokoju. – Obudź się.

Były kiedyś takie czasy, że w tej samej chwili miałabym nóż w dłoni, a jego ostrze przytknęłabym mu do gardła. Teraz jednak uświadamiam sobie, że nawet nie mam już noża. Zapomniałam poszukać go na ulicy przed budynkiem, w którym mieszka Grima Mog.

– Nie śpię – mówię, co nie brzmi przekonująco. Przecieram twarz dłonią.

– Rany, przez chwilę myślałem, że mi się tu przekręciłaś. – Facet marszczy brwi. – Sporo krwi. Może kogoś wezwę?

– Nic mi nie jest – odpowiadam. Widzę, że autobus jest prawie pusty. – Czy przespałam przystanek?

– Nie, to tutaj. – Chyba rozważa, czy nie powinien nalegać na wezwanie pomocy, ostatecznie jednak kręci tylko głową i wzdycha: – Nie zapomnij roweru.

Już przedtem ledwo powłóczyłam nogami, ale teraz to już zakrawa na kpinę. Wlokę się do wyjścia jak drzewiec, który pierwszy raz w życiu wyciągnął korzenie z ziemi. Zgrabiłymi palcami odpinam rower, dostrzegam rdzawą plamę na palcach. Nie wiem, może to krew, może odruchowo otarłam twarz, kiedy kierowca mnie obudził. Nie mam pojęcia.

W końcu udaje mi się postawić rower na ziemi, po chwili zaś brnę przez trawnik w stronę naszego apartamentowca. Rzucę rower gdzieś w krzaki, najwyżej go ukradną, trudno – obiecuję to sobie, dzięki czemu udaje mi się przebyć większość drogi do domu. Dostrzegam, że na schodkach ktoś siedzi. Różowe włosy połyskują w słońcu. Pozdrawia mnie papierowym kubkiem z kawą.

– Heather? – odzywam się, ale nie podchodzę. Sądząc po tym, jak patrzył na mnie kierowca autobusu, nie byłby to dobry pomysł, żeby zobaczyła świeże rany i stłuczenia.

– Próbuję zdobyć się na odwagę i zapukać.

– Aha – mówię i kładę rower w trawie. Krzaki są za daleko. – No to chodź ze mną i...

– Nie! – przerywa mi, po czym chyba uświadamia sobie, jak głośno to powiedziała, bo zniża głos: – Nie wiem, czy dzisiaj jestem na to gotowa.

Przyglądam się jej uważniej i widzę, że jest zmęczona, że różowość jej włosów zbladła, pewnie nie chciało jej się ich farbować.

– Od dawna tu siedzisz?

– Nie, niespecjalnie długo tu jestem. – Odwraca się ode mnie, wzrusza ramionami. – Czasem tu przychodzę. Żeby sprawdzić, jak się z tym czuję.

Teraz ja ciężko wzdycham. Trudno, niech zobaczy, że oberwałam. Podchodzę, po czym z trudem siadam na schodku, bo jestem już zbyt znużona, by stać.

Heather zrywa się na równe nogi.

– Jude? O rany, cholera jasna... Co do... Co ci się stało? – pyta. Krzywię się. Jej głos rozbrzmiewa o wiele za głośno.

– Cśśś... Myślałam, że Vivi ma nie wiedzieć o twojej obecności – przypominam. – A zresztą, źle wyglądam, ale w gruncie rzeczy to nic takiego. Muszę tylko wziąć prysznic i zrobić opatrunki. Oraz przespać najbliższy dzień.

– Jasne, jasne – mówi tonem, z którego bez trudu można się zorientować, że mi nie wierzy. – Pomogę ci wejść. Nie przejmuj się, najwyżej natkniemy się na twoją siostrę, nieważne. Przecież jesteś ranna! Bez sensu, że stałaś tak długo i rozmawiałaś ze mną, jakby nigdy nic.

Kręcę głową, wyciągam dłoń, żeby odrzucić jej propozycję.

– Nic mi nie będzie. Posiedzę tylko chwilę i wstanę.

Przygląda mi się, zatroskana. Niepokoi się o mnie, a zarazem chciałaby jeszcze trochę odłożyć w czasie nieuniknioną konfrontację z Vivi.

– Myślałam, że ty dalej jesteś tam... To tam cię ktoś zranił?

– U elfów? – Lubię Heather, ale nie zamierzam tylko dla jej spokoju ducha udawać, że świat, w którym się wychowałam, nie istnieje. – Nie. To zdarzyło się tutaj. Od jakiegoś czasu mieszkam z Vivi. Muszę sobie to i owo poukładać w życiu. Ale jeżeli się wprowadzisz, to nie ma sprawy, mogę się zmyć.

Patrzy na swoje kolana. Przygryza paznokieć. Potrząsa głową.

– Miłość jest głupia. Tylko nawzajem łamiemy sobie serca.

– No – potwierdzam i znowu myślę o Cardanie, i o tym, jak wlałam prosto w zastawioną na mnie pułapkę, niczym idiotka, która w życiu nie słyszała ani jednej ballady. Bez względu

na to, jak bardzo życzyłabym Vivi szczęścia, nie chcę, żeby Heather dała się w taki sam sposób wystrychnąć na dudka. – No niby tak, ale nie. Miłość może jest głupia, ale ty nie jesteś. Vivi pokazała mi esemesa, którego od ciebie dostała. Tego się nie da tak załatwić.

Heather upija spory łyk z kubka.

– Dręczę mnie koszmary. Wiesz, o tym miejscu. O tym waszym świecie. Chodzę po ulicach, patrzę na ludzi i nie wiem, czy ktoś na nich nie rzucił uroku. W naszym świecie i tak roi się od potworów, od ludzi, którzy chcą mnie wykorzystać, skrzywdzić, odebrać mi moje prawa. Nie mogę żyć z myślą, że istnieje jeszcze inny świat, w którym potworów jest jeszcze więcej.

– Czyli lepiej nie wiedzieć, tak?

Chmurzy się, milczy. Odzywa się po chwili, ale patrzy gdzieś w dal, przeze mnie, jakbym była ze szkła, gdzieś w dal, czy w każdym razie na parking.

– Nie mogę nawet wytłumaczyć rodzicom, o co pokłóciłyśmy się z Vee. Ciągłe mnie wypytyują, czy ona znalazła sobie kogoś innego, czy może to ja uważam, że przegięła, sprowadzając Dęba. Rozumiesz? Myślę, że nie mogę znieść dzieciaka, a ja tymczasem nie mogę znieść myśli o tym, czym on jest naprawdę.

– Mimo to nadal jest dzieciakiem – zauważam.

– To potworne, że muszę się bać Dęba – mówi dalej Heather. – Wiem, że jest mu z tego powodu przykro. Ale tak samo okropne jest, że i on, i Vee mogą rzucać czary i dzięki temu zawsze postawią na swoim. Ona może czarować, żebym miała obsesję na jej punkcie. Albo zmienić mnie w żabę. A to wszystko i tak nie ma się nijak do tego, co mnie w niej najbardziej pociąga.

Marszczę brwi.

– Zaraz, to znaczy do czego?

Heather jakby znowu mnie zauważyła.

– A potrafisz powiedzieć, dlaczego ludzie się w sobie zakochują? No właśnie, i nikt inny też tego nie potrafi. Naukowcy się tym zajmują, stąd cała ta gadanina o feromonach, o symetrii twarzy, znaczeniu, jakie mają okoliczności, w których się poznajemy. Ludzie w ogóle są dziwni. Nasze ciała są dziwne. Może po prostu nic na to nie poradzę, że mnie do niej ciągnie, tak samo jak muchę coś ciągnie do drapieżnej rośliny.

Wydaję odgłos mający wyrażać niedowierzanie, przypomina mi się jednak, co mówił ongiś Balekin. Jak to gdzieś słyszał, że u śmiertelników zakochanie jest czymś bardzo podobnym do odczucia strachu. Może więcej w tym było racji, niż chciałam wtedy przyznać.

Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę moje uczucia do Cardana. Przecież nigdy nie istniał żaden rozsądny powód, bym darzyła go jakimikolwiek uczuciami.

– Dobra – mówi Heather – wiem, że to brzmi żałośnie. Śmiesznie i żałośnie. I tak właśnie się czuję, ale jednocześnie się boję. A poza tym nadal uważam, że powinnyśmy wejść

i założyć ci opatrunek.

– Możesz wymóc na Vivi obietnicę, że nigdy nie użyje wobec ciebie magii – mówię. – Jeśli chcesz, pomogę ci dobrać dokładnie takie słowa, żeby były dla niej wiążące, a wtedy...

Urywam, bo widzę, że Heather patrzy na mnie ze smutkiem. Może jej się wydaje, że jestem naiwna, bo wierzę w obietnice. A może jeszcze bardziej przeraża ją myśl, że obietnica mogłaby być dla Vivi bezwarunkowo wiążąca. Też magia. Też źle.

Heather bierze głęboki wdech.

– Vee powiedziała mi, że tu się wychowywała, to znaczy zanim zginęli wasi rodzice. Przykro mi o tym mówić, ale wiem, że to dla niej potworna trauma. Nic dziwnego, nikt po czymś takim nie byłby normalny.

Znowu głęboki wdech. Heather czeka na moją reakcję.

Zastanawiam się nad jej słowami. Siedzę na schodach i czuję, jak puchnie mi czoło, a z rozciętej brwi leniwie sączy się krew. Co to znaczy, że nikt nie byłby normalny? Ja jestem zupełnie normalna. Może tylko tego nie widać?

Pamiętam Vivi sprzed wielu lat, wiecznie wściekłą, rozwrzeszczaną. Tłukła wszystko, co znalazło się w zasięgu jej rąk. Tłukła też mnie, kiedy pozwalałam Madokowi brać się na rękę. Wydawało się, że w tej furii rozniesie na strzępy całe jego domostwo. Tylko że to było już dawno temu. Wszystkie trzy pogodziłyśmy się z losem; ja i Taryn wcześniej, ona później.

Nie mówię tego wszystkiego, w ogóle nic nie mówię.

Heather wzdycha.

– Chodzi o to, że nie wiem, czy ona sobie ze mną nie pogrywa. Czy nie udaje, że chce ze mną być. No bo po co udawała kogoś innego, kim nie jest, i dlaczego nigdy mi nie powiedziała, skąd pochodzi.

Biorę Heather za rękę.

– Vivi spędziła wiele lat w Elysium ze względu na mnie i Taryn – wyjaśniam. – Została tam wbrew sobie, wcale tego nie chciała. Opuściła krainę elfów dopiero z twojego powodu. Dlatego, że cię pokochała. A więc masz rację, że Vivi poszła na łatwiznę i nic ci nie wyjaśniła, a na pewno powinna ci powiedzieć wszystko o sobie. I w żadnym wypadku, absolutnie, nie powinna posługiwać się wobec ciebie magią, chociaż akurat wtedy po prostu nie myślała, działała w panice. Dobra, ale teraz już o tym wszystkim wiesz. I chyba będziesz musiała się zastanowić, czy potrafisz jej wybaczyć.

Heather otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale potem milknie.

– A ty byś wybaczyła? – pyta w końcu.

– Nie wiem – odpowiadam, teraz ja patrzę na swoje kolana. – Akurat ostatnio nie jestem szczególnie skora do wybaczenia.

Heather wstaje.

– Dobra, odpoczęłaś. Teraz rusz się. Musisz wejść do środka i przemyć ranę. Uważam, że powinnaś pójść do lekarza, ale chyba znam twoją odpowiedź.

– Masz rację. Pod każdym względem. Zwłaszcza jeśli chodzi o lekarza.

Przewracam się na bok, usiłując dźwignąć się na nogi. Heather pomaga mi, a ja jej na to pozwalam. Mało tego, opieram się o nią całym ciężarem ciała i tak wleczeni się do drzwi. Straciłam całą dumę. Zresztą już Bryern przypomniał mi, że nie jestem nikim szczególnym.

Heather i ja przechodzimy razem przez kuchnię, gdzie na stole stoi miseczka Dęba, nadal do połowy wypełniona różowym mlekiem. Poza tym stoją tam dwa puste kubki po kawie. Odnotowuję fakt, ale mój mózg jeszcze nie rejestruje znaczenia tego szczegółu. Dopiero kiedy oparta na Heather wchodzę do dużego pokoju, uświadamiam sobie, że mamy gościa.

Vivi siedzi na kanapie. Na widok Heather jej twarz się rozjaśnia. Patrzy na nią jak ktoś, kto właśnie ukradł olbrzymowi wspaniałą gadającą harfę i zdaje sobie sprawę z czających się na horyzoncie konsekwencji, ale jakoś nie ma ochoty się tym przejmować. Moje zaś spojrzenie wędruje ku drugiej osobie, która rozsiadła się jak królowa, a ma na sobie szykowną dworską suknię z pajęczyny i utkanego szkła. I jest moją siostrą bliźniaczką, Taryn.



Zalewa mnie adrenalina, zapominam o śmiertelnym zmęczeniu, bólu i krwi. Miałabym ochotę chwycić szyję Taryn palcami i ścisnąć tak mocno, żeby jej głowa wystrzeliła w sufit.

Vivi wstaje, ale raczej nie dlatego, że tak groźnie wyglądam i mam śmierć w oczach, tylko dlatego, że przyszłam z Heather.

– Ty – mówię do swojej siostry. – Wynocha.

– Zaczekaj – mówi Taryn i też wstaje. – Proszę.

Stoimy więc już wszystkie, patrzymy na siebie, jakbyśmy miały się zaraz pobić.

– Nie chcę niczego od ciebie słyszeć, więc zamknij swoją kłamliwą gębę. – Nawet dobrze, że mam na kogo wylać wszystko, co obudziły we mnie Grima Mog i Heather. Mam coś więcej niż tylko pretekst do awantury. Kogoś, kto pod każdym względem na to zasłużył. – Wynocha, bo jak nie, to cię wyrzucę.

– To jest mieszkanie Vivi – protestuje Taryn.

– To jest moje mieszkanie – przypomina Heather. – A ty jesteś ranna, Jude.

– Nieważne! Jeżeli ona tu zostanie, to ja wychodzę!

Odwracam się na pięcie i zmuszam do wyjścia z mieszkania i zwleczenia się po schodach.

Drzwi za mną otwierają się z trzaskiem. Taryn biegnie, zastępuje mi drogę. Jej suknia lśni w porannym wietrze. Gdybym nie wiedziała, jak wygląda prawdziwa księżniczka elfów,

pewnie bym pomyślała, że właśnie tak wygląda. Przez chwilę wydaje mi się nie do pojęcia, że w ogóle jesteśmy spokrewnione, nie mówiąc o tym, że jesteśmy identyczne.

– Co ci się stało? – pyta. – Wyglądasz, jakbyś się z kimś biła.

Nie odpowiadam. Idę dalej. Nawet nie wiem dokąd. Powłóczę nogami, jestem obolała. Może do Bryerna. Znajdzie mi jakąś metę, chociaż nie spodoba mi się cena, jaką będę musiała potem zapłacić. Zresztą nawet mieszkanie kątem u Grimy Mog byłoby lepsze niż to.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi Taryn.

– Nie. Nie. Nie i już. Nigdy w życiu. Jeżeli po to się tu zjawiłaś, to proszę bardzo, masz swoją odpowiedź. Możesz się wynosić.

– Jude, posłuchaj mnie choć przez chwilę.

Ponieważ znowu mnie wyprzedza, muszę na nią spojrzeć. Patrzę więc, a potem zaczynam obchodzić szerokim łukiem mieniącą się spódnicę jej sukni.

– Nie. Nie, nie pomogę ci. Nie, nie będę słuchać, dlaczego miałabym to zrobić. Zobacz, jakie to magiczne słówko: nie. Mów sobie, co chcesz, a ja i tak odpowiem tak samo: nie.

– Loki nie żyje.

Staję jak wryta, odwracam się. Nad nami jest niebo – jasne, błękitne i czyste. Ptaki siedzące na gałęziach drzew nawołują się. Gdzieś z oddali dobiegają odgłosy budowy i ruchu ulicznego. W takiej chwili, kiedy otacza mnie świat śmiertelników, wiadomość o śmierci kogoś nieśmiertelnego jest wyjątkowo śmiertelnie surrealistyczna.

– Nie żyje? – Wydaje się to niemożliwe, chociaż tyle już śmierci na własne oczy widziałam. – Jesteś pewna?

W nocy przed swoim ślubem Loki wraz z przyjaciółmi zasadzili się na mnie niczym stado gończych psów polujących na lisa. Obiecałam sobie, że odpłacę mu za to. Skoro nie żyje, nie zdołam się już zemścić. Szkoda.

On zaś już nigdy nie urządzi kolejnej biesiady, aby upokorzyć Cardana. Nie będzie zabawiał się z Nicassią ani rozgrywał Taryn i mnie przeciwko sobie nawzajem. Pewnie powinnam odetchnąć z ulgą, bo Loki był wyjątkowo uciążliwym osobnikiem, ale zaskoczona stwierdzam, że trochę mi przykro.

Taryn jakby zbiera się w sobie i dodaje:

– Nie żyje, bo go zabiłam.

Potrząsam głową, jakby to mogło pomóc mi zrozumieć, co siostra do mnie mówi.

– Słucham?

Sprawia wrażenie zażenowanej, tak jakby przyznawała się do jakiejś głupiej gafy, a nie do zamordowania męża. Nagle przypomina mi się Madok stojący pomiędzy trójką wrzeszczących dzieciaków chwilę po tym, jak poszatkował ich rodziców. Na jego twarzy

także widać było zaskoczenie. Jakby w zasadzie nie zamierzał posunąć się aż tak daleko. Ciekawa jestem, czy tak właśnie czuje się teraz Taryn.

Wiem, że to ja upodobniłam się do Madoka dużo bardziej, niżbym sobie tego życzyła, nigdy jednak nie przyszło mi na myśl, że ona i on mają ze sobą cokolwiek wspólnego.

– Wystarczy, żebyś udawała, że jesteś mną. – Najwyraźniej nie przychodzi jej do głowy, że proponuje mi tę samą sztuczkę, dzięki której Madok mógł odmaszerować z połową armii Cardana. Sztuczkę, przez którą przystałam na plan, w wyniku którego zostałam wygnana. – Proszę. Tylko na parę godzin.

– Dlaczego...? – zadaję pytanie, ale w tej samej chwili zdaję sobie sprawę, że nie wyrażam się wystarczająco jasno. – To znaczy, nie dlaczego mam udawać, tylko dlaczego go zabiłaś?

Rozgląda się i mówi:

– Chodźmy do domu, to ci powiem. Opowiem ci wszystko. Proszę cię, Jude.

Choć niechętnie, lecz sama przed sobą muszę przyznać, że nie mam dokąd pójść. Nie mam ochoty niczego zawdzięczać Bryernowi. Mam za to przemożną chęć wrócić i położyć się we własnym łóżku. Do tego, pomimo całego zmęczenia, nie mogę zaprzeczyć, że niepokojąco kusi mnie perspektywa wślizgnięcia się do Elfhame jako Taryn. Na samą myśl o tym i że mogłabym zobaczyć Cardana, moje serce bije szybciej.

Dobrze, że nikt nie może poznać moich myśli. Są głupie, ale należą tylko do mnie.

Wracamy więc. Heather i Vivi stoją w kącie kuchni przy imbryku, pogrążone w rozmowie, której nie chcę przerywać. Przynajmniej zaczęły ze sobą gadać. To już coś. Idę do pokoju Dęba, gdzie w dolnej szufladzie jego komody trzymam kilka ciuchów, które do mnie należą. Taryn podąża za mną ze zmarszczonym czołem.

– Wezmę teraz prysznic – zapowiadam – i wetrę w siebie jakąś maść. A ty przygotuj dla mnie uzdrawiający napar z krwawnika i zaczekaj w kuchni. Potem będę gotowa, żeby posłuchać twoich wyznań.

– Pomogę ci się rozebrać – proponuje Taryn i potrząsa głową, kiedy mam już zaprotestować. – Nie masz rękodajnej.

– Ani zbroi, którą mógłby pucować mój giermek – dopowiadam. Nie opieram się jednak, kiedy ściąga ze mnie koszulkę, dosłownie sztywną od krwi. Syczę, kiedy odrywa ją od półzaschniętej rany. A więc czubek miecza Grimy Mog musnął mnie i rozciął skórę na ramieniu, a ja nawet tego nie zauważyłam. Obawiam się, że moja szlachetnie urodzona przeciwniczka nie utrzymuje swojej klingi w należytej czystości, bo brzegi rozcięcia już nabrzmiały.

Taryn odkręca prysznic, reguluje temperaturę wody, a potem prowadzi mnie do samej wanny. Stoję w gorącym deszczu. Jesteśmy siostrami, więc widziałyśmy się nago tryliard razy przez te wszystkie lata, ale jej wzrok przyciąga teraz paskudna blizna na mojej nodze. Uświadamiam sobie, że nigdy dotąd jej nie widziała.

– Vivi powiedziała mi coś – mówi powoli Taryn. – Coś o tej nocy przed moim ślubem. Wróciłaś wtedy późno, nic nie mówiłaś i byłaś błada. Kiepsko wyglądałaś. Wtedy myślałam, że... No, że to dlatego, że nadal go kochasz, ale Vivi zapewnia, że to nieprawda. Że byłaś wtedy ranna.

– A i owszem, pamiętam tę noc. – Kiwam głową.

– Czy Loki... wtedy coś ci zrobił?

Nie patrzy na mnie, jej wzrok błądzi po kafelkach, potem spoczywa na oprawionym w ramkę rysunku Dęba przedstawiającym Heather: brązowa skóra i włosy nabazgrane różową kredką.

– Pytasz, czy próbował mnie zabić?

Taryn przytakuje. Chwytam jej spojrzenie. Już zna odpowiedź.

– Dlaczego nie powiedziałaś? Dlaczego pozwoliłaś, żebyśmy wzięli ślub?

– Wtedy nie wiedziałam – wyjaśniam. – Byli zamaskowani, więc nie wiedziałam. Nie odgadłam, że to Loki urządził na mnie zasadzkę, dopóki nie zobaczyłam pewnego dnia, że masz w uszach kolczyki, które dla ciebie kupiłam i zgubiłam tamtej nocy. A zaraz potem wylądowałam w Królestwie Toni. A potem, zaraz po moim powrocie, zdradziłaś mnie, więc uznałam, że nie ma o czym gadać.

Taryn krzywi się, widać, że walczy ze sobą – z jednej strony chciałaby się spierać, a z drugiej wie, że chcąc mnie udobruchać, powinna siedzieć cicho. W następnej chwili kłótniwość bierze jednak górę – w końcu jesteśmy bliźniaczkami.

– Zrobiłam tylko to, o co prosił mnie ojciec! Myślałam, że to nic takiego. Miałaś wielką władzę i nie chciałaś się nią podzielić. Na pewno nie pragnęłam, żeby coś ci się stało.

– A ja chyba nadal wołałabym mieć do czynienia z Lokim i jego zgrają w ciemnym lesie, niż dostać od ciebie cios w plecy. Niestety.

Widzę, z jakim wysiłkiem powstrzymuje się od powiedzenia czegoś jeszcze, oddycha głęboko, przygryza wargę.

– Przykro mi – mówi i wychodzi z łazienki, dzięki czemu wreszcie mogę spokojnie wziąć prysznic.

Puszczam cieplejszą wodę i długo się nią rozkoszuję.



Kiedy wychodzę, Heather już nie ma, a Taryn dokonała przeglądu zawartości lodówki, by z nędznych resztek przygotować coś w rodzaju chaotycznego przyjęcia. Pośrodku stołu króluje duży dzbanek z herbatą, obok niego mniejszy z krwawnikiem. Otworzyła też naszą ostatnią paczkę imbirowych herbatników i ułożyła je na talerzyku, a czerstwy chleb

przeistoczył się w kanapki dwojakiemu rodzaju: z szynką i selerem oraz masłem orzechowym i chipsami.

Vivi parzy kawę, przygląda się Taryn z troską. Nalewam sobie kubek uzdrawiającego naparu, wypijam do dna, nalewam znowu. Wykąpana, zabandażowana i przebrana w czyste ciuchy, mogę wreszcie myśleć jaśniej. Łatwiej mi się pogodzić z faktem, że Loki nie żyje, a zabiła go moja siostra bliźniaczka.

Sięgam po kanapkę z szynką. Po pierwszym kęsie uświadamiam sobie, jaka jestem głodna. Seler jest chrupiący i smakuje trochę dziwnie, ale jest bardzo dobry. Wpycham resztę kanapki do ust i zgarniam na talerz dwie kolejne.

Taryn splata dłonie i przyciska je do piersi.

– Poniosło mnie – mówi.

Ja i Vivi nie odzywamy się. Staram się ciszej chrupać kawałki selera.

– Obiecał kochać mnie aż do śmierci, ale jego miłość nie uchroniła mnie przed jego podłością. To prawda, ostrzegwał mnie, że elfowie nie kochają tak jak my. Nie rozumiałam tego, dopóki nie zaczął zostawiać mnie na całe tygodnie w tym wielkim, okropnym domu. Uprawiałam róże w ogrodzie, zamówiłam nowe zasłony, organizowałam dla jego przyjaciół biesiady ciągnące się dosłownie miesiącami. Na nic to się zdało. To byłam cnotliwa, to rozwiązała. Dałam mu wszystko. Ale on powiedział, że we mnie już skończyła się opowieść.

Unoszę brwi. To okropne, że mógł coś takiego powiedzieć, nie spodziewałam się jednak, że takie będą jego ostatnie słowa.

– No i pokazałaś mu, co to jest koniec historii.

Vivi parska śmiechem, a potem spogląda na mnie rozgniewana, że ją rozśmieszyłam.

Rzęsy Taryn połyskują od łez.

– Chyba tak – mówi beznamiętnym, głuchym głosem, którego nie potrafię zinterpretować. – Próbowałam mu wyjaśnić, że to się musi zmienić, że dalej tak być nie może, ale on zachowywał się, jakbym opowiadała jakieś niedorzeczności. Mówił i mówił, jakby myślał, że w ten sposób coś mi wmówi. Że nie czuję tego, co czuję! Na biurku leżał taki wysadzany klejnotami nóż do papieru, no i... Pamiętasz te wszystkie lekcje, które dał nam Madok? W następnej chwili ostrze już tkwiło w gardle Lokiego. I wtedy wreszcie się zamknął. Ale kiedy wyciągnęłam nóż, było tyle krwi.

– Więc nie chciałaś go zabić? – pyta Vivi.

Taryn nie odpowiada.

Wiem, jak to jest tłumić w sobie coś tak długo, aż to coś w końcu wybuchnie. I wiem też, jakie to uczucie wpakować komuś nóż w gardło.

– Już dobrze – mówię, chociaż nie jestem pewna, czy to prawda.

Spogląda w moją stronę.

– Sądziłam, że jesteśmy zupełnie różne, ty i ja. Tymczasem okazuje się, że jesteśmy zupełnie takie same.

Chyba jednak nie uważa, że to coś dobrego.

– Gdzie są jego zwłoki? – pytam, próbując skupić się na praktycznej stronie zagadnienia.
– Musimy się ich pozbyć, bo...

Taryn potrząsa głową.

– Jego ciało zostało już odnalezione.

– Jak to? Co zrobiłaś?

Z początku wściekałam się, że przychodzi do mnie po pomoc, ale teraz złości mnie, że nie zjawiała się wcześniej, kiedy mogłabym się tym wszystkim zająć.

– Zaciągnęłam trupa do morza. Myślałam, że odpływ go zabierze, ale fale wyrzuciły go na plażę. Tyle że, no... trochę był już nadjedzony. Dlatego trudniej było stwierdzić, jak umarł. – Patrzy na mnie bezradnie, odnoszę wrażenie, że wciąż do niej nie dociera, jak coś takiego mogło się zdarzyć. – Ja naprawdę nie jestem zła.

– A czy ja mówię, że jesteś?

Upijam łyk naparu z krwawnika.

– Będzie dochodzenie – wyjaśnia dalej Taryn. – Rzuca na mnie urok i będą wypytywać. Nie będę mogła kłamać. Ale jeżeli to ty stawisz się zamiast mnie, odpowiesz szczerze i zgodnie z prawdą, że go nie zabiłaś.

– Jude jest na wygnaniu – wtrąca Vivi. – Skazana na banicję, dopóki nie uzyska wybaczenia Korony czy jakieś inne tam pompatyczne bzdury. Jeżeli zostanie schwytana, czeka ją śmierć.

– To tylko parę godzin – mówi Taryn, spoglądając na przemian na mnie i na Vivi. – Przecież nikt się nie dowie. Proszę.

Vivi odpowiada stanowczo:

– To zbyt ryzykowne.

Ponieważ się nie odzywam, Vivi domyśla się, że biorę pod uwagę taką możliwość.

– Chcesz pojechać, prawda? – pyta mnie i patrzy mi prosto w oczy. – Masz świetny pretekst, żeby tam wrócić, tak? Tylko pamiętaj, że kiedy rzuca na ciebie urok, przede wszystkim spytają o imię. Albo zadadzą jakieś inne pytanie i zorientują się, że nie odpowiadasz tak, jak odpowiedziałyby Taryn. A wtedy już będzie po tobie.

Kręcę głową.

– Chroni mnie géis. Czary i uroki się mnie nie imają.

To wkurzające, jak strasznie mam ochotę wrócić do Elfhame, raz jeszcze skosztować prajabłka, raz jeszcze spróbować sięgnąć po władzę, raz jeszcze się z nim zmierzyć. Może uda się jakoś obejść ten wyrok wygnania, musi być jakiś sposób, tylko trzeba go poszukać.

Taryn nie rozumie.

– Jaki géis? Dlaczego?

Vivi spogląda na mnie chmurnie.

– No, powiedz jej. Powiedz, co naprawdę zrobiłaś. Powiedz, kim jesteś i dlaczego nie możesz tam wrócić.

Na twarzy Taryn dostrzegam coś jakby obawę. Madok musiał jej wyjaśnić, że wymogłam na Cardanie obietnicę posłuszeństwa – inaczej skąd by wiedziała, że ma mu rozkazać, by zwolnił pół swojej armii z wiernopoddańczej przysięgi? Odkąd przybyłam do śmiertelnego świata, miałam wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć, co się między nami zdarzyło. Taryn mogła mieć do mnie pretensję, że nie zdradziłam jej, jaką mam władzę nad Cardanem. Na pewno wściekała się, że nie zmusiłam Cardana do pozbawienia Lokiego stanowiska mistrza biesiadnego, skoro mogłam mu to rozkazać. Miała jednak też mnóstwo innych powodów, żeby stanąć po stronie Madoka. Bądź co bądź to nasz ojciec. Może też i ona chciała wziąć udział w wielkiej grze. Na pewno przyszło jej do głowy, jak wiele mógłby dla niej zrobić, gdyby objął tron.

– Może rzeczywiście powinnam była ci opowiedzieć o Dainie i Dworze Cieni, ale... – zaczynam, jednak Vivi mi przerywa.

– Mniejsza z tym – mówi. – Przejdź do rzeczy. Powiedz jej, kim jesteś.

– Zaraz, o Dworze Cieni coś słyszałam – wtrąca pospiesznie Taryn. – To szpiegdy. Chcesz powiedzieć, że jesteś szpiegiem?

Kręcę powoli głową, bo już rozumiem, czego Vivi oczekuje – mam powiedzieć, że Cardan wziął mnie za żonę i dlatego przynajmniej w teorii stałam się Najwyższą Królową na Elfhame. Ale nie, nie mogę. Za każdym razem, gdy o tym myślę, zalewa mnie wstyd. Jak mogłam uwierzyć, że to nie podstęp? Nie mogę tego wszystkiego wyjaśnić, nie wychodząc na idiotkę, a nie jestem gotowa, żeby aż tak się odsłonić wobec Taryn.

Muszę skończyć tę rozmowę, więc mówię coś, co z pewnością odwróci uwagę ich obu od tej kwestii, choć z różnych powodów.

– Postanowiłam wybrać się tam i odegrać rolę Taryn podczas przesłuchania. Wrócę za dzień lub dwa i wtedy wszystko jej wyjaśnię. Obiecuję.

– A nie mogłybyście po prostu obie zostać tutaj? – pyta Vivi. – Walić krainę elfów. Walić to wszystko. Znajdziemy sobie większe mieszkanie.

– Nawet jeśli Taryn miałyby u nas zostać, to lepiej, żeby jednak stawiała się na przesłuchaniu u Najwyższego Króla – mówię. – Przy okazji mogę przywieźć parę drobiazgów, które zastawimy w lombardzie, żeby zdobyć trochę forsy. Za to większe mieszkanie trzeba będzie przecież czymś zapłacić.

Vivi patrzy na mnie zdesperowana.

– Mogłybyśmy w ogóle zrezygnować z jakiegokolwiek mieszkania i przestać bawić się w zwykłych śmiertelników. Ja to robiłam dla Heather. Jeżeli zostaniemy same, możemy przejąć któryś z porzuconych magazynów nad brzegiem i rzucić czar, żeby nikt nigdy tam nie wszedł. Możemy kraść pieniądze, ile tylko chcemy, i kupować sobie wszystko, czego nam trzeba. Kiedy tylko zechcesz. Szepnij słówko, Jude, a tak zrobimy.

Wyciągam z kieszeni pięćset dolarów, za które się biłam, i kładę je na stole.

– Drugie tyle przyniesie Bryern po południu. Bo na razie jeszcze bawimy się w zwykłych śmiertelników. I jeszcze zajmujemy mieszkanie Heather. A teraz się prześpię. Kiedy wstanę, jadę do Elysium.

Taryn patrzy na pieniądze zdumiona.

– Jeżeli potrzebujecie...

– Jeżeli cię złapią, Jude, zginiesz – przypomina mi Vivi, nie dopuszczając Taryn do słowa. To dobrze, bo chyba miała z jej strony paść jakaś propozycja. Tymczasem chwilowo zgodziłam się udawać swoją siostrę, ale to nie znaczy, że jej wybaczam. Ani że coś poza tym nas łączy. Nie życzę więc sobie żadnych poufałości ani propozycji.

– Po prostu nie dam się złapać.



Ponieważ Dąb jest w szkole, kładę się do jego łóżka. Jestem wykończona, błyskawicznie zapadam w sen, pogrążając się w mroku.
I w snach.

Jestem na lekcji w pałacowym ogrodzie, siedzimy pośród długich cieni późnego popołudnia. Księżyc już wzeszedł ostrym sierpem na bezchmurnym niebie. Ciemnoczerwonym atramentem, który szybko krzepnie na papierze, rysuję z pamięci mapę gwiazd. To nie inkaust, to krew. Nurzam pióro w kałamarzu pełnym krwi.

W pewnej odległości widzę księcia Cardana w otoczeniu jego najbliższych kompanów. Valerian i Loki wyglądają dziwnie: ich szaty przeżarte są przez mole, skóra blada, tylko ciemne szparki znajdują się tam, gdzie powinny być oczy. Nicassia nie zwraca na to uwagi. Jej włosy koloru morza opadają na plecy burzą ciężkich loków; usta wykrzywione są w kpiącym uśmiechu, jakby wszystko było w jak największym porządku. Cardan ma na sobie zakrwawioną koronę, jak zwykle przekrzywioną, a jego ostro ciosane rysy są jak zawsze piękne.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem przed śmiercią? – woła do mnie Valerian tym swoim szydzącym głosem. – Przeklinam cię. Po trzykroć cię przeklinam. Ty mnie zabiłaś, więc niech twe dłonie zawsze będą splamione krwią. Niech śmierć będzie ci jedynym towarzyszem. Niech... I wtedy umarłem, więc nie zdołałem dopowiedzieć do końca. Może chcesz posłuchać? *Niech twoje życie będzie krótkie i ocienione smutkiem, a kiedy umrzesz, niech nikt po tobie nie zapłacze.*

Wzdrygam się.

– Co ty nie powiesz? Na sam koniec wypaliłeś naprawdę z grubej rury.

Zbliża się Cardan, depcze moją gwiazdną mapę, trąca okutym w srebro trzewikiem kałamarz, rdzawa ciecz rozlewa się po papierze, zamazuje mój rysunek.

– Chodź ze mną – mówi rozkazującym tonem.

– Wiedziałem, że ci się podoba – odzywa się Loki. – Właśnie dlatego musiałem mieć ją pierwszy. Pamiętasz biesiadę w moim ogrodowym labiryncie? Jak ją całowałem, a ty patrzyłeś?

– Pamiętam, że twoje dłonie istotnie były na niej, lecz jej spojrzenie wędrowało ku mnie – odparowuje Cardan.

– To nieprawda! – upieram się, ale przecież pamiętam Cardana leżącego na kobiercu z elfką o włosach jak płatki żonkila. Przyciskała wargi do jego buta, inna dziewczyna całowała go po szyi. Spojrzenie Cardana zwróciło się ku mnie, gdy któraś z nich pocałowała go w usta. Jego oczy płonęły jak węgle, choć były czarne jak smoła.

To wspomnienie powraca wraz z dotknięciem dłoni Lokiego na plecach; moje policzki płoną, wydaje mi się, że za ciasno mi we własnej skórze, że wszystkiego tego jest zbyt wiele.

– Chodź ze mną – powtarza Cardan, zdecydowanie odciąga mnie od zalanej krwią gwiazdnej mapy i całej reszty elfowego towarzystwa. – Przecież wiesz, że jestem księciem tego królestwa. Musisz robić, co ci każę.

Prowadzi mnie w nakrapiany cień wielkiego dębu, potem podnosi, sadza na niskiej gałęzi. Dłońmi trzyma mnie w tali, przesuwa się tak, że staje między moimi udami.

– Czy tak nie lepiej? – mówi, wpatrując się we mnie.

Nie bardzo wiem, co ma na myśli, lecz kiwam głową.

– Jesteś taka piękna. – Przesuwa dłońmi po moich ramionach, potem wzdłuż boków. – Jesteś tak bardzo piękna.

Głos jego jest pieszczotliwy, a ja popełniam błąd, bo patrzę w jego czarne oczy i na przywykłe do kpiny usta.

– Lecz twoja uroda zblednie – mówi dalej, nadal miękkim głosem, jak kochanek. Jego dłonie błądzą po moim ciele, aż ściska mi się żołądek i czuję ciepło w brzuchu. – Ta aksamitna skóra pomarszczy się, pokryje plamami. Stanie się cienka jak pajęczyna. Piersi zwiotczeją i opadną. Włosy staną się sztywne i rzadkie. Twoje białe zęby pożółkną. Zgnije wszystko, co masz i czym jesteś, stanie się nicością. W nicość się obrócisz. Nicością jesteś.

– Jestem nicością – powtarzam, jestem bezsilna wobec oczywistej prawdy tych słów.

– Powstałaś z nicości i do nicości powrócisz – szepcze. Czuję jego oddech na szyi.

Nagle ogarnia mnie przerażenie. Muszę od niego uciec. Odpycham go i zeskakuję z gałęzi, ale nie ląduję na ziemi. Spadam i spadam, i spadam bez końca, jak Alicja

w króliczej norze.

Potem sen się zmienia. Jestem kamiennym blokiem owiniętym tkaniną. Próbuję wstać, ale nie mogę się poruszyć. Jakbym była lalką wyrzeźbioną z drewna. Oczy mam otwarte, nie mogę jednak unieść głowy, nawet mrugnąć, nie mogę nic zrobić. Patrę tylko w to samo bezchmurne niebo, na ten sam ostry sierp księżycyca.

W polu widzenia pojawia się Madok, staje nade mną, spogląda na mnie kocimi oczami.

– Szkoda – powiada, tak jakbym już nie mogła go słyszeć. – Gdyby tylko nie uparła się, żeby ze mną walczyć, dostałaby ode mnie wszystko, co by tylko zechciała.

– Nigdy nie była posłuszną dziewczyną – stwierdza Oriana, która stoi obok niego. – Nie to, co jej siostra.

Taryn też tu jest, maleńka łezka spływa po jej policzku.

– Od zawsze było wiadomo, że tylko jednej z nas pozwolą przeżyć. I od zawsze miałam to być ja. Ty jesteś tą siostrą, która wymiotuje żabami i węzami. A ja tą, z której ust toczą się rubiny i brylanty.

Odchodzą, po nich pojawia się Vivi. Dotyka długimi palcami mojego ramienia.

– Nie uratowałam cię – mówi. – A przecież zawsze moim zadaniem było ocalenie ciebie.

– Następny pogrzeb będzie mój – chwilę potem mówi Dąb.

Głos Nicassii niesie się w powietrzu, jakby dobiegał z daleka:

– Powiadają, że elfowie płaczą na ślubach, a śmieją się na pogrzebach, ale ja uważam, że i twój ślub, i pogrzeb są równie zabawne.

Potem w polu widzenia znowu zjawia się Cardan, uśmiecha się z lubością. Kiedy otwiera usta, słyszę jego konspiracyjny szept:

– Kiedy byłem dzieckiem, inscenizowaliśmy pogrzeby niczym sztuki teatralne. Role zwłok odgrywali śmiertelnicy, oczywiście martwi. W każdym razie na pewno byli martwi pod koniec przedstawienia.

Wtedy wreszcie odzyskuję mowę.

– Kłamiesz.

– Oczywiście, że kłamię. To przecież twój sen, nie mój. Zobacz, pokażę ci. – Dotyka mojego policzka ciepłą dłonią. – Kocham cię, Jude. Kocham cię już od bardzo dawna. Nigdy nie przestanę cię kochać.

– Zamilcz! – wołam.

Wtedy nade mną staje Loki, z jego ust cieknie woda.

– Trzeba się upewnić, że ona naprawdę nie żyje.

W następnej chwili wbija nóż w moją pierś. Ostrze zagłębia się, zagłębia, zagłębia i zagłębia.

W tym momencie budzę się z twarzą mokrą od łez, ze stłumionym krzykiem w gardle.

Zrzucam kołdrę. Na dworze jest ciemno. To znaczy, że przespałam cały dzień. Zapalam światło, oddycham głęboko. Dotykam czoła, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Czekam, aż uspokoją się rozstrojone nerwy. Im więcej myślę o tym śnie, tym bardziej mnie on niepokoi.

Idę do dużego pokoju, gdzie na niskim stoliku czeka otwarte pudełko z pizzą. Oprócz plasterków pepperoni zdobią ją poukładane przez kogoś główki dmuchawca. Dąb próbuje wytłumaczyć Taryn, na czym polega Rocket League.

Oboje zerkają na mnie z niepokojem.

– Hej – mówię do siostry. – Możemy pogadać?

– Jasne. – Taryn wstaje z kanapy.

Prowadzę ją do pokoju Dęba, siadam na krawędzi jego łóżka.

– Muszę wiedzieć, czy przybyłaś tu dlatego, że kazano ci to zrobić – zaczynam. – Muszę wiedzieć, czy to jest pułapka zastawiona przez Najwyższego Króla, żeby zwabić mnie, zrobić w samowolny powrót z wygnania.

Taryn jest zaskoczona, ale trzeba przyznać, że nie pyta, skąd przyszło mi to do głowy. Jedną dłonią dotyka brzucha, rozpościera palce.

– Nie – mówi. – Ale nie powiedziałam ci wszystkiego.

Czekam. Nie wiem, czego mam się spodziewać.

– Myślałam o naszej mamie – odzywa się po chwili. – Zawsze wydawało mi się, że uciekła z Elfhame, bo zakochała się w naszym śmiertelnym tacie, ale teraz już nie jestem tego pewna.

– Nie rozumiem.

– Jestem w ciąży – mówi szeptem.

Od wielu stuleci śmiertelników ceni się ze względu na to, że mogą obdarzyć elfów potomstwem. Nasza krew nie jest tak rzadka jak elfowa. Elfki mają szczęście, jeśli w ciągu całego długiego życia uda im się począć choćby jedno dziecko, a większości z nich nigdy się to nie udaje. Co innego żona śmiertelniczka. To wszystko jest dla mnie oczywiste, a jednak nie przyszło mi do głowy, że Taryn i Loki będą mieli dziecko.

– O, cholera – mówię, teraz rozumiem ten gest, to położenie ręki na brzuchu. – Cholera.

– Nikomu nie życzę dzieciństwa takiego jak nasze – mówi Taryn.

Ciekawe, czy wyobrażała sobie, że jej dziecko będzie dorastać w tamtym domu, że Loki będzie zawracał w głowie także jemu, nie tylko jej? A może wyobrażała sobie, że jeśli odejdzie, on będzie ją ścigał, tak jak Madok naszą matkę? Nie bardzo to wszystko rozumiem. I chyba nie bardzo chcę z niej to wyciągać. Teraz, kiedy już nieco odpoczęłam, widzę u niej oznaki zmęczenia, których wcześniej nie dostrzegłam. Zaczerwienione oczy. Nieco wyostnione rysy wskazujące na to, że zapomina o posiłkach.

Dociera do mnie, że przybyła tutaj, bo po prostu nie ma dokąd pójść. Musiała przecież zdawać sobie sprawę, że prawdopodobnie nie będzie mogła na mnie liczyć.

– A on wiedział? – pytam po dłuższej chwili.

– Tak – brzmi odpowiedź. Potem zapada cisza, jakby Taryn wspominała tamtą rozmowę, a może też i morderstwo. – Nikomu innemu o tym nie powiedziałam. Tylko teraz tobie. A kiedy powiedziałam Lokiemu... No, już słyszałaś, jak to się skończyło.

Nie wiem, co mam powiedzieć, ale kiedy moja siostra bezradnie rozkłada ręce, obejmuję ją i opieram głowę o jej ramię. Wiem, że powinnam powiedzieć jej mnóstwo rzeczy i równie wiele powinnam od niej usłyszeć. Wiem, że nie byliśmy wobec siebie w porządku. Wiem, że zraniła mnie i nawet nie domyśla się jak bardzo. Jednak poza tym wszystkim nadal jest moją siostrą. Moją owdowiałą siostrą morderczynią oczekującą dziecka.



Po godzinie jestem spakowana i gotowa do podróży. Taryn opowiedziała mi ze szczegółami, jak spędza dzień, z którymi elfami najczęściej rozmawia, jak prowadzi gospodarstwo Lokiego. Dała mi rękawiczki, żeby nie było widać, że brakuje mi części palca. Nie ma już na sobie tej bajecznie pięknej sukni z pajęczyny i tkanego szkła. Teraz ja się w nią ubrałam. Ułożyła mi włosy mniej więcej w taką fryzurę, jak układa swoje, sama była już ubrana w moje czarne legginsy i sweter.

– Dziękuję. – Taryn mówi coś, czego elfowie nie mówią nigdy. Podziękowania uważane są za nietakt, bo wprowadzają niepotrzebny zamęt w skomplikowane rytuały długów i ich spłat. Tymczasem podziękowania śmiertelników mają zupełnie inne znaczenie. Zupełnie, nieporównywalnie inne.

Ale i tak macham ręką.

– Daj spokój.

Podbiega Dąb, oczekując, że go podniosę, chociaż ma już osiem lat, długie nogi, ręce i równie długi chłopięcy tułów.

– Uściskać wyściskać! – komenderuje, co znaczy, że wskakuje na mnie i owija ramiona wokół szyi, na poły dusząc. Poddaję się tej serdeczności, też go mocno obejmuję, aż i jemu braknie tchu.

Potem stawiam go na podłodze, zdejmuję z palca pierścione z rubinem – ten sam, który ukradł mi Cardan, a potem zwrócił, gdy wymienialiśmy ślubowania. Zdecydowanie nie powinnam mieć go na palcu, jeżeli mam uchodzić za Taryn.

– Przetrzymasz go dla mnie w bezpiecznym miejscu? Tylko do mojego powrotu.

– Przechowam – zapewnia solennie Dąb. – Tylko wracaj prędko. Będę za tobą tęsknić.

Jestem zaskoczona, że jest taki słodki, zwłaszcza po naszym ostatnim starciu.

– Kiedy tylko się da – zapewniam i całuję go w czoło. Potem idę do kuchni, gdzie czeka na mnie Vivi. Razem wychodzimy za dom, gdzie wyhodowała mały gąszcz krwawnika.

Za nami idzie Taryn, rozciągając rękaw swetra.

– Na pewno chcesz to zrobić? – pyta Vivi. Urywa roślinę przy samej ziemi. Przyglądam się mojej starszej siostrze otoczonej cieniem, światło latarni rozjaśnia jej włosy. Zwykle są brązowe, tak jak moje, lecz w odpowiednim świetle połyskują niteczkami niemal zielonego złota.

Vivi nigdy tak nie tęskniła za krainą elfów jak ja. Nic dziwnego, przecież ma ją w sobie, dokądkolwiek się uda.

– Przecież wiesz, że na pewno – odpowiadam. – A może byś mi powiedziała, na czym stało z Heather?

Kręci głową.

– Jeżeli chcesz się dowiedzieć, musisz wrócić żywa. – Chucha na łodygę krwawnika. – Powstań, wierzchowcu, zanieś moją siostrę, dokąd się zanieś rozkaże.

Gdy zwieńczona kwiatkami łodyga upada na ziemię, natychmiast przeistacza się w wychudzonego żółtego kucyka o szmaragdowych oczach i koronkowo pierzastej grzywie.

Konik parska głośno i bije w ziemię kopytami, niemal tak pilno mu odlecieć jak mnie.



Posiadłość Lokiego wygląda tak samo jak dawniej. Dom o wysokich iglicach i dachu pokrytym omszałymi dachówkami, ze ścianami porośniętymi gęstym bluszczem i wiciokrzewem. Znaczną część ogrodu zajmuje wielki labirynt z żywopłotu. Miejsce wygląda, jakby wzięte prosto z bajki. Takiej bajki, w której miłość jest prosta i nigdy nie kończy się cierpieniem.

Nocą ludzki świat wygląda, jakby był pełen gwiazd, które spadły z nieba – nagle przypomniały mi się słowa, które Loki mówił do mnie, gdy staliśmy na samym szczycie najwyższej wieży.

Kieruję krwawnikowego wierzchowca ku ziemi, zeskakuję z jego grzbietu. Rozgrzebuje ziemię, a ja idę do drzwi frontowych. Otwierają się przede mną. Dwoje służących stoi tuż za nimi. Ich grzybiasta skóra jest tak blada, że widać wszystkie żyły, a jednocześnie wyglądają jak dwie marmurowe, stare rzeźby z tego samego zestawu. Małe, jakby zakurzone skrzydełka zwisają z ich pleców. Zimnymi, atramentowymi oczyma patrzą, jak się zbliżam, od razu przypominając mi w ten sposób, jak nieludzkimi istotami są elfy.

Oddycham głęboko, prostuję się z godnością i spokojnie wchodzę do środka.

– Witaj w domu, pani – mówi służąca. Jak dowiedziałam się od Taryn, to rodzeństwo. Nera i Neve. Mieli dług wobec ojca Lokiego, ale kiedy ten odszedł, zostawił ich, żeby resztę

odpracowali, opiekując się jego synem. Włóczyli się więc bez celu po jego włościach, starając się nie rzucać nikomu w oczy, ale gdy Taryn zamieszkała u Lokiego, wzięła ich na stałe do domu.

W świecie śmiertelnym przywykłam, że należy dziękować za różne drobne uprzejmości, teraz więc muszę się powstrzymywać.

– Wszędzie dobrze, ale u siebie najlepiej – mówię i mijam ich. Wnętrze domu wygląda teraz zupełnie inaczej. Zapamiętałam puste komnaty i gdzieniegdzie stare, ciężkie meble o sztywnej od upływu lat tapicerce. Długi stół w jadalni nie był wtedy niczym pokryty, podłogi były nagie. To jednak już przeszłość.

Poduszki i dywany, kubeczki i tacki, do połowy pełne karafki... Wszędzie ich pełno, a wszystkie mienią się kolorami: cynobrem i umbrą, pawim błękitem i butelkową zielenią, złotem i damasceńską śliwką. Na kapie sofy pozostały ślady złotego proszku, zapewne po jakimś niedawnym gościu. Przyglądam się temu wszystkiemu o krótką chwilę za długo, widzę swoje odbicie w wypolerowanej srebrnej urnie.

Służący patrzą, a przecież nie ma powodu, żebym przyglądała się komnatom, które powinny mi być dobrze znajome. Staram się więc gorączkowo przybrać pogodny wyraz twarzy. Inaczej mówiąc, skryć, że zaskakuje mnie to, co widzę: aspekty życia Taryn, o których mi nie mówiła.

Bez wątpienia to ona urządziła te wnętrza. Na jej łożu w zamku Madoka zawsze piętrzyły się kolorowe poduszki. Uwielbia zresztą piękne przedmioty. Nie mogę jednak nie zwrócić uwagi, że to miejsce stworzone jest na bachanalia, istne rozkoszne gniazdo dekadencji. Mówiła zresztą o ciągnących się miesiącami biesiadach, ale dopiero teraz oczyma wyobraźni widzę ją leżącą na poduszkach, pijaną i roześmianą, a może całującą się z kimś... A może wyczyniającą z tym kimś znacznie więcej.

Nawiązując do dawnych dworskich koterii, moja siostra, moja bliźniaczka, zawsze była raczej skowronkiem niż sokołem. Raczej nieśmiała niż zmysłowa. Cóż, tak przynajmniej dotąd mi się wydawało. Podczas gdy ja kroczyłam drogą sztyletów i trucizny, ona podążała niemniej stromym szlakiem rozkoszy i pożądania.

Kieruję się ku schodom i nagle ogarnia mnie niepewność, czy sobie z tym wszystkim poradzę. Przepowiadam w myślach zeznania, które przygotowałam razem z Taryn. Kiedy ostatnio widziałam Lokiego? Wybierał się na spotkanie, tak mam powiedzieć. Z jakąś selkie – z którą miał romans. To przecież całkiem prawdopodobne. Po całkiem jeszcze niedawnych wydarzeniach elfowie zamieszkujący ląd nie pałają miłością do Toni, więc tym większa szansa, że uwierzą.

– Czy zje pani kolację w dużym holu? – pyta Neve, który podąża za mną.

– Nie, przynieście mi tacę do pokoju – odpowiadam, bo nie mam ochoty na samotny posiłek przy tym długim stole, w milczącej obecności dwojga zupełnie mi obcych posługujących.

Wchodzę na górę, raczej przekonana, że trafię, że pamiętam drogę. Drzwi otwieram jednak z niejaką obawą i serce wali mi mocno, bo przez chwilę zdaje mi się, że jednak pobiłdziałam. Ale nie, po prostu pokój Lokiego też się zmienił. Łoże zasłaniają kotary haftowane w lisy uwijające się pośród wysokich drzew. Obok łoża widzę niską sofę, na której leży kilka niedbale rzuconych sukien i nieco dalej biurczko, na którym leżą papier i pióra.

Idę do garderoby Taryn, żeby obejrzyć resztę jej strojów. Nie są tak wielobarwne jak wystrój domu, ale nie mniej piękne. Decyduję się na luźną koszulę nocną i ciężki satynowy szlafrok, zdejmuję więc suknię z pajęczyn i miękkiego szkła.

Czuję chłodny dotyk jedwabiu. Staję przed lustrem w jej sypialni, czeszę włosy. Przyglądam się sobie samej, próbuję odgadnąć, co mogłoby mnie zdradzić. Jestem bardziej muskularna, ale to się da skryć pod ubraniem. Mam też trochę krótsze włosy, no i oczywiście paskudny charakter.

– Hołd składam Waszej Wysokości – odzywam się, próbując sobie wyobrazić siebie znów na Najwyższym Dworze. Jak zachowałyby się Taryn? Dygam niziutko i głęboko. – Dawno się nie widzieliśmy.

Akurat. Pewnie Taryn dopiero co go widziała, może nawet wczoraj. Z jej punktu widzenia to wcale nie było dawno. Zaczynam panikować. Podczas przesłuchania będę musiała nie tylko odpowiadać na pytania. Będę musiała udawać serdeczną przyjaciółkę i bliską znajomą Najwyższego Króla Cardana, i to przed nim samym.

Skupiam się na postaci w lustrze, próbuję przybrać prawidłową pozę pełną uszanowania, nie krzywiąc się przy tym.

– Kłaniam się Waszej Wysokości, ty zdradziecka ropucho.

Brzmi dobrze, ale to nie będzie odpowiednie powitanie.

– Kłaniam się Waszej Wysokości – próbuję znowu. – Nie zabiłam swojego męża, chociaż ze wszech miar na to zasługiwał.

Do pokoju wchodzi Nera z wielką drewnianą tacą, którą stawia na łóżku, po czym kłania się i w milczeniu odchodzi. Na tacy grzanki i marmolada o dziwnym, upajającym zapachu, od którego ślinka cieknie mi do ust. Trwa to nieco dłużej, niż powinno, nim orientuję się, że to elfowe owoce. I że zostały podane, tak jakby Taryn regularnie się nimi objadała. Czy to Loki zarządził, żeby bez jej wiedzy wprawiać ją w odurzenie? A może ona sama lubi taki stan? Znowu nie mam pojęcia, o co chodzi.

Na szczęście jest też dzbanek herbaty z pokrzywy, miękki ser i trzy ugotowane na twardo kacze jaja. Prosty i skromny posiłek – gdyby nie te otępiające zmysły owoce.

Piję herbatę, zjadam jajka i grzanki. Marmoladę zawijam w serwetę, po czym chowam ją na samym dnie szafy. Jeśli Taryn znajdzie ją za kilka tygodni pokrytą pleśnią, cóż – niewielka to cena za przysługę, którą jej wyświadczam.

Jeszcze raz przeglądam suknie, chcę wybrać coś na następny dzień. Nic frymuśnego. Przecież właśnie straciłam męża i powinno mi być z tego powodu przykro. Niestety, o ile stroje zamawiane dla mnie przez Taryn były najczęściej czarne, jej własna garderoba mieni się od kolorów. Przerzucam sterty jedwabiu, satyny i brokatów, oglądam wzory przedstawiające leśny gąszcz ze zwierzętami kryjącymi się pośród liści, haftowane aksamity w barwach jasnej szaławii oraz błękitnego nieba. Wreszcie wybieram ciemnobrązową suknię. Kładę ją na kanapie, obok niej parę granatowych rękawiczek. Przez chwilę myszkuję w szkatułce z biżuterią i prawie od razu znajduję kolczyki, które dla niej kupiłam. Jeden to półksiężyc, drugi gwiazda, sporządzone przez mistrza nad mistrzami, kowala Grimsena, do tego tak zaczarowane, żeby nosząca je osoba stała się piękniejsza.

Okropnie mnie kusi, żeby wykraść się z rezydencji Lokiego i odwiedzić Dwór Cieni. Wprost marzę, by znów zobaczyć Karakana i Bombę, poznać najnowsze dworskie plotki, przemierzać tak dobrze mi znane podziemne korytarze. Tylko że tych korytarzy i komnat już nie ma, zniszczył je Duch, kiedy nas zdradził, kiedy sprzedał się Toni. Nie wiem, gdzie teraz ma swoją siedzibę Dwór Cieni.

Poza tym nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko.

Otwieram okno, siadam przy biurku Taryn i sączę pokrzywowy napar oraz upajam się ostrym zapachem słonej wody i dzikiego wiciokrzewu, szumem wiatru w wierzchołkach jodeł. Oddycham głęboko; powróciłam do ojczystej krainy, a jednocześnie za nią tęsknię.



Przesłuchanie ma się odbyć, gdy na niebie zabłysną pierwsze gwiazdy. Stawiam się na Najwyższym Dworze ubrana w brązową suknię Taryn, z szalem na ramionach i rękawiczkami kryjącymi palce. Włosy spięłam w luźny kok. Serce bije mi mocno, oby nikt nie wyczuł zapachu potu, który już czuję pod pachami.

Jako seneszał Najwyższego Króla cieszyłam się u dworzan pewnymi względami. Co prawda, przedtem spędziłam w krainie elfów osiem lat jako istota gorszego sortu, ale takie rzeczy łatwo się zapomina, natomiast do szacunku i posłuchu przywykłam bardzo szybko.

Jako Taryn jednak ściągam na siebie podejrzliwe spojrzenia, muszę przepychać się przez tłum, który już wcale się przede mną nie rozstępuje. W końcu Taryn to córka zdrajcy, siostra wygnanki i jest podejrzana o zamordowanie własnego męża. To są więc spojrzenia zachłanne, łakome, pełne nadziei na spektakl winy i kary. Nie dostrzegam w nich obawy. Nawet jeśli dopuściła się zbrodni, w ich oczach jest stworzeniem słabym oraz śmiertelnym.

To chyba dobrze. Im słabsza się wydaje, tym łatwiej będzie uwierzyć w jej niewinność.

Moje spojrzenie odruchowo odwraca się od wyniesienia, ku któremu zmierzam. Mam wrażenie, że obecność Najwyższego Króla Cardana jakby skaziła nawet powietrze, którym oddycham. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiam się, czy by nie odwrócić się i nie uciec, zanim mnie zobaczy.

Naprawdę nie wiem, czy dam radę. Trochę mi się kręci w głowie.

Nie wiem, czy zdołam spojrzeć mu w twarz i nie okazać po sobie tego wszystkiego, co czuję.

Biorę głęboki wdech, potem wydech. Przypominam sobie: on nie będzie wiedział, że to ja stoję przed nim. Nie rozpoznał kiedyś Taryn przebranej w mój strój, nie rozpozna więc teraz i mnie.

A prócz tego – powtarzam sobie – jeżeli z tym się nie uporasz, to i ciebie, i Taryn czekają nie lada tarapaty.

Nagle z całą mocą uświadamiam sobie, dlaczego Vivi starała się mnie przekonać, że to jest zły pomysł. Miała rację. Przecież to czysta głupota. Pod karą śmierci mam przebywać na wygnaniu, dopóki Korona łaskawie nie udzieli mi wybaczenia.

Jednocześnie przychodzi mi do głowy, że może właśnie wypowiadając ten wyrok, popełnił błąd. Może mogłabym sama siebie ułaskawić? Zaraz jednak przypominam sobie, jak śmiali się strażnicy, gdy wykrzyczałam, że jestem królową elfów. Cardan nie musiał zaprzeczać, wystarczyło, że milczał. Jeśli więc sama sobie udzielę wybaczenia, wystarczy, że znów się nie odezwie.

Nie, nie. Jeśli mnie rozpozna, trzeba będzie po prostu uciekać, kryć się i liczyć na to, że szkolenie w Dworze Cieni okaże się podczas tej konfrontacji skuteczniejsze niż rutynowe wyszkolenie strażników. Jednak wtedy cały dwór upewni się, że Taryn jest winna – w przeciwnym razie, po cóż bym miała zamiast niej stawać przed sądem? A jeżeli nie uda mi się uciec...

Bez większych emocji zastanawiam się, jaki rodzaj śmierci Cardan dla mnie wybierze. Może przykują mnie do jakiejś skały i pozostawią na pastwę morza. To z pewnością ucieszyłoby Nicassię. Jeśli jednak nie najdzie go kaprys, żeby jej się przypodobać, zostanie zapewne ścięta, powieszona, wykrwawiona na śmierć, poćwiartowana, rzucona na pożarcie mięsożernym ropuchom...

– Taryn Duarte – mówi do mnie jakiś rycerz, przerywając te ponure rozmyślenia. Przemawia zimnym tonem, srebrna niellowana zbroja oznacza, że należy do osobistej gwardii Cardana. – Małżonko Lokiego, musisz stanąć na miejscu dla petentów.

Idę więc tam; dziwnie mi z myślą, że zajmę miejsce, w którym oglądałam tak wielu elfowych poddanych przybywających ze swoimi sprawami do Najwyższego Króla. Natychmiast jednak przypominam sobie, kim w tej chwili jestem i dlaczego się tu znalazłam, więc wykonuję głęboki dworski ukłon i dygam, jak przystało na kogoś, kto gotów jest poddać się woli Najwyższego Króla. Nie mogę przy tym patrzeć mu prosto w oczy, a i potem pilnuję się, by mój wzrok pozostał wbity w ziemię.

– Taryn? – odzywa się Cardan. Dźwięk jego głosu, tak dobrze mi przecież znany, wywołuje wstrząs.

Teraz już nie mogę unikać jego spojrzenia.

To przerażające, ale jest jeszcze piękniejszy, niż zdołałam zapamiętać. Oni wszyscy są piękni, chyba że są obmierzli. Taka jest natura elfów. Nasze śmiertelne umysły niezdolne są do jej pojęcia, w naszej pamięci zaciera się moc ich urody.

Na wszystkich palcach Cardana skrzą się pierścienie. Jego pierś zakrywa rytowany i wykładany klejnotami pektorał, pod którym bieli się zwiewna koszula. Cholewy butów o zawiniętych do góry czubkach sięgają aż ponad kolana. Widać też jego ogon, zwinięty obok nogi. Zapewne uznał, że nie musi już się go wstydzić. Na skroniach, rzecz jasna, ma Koronę Krwi.

Spogląda na mnie czarnymi oczami w złotej otoczce, w kąciku jego ust błądzi uśmieszek. Czarne loki opadają mu na twarz, niespięte, nieco potargane, tak jakby dopiero co wstał z czyjegoś łóża.

Nie mogę się nadziwić, że kiedyś miałam władzę nad nim, nad Najwyższym Królem krainy elfów. Cóż za arogancja z mojej strony, wyobrazić sobie, że zdołam ją utrzymać.

Pamiętam dotyk jego warg na swoich ustach. I pamiętam, jak mnie zdradził.

– Wasza Wysokość – odpowiadam, bo przecież muszę coś powiedzieć, a poza tym tak się zaczynają wszystkie odpowiedzi, które sobie przygotowałam.

– Wiemy, że pogrążona jesteś w rozpacz – odzywa się nieznośnie królewskim tonem Cardan. – Nie naprzykrzalibyśmy ci się w ten czas żałoby, gdyby nie kilka kwestii dotyczących przyczyny śmierci twojego małżonka.

– Naprawdę myślisz, że ona jest w żałobie? – rzuca pytanie Nicassia.

Stoi obok jakiejś kobiety, którą dopiero po chwili rozpoznaję: to matka Cardana, pani Asha. Odziana jest w srebrzystą suknię, jej różki wieńczą wyszukane ozdoby z drogich kamieni. Również oblicze pani Ashy rozjaśniono srebrem połyskującym na policzkach i wargach. Nicassia tymczasem jak zwykle nosi barwy morza. Jej suknia jest zielona niczym morskie krasnorosty, barwy głębokiej i bogatej. Włosy koloru wody są splecione, a ozdabia je kunsztowna korona z rybich ości i szczęk.

Przynajmniej żadna z nich nie towarzyszy Najwyższemu Królowi na podwyższeniu. Z tego wniosek, że stanowisko seneszala wciąż jest wolne.

Miałabym ochotę odszczeknąć się Nicassii, ale Taryn by tego nie zrobiła, więc i ja siedzę cicho. Nic nie mówię, tylko wściekam się sama na siebie, bo wiem, jak Taryn by się nie zachowała, natomiast dużo trudniej mi określić, co by zrobiła.

Nicassia zbliża się i zaskoczona dostrzegam na jej twarzy szczery smutek. Loki był kiedyś jej przyjacielem i ukochanym. W obu tych rolach nie spisał się chyba najlepiej, nie znaczy to jednak, żeby pragnęła jego śmierci.

– Czy sama zabiłaś Lokiego – pyta – czy posłużyłaś się swoją siostrą, żeby zrobiła to za ciebie?

– Jude jest na wygnaniu – odpowiadam, a moje słowa brzmią niebezpiecznie cicho, zamiast zwyczajnie cicho, tak jak zamierzałam. – A ja nie zrobiłam Lokiemu nic złego.

– Nie? – pyta Cardan. Pochyliła się w moją stronę, ale nie wstaje. Pnącza drżą za jego plecami. Jego ogon wiję się nerwowo.

– Koch... – Trudno mi zmusić usta do wypowiedzenia tych słów, ale oni przecież na to czekają. Zmuszam się więc, nawet udaje mi się wydać z siebie coś na kształt szlochów. – Kochałam go.

– Też czasami tak mi się wydawało, owszem – mówi niedbałym tonem Cardan. – Tylko że ty możesz kłamać. Rzucę na ciebie urok. Nic złego, tylko zmusi cię do powiedzenia nam prawdy.

Macha ręką, powietrze wibruje od magii.

Nie czuję nic. Jak widać, géis Daina jest potężny. Nawet urok rzucony przez Najwyższego Króla na mnie nie działa.

– A teraz – mówi Cardan – powiedz mi tylko prawdę. Jak się nazywasz?

– Taryn Duarte – odpowiadam z dygnięciem, zachwycona, jak łatwo jest kłamać. – Córka Madoka, małżonka Lokiego, poddana Najwyższego Króla na Elfhame.

Jego usta wykrzywają się.

– Cóż za dworne maniery.

– Nauczono mnie ich w dobrej szkole.

Nie wiem, skąd ta jego uwaga. Przecież wie, chodziliśmy razem na lekcje.

– Czy zamordowałaś Lokiego?

Szmer rozmów toczonych wokół mnie cichnie. Milkną pieśni, rozlega się stłumiony śmiech, tu i ówdzie brzęk kielicha. Teraz elfowie słuchają, chcą wiedzieć, czy wyznam zbrodnię.

– Nie – odpowiadam i spoglądam znacząco na Nicassię. – Nie i nie przyczyniłam się w żaden inny sposób do jego śmierci. Być może odpowiedzi na pytanie, kto go zabił, trzeba szukać w morzu. Przecież w morzu znaleźli jego ciało.

Nicassia zwraca się do Cardana:

– Wiemy, że to Jude zamordowała Balekina. Sama się do tego przyznała. Od dawna podejrzewam też, że zabiła Valeriana. Jeśli Taryn nie jest winna, w takim razie zabiła go Jude. Królowa Orlagh, moja matka, zawarła z tobą rozejm i złożyła przysięgę, że go dotrzyma. Jaką korzyść mogłoby jej przynieść zamordowanie twojego mistrza biesiad? Wiedziała, że jest twoim przyjacielem. I moim także.

Pod sam koniec przemowy głos jej się łamie, choć próbuje to ukryć. Jej żal naprawdę nie jest udawany.

Próbuję przywołać łyzy. Dobrze byłoby się rozplakać właśnie w tej chwili, ale gdy stoję przed Cardanem, nie potrafię się na to zdobyć.

Przygląda mi się ze ściągniętymi czarnymi brwiami.

– A co ty o tym sądzisz? Czy zrobiła to twoja siostra? Nie musisz mi mówić o tym, co i tak wiem. Owszem, posłałem Jude na wygnanie. To mogło ją powstrzymać albo i nie.

Miałabym ochotę walnąć go w tę zadufaną twarz, żeby pokazać, na ile mogą mnie od czegoś powstrzymać jego zakazy i rozkazy.

– Nie miała powodu – kłamie. – Nie przypuszczam, żeby źle mu życzyła.

– Czyżby? – pyta Cardan.

– Może to tylko dworskie plotki, ale o tobie, twojej siostrze i Lokim powiadano – wtrąca pani Asha – że ona go kochała, a on wybrał ciebie. Nie każda siostra potrafi cieszyć się szczęściem swojej siostry.

Cardan zerka z ukosa na matkę. Zastanawia mnie, co może ją łączyć z Nicassią, oprócz tego że obie są wyjątkowo wredne. Ciekawa też jestem, co Nicassia tak naprawdę o niej myśli. Orlagh jest okrutną i przerażającą królową Toni i nie chciałabym już nigdy więcej jej ujrzeć, jestem jednak przekonana, że ponad wszystko kocha Nicassię. Tymczasem matka Cardana szczydziła swojemu synowi choćby odrobiny uczucia.

– Jude nigdy nie kochała Lokiego. – Czuję gorąco na twarzy, ale to zawstydzenie jest doskonałą maską, za którą mogę się skryć. – Kochała innego i to jemu życzy teraz śmierci.

Ku mej radości Cardan wzdryga się nerwowo.

– Wystarczy – przerywa, nim zdążę powiedzieć coś więcej. – Dość już o tej przykrej sprawie.

– Nie! – Nicassia wpada mu w słowo, wprawiając tym zgromadzonych w lekkie poruszenie. Przerywać Najwyższemu Królowi to wyjątkowa niegrzeczność, nawet jeśli jest się księżniczką. A zwłaszcza jeżeli jest się ambasadorką. Chwilę potem chyba i ona zdaje sobie z tego sprawę, ale mimo wszystko kończy: – Taryn może mieć jakiś ukryty talizman, który czyni ją niepodatną na urok.

Cardan rzuca Nicassii nienawistne spojrzenie. Nie lubi, kiedy ktoś podważa jego autorytet, ale po chwili jego gniew ustępuje czemuś innemu. Rzuca mi jeden z najokropniejszych swoich uśmiechów.

– W takim razie zapewne trzeba ją będzie przeszukać.

Na twarzy Nicassii pojawia się paskudny uśmieszek. Całkiem jak wtedy, w pałacowych ogrodach, kiedy miałam przeciwko sobie elfy wysokiego rodu.

Pamiętam też niedawne upokorzenie, które spotkało mnie, gdy jako Królową Uciech rozebrano mnie w obecności biesiadników. Jeśli teraz zedrą ze mnie suknię, zobaczą bandaż, a pod nim świeżą ranę na ramieniu; nie będę potrafiła przekonująco wytłumaczyć, skąd się wzięła. Domyślą się, że nie jestem Taryn.

Nie mogę na to pozwolić. Przywołuję całą godność, na jaką mnie stać, usiłuję naśladować moją macochę, Oriane, i jej dostojną górnolotność.

– Mój małżonek został zamordowany – oświadczam – i czy mi wierzycie, czy nie, zaprawdę pogrążona jestem w żałobie. Nie zamierzam jednak robić z siebie widowiska dla uciechy dworu, podczas gdy jego ciało ledwie ostygło.

Niestety, słuchając tych słów, Najwyższy Król uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Jak sobie życzysz. W takim razie będę musiał cię przeszukać sam na sam w moich komnatach.



Trzęszę się ze złości, przemierzając za Cardanem pałacowe korytarze; za mną maszerują strażnicy – pewnie po to, abym nie mogła się wymknąć.

Moje szanse w tej chwili prezentują się mizernie.

Zaprowadzi mnie do swoich apartamentów i co potem? Czy każe strażnikom trzymać mnie i pozbawić wszystkiego, co mogłoby mnie chronić przed urokiem – biżuterii, ubrania – aż stanę przed nim całkiem naga? Jeśli tak, z pewnością ujrzy na mojej nodze bliznę, którą widział już wcześniej. A jeśli zerwie z moich dłoni rękawiczki, wówczas już nie będzie miał wątpliwości. Zdradzi mnie utracony ongiś czubek palca. Jeśli mnie rozbierze, rozpozna mnie.

Muszę uciec. Wiem, że w jego komnatach jest tajemne przejście. Potem mogę wydostać się przez jedno z kryształowych okien.

Zerkam na strażników. Jeśli Cardan ich odprawi, pewnie zdołam się przedostać do tajnego wyjścia. Jak jednak sprawić, żeby się ich pozbył?

Zastanawia mnie uśmiech, który zobaczyłam, kiedy oznajmił, co zamierza ze mną zrobić. A może on właśnie chce ujrzeć nagą Taryn? Mnie w końcu pożądał, a Taryn i ja jesteśmy identyczne. Może jeśli sama oznajmię, że wszystko z siebie zdejmę, zgodzi się odprawić strażę. Zresztą powiedział przecież, że będziemy sam na sam. To zaś nasuwa mi jeszcze śmielszą myśl. Może zdołam na tyle zawrócić mu w głowie, że mnie nie rozpozna. Może jeśli zdmuchnę świece i pokażę mu się naga w półmroku...

Myśli te zaprzętają mój umysł całkowicie, ledwie dostrzegam stukającą kopytkami służącą, która niesie tacę, na niej karafkę bladozielonego wina oraz komplet kubków z dmuchanego szkła. Idzie z przeciwnej strony, a kiedy nas mija, taca uderza mnie w bok. Służąca krzyczy, popycha mnie i obie lądujemy na podłodze pośród stłuczonego szkła.

Strażnicy stają. Cardan odwraca się. Patrzą na dziewczynę, zdumiona i zaskoczona. Moja suknia zalana jest winem. Przedstawiciele Ludku bardzo rzadko są niezdarni, nie wygląda to więc na wypadek. Palce dziewczyny dotykają jednej z moich urękawiczonych dłoni. Czuję dotknięcie skóry i stali na przedramieniu: błyskawicznie wsuwa do mojego rękawa skryty w pochwie nóż i zaraz zaczyna zbierać rozrzuconą i potłuczoną zawartość tacy. Jej głowa znajduje się tuż obok mojej, kiedy strzepuje mi z włosów odpryski szkła.

– Ojciec przybył po ciebie – mówi szeptem. – Czekaj na znak. Potem zabij najbliższego strażnika i biegnij.

– Jaki sygnał? – pytam również szeptem, udaję, że chcę jej pomóc zbierać szkło.

– Och, nie, moja pani, błagam o wybaczenie – woła już zupełnie zwyczajnym głosem. – Proszę się do tego nie zniżać.

Jeden z gwardzistów Najwyższego Króla chwyta mnie za ramię.

– No, jazda, idziemy – mówi opryskliwie. Dźwiga mnie do pozycji stojącej. Przyciskam dłoń do serca, by nóż nie wysunął mi się z rękawa.

Idę dalej za Cardanem ku jego komnatom, a w myślach mam teraz jeszcze większy zamęt.

Madok zamierza więc uratować Taryn. Nic w tym dziwnego, bo o ile ja już nie cieszę się jego względami, o tyle ona dopomogła mu się wywinąć z wiernopoddańczej przysięgi wobec Najwyższego Króla. Przy okazji zapewniając mu połowę królewskiej armii. Zapewne ma wobec niej swoje plany i z pewnością obiecał jej niemałą nagrodę. Poza tym chyba raczej się cieszy, że Loki nie będzie mu więcej zawadzał.

Dobrze, ale jakie są zamiary Madoka? Jak i z kim zamierza walczyć? Oraz co zrobi, kiedy ujrzy mnie zamiast Taryn?

Dwaj służący otwierają ciężkie drzwi prowadzące do apartamentów Najwyższego Króla. Cardan wchodzi swobodnym krokiem i od razu siada na niskiej kanapie. Idę dalej, zatrzymuję się pośrodku dywanu, nie wiedząc, jak się zachować. Żaden ze strażników nie wchodzi do środka. Gdy tylko przekroczyłam próg, drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem, nie muszę więc już się martwić tym, czy zdołam namówić Cardana do odprawienia straży.

No i mam w rękawie nóż.

Komnata wygląda tak samo, jak ją zapamiętałam ze spotkań Rady. Pachnie w niej dymem, werbeną i goździkami. Cardan rozsiada się wygodnie, nie zdejmując butów, kładzie nogi na kamiennym stole wyrzeźbionym w kształt gryfa o szponach gotowych do ataku. Rzuca mi przelotny, konspiracyjny uśmiezek, który jakoś zupełnie nie pasuje do wcześniejszego napuszonego tonu, jaki przybrał, przesłuchując mnie.

– No – mówi, pokazuje miejsce obok siebie na kanapie. – Nie dostałaś moich listów?

– Co?

Jestem tak zdezorientowana, że tylko tyle udaje mi się wychrypieć.

– Nie odpowiedziałaś na żaden z nich – mówi dalej. – Zacząłem się już niepokoić, czy przypadkiem nie zwyciężyła ta twoja ambicja i nie podjęłaś próby podboju śmiertelnego świata.

To z pewnością jakaś próba. To pułapka, na pewno.

– Wasza Wysokość – mówię wyniośle – sądziłam, że Wasza Wysokość chciała się upewnić, czy nie mam ze sobą jakiegoś talizmanu albo amuletu.

Unosi brew, a jego uśmiech jest jeszcze szerszy.

– Jeśli zechcesz, proszę bardzo. Mam ci rozkazać, żebyś się rozebrała? Nie mam nic przeciwko temu.

– Nie rozumiem, o co tu chodzi, co to za gra?

Spogląda na mnie, jakbym to ja zachowywała się dziwacznie.

– Jude, chyba nie myślisz, że cię nie rozpoznałem? Wiedziałem, że to ty, od chwili, kiedy weszłaś do sali tronowej.

Potrząsam głową.

– To niemożliwe.

Gdyby wiedział, że to ja, bez wątpienia wylądowałabym nie tutaj, tylko w Wieży Zapomnienia. Czekalabym już na egzekucję.

Chociaż może on jest zadowolony, że samowolnie wróciłam z wygnania. Może się cieszy, że w ten sposób znalazłam się w jego mocy. Może na tym polega jego gra.

Wstaje, wpatruje się we mnie.

– Podejdź bliżej.

Cofam się o krok.

Marszczy czoło.

– Moi doradcy powiadomili mnie, że spotkałaś się z przedstawicielem Zębatego Dworu, czyli współdziałałaś teraz z Madokiem. Nie chciałem w to uwierzyć, ale gdy widzę, jak na mnie patrzysz, to może będę musiał. Powiedz mi, że to nie jest prawda.

Przez krótką chwilę niczego nie rozumiem, ale potem nagle dociera do mnie – Grima Mog.

– Nie ja tu jestem winna zdrady – mówię, po czym nagle zdaję sobie sprawę, że mam nóż w rękawie.

– Czy gniewasz się na mnie za... – urywa, przyglądając mi się uważniej. – Nie, ty się boisz. Ale dlaczego miałabyś bać się mnie?

Trzęsę się od uczucia, które ledwo rozumiem.

– To nieprawda – odpowiadam, niezgodnie zresztą z prawdą. – Nienawidzę cię. Wygnałeś mnie. Wszystko, co do mnie mówisz, co obiecałeś, to sztuczki. A ja byłam na tyle głupia, że raz ci uwierzyłam.

Nóż gładko ląduje w mojej dłoni.

– Oczywiście, że to była sztuczka – zaczyna, potem nagle dostrzega broń i nie kończy już zdania.

Wstrząs i huk eksplozji. Wybuch następuje blisko i jest tak potężny, że oboje się zataczamy. Książki sypią się na posadzkę. Kryształowe kule wypadają ze swoich statywów, toczą się po dębowych deskach. Cardan i ja patrzymy na siebie, oboje zaskoczeni. Potem on mruży oczy, w których dostrzegam oskarżenie.

Właśnie teraz powinnam pchnąć go nożem i uciekać.

W następnej chwili słyszę niedający się z niczym pomylić szcęk metalu uderzającego o metal. Blisko.

– Zostań tutaj – mówię, dobywam ostrza i rzucam pochwę na ziemię.

– Jude, nie... – woła za mną, ale jestem już w korytarzu.

Jedna ze strażniczek nie żyje, z jej klatki piersiowej sterczy drzewce. Pozostali strażnicy ścierają się z doborowymi żołnierzami Madoka, zahartowanymi w bitwach zabójcami. Znam ich. Wiem, że nie znają litości i nie cofną się przed niczym, a skoro dotarli tak blisko Najwyższego Króla, Cardanowi zagraża ogromne niebezpieczeństwo.

Znów myślę o tajemnym przejściu, którym miałam zamiar uciec. Mogłabym go tamtędy wyprowadzić – w zamian za ułaskawienie. Cardan może położyć kres mojemu wygnaniu i przeżyć albo też liczyć tylko na to, że jego strażnicy pokonają żołnierzy Madoka. Już chcę się cofnąć, żeby przedstawić mu taki układ, kiedy chwyta mnie jeden z żołnierzy.

– Mam Taryn – słyszę jej ochrypły głos. Jej, bo to Silja. W połowie huldra, w całości przerażająca istota. Kiedyś widziałam, jak odgryzła głowę żywej kuropatwie i wtedy zrozumiałam, że chociaż zabijanie jest dla niej czymś powszednim, to jednak przede wszystkim sprawia jej rozkosz.

Dźgam ją w dłoń, ale ostrze zsuwa się po grubej skórze rękawicy. Pokryte stalą ramię chwyta mnie wpół.

– Córeczko – woła Madok dudniącym głosem. – Córeczko, nie bój się...

W dłoni ma szmatkę, która pachnie mdląco i słodko. Przyciska ją do mojego nosa i ust. Czuję, jak opuszczają mnie siły, nogi uginają się, a chwilę później nie czuję już nic.



Kiedy się budzę, jestem w lesie, którego nie rozpoznaję. Nie wy czuwam w powietrzu wszechobecnej morskiej soli i nie słyszę szumu fal. Wokół tylko paprocie, listowie oraz trzaskanie ognia i pomruk dalekich głosów. Unoszę się na łokciu; leżę na grubych kocach, przykryta takimi samymi kocami – poznaję końskie derki, tyle że eleganckie. W pobliżu dostrzegam karocę o solidnym wyglądzie, z otwartymi drzwiczkami.

Nadal mam na sobie suknię Taryn, nie zdjęli mi jednak rękawiczek.

– Pewnie kręci ci się w głowie – słyszę łagodny głos. Oriana. Siedzi obok mnie, a ubrana jest w suknię jakby z filcu o kilkuwarstwowej spódnicy. Włosy ma zebrane pod zieloną czapką. W niczym nie przypomina kruchej dwórki, jaką ją od zawsze znałam. – To przejdzie.

Dotykam dłonią włosów, są rozpuszczone, ale nikt nie wyjął z nich spinek.

– Gdzie jesteście? Co się stało?

– Twój ojciec od początku był niezadowolony, że pozostałaś na Wyspach, a teraz, skoro zabrakło Lokiego, który by cię chronił, należało się spodziewać, że Najwyższy Król skorzysta z pierwszego pretekstu, aby pojmać cię jako zakładniczkę.

Przecieram twarz dłonią. Przy ognisku chuderławy stwór o owadzim wyglądzie miesza chochlą zawartość wielkiego kotła.

– Chcesz zupy, śmiertelniczko?

Potrząsam głową.

– A może chcesz do zupy? – pyta stwór z nadzieją w głosie. Oriana odgania go machnięciem dłoni, sięga po stojący w pobliżu ognia imbryk. Nalewa z niego jakiś płyn do drewnianego kubka. Napar pachnie korą i grzybami. Wypijam łyk i od razu rozjaśnia mi się w głowie.

– Czy Najwyższego Króla pojmano? – pytam, bo właśnie przypomniałam sobie, w jakich okolicznościach straciłam przytomność. – Czy żyje?

– Madok nie zdołał go dopaść – odpowiada Oriana tonem, który zdradza, że to niemałe rozczarowanie.

Ogarnia mnie wściekłość, że słysząc to, czuję prawdziwą ulgę.

– Ale... – zaczynam, bo chcę spytać, jaki był wynik bitwy, powstrzymuję się jednak w ostatniej chwili. Od lat Taryn i ja co jakiś czas zamieniałyśmy się rolami, udawałyśmy jedna drugą. Najczęściej nam się udawało, jeśli tylko nie ciągnęłyśmy zabawy zbyt długo lub czymś głupim się nie zdradziłyśmy. Jeśli więc nie popełnię błędu, istnieje spora szansa odgrywania tej roli, dopóki nie zdołam uciec.

Tylko co potem?

Cardan przemawiał tak rozbijająco niedbałym tonem, jakby wydany na mnie wyrok śmierci był jakimś żarcikiem, z którego razem możemy się pośmiać. Mówił też o jakichś wiadomościach czy listach, które nigdy jednak do mnie nie dotarły. Co mogło w nich być? Czy zamierzał mnie ulaskawić? Czy może nawet proponował jakiś rodzaj układu?

Nie potrafię sobie wyobrazić listu od Cardana. Czy byłby krótki i oschły? Rozwlekły i plotkarski? Poplamiony winem? Czy to była jakaś kolejna jego sztuczka?

Oczywiście, że to była sztuczka.

Niezależnie od intencji teraz z pewnością jest przekonany, że dołączyłam do Madoka. W zasadzie nie powinno mnie to trapić, ale czuję się z tym nieswojo.

– Pamiętaj, że ojcu przede wszystkim zależało na wydostaniu cię stamtąd – przypomina mi Oriana.

– Ale chyba nie tylko o to mu chodziło? – pytam. – Przecież nie zaatakowałby Pałacu Elfhame tylko dla mnie.

Mam gonitwę myśli, nie mogę się skupić. Niczego już nie jestem pewna.

– Ja nie wnikam w plany Madoka – brzmi odpowiedź. – I ty też nie powinnaś.

Już zapomniałam, jak to jest, kiedy Oriana mówi człowiekowi, co ma robić, a czego nie, zupełnie jakby moja ciekawość mogła sprowadzić na nasz ród jakieś nieszczęście albo co gorsza skandal. Takie traktowanie zawsze mnie drażniło, a zwłaszcza teraz, kiedy jej mąż odebrał Najwyższemu Królowi połowę armii i planuje jego zgubę.

Pamiętam dobrze słowa Grimy Mog o tym, że Zębaty Dwór przyłączył swe siły do Madoka i że to samo zrobili inni zdrajcy. I to wiadomości z dobrego źródła: *Twój Najwyższy Król zostanie zdetronizowany jeszcze przed najbliższą pełnią.*

Ten czas zbliża się nieubłaganie.

Ponieważ jednak jestem teraz Taryn, nie odzywam się. Oriana po chwili dodaje łagodniejszym już tonem:

– Najważniejsze, żebyś odzyskała siły. Nie dość, że utraciłaś Lokiego, to jeszcze wywieźliśmy cię aż tutaj.

– Tak – mówię. – Jestem zmęczona. Rzeczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, trochę teraz odpocznę.

Oriana wyciąga rękę, odgarnia mi włosy z czoła w geście na tyle czułym, że z pewnością nie uczyniłaby go, wiedząc, że dotyka mnie, Jude. Taryn zawsze podziwiała Oriane, była między nimi bliskość, jakiej między nami zabrakło – z wielu powodów, choćby dlatego, że to za moją sprawą Dąb znalazł się w śmiertelnym świecie, z dala od Korony. Od tego czasu Oriana darzy mnie zarówno wdzięcznością, jak urazą. Natomiast w Taryn – tak mi się wydaje – dostrzega kogoś, kogo można zrozumieć. A może Taryn rzeczywiście jest do niej podobna, chociaż zamordowanie Lokiego wcale o tym nie świadczy. Zresztą ten czyn w ogóle postawił pod znakiem zapytania wszystko, co – jak sądziłam – wiem o mojej bliźniaczej siostrze.

Zamykam oczy. Chociaż miałam zamiar przemyśleć całą sytuację i znaleźć jakieś wyjście, po prostu usypiam.

Kolejny raz budzę się w jadącej karocy. Naprzeciwko siedzą Madok i Oriana. Zasłony są zasunięte, ale słyszę tupot koni i żołnierzy. I charakterystyczne pomruki nawołujących się goblinów.

Podnoszę wzrok na potwora, który mnie wychował, na mojego ojca i jednocześnie mordercę mojego ojca. Widzę, że od kilku dni się nie golił. Widzę znajomą, nieludzką twarz. Ale dostrzegam też na niej zmęczenie.

– Już lepiej? – pyta z uśmiechem, który ukazuje zbyt wiele zębów. Powraca niezbyt miłe wspomnienie Grimy Mog.

Prostuję się, próbuję odpowiedzieć uśmiechem. Nie wiem, czy to ten napar tak mnie uspił, czy to jeszcze działa śmierciosłód, którym odurzył mnie Madok, w każdym razie nie pamiętam, jak załadowano mnie do powozu.

– Jak długo spałam?

Madok macha niedbale ręką.

– Przesłuchanie u Najwyższego Króla odbyło się trzy dni temu.

Nadal mam zawroty głowy, dlatego obawiam się, że powiem coś niewłaściwego i zostanę zdemaskowana. Przynajmniej dobrze się złożyło, że substancja zadziałała tak szybko, to mnie uwiarygodniło jako Taryn. Zanim zostałam porwana do podmorskiego królestwa, uodporniałam swoje ciało na trucizny. Teraz jednak jestem wobec nich tak samo bezbronna jak Taryn.

Jeśli zachowam przytomność umysłu, powinno mi się udać, żadne z nich nie musi się zorientować. Zastanawiam się, o czym rozmawiałaby z Madokiem w takiej sytuacji Taryn. Przypuszczalnie o Lokim. Biorę głęboki wdech.

– Powiedziałam im, że nie ja to zrobiłam. Najwyższy Król rzucił na mnie czar, lecz i pod jego działaniem zeznałam tak samo.

Madok raczej nie domyśla się, że nie ma do czynienia z Taryn, natomiast z całą pewnością patrzy na mnie – to znaczy na nią – jak na idiotkę.

– Wątpię, czy chłopięcy król pozwoliby ci opuścić Pałac Elfhame. Nie wyszłabyś stamtąd żywa. Wyjątkowo zawzięcie walczył, by cię zatrzymać.

– Cardan? – pytam, bo to do niego niepodobne.

– Poległa połowa moich rycerzy – wyjaśnia ponurym tonem ojczym. – Do środka całkiem łatwo było się dostać, ale potem sama ziemia była przeciwko nam. Przejścia zaciskały się i zamykały. Pnącza i korzenie, i liście zagradzały nam drogę, zaciskały się jak imadła na naszych szyjach, miażdżyły nas i dusiły.

Spoglądam na niego przez dłuższy czas w milczeniu.

– I to wszystko za sprawą Najwyższego Króla?

Nie mogę uwierzyć w taki wysiłek ze strony Cardana, którego zostawiłam w jego apartamencie na pozór bezbronny, wydawało mi się, że to raczej on potrzebuje opieki i obrony.

– Jego strażę też nie próżnowały, a nie są ani źle wyszkolone, ani niedbale dobrane. On zaś zna swoją moc. Dobrze się stało, że go wypróbowałam, nim na dobre przeciwko niemu wystąpię.

– Jesteś pewien, że to w ogóle dobry pomysł, żeby się na niego porywać? – pytam, ostrożnie dobierając słowa. Zapewne Taryn takiego pytania by nie zadała, ale z pewnością i z moich ust też by nie wyszło.

– Rozsądek jest dla słabych – odpowiada Madok. – Co więcej, rzadko im służy, choć bardzo na to liczą. A i ty, niby taka rozsądna, wyszłaś za Lokiego. Chociaż, kto wie, może jesteś rozsądniejsza, niż mi się zdaje. Na tyle rozsądna, żeby uczynić siebie wdową.

Oriana kładzie dłoń na jego kolanie, chce w ten sposób dyskretnie zwrócić mu uwagę.

On zaś śmieje się tubalnie.

– No co? Nigdy nie tailem, jak mało mi przypadł do gustu ten chłopak. Trudno się spodziewać, żebym po nim rozpaczała.

Zastanawia mnie, czy śmiałyby się tak samo, gdyby wiedział, że Taryn istotnie to zrobiła. Zaraz, kogo ja próbuję oszukać? Z pewnością śmiałyby się jeszcze głośniejsze. Wprost ryczałyby ze śmiechu aż do rozpuku.



Powóz po jakimś czasie zatrzymuje się, Madok wysiada, woła coś do swoich żołnierzy. Również wysuwam się na zewnątrz, rozglądam wkoło. Początkowo jestem zdezorientowana, bo otacza mnie nieznajomy krajobraz, a potem – bo przed sobą widzę obozowisko wielkiej armii.

Ziemia pokryta jest śniegiem, tu i tam migoczą wielkie ogniska, do tego labirynt namiotów. Niektóre są ze zwierzęcych skór, inne z kunsztownie malowanego płótna, wełny i jedwabiu. Najbardziej jednak zdumiewa, jak rozległy jest ten obóz, jak wielu w nim zbrojnych gotowych wyruszyć przeciwko Najwyższemu Królowi. W oddali, nieco na zachód, piętrzy się góra porośnięta gęstym jodłowym lasem. W pobliżu jego skraju dostrzegam osobny namiot, a wokół niego grupkę żołnierzy.

Czuję, że jestem bardzo daleko od śmiertelnego świata.

– Gdzie jesteśmy? – zwracam się do Oriany, która wysiada z karety za mną, niesie pelerynę, którą zarzuca mi na ramiona.

– W pobliżu Zębatego Dworu – odpowiada. – Tak daleko na północy, że mieszkają tu niemal wyłącznietrolle i huldry.

Zębaty Dwór to jeden z niecznych dworów; tam właśnie więzili Karakana i Bombę, stamtąd została wygnana Grima Mog. Zdecydowanie ostatnie miejsce, w którym chciałabym się znaleźć i z którego nie wiadomo jak uciec.

– Chodź – mówi Oriana. – Musisz się tu jakoś urządzać.

Prowadzi mnie przez obozowisko; mijamy grupę trolli skórujących łosia, elfy i gobliny śpiewające wojenne pieśni, kaletnika naprawiającego przy ognisku skórzane kaftany. Z oddali dobiega szcęk broni, słychać podniesione głosy, dźwięki wydawane przez zwierzęta. Powietrze jest gęste od dymu, ziemia błotnista od tratujących ją ciężkich buciorów i stopionego śniegu. Idę tuż za Orianą, żeby się nie zgubić. Wreszcie dochodzimy do wielkiego, choć prostego namiotu, u którego wejścia stoją dwa solidne drewniane krzesła, oba przykryte baraniami skórami.

Moją uwagę przykuwa stojący opodal elegancki pawilon na czterech złotych, zakończonych pazurami nogach, które wyglądają, jakby miały zerwać się do biegu natychmiast, jak tylko ich właściciel wyda rozkaz. W tym momencie z pawilonu wychodzi Grimsen. Kowal Grimsen, który wykuł Koronę Krwi i wiele innych bezcennych przedmiotów, a mimo to jest spragniony wciąż większej i większej sławy. Odziany jest wytwornie, mógłby uchodzić za księcia. Dostrzega mnie, rzuca z ukosa spojrzenie. Odwracam wzrok.

Wnętrze namiotu Madoka i Oriany w dziwny, trochę niepokojący sposób przypomina mi dom. W jednym z rogów urządzono polową kuchnię – od powały zwisają pęki suszonych

ziół i girlandy suszonych kiełbas, masła i serów.

– Możesz się wykapać – oznajmia Oriana, pokazując mi stojącą w drugim rogu miedzianą wannę do połowy zapełnioną śniegiem. – Wkłada się żelazną belkę do ognia, a potem do wanny. Śnieg szybko topnieje i gorąca kąpiel gotowa.

Potrząsam głową, muszę wciąż pamiętać, żeby nikt nie zobaczył moich dłoni. Panujący chłód o tyle mi sprzyja, że nikogo nie będą dziwić rękawiczki.

– Chciałabym tylko obmyć twarz. I może znalazłyby się jakieś cieplejsze ubrania?

– Oczywiście.

Oriana krząta się po niewielkiej przestrzeni, zgarnia suknię z błękitnej wełny, jakieś pludry i wysokie buty. Wychodzi, potem zaraz wraca. Po kilku minutach pojawia się służący, który niesie buchającą parą miskę wody, stawia ją na stole, obok kładzie ręcznik. Woda pachnie jałowcem.

– Zostawię cię samą, żebyś się odświeżyła – mówi Oriana i zarzuca sobie na ramiona pelerynę. – Dzisiaj czeka nas uczta na Zębatym Dworze.

– Nie chcę sprawiać kłopotu – mówię. Głupio mi, że jest dla mnie taka miła, zwłaszcza że wcale nie dla mnie jest taka.

Uśmiecha się, dotyka mojego policzka.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiada, a ja aż czerwienię się ze wstydu.

Trudno o mniej trafne określenie.

Kiedy wychodzi, mogę wreszcie odsapnąć, jestem sama. Szybko rozglądam się po namiocie, ale nie udaje mi się znaleźć żadnych map czy planów bitewnych. Zjadam nieco sera. Obmywam twarz i wszystkie miejsca, do których mogę sięgnąć, zwłaszcza pod pachami, potem przepłukuję usta odrobiną olejku miętowego i szoruję język.

Ubieram się w cięższe i cieplejsze ubrania, splatam włosy w dwa zwykłe, ciasne warkocze. Zamiast aksamitnych wkładam wełniane rękawiczki, pamiętając, żeby w przekonujący sposób wypchać brakujący czubek palca.

Powraca Oriana, która przyprowadziła kilku żołnierzy dźwigających cały stos koców i futer. Każe ułożyć z nich dla mnie łożo, pamiętając też o czymś w rodzaju parawanu.

– Chyba na razie to wystarczy – mówi, spoglądając na mnie pytająco.

O mało jej nie podziękowałam.

– To znacznie lepsze, niż mogłabym oczekiwać.

Żołnierze wychodzą, ja za nimi. Na zewnątrz orientuję się w kierunkach po słońcu, które chyli się ku zachodowi, uważniej teraz przyglądam się morzu namiotów. Udaje mi się rozpoznać kilka różnych frakcji. Są tam oczywiście ludzie Madoka, noszący jego znak, księżycowy sierp odwrócony jak miska. Poddani Zębatego Dworu mieszkają w namiotach zdobionych wzorem przypominającym łańcuch górski. Do tego jeszcze dwa czy trzy inne

dwory – albo mniejsze, albo może po prostu przysłały mniej zbrojnych. Grima Mog mówiła o całej zgrai zdrajców.

Myślę jak szpieg, nie potrafię się powstrzymać, przecież jestem szpiegiem. Nie mogę nie dostrzec, że trafia mi się doskonała okazja odkrycia planów Madoka. Jestem w jego obozie, w jego własnym namiocie. Mogę dowiedzieć się wszystkiego.

Jednak to czyste szaleństwo. Ile czasu upłynie, nim Oriana albo Madok zorientują się, że nie jestem Taryn, że jestem Jude? Pamiętam, co zaprzysiągł mi Madok: *Rozegramy partię szachów, w której cię pokonam. A dołożę wszelkich starań, aby dokonać tego z równą stanowczością, jak uczyniłbym to wobec każdego przeciwnika, który okazał się mnie godny.* Był to z jego strony wyraz niemałego uznania, ale też i niebagatelna pogróżka. Dokładnie wiem, jak Madok postępuje ze swoimi nieprzyjaciółmi – zabija ich, a potem nurza swój kaptur w ich krwi.

Chociaż, co mi z tego? Jestem na wygnaniu, zostałam odsunięta od tronu.

Jeśli jednak poznam plany Madoka, będę mogła je wymienić na swoje ułaskawienie. Cardan na pewno by się zgodził, jeśli oznaczałoby to dla niego ocalenie Elfhame. Co prawda mógłby uznać, że kłamię.

Vivi powiedziała, że powinnam wreszcie przestać się troszczyć o królów i wojny, a zamiast tego skupić się na powrocie do domu. Po mojej potyczce z Grimą Mog na pewno mogłabym domagać się od Bryerna lepiej płatnych zleceń. Poza tym Vivi ma rację, jeśli przestaniemy udawać, że żyjemy jak normalni ludzie, będziemy mogły zorganizować sobie o wiele większą przestrzeń. Ponadto, biorąc pod uwagę, jak skończyło się przesłuchanie, Taryn chyba raczej też nie powinna wracać do krainy elfów.

Przynajmniej dopóki Madok nie przejmie władzy.

A może powinnam po prostu poczekać, aż to nastąpi?

Z pewnego jednak prostego powodu nie mogę na to czekać. Nie potrafię powstrzymać narastającego we mnie gniewu; choć powód to śmieszny i żalony, rozpala w moim sercu ogień.

Otóż jestem królową na Elfhame.

Królową wygnaną, ale przecież królową.

Co oznacza, że Madok sięga nie tylko po tron Cardana. Sięga także po mój.



Spożywamy wieczerzę w namiocie Zębatego Dworu, który jest co najmniej trzykrotnie większy od namiotu Madoka, a ozdobiony tak kunsztownie, jakby był pałacem. Pod nogami zalegają kobierce i futra. Pod sufitem wiszą lampiony, na stołach płoną grube jak słupy świece, obok zaś stoją karafy jakiegoś jasnego trunku i misy pełne pokrytych szronem białych jagód – nigdy wcześniej takich nie widziałam. W kącie gra harfa, jej pobrzękiwanie unosi się ponad gwarem rozmów.

Pośrodku namiotu wznoszą się trzy trony, dwa duże i jeden mały. Wyglądają, jakby były wyrzeźbione z lodu, z zamrożonymi w nim liśćmi i kwiatami. Te duże są puste, a na małym siedzi dziewczynka o niebieskiej skórze, w koronie z sopli na głowie, jej usta i gardło zaciska uzda ze złoczonej skóry. Jest może o rok lub dwa starsza od Dęba, ma na sobie prostą suknię z szarego jedwabiu. Wpatruje się we własne palce, które bezustannie ocierają się o siebie. Paznokcie ma obgryzione, otacza je cienka obwódka zastygłej krwi.

To z pewnością księżniczka, nietrudno też dostrzec króla i królową. Noszą podobne korony z sopli, tylko bardziej wyszukane. Ich skóra ma szarą barwę jak kamień albo zwłoki. Ich oczy lśnią, są przejrzyste i żółte jak wino. Odziani są w błękity zbliżone odcieniem do koloru skóry tej małej. Dobrana trójka.

– To jest pani Nore i pan Jarel oraz ich córka, królowa Suren – objaśnia półgłosem Oriana. A więc to dziewczynka jest władczynią?

Tak się nieszczęśliwie składa, że pani Nore dostrzega moje zaciekawione spojrzenie.

– Śmiertelna istota? – pyta z dobrze mi znaną wzdą. – A na c3z to?

Madok rzuca w moją stronę przepaszające spojrzeie.

– Pozwólcie, że przedstawię jedną z moich przybranych córek, Taryn. Jestem pewien, że wam o niej wspominałem.

– Być może – wtrąca pan Jarel, który do nas dołącza.

Jego spojrzenie jest badawcze, patrzy jak sowa na głupią myszkę, która pcha się prosto do jej gniazda.

Dygam tak wytwornie, jak tylko potrafię.

– Cieszę się, że dane jest mi dziś wieczór znaleźć miejsce u twego ogniska, panie.

Jarel zwraca zimne spojrzenie na Madoka.

– Zabawne. To mówi, jakby uważało się za jedną z nas.

Już zapomniałam, jakie to uczucie, a przecieź towarzyszyło mi przez te wszystkie lata całkowitej bezsilności. Wtedy jedynym moim obrońcą mógł być właśnie Madok. A teraz też nim będzie, ale tylko dopóki nie zorientuje się, która z jego przybranych córek tak naprawdę mu towarzyszy. Spoglądam na pana Jarela ze strachem, którego nie muszę udawać. Widzę, że bardzo go to cieszy.

Pamiętam, co Bomba opowiadała o Zębatym Dworze, o tym, jak obeszlili się z nią i z Karakanem: *Przyłapano nas, rzucili na nas klątwy i czary. Przemienili nas. Zmusili, żeby im służyć.*

Muszę sobie powtarzać, że nie jestem już tą dziewczynką, którą kiedyś byłam. Jestem w tej chwili samotna i otoczona, ale to nie znaczy, że jestem bezsilna. I w tym momencie obiecuję sobie, że pewnego dnia to pan Jarel będzie się bał.

Na razie jednak zaszywam się w kącie, gdzie siadam na pokrytym skórą pufie i obserwuję. Pamiętam, jak podczas któregoś posiedzenia Wiecznej Rady opowiadano, że niektóre dwory unikają wiernopoddańczej przysięgi w taki sposób, że ukrywają swoje prawdziwe dzieci w świecie śmiertelników, zamiast tego trzymając podmieńców, dopiero potem sprowadzają potomków, by uczynić z nich władców. Przypuszczam, że tutaj nastąpiło coś podobnego. Jeśli tak, z pewnością pan Jarel i pani Nore musieli bardzo się zżymać, rezygnując ze swoich tytułów. Dzieciak zaś musiał być wyjątkowo krnąbrny, skoro trzeba go było okiełznać za pomocą uzdy.

Ciekawe, że tak bardzo starają się pokazać – te trony, korony i wystawny namiot – skoro popierają dążenia Madoka, który chce zostać Najwyższym Królem, bo wtedy przecieź stanie o wiele wyżej od nich. Nie wierzę w to. Teraz są po jego stronie, ale z pewnością mają nadzieję, że we właściwym czasie zdołają go wyeliminować.

Po chwili do namiotu wchodzi Grimsen okryty szkarłatnym płaszczem spiętym wielką broszą w kształcie serca. Pani Nore i pan Jarel zaszczycają go swoją uwagą, na ich twarzach pojawiają się zimne uśmiechy.

Spoglądam na Madoka. Widok kowala chyba go cieszy.

Po jeszcze kilku wytwornych żarcikach pani Nore i pan Jarel zapraszają nas do stołu. Pani Nore prowadzi królową Suren za jej uzdę. Gdy dziecięca królowa zbliża się do stołu, dostrzegam, że uzda dziwnie wpija się w jej skórę, tak jakby częściowo w nią już wrosła. Coś w połysku złoconych rzemieni uświadamia mi działanie wyrafinowanego zaklęcia.

Przypuszczam, że to okrutne urządzenie także jest dziełem Gimsena.

Patrząc na tę okiełznaną dziewczynkę, nie mogę nie pomyśleć o Dębie. Zerkam na Oriane, bo przychodzi mi do głowy, że widok dziecka jej także musi o nim przypominać, jednak wyraz jej twarzy jest równie spokojny i nieskalany jak powierzchnia zamarzniętego jeziora.

Siadamy do stołu. Ja obok Oriany, naprzeciwko Grimsena. Kowal dostrzega gwiazdkę i księżyc – kolczyki, które nadal mam w uszach i pokazuje klejnociki ruchem ręki.

– Nie byłem pewien, czy twoja siostra zechce się ich wyrzec – mówi.

Palcami w rękawiczkach dotykam ozdób.

– To wspaniałe dzieło twoich rąk – odpowiadam, wiedząc, jak jest podatny na pochlebstwa.

Spogląda na mnie z zachwytem, który najprawdopodobniej jest jednak zachwytem nad własnym kunsztem. Jeżeli ładnie wyglądam, to przecież tylko i wyłącznie jego zasługa.

W moim interesie leży natomiast, żeby mówił jak najwięcej. Od nikogo innego wiele się tu nie dowiem. Próbuję sobie wyobrazić, co mogłaby w takiej chwili powiedzieć Taryn, ale nie mam innego pomysłu, tylko brnę dalej, próbując wyczuć, co Grimsen chciałby usłyszeć. Zniżam głos do szeptu.

– Strasznie trudno jest mi się z nimi rozstać, nawet przed snem.

Napusza się.

– To zwykłe błyskotki.

– Myślisz zapewne, że jestem głupiutka – mówię. – Wiem, że zrobiłeś znacznie wspanialsze przedmioty, jednak te kolczyki bardzo mnie uszczęśliwiły.

Oriana spogląda na mnie jakoś dziwnie. Czy popełniłam błąd? Czy zaczyna coś podejrzewać? Serce bije mi mocniej.

– Powinnaś odwiedzić moją kuźnię – opowiada Grimsen. – Pozwól, że pokażę ci, jak wyglądam naprawdę potężna magia.

– Bardzo bym tego pragnęła – udaje mi się to powiedzieć gładko, chociaż ogarnia mnie coraz większa obawa, że wkrótce zostanę przyłapana. Poza tym niepokoi mnie zaproszenie kowala. Dlaczego zamiast się przechwalać tu i teraz, tej nocy, musi się ze mną w jakiś niejasny sposób umawiać? Nie chcę iść do jego kuźni. Chcę wydostać się z tego obozu. Przecież to tylko kwestia czasu, prędzej lub później rozpoznają mnie. Jeżeli mam się czegoś dowiedzieć, muszę to zrobić jak najprędzej.

Moja frustracja narasta, bo rozmowę z nim przerywa nadejście służących, którzy wnoszą wielkie kawały pieczonego niedźwiedziego mięsa w moroszkach. Jeden z oficerów wciąga Grimsena w rozmowę o jego broszy. Obok mnie Oriana opowiada dostojnikowi z Zębatego Dworu o poemacie, którego nie znam. Staram się nasłuchiwać rozmowy siedzących na lewo ode mnie Madoka i pani Nore. Rozważają, które z dworów można przekabacić na ich stronę.

– Czy rozmawiałeś z Dworem Termitów?

Madok przytakuje.

– Pan Roiben ma urazę wobec Toni i nie w smak mu, że Najwyższy Król nie pozwolił mu dokonać zemsty.

Palce same zaciskają mi się na rękojeści noża. Zawarłam z Roibinem układ. Aby dotrzymać jego warunków, zabiłam Balekina. Ten fakt posłużył Cardanowi za pretekst do mojego wygnania. Gorzką ironią losu jest to, że po tym wszystkim pan Roiben wolałby raczej powiedzieć się po stronie Madoka.

Nieważne jednak, czego pan Roiben by sobie życzył, wiąże go przysięga lojalności wobec Korony Krwi. O ile niektóre z lenn, tak jak choćby Zębaty Dwór, jakimś sprytnym wykrętem zdołały się oswobodzić od przysięg złożonych przez przodków, o tyle większość jest nadal nimi związana. Na przykład właśnie Roiben. Jak więc Madok zamierza obejść te przysięgi? Jeśli nie znajdzie jakiegoś sposobu, nie ma znaczenia, po czyjej stronie leżą sympatie włodarzy niższych dworów. Muszą być posłuszni jednemu władcy, którego skronie wieńczy Korona Krwi: Najwyższemu Królowi Cardanowi.

Taryn, rzecz jasna, nigdy by na ten temat nie powiedziała ani słowa, więc i ja gryzę się w język; tylko słucham, nie zadając pytań. Później, gdy już jesteśmy z powrotem w naszym namiocie, dźwigam dzban miodowego wina i napełniam kielichy generałów. Nikt nie zwraca na mnie szczególnej uwagi – kimże w końcu jestem, jedynie ludzką córą Madoka, którą większość z nich spotykała przy różnych okazjach, nie zwracając na nią zresztą uwagi. Oriana już nie spogląda na mnie z ukosa. Nawet jeżeli moje zachowanie wobec Grimsena wydało jej się dziwne, chyba już niczym innym nie naraziłam się na jej wątpliwości.

Wciążą mnie moja dawna rola, tak łatwo się w nią wczuć, tak mnie owija niczym ciężki koc.

Dziś wieczór wydaje się nie do pomyślenia, że kiedykolwiek byłam kimś innym niż tylko jego posłusznym dzieckiem.

Kładę się spać, czując w gardle gorycz, której już dawno nie odczuwałam, a która bierze się stąd, że nie jestem w stanie wpłynąć na bieg ważnych spraw, chociaż rozgrywają się tuż przed moim nosem.

Budzę się na swoim legowisku, przykryta kocami i futrami. Siadam przy ogniu i sączę mocną herbatę, potem przechadzam się, żeby rozruszać nogi. Ku mojej uldze Madok już wyszedł.

Dzisiaj – mówię sobie – dzisiaj muszę wymyślić, jak stąd uciec.

Kiedy szliśmy przez obozowisko, zauważyłam konie. Zapewne mogłabym któregoś ukraść. Kłopot w tym, że jestem nie najlepszym jeźdźcem, a bez mapy mogłabym szybko się zgubić. Wierzchowce pewnie trzymane są wszystkie razem w stajennym namiocie. Może gdybym wymyśliła jakiś pretekst, żeby odwiedzić ojca...

– Jak myślisz, czy Madok nie miałby ochoty na filiżankę herbaty? – zwracam się do Oriany.

– Jeśli zechce, przyśle służącego, żeby mu przyniósł – odpowiada dobrotliwym tonem. – Jest jednak wiele pożytecznych prac, którymi możesz wypełnić czas. My, damy dworu, zbieramy się i wyszywamy chorągwie. Jeśli czujesz się na siłach...

Nic prędzej nie zdradzi mojej tożsamości niż słaba umiejętność posługiwania się igłą, a raczej całkowity jej brak. Nazwać mnie niezręczną pod tym względem to komplement.

– Chyba jeszcze nie jestem gotowa, żeby rozmawiać o Lokim.

Oriana kiwa głową ze zrozumieniem. Podczas takich spotkań krążą ploteczki i łatwo się domyślić, że zamordowany mąż to wyborny temat do rozmów.

– Możesz więc wziąć koszyk i wybrać się na grzyby – proponuje. – Uważaj tylko, żeby nie wychodzić z lasu na otwartą przestrzeń i nie kręć się przy samym obozowisku. A jeżeli strażnicy będą cię zaczepiać, po prostu pokaż im pieczęć Madoka.

Staram się nie okazać, jak bardzo przypadł mi do gustu ten pomysł.

– Czemu nie.

Zarzucam na siebie ciepłą opończę, Oriana kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Słyszałam wczoraj twoją rozmowę z Grimsenem – mówi. – Musisz na niego uważać.

Pamiętam jej liczne przestrogi wygłaszane zwłaszcza przed wyjściem na jakieś przyjęcie. Za każdym razem musiałyśmy obiecywać, że nie będziemy tańczyć, niczego nie zjemy i w ogóle nie uczynimy żadnej rzeczy, która mogłaby przynieść jakąkolwiek ujmę Madokowi. Rozumiałam ją, w końcu nim została żoną Madoka, była kochanką Najwyższego Króla Eldreda; wtedy to jej najlepsza przyjaciółka, także nałożnica władcy, została otruta. Trudno więc dziwić się podobnej ostrożności, chociaż bywało to uciążliwe.

– Oczywiście, będę ostrożna – odpowiadam.

Oriana patrzy mi w oczy.

– Grimsen ma ogromny apetyt. Jeżeli będziesz zbyt miła, może stwierdzić, że i ciebie pragnie. Może pożądać cię z powodu twojej urody, tak jak pragnie się posiadać rzadki klejnot. Albo może chce się przekonać, czy Madok mu ciebie odstąpi.

– Rozumiem – odpowiadam, starając się przybrać wygląd osoby, o którą nie trzeba się martwić.

Na pożegnanie obdarza mnie bladym uśmiechem, zapewne przekonana, że wyśmienicie się rozumiemy.

Wychodzę, maszeruję z koszykiem do lasu. Gdy przekraczam jego skraj, zatrzymuję się; ogarnia mnie bezmierna ulga, bo wreszcie nie muszę niczego udawać. Wreszcie mogę się odprężyć. Przez chwilę oddycham głęboko, zastanawiając się, co mam robić dalej. Nie mam zbyt wielu opcji, wciąż powraca w moich myślach postać Grimsena. Mimo przestróg Oriany to właśnie z jego osobą wiąże największe nadzieje na ucieczkę. Jako mistrz magicznych wynalazków może mieć w swojej kuźni metalowe skrzydła, które poniosą mnie do domu, albo magiczne sanie ciągnięte przez obsydianowe lwy. Cóż, pewnie nie ma, ale przynajmniej nie zna Taryn na tyle dobrze, żeby coś podejrzewać.

A jeśli zechce mu się czegoś, czego nie będę chciała mu dać, to jego kłopot, ma wszak niezdrowy zwyczaj zostawiania na wierzchu ostrych przedmiotów.

Pod osłoną drzew wspinam się na zbocze i z góry oglądam obozowisko. Po chwili dostrzegam urządzoną na uboczu polową kuźnię. Kłęby dymu unoszą się gęsto ze wszystkich trzech kominów. Odnotowuję też w pamięci duży, kolisty namiot, wokół którego panuje ożywiony ruch. Pewnie właśnie tam urzęduje Madok i tam są jego mapy.

Dostrzegam coś jeszcze. Już po przyjeździe zwróciłam uwagę na samotny namiot u stóp góry, stojący daleko od innych namiotów. Stąd jednak widzę, że jest tam również jaskinia. U jej wejścia pełni wartę dwóch strażników.

Ciekawe. Na uboczu, zupełnie nie po drodze. Ale może właśnie o to chodzi – zależy, co tam się znajduje. Grota jest na tyle daleko od obozowiska, że nie dobiegnie stamtąd nawet najgłośniejszy krzyk.

Wzdrygam się. Ruszam w dół, do kuźni.

Idąc, ściągam na siebie spojrzenia goblinów, grigów i ostrozębych elfów o pudrzastych skrzydłach. Gdy mijam granicę obozowiska, któryś z nich cicho syczy, a jeden z ogrów obleśnie oblizuje usta. Nikt jednak nie próbuje mnie zatrzymać.

Wrota kuźni Grimsena są otwarte, widzę w jej wnętrzu kowala. Jest nagi do pasa, jego żylasta, włochata postać pochyla się nad klingą, którą właśnie kuje. Z wnętrza bije żar, powietrze jest od niego gęste i śmierdzi smołą. Wszędzie wala się broń, dostrzegam też liczne bibeloty, które są z pewnością czymś znacznie więcej, niż się tylko wydaje: metalowe łódeczki, broszki, srebrne ostrogi, klucz jakby wyrzeźbiony w kryształach...

Pamiętam ofertę, którą miałam przekazać od Grimsena Cardanowi, zanim jeszcze kowal uznał, że większej chwały przysporzy mu zdrada: *Sporządź dlań lodową zbroję, o którą skruszą się wszystkie ostrza, a uczyni ona jego serce zimnym i niedostępnym dla litości. Powiedz, że wykują dlań trzy miecze, które razem użyte w starciu z wrogiem będą miały bitewną moc trzydziestu żołnierzy.*

Nie mogę znieść myśli, że wszystko to dostanie się teraz Madokowi.

Biorę się w garść, stukam we framugę drzwi.

Grimsen spogląda na mnie, opuszcza młot.

– A, dziewczyna z kolczykami – mówi.

– Zaprosiłeś mnie, więc przychodzę – odpowiadam. – Mam nadzieję, że nie za wcześnie, ale jestem bardzo ciekawa. Mogę spytać, nad czym teraz pracujesz, czy to sekret?

Odnoszę wrażenie, że to powitanie przypadło mu do gustu. Ruchem głowy wskazuje olbrzymią sztabę leżącą na kowadle.

– Sporządzam miecz, który rozetnie firmament Wysp. Co ty na to, śmiertelniczko?

To prawda, że Grimsen wykuł najwspanialsze magiczne miecze, jakie kiedykolwiek powstały. Ale czy to możliwe, żeby Madok zamierzał po prostu pokonać armię Elfhame? Cardan potrafi zagotować morze, sprowadzić sztorm i sprawić, że usychają drzewa. Wierność Cardanowi zaprzysięgły dziesiątki pomniejszych dworów, ma więc do dyspozycji wszystkie ich wojska. Czy wystarczy jeden miecz, żeby mu się przeciwstawić, nawet jeśli to będzie najcudowniejsza ze wszystkich kling wykutych przez Grimsena?

– Madok musi być zachwycony, że jesteś po jego stronie – mówię jakby od niechcienia. – I że obiecałeś mu tak wspaniałą broń.

– Hmmm – odpowiada, zerkając na mnie paciorkowatym okiem. – W każdym razie powinien być zachwycony, ale czy rzeczywiście jest? Musiałabyś sama go o to spytać, bo on bynajmniej zachwyty nie okazuje. Jeśli się zdarzy, że ktoś napisze o mnie pieśń, to czy on chce jej wysłuchać? Nic podobnego. Powiada, że to nie czas na pieśni. Ciekaw jestem, czy nie byłoby inaczej, gdyby to o nim śpiewano.

Najwyraźniej Grimsen staje się rozmowny nie tyle, kiedy napuszczam go na przechwałki, co gdy dochodzi do głosu jego urażona ambicja.

– Kiedy zostanie nowym Najwyższym Królem, będzie się śpiewało o nim wiele pieśni – podejmuję temat, żeby go jeszcze bardziej rozdrażnić.

Twarz Grimsena chmurzy się, na jego ustach pojawia się grymas zniesmaczenia.

– Jednak ty, który byłeś mistrzem kowalskim już za panowania królowej Mab, a potem jej następców, z pewnością dokonałeś znacznie więcej, twoje życie to o wiele lepszy temat dla bardów.

Nie jestem pewna, czy nie nazbyt bezczelnie mu kadzę, ale raczej nie, bo widzę, jak promienieje.

– Ach, Mab – mówi w rozmarzeniu. – Kiedy zażądała, żebym sporządził dla niej Koronę Krwi, która zapewni wieczne panowanie jej dynastii, zrobiła mi wielki zaszczyt, lecz zarazem wyznaczyła nie lada zadanie. Wywiązałem się z niego, rzucając przy tym klątwę tak potężną, że chronić będzie koronę po wsze czasy.

Uśmiecham się zachęcająco. Tę historię akurat znam.

– Kto zabije dziedzica Korony, tego czeka niechybna śmierć.

Grimsen parska.

– Tak jak królowa Mab chciała zapewnić trwałość swojej dynastii, tak samo ja pragnę, żeby korona przetrwała. Jednak bliskie mi są i troszczę się o każde, nawet najdrobniejsze z moich dzieł.

Wyciąga rękę, by usmolonymi palcami dotknąć kolczyka, muska przy tym koniuszek mojego ucha. Skóra jego palca jest ciepła i szorstka. Uchylam się ze śmiechem; mam nadzieję, że brzmi on jak szczebiotliwy chichot, a nie jak ostrzegawcze warknięcie.

– Na przykład te kolczyki: wydłub z nich kamienie, a twoja uroda zwiędnie; stracisz nie tylko urok, którego przydają! Staniesz się tak szpetna, że na twój widok nawet elfowie będą uciekali z wrzaskiem.

Panuję nad sobą, chociaż najchętniej wyrwałabym sobie te kolczyki z uszu.

– Te kolczyki także przekląłeś?

Uśmiecha się przebiegle.

– Nie każdy potrafi okazać należyty szacunek rzemieślnikowi tak jak ty, Taryn, córo Madoka. Nie każdy zasługuje na moje dary.

Rozważam jego słowa przez długą chwilę. Pomyśleć, jak wiele różnych przedmiotów wyszło z jego kuźni. Pomyśleć, jak wiele z nich zostało opatrzonych klątwą.

– Czy za to skazano cię na wygnanie? – pytam.

– Pozwoliłem sobie na zbyt daleko posuniętą artystyczną swobodę, a to nie spodobało się Najwyższej Królowej. Nie cieszyłem się zatem jej względami, kiedy udałem się wraz z królem Olch na wygnanie – odpowiada, z czego wniosek, że mój domysł jest jak najbardziej trafny. – Zawsze wszystko wiedziała lepiej.

Kiwam niedbale głową, tak jakby w tej opowieści nie było nic niepokojącego. Gorączkowo próbuję sobie przypomnieć różne wykonane przez niego rzeczy.

– O ile się nie mylę, podczas pierwszej bytności na dworze Cardana jego również obdarowałeś kolczykiem?

– Dobrą masz pamięć – chwali mnie. Mam nadzieję, że lepszą niż on, bo przecież Taryn nie uczestniczyła w biesiadzie Krwawego Księżyca. – Dzięki niemu mogłem słyszeć słowa wypowiedziane tuż za zasięgiem słuchu. Doskonała rzecz do podsłuchiwanie cudzych sekretów.

Nic nie mówię, czekam.

Kowal śmieje się.

– Aha, nie to chciałybyś wiedzieć, prawda? Owszem, była też i klątwa. Jednym słowem mogłem przemienić ten kolczyk w rubinowego pająka, który śmiertelnie by go ukąsił.

– A wypowiedziałeś to słowo? – pytam. W komnacie Cardana widziałam szklaną kulę, w której niestrudzenie biegał lśniący czerwony pająk, bezskutecznie usiłujący wydostać się

na zewnątrz. Na myśl, jak mało brakowało, ogarnia mnie zgroza. A po niej zwyczajna wściekłość.

Grimsen wzrusza ramionami.

– Przecież nadal żyje, prawda?

Tak właśnie elfowie odpowiadają na kłopotliwe pytania. Na pozór znaczy to „nie”, podczas gdy rzeczywistość wygląda zgoła inaczej: „tak, próbowałem, ale się nie udało”.

Powinnam wyciągnąć z niego więcej, wywiedzieć się niby mimochodem, czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby uciec z obozu, nie mogę jednak już go znieść. Jeżeli nie odejdę, zadżgam go któryś z wykutych przez niego ostrzy.

– Czy mogę jeszcze kiedyś przyjść? – Trudno mi wydobyć z siebie te słowa, a fałszywy uśmiech na mojej twarzy odczuwam w taki sposób, jakbym nałożyła na nią ciasną maskę.

Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy – jakbym była kamieniem, który chciałby oprawić w metal.

– Bardzo bym tego chciał – odpowiada, szerokim gestem pokazując wewnątrz kuźni i wszystkie zgromadzone tam przedmioty. – Jak widzisz, lubię piękne rzeczy.



Po odwiedzinach u Grimsena maszeruję z powrotem do lasu, żeby nazbierać grzybów, ale prócz ogromnych prawdziwków zbieram też owoce jarzębiny, leśny szczaw, pokrzywy i nieco śmierciosłodu. Z całej siły kopię leżący w mchu kamień, który leci daleko w las. Kopię następny.

Potrzebowałam wielu kamieni, ale w końcu czuję się choć trochę lepiej.

Nie jestem ani o krok bliżej odnalezienia drogi ucieczki, nie dowiedziałam się też niczego o planach mojego ojca. Jestem jedynie coraz bliżej zdemaskowania.

Powracam do obozu z tą ponurą myślą; Madok siedzi przy ogniu przed namiotem, czyści i ostrzy sztylety, które zawsze nosi przy sobie. Odruchowo chcę zaproponować mu pomoc, ale w porę sobie przypominam, że Taryn przecież by tego nie zrobiła.

– Siadaj – zachęca, klepiąc dłonią nagą belkę, na której siedzi. – Nie przywykłaś do obozowego życia, a tu, proszę, trafiłaś w sam środek kampanii.

Czy mnie podejrzewa? Siadam, stawiam koszyk obok ogniska i podnoszę samą siebie na duchu myślą, że nie byłby taki przyjazny, gdyby wiedział, że rozmawia z Jude. Wiem jednak, że nie mam wiele czasu, muszę więc zaryzykować i zadać mu to pytanie:

– Naprawdę myślisz, że zdołasz go pokonać?

Śmieje się, jakbym była małą dziewczynką i zadała dziecinne pytanie: *Czy gdybyś mógł bardzo wysoko wyciągnąć rękę, dosięgnąłbyś księżyca na niebie?*

– Nie rozpoczynałbym gry, której nie mogę wygrać.

To dziwne, ale jego śmiech dodaje mi odwagi. On naprawdę wierzy, że ma do czynienia z Taryn, która zupełnie nie zna się na wojnie.

– Ale jak?

– Oszczędzę ci całej strategii – mówi – powiem tylko tyle, że wyzwę go na pojedynek, a kiedy zwyciężę, rozwalę jego głowę jak melon.

– Pojedynek? – Nie posiadam się ze zdumienia. – Ale dlaczego miałby przyjąć wyzwanie? Cardan jest Najwyższym Królem. Ma armię, która stanie między nimi.

Madok szczerzy zęby.

– Dlaczego? Dla miłości – odpowiada. – I z obowiązku.

– Miłości? Do kogo? – Nie sądzę, żeby w tej sytuacji Taryn była mniej zdezorientowana ode mnie.

– Dla wygłodzonego nie ma uczy dość obfitej – brzmi odpowiedź.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Po chwili Madok lituje się nade mną.

– Wiem, że nudzą cię kwestie taktyki, ale to chyba nawet tobie się spodoba. Rzecz w tym, że gdy czegoś wyjątkowo mocno pragniemy, gotowi jesteśmy zaryzykować prawie wszystko. Istnieje przepowiednia, która głosi, że będzie marnym królem. Przepowiednia wisi nad jego głową, on jednak sądzi, że zdoła omamić los. Dajmy mu więc szansę, niech spróbuje. Będzie miał okazję udowodnić, że jest dobrym władcą.

– I co potem?

Znowu się śmieje.

– Potem elfowie nazywać cię będą księżniczką Taryn.

Od najmłodszych lat wysłuchiwałam opowieści o wielkich elfowych podbojach. Jak można oczekiwać po nieśmiertelnych, wśród których rodzi się mało dzieci, większość ich bitew ma sformalizowany charakter – odbywają się według ściśle ustalonych reguł. Nie ma miejsca na przypadek, podobnie jak w kwestiach sukcesji. Elfowie starają się unikać wojny totalnej, w związku z czym nie jest niczym niezwykłym, gdy rozstrzygnięcie konfliktu następuje w drodze swego rodzaju pojedynku przeprowadzonego na wspólnie ustalonych zasadach. Nie zmienia to jednak faktu, że Cardan nigdy nie przykładał się do szermierczych ćwiczeń, jest więc w tym słaby. Co mogłoby go zmusić do zgody na pojedynek?

Obawiam się jednak, że gdybym spytała, Madok mnie rozpozna. Coś jednak powiedzieć przecież muszę. Nie mogę tak siedzieć i gapić się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Jude w jakiś sposób panowała nad Cardanem – mówię powoli. – Może mógłbyś dokonać tego samego i...

Potrząsa głową.

– Zobacz, jaki los spotkał twoją siostrę. Takim czy innym fortem istotnie zdobyła nad nim władzę, ale zdołał jej tę władzę odebrać. Nie. Nie zamierzam już nawet udawać, że

komuś służyć. Teraz chcę rządzić – przerywa ostrzenie noża, spogląda na mnie z groźnym błyskiem w oku. – Dałem Jude szansę, a potem następną. Mogła przyczynić się do świetności rodu. Miała niejedną okazję, żeby wyjawić mi, na czym polega jej gra. Gdyby to zrobiła, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Przechodzi mnie dreszcz. Czy on jednak przypadkiem nie domyśla się, że to ja siedzę obok niego?

– Jude jest bardzo przygnębiona – staram się mówić to naturalnym tonem. – Tak przynajmniej utrzymuje Vivi.

– A ty chcesz, żebym jej nie karał, kiedy zostanę Najwyższym Królem, tak? – dopowiada. – Nie powiem, żebym nie był z niej dumny. Dokonała rzeczy niemałej. Z moich dzieci chyba ona najbardziej jest do mnie podobna. Bywa jednak, że dzieci się buntują. A przy tym jej apetyt przewyższył jej możliwości. Za to ty...

– Ja? – Spoglądam w płomienie. Trudno znieść, kiedy mówi tak o mnie, ale jeszcze gorzej będzie usłyszeć coś przeznaczonego tylko dla uszu Taryn. Czuję, jakbym coś jej odbierała. Nie mam jednak pomysłu, jak to przerwać, musiałabym się zdemaskować.

Wyciąga rękę, by objąć mnie za ramiona. Byłby to ciepły gest, gdyby nie fakt, że naciska trochę zbyt mocno, a do tego jego pazury są nieco zbyt ostre. Przez głowę przemyka mi myśl – chwyci mnie za gardło i powie, że gra skończona. Moje serce łomocze.

– Na pewno ci się wydawało, że ją faworyzuję, i to pomimo jej niewdzięczności. Ale to tylko dlatego, że ją rozumiałem lepiej. A jednak ty i ja mamy ze sobą coś wspólnego: nie poszczęściło nam się w małżeństwie.

Patrzę na niego z ukosa, ulga i niedowierzanie walczą w moich myślach ze sobą o lepsze. Naprawdę powiedział, że jego małżeństwo z naszą matką było takie, jak związek Taryn z Lokim?

Odsuwa się, żeby dorzucić polano do ognia.

– I oba te małżeństwa zakończyły się tragicznie.

Zachłystuję się powietrzem.

– Ty chyba nie myślisz naprawdę...

Nie wiem jednak, jakie kłamstwo ma mi przejść przez usta. Nawet nie wiem, czy w tej sytuacji Taryn by skłamała.

– Nie? – dopytuje Madok. – A ktoś zabił Lokiego, jeśli nie ty?

Milczę zbyt długo, nie przychodzi mi do głowy żadna dobra odpowiedź.

Madok wybucha gromkim śmiechem, wyciąga w moją stronę pazurzasty palec. Jest zachwycony.

– Ty, ty to zrobiłaś! Doprawdy, Taryn, zawsze myślałem, że jesteś słaba i potulna, dopiero teraz widzę, jak bardzo się myliłem.

– I cieszysz się, że go zabiłam?

Zamordowanie Lokiego przez Taryn napawa go większą dumą niż wszystkie jej wdzięki, umiejętności i zalety – na przykład ta niezwykła cecha, że wszyscy w jej obecności czują się swobodnie albo że umie dobrać najwłaściwszy strój, potrafi powiedzieć takie kłamstwo, za które wszyscy ją polubią.

Wzrusza ramionami, wciąż uśmiechnięty.

– Żywy czy martwy, mało mnie obchodzi. Natomiast obchodzisz mnie ty i zawsze mnie obchodziłaś. Jeżeli martwi cię jego odejście, to i ja się martwię. Jeżeli chciałabyś przywrócić go do życia, aby móc go znowu zabić, rozumiem to uczucie. Być może jednak tylko wymierzyłaś sprawiedliwość i jedyne, co mąci twój spokój, to fakt, że sprawiedliwość bywa okrutna.

– Jak sądzisz, co takiego mi zrobił, żeby na to zasłużyć? – pytam.

Poprawia kijem ognisko, iskry unoszą się w powietrze.

– Zapewne złamał ci serce. Oko za oko, serce za serce.

Pamiętam, co czułam, przyciskając ostrze noża do szyi Cardana – od paniki na myśl, jaką ma nade mną władzę, po świadomość, że istnieje łatwy sposób, by położyć jej kres.

– Czy to dlatego zabiłaś mamę?

Wzdycha.

– Moje odruchy ukształtowały się w bitwach – odpowiada. – Te odruchy pozostają, nawet kiedy już nie ma wojny.

Zastanawiam się nad tym. Jak to jest, kiedy ktoś zabija i zabija bez końca, kiedy wokół jego serca twardnieje skorupa. Być może w samym środku serca Madoka panuje mróz, którego nigdy nic nie roztopi, jakby tkwił tam odłamek lodu. Pytanie brzmi, czy i ja mam taki lód w sercu.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, nasłuchujemy, jak trzeszczy i strzela ogień. Potem Madok odzywa się znowu:

– Kiedy zamordowałem waszą matkę... waszą matkę oraz waszego ojca, zmieniłem was. Ich śmierć była tygłem, była ogniem, w którym wszystkie trzy się zahartowałyście. Zanurz rozpalony do czerwoności miecz w oliwie, a najmniejsza skaza przerodzi się w pęknięcie. Wy zostałyście unurzane we krwi, ale żadna z was się nie złamała. Stałyście się tylko twardsze. Być może to, co skłoniło cię do uśmiercenia Lokiego, jest bardziej moją winą niż twoją. Jeśli trudno ci żyć z tym ciężarem, zwał go na mnie.

Przypominają mi się słowa Taryn: *Nikomu nie życzę dzieciństwa takiego jak nasze.*

Ku swojemu zaskoczeniu pragnęłabym pocieszyć Madoka, chociaż nigdy nie będę potrafiła mu wybaczyć. Co powiedziałaaby w tej chwili Taryn? Nie wiem tego, ale nie byłoby w porządku, gdybym go pocieszała jej głosem.

– Powinnam to zanieść Orianie – mówię, wskazując koszyk. Wstaję, ale on chwyta mnie za rękę.

– Nie myśl, że zapomnę o twojej lojalności. – Spogląda na mnie, namyśla się. – Przedłożyłaś interesy rodu nad swoje własne. Kiedy będzie po wszystkim, żądaj nagrody, a ja dopilnuję, żebyś ją otrzymała.

Czuję ukłucie w sercu, bo nie jestem tą córką, której czyni obietnicę. Nie jestem tą, która byłaby mile widziana przy jego domowym ognisku, nie jestem tą, o którą by dbał i którą by darzył miłością.

Nie wiem, czego Taryn żądałaby dla siebie i dla dziecka, które nosi w brzuchu. Przypuszczam, że bezpieczeństwa, tej jedynej rzeczy, którą Madok w swoim mniemaniu dawno nam już zapewnił, tej jedynej rzeczy, której nigdy tak naprawdę nam dać nie może. Choćby bowiem składał nawet najświętsze przysługi, jest zbyt bezwzględny, żeby ktokolwiek na dłuższą metę mógł się przy nim czuć bezpiecznie.

Jeśli zaś o mnie chodzi, o bezpieczeństwie nawet nie może być mowy. Jeszcze mnie nie przyłapał, ale niedługo już zdołam ciągnąć tę grę pozorów. Chociaż nie jestem pewna, czy uda mi się przebyć śnieżny bezkres, postanawiam, że uciec muszę jeszcze tej nocy.



Oriana nadzoruje przygotowania do wieczerzy, a ja jej pomagam. Patrzę, jak razem z ziemniakami gotuje się na zupę pokrzywy, tak długo, aż przestaną parzyć. Przyglądam się ćwiartowaniu zwłok świeżo ustrzelonych jeleni, które dymią na mrozie; ich tłuszcz doda aromatu zieleninie. Każdy z obecnych ma własną miskę i kubek, a noszą je zaczepione u pasa niczym ozdoby. Podczas posiłku wręczają naczynia służącym i po chwili otrzymują je napełnione jedzeniem oraz rozwodnionym winem.

Madok posila się w towarzystwie swoich generałów, słysząc ich śmiech i głośne rozmowy. Zębaty Dwór trzyma się swoich namiotów, ich posiłki służba przygotowuje przy osobnym ogniu. Grimsen nie zasiada z generałami, tylko przy stole rycerzy słuchających z zajęciem jego opowieści o wygnaniu i królu Olszyn. Trudno nie spostrzec, że elfowie, którzy go otaczają, noszą jakby więcej ozdób niż inni.

Miejsce, w którym rozstawiono kotły i stoły, znajduje się na skraju obozowiska, bliżej góry. W oddali widzę dwóch strażników stojących u wejścia do jaskini; nie schodzą z warty, żeby razem z nami spożyć posiłek. Obok nich grzebią w śniegu dwa renifery, szukają widać smakowitych korzonków.

Sączę zupę, a w mojej głowie rodzi się pewna myśl. Kiedy więc Oriana mówi, że czas, byśmy wracały do namiotu, decyzja została już podjęta – ukradnę wierzchowca należącego do jednego z żołnierzy pilnujących grot. Tak będzie łatwiej, niż kraść w samym środku obozu, a jeśli coś pójdzie nie tak, trudniej też będzie mnie ścigać. Wciąż nie mam mapy,

mogę jednak podążać na południe, kierując się gwiazdami. Muszę mieć nadzieję, że natrafię na jakąś osadę śmiertelników.

Pijemy herbatę, otrzepuję się ze śniegu. Rozgrzewam palce na kubku gorącego naparu. Nie chcę wzbudzić podejrzeń, ale na mnie już pora. Muszę spakować jak najwięcej żywności i innych zapasów.

– Chyba bardzo zmarzłaś – stwierdza Oriana, przyglądając mi się. Ma białe włosy i tak jasną skórę, że wygląda, jakby była ze śniegu.

– Jestem tylko słabą, śmiertelną istotą – odpowiadam z uśmiechem. – To jeszcze jeden powód, by tęsknić za Wyspami.

– Wkrótce wrócimy do domu – zapewnia mnie Oriana. Nie może kłamać, a więc musi w to wierzyć. Musi wierzyć, że Madok odniesie zwycięstwo i zostanie Najwyższym Królem.

Wreszcie udaję się na spoczynek. Obmywam twarz, potem wtykam zapalki do jednej kieszeni, a nóż do drugiej. Kładę się na posłaniu i czekam, aż Oriana uśnie, odliczam sekundy i minuty, dopóki nie minie pół godziny. Potem wysuwam się spod przykrycia tak cicho, jak tylko umiem, wkładam stopy w buty. Do torby wrzucam ser, piętękę chleba i trzy pomarszczone jabłka. Zabieram śmierciosłód, który zebrałam w lesie i zawijam go w papier. Kieruję się do wyjścia, zgarniając jeszcze po drodze swoją ciepłą pelerynę. Wartę pełni tylko jeden rycerz, który akurat zabawia się struganiem fletu, siedząc przy ogniu. Pozdrawiam go skinieniem głowy.

– Pani? – mówi i wstaje.

Piorunuję go spojrzeniem. Nie jestem przecież więźniem. Przeciwnie, jestem córką wielkiego generała.

– Tak?

– Co mam powiedzieć pani ojcu, gdyby pytał, gdzie może panią znaleźć?

Pytanie nader dwornie zadane, ale gdybym udzieliła złej odpowiedzi, bez wątpienia padłyby kolejne, już mniej dworne.

– Powiedz mu, że udałam się do lasu, pragnąc ulżyć w nim swoim jelitom – odpowiadam.

Krzywi się, na co właśnie liczyłam. Nie zadaje więcej pytań, a ja zarzucam na ramiona płaszcz i idę. Zdaję sobie sprawę, że im dłużej to potrwa, tym większe wzbudzę podejrzania.

Do groty nie jest daleko, ale wielokrotnie potykam się w ciemnościach, a lodowaty wiatr z każdym krokiem dokucza coraz bardziej. Od obozowiska dochodzą odgłosy biesiady, muzyka i śpiew; pieśni goblinów o niepowetowanej stracie, tęsknotach i o zabijaniu. Ballady o królowych i królach, i błaznach.

U wejścia do jaskini stoi na baczność trzech strażników – o jednego więcej, niż się spodziewałam. Samo wejście jest długie i szerokie, przypomina rozwarłe w uśmiechu usta, a w mroku od czasu do czasu coś połyskuje, jakby gdzieś głęboko wewnątrz paliło się

światło. Dwa jasne renifery śpią opodal, zwinięte w kłębek na śniegu jak koty. Trzeci pociera porożem o pobliskie drzewo.

A więc tego ukradnę. Wystarczy zakraść się pomiędzy drzewa i zwabić zwierzaka jabłkiem. Już mam ruszyć, kiedy słyszę dobiegający z jaskini krzyk. Gęste, zimne powietrze niesie go i sprawia, że się odwracam.

Madok kogoś tu więzi.

Próbuję przekonać samą siebie, że to nie mój problem, ale kolejny rozpaczliwy krzyk odpędza te rozsądne myśli. Ktoś tam jest i cierpi. Muszę upewnić się, że nie jest to ktoś znajomy. Mięśnie już mi zeszytniały od zimna, więc idę powoli, szerokim łukiem, a potem wspinam się na skały bezpośrednio nad wejściem do jaskini.

Mój improwizowany plan polega na tym, żeby opuścić się prosto do wejścia, strażnicy bowiem patrzą głównie w przeciwnych kierunkach. Dzięki temu jestem dla nich niewidoczna aż do samego końca, natomiast ostatni ruch będę musiała wykonać naprawdę bezbłędnie, w przeciwnym wypadku natychmiast mnie zauważą.

Zaciskam zęby, wspominam nauki Ducha: idź powoli, zwracaj uwagę na każdy krok, trzymaj się cienia. Rzecz jasna przypominam też sobie, że mnie zdradził, ale przecież z tego powodu jego lekcje nie stały się mniej przydatne. Powoli opuszczam się na rękach, palce marzną mi nawet w rękawiczkach.

A potem wiszę i nagle uświadamiam sobie, że popełniłam fatalny błąd w kalkulacji – nie sięgam stopami do ziemi. Będę musiała zeskoczyć, a tego nie da się już zrobić bezgłośnie. Trzeba więc skupić się, żeby narobić jak najmniej hałasu i poruszać się jak najzwinniej. Oddycham głęboko i zwalням uchwyt na postrzępionej skalnej krawędzi. Słyszając skrzypnięcie śniegu pod moimi stopami, jeden ze strażników odwraca się, ale zdążyłam już dać nura w cień.

– Co to było? – pyta drugi strażnik.

Pierwszy spogląda w głąb jaskini. Nie wiem, czy mnie widzi.

Wstrzymuję oddech, zastygam w całkowitym bezruchu. Chyba jednak mnie nie dostrzegł, mam też nadzieję, że nie zdoła mnie wywęszyć. Zięb sprzyja mi, dzięki niemu się nie pocę.

Nóż mam pod ręką. Mówię sobie, że pokonałam Grimę Mog, jeśli więc przyjdzie mi walczyć ze strażnikami, też sobie poradzę.

Po chwili jednak strażnik kręci głową i wraca na swój posterunek, by dalej przysłuchiwać się pieśniom goblinów. Odczekuję chwilę, potem jeszcze kilka chwil, tak dla pewności. Dzięki temu moje źrenice zdążą przywyknąć do mroku. Powietrze pachnie kamieniem i lampką olejową. Cienie tańczą w końcu wiodącego w dół korytarza, kuszą mnie obietnicą światła.

Przemykam pośród stalagmitów i stalaktytów, czuję się, jakbym weszła do paszczy zębatego giganta. Wchodzę do nowej komory, muszę zmrużyć oczy od blasku pochodni.

– Jude? – rozlega się cichy głos.

Głos, który znam. To Duch.

Wychudzony, z bliznami wzdłuż obojczyków, leży na dnie jaskini, na nadgarstkach ma kajdany, a odchodzące od nich łańcuchy przykute są do metalowych płyt umocowanych w skale. Otaczają go pochodnie. Spogląda na mnie wielkimi orzechowymi oczami.

Było mi zimno, ale teraz jest jeszcze zimniej. Ostatnie słowa, które od niego usłyszałam, tuż przed tym, jak zawleczono mnie na dno morza, gdzie spędziłam długie tygodnie – przerażona, wygłodzona i samotna, brzmiały: *Służyłem księciu Dainowi. Nie tobie. A tu, proszę, pomimo tego wszystkiego, pomimo zdrady, pomimo że to on unicestwił Dwór Cieni, wymawia moje imię ze zdziwieniem, jakby ujrzał kogoś, kto może go ocalić.*

Przychodzi mi na myśl, że mogłabym dalej udawać Taryn, ale przecież nie uwierzy, że moja siostra bliźniaczka zdołała przekraść się obok strażników. Bądź co bądź, to on nauczył mnie tak się poruszać.

– Byłam po prostu ciekawa, co Madok tu kryje – mówię, dobywając noża. – Jeżeli rozważasz przywołanie straży, to powinieneś wiedzieć, że nie poderznięłam ci jeszcze gardła wyłącznie dlatego, że mógłbyś narobić hałasu.

Duch spogląda na mnie z cierpkim uśmiechem.

– Pewnie, że narobiłbym hałasu. Okropnego hałasu. Byle tylko zrobić ci na złość.

– A więc to taką otrzymałeś nagrodę za swoje usługi. – Rozglądam się po jaskini. – Mam nadzieję, że zdrada sama w sobie była dla ciebie wystarczającą nagrodą.

– Naśmiewaj się ze mnie ile chcesz – jego głos brzmi łagodnie. – Zasłużyłem. Wiem, co zrobiłem, Jude. Byłem głupcem.

– A więc dlaczego to zrobiłeś?

Wiem, że okazuję słabość, zadając to pytanie. Rzecz w tym, że ufałam Duchowi, więc chcę wiedzieć, dlaczego aż tak bardzo się pomyliłam. Czy nienawidził mnie przez cały czas, kiedy ja uważałam go za przyjaciela? Czy może razem z Cardanem naśmiewał się z mojej naiwności?

– Pamiętasz? Powiedziałem ci kiedyś, że to ja zabiłem matkę Dęba.

Przytakuję. Liriopie została otruta grzybem rumienia, by zatuszować fakt, że będąc kochanką Najwyższego Króla, zaszła w ciążę z księciem Dainem. Gdyby Oriana nie wydobyła niemowlęcia z łona Liriopy, dziecko także by umarło. To paskudna historia i chętnie bym o niej zapomniała, chociaż dotyczy mojego braciszka.

– Pamiętasz, jak na mnie spojrzałaś, kiedy zrozumiałaś, co zrobiłem?

To było dzień albo dwa po krwawej koronacji. Wzięłam księcia Cardana do niewoli. Wciąż jeszcze byłam w szoku. Próbowałam odgadnąć, na czym polega spisek Madoka. Ogarnęło mnie przerażenie, gdy dowiedziałam się, że Duch dopuścił się takiej potworności,

ale w tamtym czasie zgroza była dla mnie chlebem powszednim. Mimo to grzyb rumienia to koszmarna śmierć, a mój braciszek również omal nie został zamordowany.

– To mnie zaskoczyło.

Kręci głową.

– Nawet Karakan oniemiał. Nie wiedział o tym.

– I to dlatego nas zdradziłeś? Uznałeś, że pochopnie cię osądzamy? – pytam z niedowierzaniem.

– Skąd. Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę. – Duch wzdycha. – Zabiłem Liriope, bo księżę Dain sprowadził mnie do swojej krainy, zapewnił mi utrzymanie i cel w życiu. Poczucie lojalności wobec dobroczyńcy kazało mi to zrobić, ale potem przeraziła mnie potworność tego czynu. W rozpaczy udałem się do chłopca, który w moim mniemaniu był jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem Liriope.

– Do Lokiego – dopowiadam w otępieniu.

Zastanawiam się, czy po koronacji Cardana Loki uświadomił sobie, że Dąb musi być jego przyrodnim bratem. A jeśli tak, to czy cokolwiek go to obeszło, czy choć raz wspomniał o tym Taryn.

– Przytłoczony poczuciem winy – ciągnie Duch – ofiarowałem mu swoją opiekę. Oraz swoje imię.

Twoje... – zaczynam, ale Duch mi przerywa: – To prawdziwe.

Pośród elfów prawdziwe imię jest najściślej strzeżonym sekretem. Prawdziwe imię pozwala zapanować nad każdym z nich skuteczniej niż jakiegokolwiek przysięgi. Trudno uwierzyć, że Duch dobrowolnie oddał się komuś we władzę aż tak bez reszty.

– Co kazał ci robić?

– Przez wiele lat nic. Potem jakieś drobiazgi. Szpiegować tych i owych. Myszkować w poszukiwaniu ich sekretów. Dopóki nie kazał mi cię zabrać do Wieży Zapomnienia i pozwolić, żeby porwali cię siepacze Toni, sądziłem, że to tylko psoty, nic groźnego.

Nicassia musiała o nim wiedzieć i poprosić go o tę przysługę. Nic dziwnego, że Loki i jego przyjaciele czuli się na tyle bezpiecznie, żeby tamtej nocy przed ślubem urządzić sobie łowy, w których byłam zwierzyną. Wiedział, że następnego dnia już mnie nie będzie.

Rozumiem jednak, co Duch miał na myśli. Też zawsze sądziłam, że Loki jest po prostu nieznośnym figlarzem, nawet gdyby jego psoty miały oznaczać moją śmierć.

– To jednak nie tłumaczy, skąd się tutaj wziąłeś.

Widzę, że Duch stara się mówić normalnym głosem, nie tracić panowania nad sobą.

– Po Wieży próbowałem uciec jak najdalej od Lokiego, żeby nie mógł mi już wydać żadnego rozkazu. Ale rycerze pojмали mnie, gdy usiłowałem opuścić Insmire. Dopiero

wtedy dowiedziałem się, co zrobił Loki: podarował moje imię twojemu ojcu. W zamian za rękę twojej siostry i miejsce przy stole, kiedy tylko Balekin obejmie władzę.

Szybki wdech.

– Madok zna twoje prawdziwe imię?

– Źle, prawda? – Śmieje się głucho. – To, że się zjawiaś, jest od długiego czasu pierwszym szczęśliwym dla mnie zdarzeniem. Szczęśliwym, chociaż wiemy oboje, co musi teraz nastąpić.

Pamiętam, jak starannie formułowałam polecenia dawane Cardanowi, żeby nie mógł się od nich wykręcić ani mi się wymknąć. Madok bez wątpienia także dołożył wszelkich starań i niczego nie zaniedbał. To dlatego Duch uważa, że pozostało mu już tylko jedno wyjście.

– Wyciągnę cię stąd – mówię. – A wtedy...

Przerywa mi:

– Pokażę ci, jak to zrobić, żeby sprawić mi najmniej bólu. I pokażę ci, jak sprawić, żeby wyglądało, że sam to zrobiłem.

– Sam się odgrażałeś, że narobisz hałasu, byle tylko zrobić mi na złość – przypominam, udając, że nie mówi poważnie.

– Musiałem – odpowiada z uśmieszkiem. – Musiałem ci o tym wszystkim opowiedzieć. Ktoś musiał poznać prawdę, nim umrę. A teraz stało się. Pozwól, że udzielę ci tej ostatniej lekcji.

– Czekaj – mówię i podnoszę dłoń. Potrzebuję chwili, żeby to przemyśleć.

On zaś przekonuje mnie bezlitośnie dalej:

– Być stale w czyimś władaniu to nie jest życie. Być zdanym na każdy kaprys i zachciankę... Wiem o géisie, którego zażądałaś od księcia Daina. Wiem, że byłaś gotowa zabić, żeby go otrzymać. Teraz żaden czar się ciebie nie ima, ale przecież pamiętasz, że nie zawsze tak było. Dobrze wiesz, czym jest poczucie bezsilności.

Oczywiście, że wiem. Nie mogę też zapomnieć śmiertelnej dziewczyny na służbie u Balekina. Pamiętam o Sophie i jej kieszeniach pełnych kamieni. O Sophie, która przepadła w Toni. Wzdrygam się na to wspomnienie, nim udaje mi się je odegnąć.

– Przestań dramatyzować.

Otwieram torbę i siadam na ziemi, żeby pokroić ser, jabłka i chleb.

– Jeszcze nie wszystko przepadło. Jesteś na wpół zagłodzony, a przydałbyś mi się żywy. Choćby po to, żeby zaczarować łądygę krwawnika, wtedy moglibyśmy się stąd ulotnić. Tyle przynajmniej jesteś mi winny.

Chwyta kawałki sera i jabłka, wpycha je do ust. Ja tymczasem przyglądam się jego łańcuchom. Czy zdołałabym rozgiąć ich ogniwa? Dostrzegam otwór, który wygląda dokładnie jak dziurka od klucza.

– Knujesz – stwierdza Duch, widząc, czemu się przyglądam. – Grimsen tak je sporządził, że żadne ostrze ich nie przetnie, chyba że byłoby zahartowane równie potężną magią.

– Ja zawsze knuję – przypominam mu. – Co wiesz o planach Madoka?

– Niewiele. Zbrojni przynoszą mi jedzenie i ubrania na zmianę. Pozwalają mi się kąpać tylko pod strażą całego oddziału. Raz odwiedził mnie Grimsen, przyglądał mi się, lecz nie odezwał się ani słowem, nawet kiedy na niego krzyczałem.

To nie w stylu Ducha, żeby krzyczeć. Żeby krzyczeć tak, jak musiał krzyczeć, kiedy go usłyszałam, bo musiał to być krzyk czarnej rozpaczy.

– Kilkakrotnie Madok wypytywał mnie o Dwór Cieni, o pałac, o Cardana i panią Ashę, o Daina. Nawet o ciebie. Wiem, że szuka słabych punktów, że chciałby móc manipulować każdym.

Duch sięga po kolejny plasterek jabłka i nagle nieruchomieje. Patrzy na jedzenie, jakby dopiero teraz tak naprawdę je zauważył.

– Dlaczego miałaś to wszystko przy sobie? Dlaczego na wycieczkę do jaskini wzięłaś wałówkę?

– Zamierałam uciec – przyznaję. – Dzisiaj. Teraz. Zanim odkryją, że jestem nie tą siostrą, za którą się podaję.

Patrzy na mnie z przerażeniem.

– A więc uciekaj, Jude. Zmykaj. Nie możesz tu zostać tylko dla mnie.

– Jest dokładnie odwrotnie, to ty pomożesz mi się stąd wydostać – powtarzam. Nie daję mu dojść do głosu, kiedy chce się ze mną spierać. – Jeszcze jeden dzień jakoś przetrwam. Powiedz mi, jak się otwiera twoje kajdany.

Patrzy na mnie i widzi, że mówię poważnie.

– Grimsen ma klucz – odpowiada, odwracając wzrok. – Ale lepiej przysłużyłabyś się samej sobie, używając noża.

Najgorsze, że przypuszczalnie ma rację.



Kiedy wracam do namiotu, strażnika już przed nim nie ma. Stwierdzam, że szczęście mi sprzyja. Uchylam więc klapę, mając nadzieję, że zdołam przekraść się do swojego legowiska, zanim Madok wróci do domu, po zakończeniu narady ze swoimi dowódcami.

Spotyka mnie jednak przykra niespodzianka – wewnątrz palą się świece, przy stole siedzi Oriana i z całą pewnością nie śpi. Zamieram w bezruchu.

Oriana wstaje, załamuje ręce.

– Gdzieś ty była?

– No... – odpowiadam, zastanawiając się gorączkowo, co Oriana już wie i w co może uwierzyć. – Pewien rycerz poprosił mnie o spotkanie pod gwiazdami, więc...

Oriana unosi dłoń.

– Odprawiłam strażnika, żeby nie mógł się wygadać. Ale nie obrażaj mnie więcej kłamstwami. Ty nie jesteś Taryn.

A więc wydało się. Ogarnia mnie przerażenie. Chciałabym natychmiast uciec, ale muszę pamiętać o Duchu. Jeśli teraz zniknę, moje szanse na zdobycie klucza staną się żałośnie nikłe. Nie uratuję go. No i prawdopodobieństwo, że zdołam uratować siebie samą, zmaleje do zera.

– Nie mów nic Madokowi – mówię, licząc wbrew wszelkiej nadziei, że zdołam ją jakoś przekonać, by stanęła po mojej stronie. – Proszę. Nie zamierzałam się tu zjawić, ale Madok

odurzył mnie trucizną i przywiózł wbrew mojej woli. Udawałam Taryn tylko dlatego, że udawałam ją już w Elfhame.

– Skąd mogę wiedzieć, czy nie kłamiesz? – Jej różowe oczy przyglądają mi się nieufnie, bez mrugnięcia powieką. – Skąd mogę wiedzieć, że nie jesteś tu po to, żeby go zamordować?

– Nie mogłam przecież wiedzieć, że Madok zechce odbić Taryn – tłumaczę cierpliwie. – Jestem tutaj, bo nie wiem, jak stąd uciec. Próbowałam dzisiaj, ale okazało się to niemożliwe. Pomóż mi – nalegam. – Pomóż mi, a już nigdy więcej nie będziesz musiała mnie oglądać.

Spogląda na mnie, jakbym przedstawiła jej nadzwyczaj kuszącą perspektywę.

– Jeżeli odejdziesz, on zgadnie, że odbyło się to z moim udziałem.

Potrząsam głową, szukam rozwiązań.

– Napisz do Vivi. Ona może mnie stąd zabrać. Zostawię notkę, że wybrałam się z wizytą do niej i do Dęba. Madok może nigdy się nie dowiedzieć, że tak naprawdę Taryn tu nie było.

Oriana odwraca się, nalewa do szklaneczek ziołowy napar o głęboko zielonej barwie.

– Dąb. Martwię się, że śmiertelny świat odmieni go nie do poznania.

Chce mi się krzyczeć, gdy tak nagle i bez sensu zmienia temat, ale zmuszam się do zachowania spokoju. Widzę go oczami wyobraźni, jak zajada się różnokolorowymi chrupkami.

– Mnie też to czasem martwi.

Podaje mi delikatne naczynie.

– Jeśli Madok zdoła zostać Najwyższym Królem, wtedy Dąb będzie mógł wrócić. Nie będzie już stał między Madokiem a Koroną. Będzie bezpieczny.

– Sama mnie ostrzegałaś, że niebezpiecznie jest przebywać zbyt blisko króla, pamiętasz?

Czekam, aż ona upije łyk, zanim skosztuję naparu. Jest gorzki i trawiasty, w następnej chwili na moim języku rozplývają się smaki rumianku, pokrzywy i tymianku. Krzywię się, ale w sumie napój wcale nie jest taki zły.

Oriana spogląda na mnie z urazą.

– Ty z pewnością postępowałaś tak, jakbyś o tym nie pamiętała.

– Prawda – przyznaję. – I słono za to zapłaciłam.

– Nie zdradzę twojego sekretu, Jude. I wyślę wiadomość do Vivi. Nie zamierzam jednak w żaden sposób przeciwstawić się Madokowi, ty również nie powinnaś. Chcę, żebyś mi to obiecała.

Jestem królową na Elfhame i to Madok mnie się przeciwstawia. Z jakąż rozkoszą poinformowałabym o tym Oriane, która tak mnie lekceważy. Miło o tym pomyśleć, ale gdyby Madok się dowiedział, miałabym całkiem inne kłopoty niż teraz. Posłużyłby się mną.

Chociaż tak bardzo się bałam, przebywając w jego obozie, okazuje się, że powinnam była obawiać się o wiele bardziej.

Patrzę Orianie prosto w oczy i kłamię równie szczerze, jak robiłam to zawsze:

– Obiecuję.

– Doskonale – mówi. – Wytlumacz mi teraz, dlaczego zakradłaś się do Elfhame przebrana za Taryn?

– Dlatego, że mnie o to poprosiła – wyjaśniam, czekam, aż zrozumie.

– Ale dlaczego... – zaczyna Oriana i nagle przerywa. Potem dodaje, ale już jakby mówiła tylko do siebie: – No tak, przesłuchanie.

Upijam kolejny łyk ziołowego napoju.

– Martwiłam się o twoją siostrę. Była całkiem sama na dworze Najwyższego Króla – mówi Oriana, ściągając jasne brwi. – Reputacja jej rodu legła w gruzach, ponadto do pałacu powróciła pani Asha, która bez wątpienia umacnia swoje wpływy, odkąd jej syn zasiadł na tronie.

– Pani Asha? – powtarzam.

Nie przyszło mi do głowy, że matka Cardana może być jakimś szczególnym zagrożeniem dla Taryn.

Oriana wstaje po przybory do pisania. Zaczyna pisać list do Vivi. Po kilku liniijkach podnosi wzrok.

– Nie przypuszczałam, że powróci.

To właśnie dzieje się z kimś, kto zostanie wtrącony do Wieży Zapomnienia. Czeką go zapomnienie.

– Była dwórką mniej więcej w tym samym czasie co ty, prawda?

To najmniej zawoalowany sposób, by powiedzieć, że Oriana również była kochanką Najwyższego Króla. Co prawda nie dała mu potomka, ale z pewnością słyszała wiele plotek. Skoro nie spodziewała się powrotu Ashy, musiała mieć jakiś powód.

– Nie wiem, czy wiesz, ale twoja matka przyjaźniła się kiedyś z panią Ashą. Eva bardzo ceniła jej przewrotność. Nie mówię tego, żeby cię zranić, Jude. To cecha, która nie jest warta ani potępienia, ani uznania.

Znałam twoją matkę. To pierwsze, co usłyszałam od pani Ashy. *Znałam tak wiele jej małych sekretów.*

– Nie wiedziałam, że i ty znałaś moją matkę.

– Niezbyt dobrze. I nie za bardzo wypada mi o niej opowiadać.

– Nie proszę cię o to – mówię, chociaż bardzo chciałabym poprosić.

Inkaust skapuje z czubka pióra Oriany, nim je odkłada i pieczętuje list do Vivienne.

– Pani Asha była piękna i spragniona względów Najwyższego Króla. Ich romans trwał krótko i Eldred z pewnością sądził, że pójście z nią do łożnicy nie przyniesie żadnych owoców. Łatwo było się domyślić, że martwią go narodziny tego dziecka; co prawda mogło to wynikać też z przepowiedni.

– Co to za przepowiednia? – Pamiętam, że i Madok coś o tym wspominał, kiedy próbował namówić mnie, żebyśmy połączyli siły.

Oriana lekko wzrusza ramionami.

– Najmłodszy z książąt urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Jednak mimo to był księciem, a po jego narodzinach Asha zyskała poczesną pozycję na dworze. Była niszczycielską siłą. Pożądała uwielbienia. Pragnęła przygód, przeżyć, triumfów, a wszystko to rodzi konflikty, bo pragnęła też mieć wrogów, aby móc nad nimi triumfować. Byłaby bezlitosna wobec kogoś pozbawionego wsparcia przyjaciół, jak chociażby wobec twojej siostry.

Chciałabym wiedzieć, czy była kiedyś bezlitosna również wobec Oriany.

– Słyszałam, że niezbyt troskliwie opiekowała się księciem Cardanem – mówię, mając w pamięci kryształową kulę z komnaty Eldreda i zaklęte w niej wspomnienie.

– Nie można powiedzieć, żeby go nie stroiła w aksamity czy futra, tylko że potem już nie zwracała uwagi na jego strój, przynajmniej tak długo, aż stawał się łachmanem. I nie można powiedzieć, że nie karmiła go najdelikatniejszymi kąskami mięsa i ciasta, ale zapominała o nim na tak długo, że musiał podkraść jedzenie. Myślę, że nie kochała go, ale myślę też, że w ogóle nikogo nie kochała. Raz był rozpieszczany, pojony winem i zachwycono się nim, a zaraz potem zapominano o nim. Przy tym wszystkim, jeśli pozostając pod jej opieką, był zły, to bez niej stał się jeszcze gorszy. Oboje są wykrojeni z tej samej materii.

Przykro mi myśleć o tak samotnym życiu, o gniewie, o pragnieniu miłości.

Dla wygłodniałego nie ma zbyt obfitej uczy.

– Jeśli szukasz przyczyn, dla których cię zawiódł – dodaje Oriana – to wiedz, że księżę Cardan od samego początku był jednym wielkim rozczarowaniem.



Tej nocy Oriana wypuszcza śnieżną sowę z listem przywiązany do łapy. Gdy ptak wzbija się w mroźne niebo, we mnie budzi się nadzieja.

Później zaś, leżąc już na posłaniu, snuję plany, jak nie czyniałam tego od dnia mojego wygnania. Jutro ukradnę Grimsenowi klucz, a odchodząc, zabiorę Ducha ze sobą. Dzięki temu, co wiem o projektach Madoka, jego sprzymierzeńcach i armii, wymuszę na Cardanie układ – nakłonię go do odwołania mojego wygnania i śledztwa w sprawie Taryn. Nie dam się omamić listami, których nigdy nie dostałam, ani jego spojrzeniem, jak wtedy, kiedy

byliśmy przez chwilę sami w jego komnacie. I nie dam się zwieść teoriom mojego ojca na temat jego słabości.

Niestety, od chwili obudzenia się Oriana nieustannie mi towarzyszy. Z pewnością ufa, że nie zdradzę naszego wspólnego teraz już sekretu, ale nie na tyle jednak, by pozwolić mi wałęsać się samopas po obozie. W końcu wie już, kim naprawdę jestem.

Każe mi rozłożyć mokre pranie przy ogniu, pozbierać groch, który suszył się na kamieniach, poskładać koce. Próbuję nie wykonywać jej poleceń zbyt szybko, nie mogę jednak nie dostrzec, że nagle znalazło się dla mnie mnóstwo pracy. Kiedy jeszcze byłam Taryn, nie wynajdywała dla mnie żadnych zajęć. Nie powinna jednak wiedzieć, jak ciężko mi pogodzić się z faktem, że tracę czas. Swędzą mnie palce, żeby już, natychmiast ukraść Grimsenowi klucz.

Wreszcie, gdy zaczyna zapadać zmrok, mogę odetchnąć.

– Zanieś to swojemu ojcu – nakazuje Oriana, stawiając na stole tacę z dzbankiem pokrzywowego naparu, zawiniątkiem biszkoptów i słoiczkiem pełnym powideł. – Do generalskiego namiotu. Wyraźnie prosił, żebyś właśnie ty mu to zaniósła.

Narzucam pelerynę, starając się nie okazać zbytnej gorliwości. Nagle dociera do mnie sens ostatniego zdania. Na zewnątrz czeka na mnie żołnierz, co tym bardziej budzi mój niepokój. Oriana obiecała, że nie powie o mnie Madokowi, ale to jednak nie znaczy, że nie wydała mnie w jakiś inny sposób. I nie znaczy też, że Madok sam z siebie tego nie odgadł.

Namiot generalski jest wielki, są też w nim wszystkie te mapy, których nie ma w namiocie Madoka. Gęsto w nim od żołnierzy zasiadających na polowych stołkach z koziej skóry, niektórzy w zbrojach, inni nie. Kiedy wchodzę, kieruje się ku mnie kilka spojrzeń, potem jednak ich oczy się odwracają, nie zwracają na mnie uwagi, tak samo, jak gdyby weszła służąca.

Stawiam tacę, nalewam napar do kubka. Udaję, że nie widzę rozłożonej przed nimi mapy. Od razu jednak rzucają mi się w oczy maleńkie drewniane stateczki płynące przez morze w stronę Elfhame.

– Wybacz – mówię i stawiam kubek pokrzywowej herbaty przed Madokiem.

Uśmiecha się do mnie pobłaźliwie.

– O, Taryn, doskonale. Właśnie przyszło mi na myśl, że powinnaś mieć własny namiot. Jesteś wdową, a nie dzieckiem.

– To... to bardzo uprzejme z twojej strony – mówię, zaskoczona.

To rzeczywiście bardzo uprzejme, a jednak nie mogę się nie zastanawiać, czy nie jest to posunięcie podobne do tych ruchów na szachownicy, które wyglądają tak niepozornie, a w rezultacie prowadzą do zaszachowania przeciwnika.

Pije herbatę, jest zadowolony z siebie, jak przystało na kogoś, kto ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie, lecz miło mu, gdy może wcielić się w rolę ojca rozpieszczającego

córeczkę.

– Mówiłem przecież, że twoja lojalność zostanie wynagrodzona.

Nie mogę nie dostrzegać, jak wszystko, co mówi i co robi, może mieć drugi, ukryty sens.

– Pozwól tutaj. – Madok przywołuje jednego z rycerzy. Goblin w lśniącej złotej zbroi kłania się wytwornie. – Znajdź dla mojej córki namiot i dopilnuj, żeby go odpowiednio wyposażono. Niech znajdzie się w nim wszystko, czego jej będzie potrzeba. – Potem przedstawia mi go: – To jest Alver. Nie zdręczaj go zbytnio.

Nie leży w tutejszym zwyczaju, by dziękować, całuję więc tylko Madoka w policzek.

– Jesteś dla mnie zbyt dobry.

Prycha, uśmiecha się lekko, pokazując ostre zęby. Nim udaję się za Alverem, pozwalam sobie na jedno zerknięcie w stronę mapy – i modeli statków płynących przez papierowe morze – jeszcze jeden, jedyny raz.

Godzinę później zajmuję już obszerny namiot rozstawiony w pobliżu namiotu Madoka. Oriana spogląda podejrzliwie, kiedy przychodzę po swoje rzeczy, ale nie sprzeciwia się. Przynosi mi nawet ser i chleb, kładzie jedzenie na malowanym stole, w który wyposażono moją nową siedzibę.

– Nie wiem, po co zadajesz sobie tyle trudu w urządzanie tego namiotu – mówi po odejściu Alvera. – Jutro już cię tu nie będzie.

– Jutro?

– Dostałam wiadomość od twojej siostry. Zjawi się po ciebie przed świtem. Macie się spotkać w pobliżu obozowiska, tam są skały, pośród których Vivi może się ukryć i bezpiecznie na ciebie czekać. Pamiętaj o liście do twojego ojca i postaraj się, żeby był przekonujący.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniam.

Ściąga usta, tak że tworzą cienką kreskę. Zapewne powinnam być jej wdzięczna, ale za bardzo mi dopiekła. Gdybym przez nią nie zmarnowała większej części dnia, czekałby mnie znacznie mniej gorączkowy wieczór.

Muszę sobie jakoś poradzić ze strażnikami pilnującymi Ducha. Tym razem nie mogę liczyć na to, że uda mi się między nimi przekraść.

– Możesz dać mi trochę papieru? – pytam.

Zgadza się, więc odprowadzam ją do namiotu Madoka, przy okazji zabieram też bukłak pełny wina.

Gdy zostaję sama w moim nowym namiocie, kruszę liść śmierciosłodu i dodaję kilka kawałków do wina, żeby moczyły się co najmniej godzinę, zanim je wyciągnę. To powinno ich uspić na co najmniej dzień i noc, ale ich nie zabije. Wciąż pamiętam o tym, że mój czas się kurczy, więc robię to wszystko w pośpiechu, nerwowo.

– Taryn? – Madok odchyła klapę mojego namiotu, a ja aż podskakuję.

Rozgląda się, patrzy z uznaniem na dowody własnej wspaniałomyślności. Potem patrzy na mnie i marszczy brwi.

– Wszystko w porządku?

– Po prostu mnie przestraszyłeś.

– Chodź na wieczerzę – zaprasza.

Przez ułamek chwili próbuję wymyślić jakiś wykręt, wystarczający powód, żeby zostać, a potem wymknąć się do kuźni Grimsena. Nie mogę jednak pozwolić sobie na to, żeby wzbudzić w nim jakiegokolwiek podejrzenia. Nie teraz, kiedy nadchodzi czas mojej ucieczki. Trudno, zrobię to późną nocą, lecz na długo przed świtem.

Tak więc wybieram się na ostatni posiłek w towarzystwie Madoka. Nakładam odrobinę rózu na policzki, spletam włosy w świeży warkocz. I jestem tego wieczoru wyjątkowo miła, okazuję mu szacunek i śmieję się wyjątkowo głośno, bo to z pewnością ostatni taki wieczór. Nigdy już nie będzie się tak wobec mnie zachowywał. Dziś jednak jest jeszcze moim ojcem, takim, jakiego najlepiej pamiętam; ojcem, w którego cieniu – na dobre i na złe – stałam się tą, którą jestem.



Budzi mnie czyjaś dłoń na moich ustach. Wałę na oślep łokciem tam, gdzie musi się znajdować napastnik i z satysfakcją stwierdzam, że gwałtownie chwyta oddech, jakby udało mi się trafić go w czuły punkt. Po mojej lewej stronie rozlega się stłumiony śmiech. A więc jest ich dwóch. Jeden z nich nie sprawia wrażenia przejętego, co bardzo mi się nie podoba. Sięgam pod poduszkę po nóż.

– Jude – słyszę głos chichoczącego Karakana. – Przybyliśmy, żeby cię ocalić. Jeśli podniesiesz wrzask, zrujnujesz cały plan.

– Masz szczęście, że nie oberwałeś nożem! – mówię bardziej szorstkim tonem, niż zamierałam, gniewem maskując strach.

– Mówiłem, żebyś uważał – to znów głos Karakana. Potem w ciszy rozlega się ostry dźwięk i rozbłyska światło z małego pudełka, ukazując dziobate goblinowe oblicze. Szczyrzy zęby w uśmiechu. – Ale kto by mnie słuchał? Wydałbym mu rozkaz, lecz z tym bywa mały kłopot, kiedy ma się do czynienia z Najwyższym Królem.

– Cardan cię przysłał? – pytam.

– Tylko w pewnym sensie – odpowiada Karakan, podnosi światło tak, żebym ujrzała, kto mu towarzyszy, to znaczy tego, który oberwał ode mnie łokciem. To Najwyższy Król na Elfhame w zwykłej opończy z brązowej wełny i w płaszczu tak czarnym, że niemal pochłaniającym światło. U boku przypasał kordelas o głównej w kształcie długiego liścia, na skroniach nie ma korony, na palcach nie ma pierścieni, nie ma też złotej farby na policzkach.

W każdym calu przypomina za to szpiega z Dworu Cieni, nie wyłączając przebiegłego uśmiešku czającego się w kąciku jego pięknych ust.

Patrząc na niego, doznaję czegoś w rodzaju zawrotu głowy, a to z powodu jednoczesnego zaskoczenia i niedowierzania.

– Nie powinno cię tu być.

– To samo mówiłem, to samo – podchwytuje Karakan. – Doprawdy, dobre to były czasy, kiedy ty rządziłaś. Najwyższy Król nie powinien się szlajać jak jakiś zwykły prostak.

Cardan chichocze.

– A co powiesz o niezwykłym prostaku?

Opuszczam nogi poza krawędź łóżka, on śmieje się jeszcze głośniej.

Karakan ostentacyjnie spogląda w górę. Nagle zdaję sobie sprawę, że mam na sobie pożyczoną od Oriany koszulę nocną, która jest niemal przezroczysta. W jednej chwili moje policzki płoną ze złości, nawet nie czuję chłodu.

– Jak mnie znaleźliście?

Przechodzę przez namiot, po omacku odnajduję suknię i wciągam ją na strój nocny. Nóż zatykam za pas.

Karakan zerka w stronę Cardana.

– Twoja siostra Vivienne. Przyszła do Najwyższego Króla z wiadomością od twojej macochy. Obawiała się, że to pułapka. Ja też się obawiałem pułapki. Pułapki zastawionej na niego. A może nawet na mnie we własnej osobie.

A więc to dlatego podjęli wysiłek, by zjawić się w momencie, kiedy najbardziej potrzebuję pomocy. Tylko dlaczego w ogóle się zjawili? Biorąc pod uwagę różne brzydkie rzeczy, które moja siostra mówiła o Cardanie, jak doszło do tego, że aż tak mu zaufała?

– Vivi? Przyszła do ciebie?

– Właściwie to ja ją odwiedziłem po tym, jak Madok wyniósł cię z pałacu – prostuje Cardan. – I kogóż to zastałem w jej skromnym mieszkanku? Taryn. Wszyscy mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

Próbuję sobie wyobrazić Najwyższego Króla w śmiertelnym świecie – jak staje przed naszym blokiem, a potem stuka do drzwi. Ciekawe, co wtedy miał na sobie. I czy potem siedział na zapadającej się kanapie i pił kawę, jakby nigdy nic, jakby nie gardził wszystkim wokół?

Czy ułaskawił Taryn tak, jak mnie nie ułaskawił?

Przypomina mi się to, co mówił Madok. Że Cardan pragnie miłości. Już wtedy wydało mi się to bzdurą, a teraz jestem tego pewna. Oczarowuje tylko wszystkich, włączając w to moje siostry. Jest jak grawitacja, przyciąga do siebie wszystko.

Ja jednak już tak łatwo nie dam się nabrać. Jeśli się tu znalazł, to znaczy, że ma w tym jakiś własny cel. Może nie życzy sobie, żeby jego królowa wpadła w ręce wroga, bo to dla niego zbyt niebezpieczne. A to by znaczyło, że mam nad nim władzę. Muszę tylko dowiedzieć się dokładnie, o co chodzi, a potem znaleźć sposób, żeby wykorzystać ją przeciwko niemu.

– Jeszcze nie mogę z wami iść – mówię, wciągając grube spodnie, potem ciężkie buciory. – Mam jeszcze coś do załatwienia. I jest coś, co chciałabym od ciebie dostać.

– A nie mogłabyś tak po prostu pozwolić się uratować? – proponuje Cardan. – Ten jeden, jedyny raz.

Nawet w prostym odzieniu, nawet z gołą głową jest w każdym calu królem i nie mogę tego nie dostrzec. A kiedy król chce cię czymś obdarzyć, nie wolno odmówić.

– A nie mógłbyś mi po prostu dać tego, co chcę? – odparowuję.

– A co to ma być? – pyta Karakan. – Postawmy sprawę jasno, Jude. Twoje siostry i ich przyjaciółka czekają przy koniach. Musimy się pośpieszyć.

Moje siostry? Obie? I co to za przyjaciółka, czyżby Heather?

– Pozwoliliście im na to?

– Nalegały, a ponieważ to one wiedziały, gdzie jesteś, nie mieliśmy wyboru.

Karakan wyraźnie jest niezadowolony z zaistniałego stanu rzeczy. Nic dziwnego. Niebezpiecznie jest pracować z kimś, kto nie został odpowiednio przeszkolony. Niebezpiecznie jest mieć za towarzysza broni Najwyższego Króla. A robi się naprawdę groźnie, kiedy osoba, którą masz przejąć – która zresztą może być zdrajczynią – usiłuje zmieniać twój plan.

Jednak to już jego problem, nie mój. Podchodzę, odbieram mu światło, dzięki któremu mogę odnaleźć bukłak pełny wina.

– Zaprawione jest usypiającą dawką zielska. Zamierzałam zanieść je strażnikom, ukraść klucz i uwolnić więźnia. Mieliśmy uciec razem.

– Więźnia? – powtarza Karakan pytającym tonem.

– Widziałam mapy w namiocie sztabowym Madoka – informuję ich. – Wiem, w jakim szyku mają poruszać się okręty skierowane przeciwko Elfhame i wiem, ile ich jest. Wiem, jacy żołnierze są w tym obozie i które dwory opowiedziały się po stronie Madoka. Wiem, nad czym pracuje Grimsen w swojej kuźni. Jeżeli Cardan obieca mi nietykalność w Elfhame i odwoła moje wygnanie, to kiedy się tam znajdziemy, przekażę wam wszystkie te informacje. W dodatku dostaniecie w swoje ręce więźnia, zanim zostanie on wykorzystany przeciwko wam.

– Jeśli mówisz prawdę – zauważa Karakan. – Jeśli nie próbujesz nas zwabić do sporządzonej przez Madoka matni.

– Działam na swój własny rachunek – odpowiadam. – Kto jak kto, ale ty powinieneś mnie znać.

Karakan spogląda na Cardana. Najwyższy Król patrzy na mnie dziwnie, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymuje.

Wreszcie odzywa się:

– Jesteś śmiertelniczką, Jude, więc nie mogę polegać na twoich obietnicach, ty jednak możesz polegać na moich: gwarantuję ci całkowite bezpieczeństwo. Wróć ze mną do Elfhame, a otrzymasz ode mnie sposób na zakończenie twojego wygnania.

– Sposób? To żart?

Jeżeli on myśli, że zgodzę się na coś takiego, to już zupełnie zapomniał wszystko, co o mnie wie.

– Wróć do Elfhame, powiedz mi, co masz do powiedzenia, a twoje wygnanie się skończy – mówi. – Obiecuję.

Ogarnia mnie poczucie triumfu, ale natychmiast uświadamiam sobie, że może być ono przedwcześnie. Już raz mnie oszukał. Gdy tak stoję przed nim i przypominam sobie, jak uwierzyłam, że jego oferta małżeństwa jest zupełnie szczerą, czuję się małeńka, wręcz zredukowana do minimum – i bardzo śmiertelna. Nie mogę pozwolić oszukać się raz jeszcze.

Kiwam głową.

– Madok więzi tutaj Ducha. Grimsen ma klucz, którego potrzebujemy...

Karakan przerywa mi:

– Chcesz go uwolnić? Raczej trzeba go wypatroszyć jak śledzia. Tak będzie szybciej i skuteczniej.

– Madok zna jego prawdziwe imię. Dostał je od Lokiego – wyjaśniam. – Być może Duch zasługuje na karę. Możecie go osądzić, kiedy znowu znajdzie się w Dworze Cieni. Nie zasługuje jednak na śmierć.

– Od Lokiego? – dziwi się Cardan, potem wzdycha. – No, dobrze. Co mamy robić?

– Zamierzałam zakraść się do kuźni Grimsena i gwizdnąć mu klucz do kajdan Ducha.

– Pójdę z tobą – mówi Karakan, a potem zwraca się do Cardana: – Ale ty nie, panie. To wykłuczone. Czekać na nas z Vivienne i resztą.

– Nic z tego, idę – protestuje Cardan. – Idę z wami i nie możesz mi tego zakazać.

Karakan kręci głową.

– Mogę jednak wziąć przykład z Jude. Mogę zażądać obietnicy. Jeśli nas wypatrzą, jeżeli będą nas ścigać, obiecaj, panie, że natychmiast wrócisz do Elfhame. Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu, cokolwiek by się działo.

Cardan spogląda w moją stronę, jakby szukając wsparcia. Nie odzywam się, więc marszczy czoło, niezadowolony z nas obojga.

– Choć mam na sobie płaszcz otrzymany od mateczki Szpik, ten, którego nie przebije żadne ostrze, obiecuję, że i tak ucieknę z podkulonym ogonem. A ponieważ rzeczywiście mam ogon, będzie z tego dla wszystkich niezły ubaw. Zadowolony?

Karakan mrukliwie potakuje.

Ukradkiem wychodzimy na zewnątrz. Gdy przemykamy w cieniu, zatrute wino chlupie w bukłaku przytroczonym do mojego paska. Jest już późno, ale między namiotami snują się jeszcze żołnierze, jedni piją, drudzy grają w kości albo zabawiają się zagadkami. Kilku śpiewa przy akompaniamencie lutni, na której gra jakiś ubrany w skóry goblin.

Karakan porusza się z perfekcyjną swobodą, przemykając od cienia do cienia. Cardan podąża za nim; radzi sobie z tym znacznie lepiej, niżbym się mogła spodziewać. Z niechęcią muszę przyznać, że jeśli chodzi o skradanie się, stał się lepszy ode mnie. Mogłabym sobie wmawiać, że elfowie tak po prostu mają, to ich naturalny dar, przypuszczam jednak, że po prostu ćwiczył znacznie więcej niż ja. Mam wrażenie, że jeśli chodzi o naukę, ja zbyt się rozpraszałam, usiłuję opanować zbyt wiele umiejętności jednocześnie. A poza tym ciekawe, ile czasu poświęcił na naukę tego wszystkiego, co powinien wiedzieć jako władca Elfhame. No właśnie, jak dotąd to głównie ja się tym studiom poświęcałam.

Takie to zawistne myśli krążą mi po głowie, gdy zbliżamy się do kuźni. Wokół jest cicho, piece wygaszone. Z metalowych kominów nie unosi się dym.

– Mówisz, że widziałaś ten klucz? – dopytuje Karakan. Próbuje zajrzeć do środka przez brudne okienko.

– Jest jakby z kryształu, a wisi na ścianie. – Zupełnie nic nie widzę przez mętne szkło. Dla moich oczu jest po prostu za ciemno. – Poza tym zaczął kuć nowy miecz dla Madoka.

– Chętnie bym zniszczył to żelastwo, nim utkwi w moim gardle – stwierdza Cardan.

– Więc rozglądaj się za największym – radzę – to będzie właśnie ten.

Karakan spogląda na mnie z przyganą. Nic na to nie poradzę, lepiej tego miecza opisać nie potrafię. Kiedy ostatnio go widziałam, był w zasadzie tylko stalową sztabą.

– Naprawdę duży – zapewniam.

Cardan parska wzgardliwie.

– Poza tym trzeba uważać – dodaję, pamiętając o zaklętym w klejnot jadowitym pająku, o kolczykach Grimsena, które mogą przydać urody lub ją doszczętnie odebrać. – Z pewnością będą tam jakieś pułapki.

– Wejdziemy szybko i szybko wyjdziemy – komenderuje Karakan. – Czułbym się jednak o wiele lepiej, gdybyście oboje zostali na zewnątrz i pozwolili mi wejść samemu.

Żadne z nas nie odpowiada, więc goblin przykuca, żeby otworzyć zamek. Potem jeszcze tylko nieco oliwy do zawiasów i drzwi otwierają się bezgłośnie.

Wchodzę za nim. Światło księżycy odbija się od śniegu, dzięki czemu nawet moje nieszczęsne śmiertelne oczy widzą co nieco w tym wnętrzu. Wokół piętrzą się stosy przedmiotów, niektóre to klejnoty, inne wyposażone są w ostrza. Jest tam też cała kolekcja mieczy, jeden z nich o rękojeści w kształcie wijącego się węża. Nie ma jednak wątpliwości, który z nich jest przeznaczony dla Madoka. Spoczywa na stole, jeszcze niewyostrzony i niewypolerowany, o trzpieniu rękojeści jeszcze bez okładzin. Obok leżą jasne jak kości kawałki jakiegoś korzenia, to z nich po wyrzeźbieniu powstanie rękojeść.

Niezdarnie zdejmuję ze ściany kryształowy klucz. Cardan stoi obok, przyglądając się zgromadzonym przedmiotom. Karakan idzie po miecz.

Jest już w połowie drogi, kiedy rozlega się odgłos przypominający bicie zegara. Otwierają się drzwiczki w ścianie, ukazując okrągły otwór. Nim wystrzeli z niego chmara stalowych strzałek, udaje mi się tylko wydać ostrzegawczy okrzyk i wskazać ręką w tamtą stronę.

Cardan staje przede mną, rozpościera swój czarny płaszcz. Metalowe igły nie mają się tkaniny, po prostu odbijają się i spadają na podłogę. Przez chwilę patrzymy na siebie szeroko otwartymi oczami. Oboje jesteśmy zaskoczeni, ale ja dodatkowo tym, że mnie osłonił.

W następnej chwili z tego samego otworu wychyla się metalowy ptak. Jego dziób otwiera się, zamyka i znów otwiera, wykrzykując:

– Złodzieje! Złodzieje! Złodzieje!

Z zewnątrz dobiegają okrzyki.

Potem widzę Karakana. Jego skóra dziwnie pobladła. Chce coś powiedzieć, na jego twarzy widać pomieszanie, potem przyklęka na jedno kolano. Musiał chyba oberwać żelazną strzałą. Podbiegam do niego.

– Co z nim? – woła Cardan.

– To śmierciosłód – mówię. Przypuszczalnie zebrany na tej samej łączce, gdzie i ja się zaopatrzyłam. – Bomba może go uratować. Powinna znać antidotum.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Oraz nadzieję, że zdąży na czas.

Cardan dźwiga Karakana ze zdumiewającą łatwością.

– Powiedz mi, że tego nie zaplanowałaś. Proszę, powiedz.

– Nie – zaprzeczam gwałtownie. – Oczywiście, że nie. Przysięgam.

– W takim razie idziemy – nakazuje. – W kieszeniach mam pełno krwawnika. Polecimy.

Potrząsam głową.

– Jude – ponagla mnie.

Nie ma czasu na kłótnie.

– Vivi i Taryn ciągle na mnie czekają. Nie będą wiedziały, co się stało. Jeżeli do nich nie dołączę, zostaną pojmane.

Widzę, że nie ma pewności, czy powinien mi wierzyć, ale bez słowa przekłada Karakana tak, żeby móc jedną ręką rozpiąć płaszcz.

– Weź to i nigdzie się nie zatrzymuj – nakazuje. Dostrzegam dzikość na jego twarzy. W następnej chwili znika pośród ciemności, niosąc Karakana na rękach.

Ja tymczasem ruszam w stronę lasu, nie biegnę i nie kryję się, ale idę szybkim krokiem, owijam płaszcz wokół ramion. Spoglądam za siebie tylko raz i widzę gromadzących się wokół kuźni żołnierzy, kilku z nich wchodzi do namiotu Madoka.

Powiedziałam Cardanowi, że pójdę do Vivi. Skłamałam. Zmierzam do jaskini. Mówię sobie, że jeszcze jest czas. Incydent w kuźni odwróci uwagę wszystkich. Intruzów będą szukać tam, a nie w pobliżu odosobnionej jaskini, gdzie przebywa Duch.

Gdy zbliżam się, dochodzę do wniosku, że szczęście zaiste mi sprzyja – przy wejściu nie ma straży. Oddycham z ulgą i wbiegam do środka.

Kajdany już nie więżą Ducha. W ogóle go tam nie ma. Zamiast niego widzę Madoka w pełnej zbroi.

– Obawiam się, że przybyłaś za późno – mówi. – O wiele za późno.

A potem dobywa miecza.



ROZDZIAŁ

14

Przerazenie zapiera mi dech. Nie tylko nie mam broni, która mogłaby się równać z jego mieczem, ale po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym zwyciężyć w starciu z kimś, kto nauczył mnie właściwie wszystkiego. A gdy na niego patrzę, wiem, że zamierza walczyć.

Owijam się szczelniej płaszczem, bezgranicznie wdzięczna za niego Cardanowi. Bez tego okrycia nie miałabym żadnych szans.

– Kiedy zorientowałaś się, że to ja, a nie Taryn?

– Później, niż należało – odpowiada tonem zwykłej rozmowy, ale postępuje krok w moją stronę. – Nic dziwnego, przecież niczego się nie spodziewałem, prawda? Zdradził cię pewien drobiazg. Wyraz twarzy, kiedy zobaczyłaś mapę Wysp Elfhame. Tylko to, a potem już wszystko, co powiedziałaś i zrobiłaś, ułożyło się w jedną całość i zrozumiałem, że to są twoje słowa i czyny.

Cieszę się, że jednak nie rozszyfrował mnie od samego początku. Cokolwiek bowiem zaplanował, musiał improwizować.

– Gdzie jest Duch?

– Garrett – poprawia mnie, wymawiając część prawdziwego imienia Ducha. Mój mentor i towarzysz nigdy mi go nie wyjawiał, chociaż mogłabym się nim posłużyć, by go powstrzymać przed wykonaniem rozkazów otrzymanych od Madoka. – Nawet jeśli przeżyjesz, to nie zdołasz go na czas powstrzymać.

– Na kogo go nasłałeś?

Mój głos lekko drży, bo uświadamiam sobie, że Cardan zdołał wprawdzie umknąć z obozu Madoka, ale być może czeka go zdradziecka strzała w jego pałacu, tak jak kiedyś został postrzelony we własnym łóżku.

Madok w szerokim uśmiechu ukazuje ostre zęby; jest zadowolony z siebie, tak jakby udzielał mi lekcji.

– Nadal jesteś lojalna wobec tej marionetki. Dlaczego, Jude? Czy to nie lepiej, jeśli strzała ugodzi go w serce? Nie uważasz chyba, że lepiej nadaje się na Najwyższego Króla niż ja.

Patrzę Madokowi w oczy, a słowa padają z moich ust prędzej, niż mogłabym je powstrzymać.

– Może uważam, że już czas, by na tronie Elfhame zasiadła królowa.

Śmieje się, ale udało mi się go zaskoczyć.

– Myślisz, że Cardan oddałby władzę? Tobie? Śmiertelne dziecię, niemożliwe, byś tak się ludziła. Wygnał cię, wykpił i zelżył. Zawsze spoglądać będzie na ciebie jak na coś gorszego.

Wszystko to wiem aż nazbyt dobrze, lecz gdy te słowa mówi Madok, każde z nich zadaje mi cios.

– Ten chłopiec to twoja słabość. Nie obawiaj się jednak – ciągnie Madok. – Jego królowanie będzie krótkie.

Nie bez pewnej satysfakcji odnotowuję fakt, że Cardan dopiero co tutaj był, pod samym nosem Madoka, a mój potężny ojciec generał nie wie o tym. Jednak poza tym sprawy przedstawiają się jak najgorzej. Ducha już tu nie ma. Karakan otruty. Popełniłam błędy. Nawet teraz Vivi, Taryn i być może Heather czekają na mnie gdzieś w śniegu, niepokojąc się tym bardziej, im bliżej do świtu.

– Zaprześć opór, dziecko – słyszę głos Madoka. Patrzy na mnie tak, jakby było mu mnie żal. – Czas poddać się karze.

Cofam się o krok. Odruchowo sięgam po nóż, ale walczyć z nim, kiedy okrywa go zbroja, kiedy w ręku ma miecz dużo dłuższy od mojego oręza, to bardzo zły pomysł.

Spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Chcesz walczyć aż do samego końca? Kiedy się z tobą uporam, zakuję cię w łańcuchy.

– Nigdy nie chciałam być twoim wrogiem – odzywam się. – Ale też i nie chciałam ci podlegać.

Odwracam się i ruszam pędem przez śnieg. Robię to, chociaż zawsze sobie powtarzałam, że nie zrobię tego nigdy.

– Nie uciekaj przede mną! – wrzeszczy, a ten krzyk rozbrzmiewa jak przeraźliwe echo ostatnich słów, jakie od niego usłyszała moja matka.

Wspomnienie jej śmierci dodaje chyżości moim nogom. Z moich płuc buchają kłęby pary. Słyszę za sobą łomot jego stóp, słyszę jego sapanie.

Biegnę, ale coraz bardziej tracę nadzieję, że uda mi się go zgubić w tym lesie. Kluczę w tę i we w tę, ale dystans między nami się nie zwiększa. Serce łomocze mi w piersi, a przy tym wiem, że za żadną cenę nie wolno mi doprowadzić go do moich sióstr.

Jak się okazuje, wciąż jeszcze nie przestałam popełniać błędów.

Jeden oddech, dwa oddechy. Dobytam noża. Trzy oddechy. Odwracam się.

Nie spodziewał się tego, więc wpada na mnie z całym impetem. Przechodzę pod jego gardą, uderzam w bok, tam gdzie łączą się płyty zbroi. Metal wstrzymuje mój cios, ale do pewnego tylko stopnia, bo jednak Madok się krzywi.

Zamachuje się, uderza mnie wierzchem dłoni, tak że padam na śnieg.

– Zawsze byłeś dobra – mówi, patrząc na mnie z góry. – Ale nigdy dość dobra.

Ma rację. Dużo nauczyłam się od niego, niemało od Ducha, ale przecież nie ćwiczyłam fechtunku przez większą część nieśmiertelnego życia. Co więcej, przez miniony rok uczyłam się raczej, jak być seneszalem. Podczas naszego ostatniego starcia wytrzymałam długo wyłącznie dzięki temu, że Madok był otumaniony trucizną. A Grimę Mog zdołałam pokonać wyłącznie dlatego, że nie spodziewała się, że w ogóle cokolwiek potrafię. Madok zaś doskonale zna moje możliwości.

Co więcej, walcząc z Grimą Mog, dysponowałam o wiele dłuższym nożem.

– Może byś zechciał walczyć bardziej po rycersku? – proponuję, zrywając się na nogi. – Na przykład z jedną ręką za plecami. Dla wyrównania szans.

Okrąża mnie z wyszczerzonymi zębami.

Potem wymierza cięcie. Mogę tylko się bronić. Aż ręka mi drętwieje. Jego taktyka jest prosta i oczywista, jednak porażająco skuteczna. Chce mnie zmęczyć, zmuszając do zasłon i uników, nie dopuszczając mnie przy tym dość blisko, abym mogła uderzyć. Zmusza mnie, żebym skupiła się na obronie, tak chce mnie wycieńczyć.

Zaczyna ogarniać mnie rozpacz. Mogłabym znów próbować ucieczki, ale to by nic nie zmieniło, powtórzyłaby się ta sama sytuacja. Zresztą, po co uciekać, skoro nie ma dokąd? Kiedy paruję jego ciosy moim żalonym kozikiem, wiem już doskonale, jak niewiele mam do wyboru, z każdą chwilą coraz mniej.

Wkrótce opadam z sił. Jego miecz tnie tam, gdzie pod płaszczem znajduje się moje ramię. Utkana przez mateczkę Szpik materia pozostaje jednak nienaruszona.

Nieruchomieje na ułamek sekundy, osłupiały, a wtedy ja uderzam w jego rękę. To podstępny cios, ale z rany tryska krew, on zaś wydaje z siebie ryk.

Chwyta za płaszcz, owija go wokół dłoni i przyciąga mnie do siebie. Zapięcie dusi mnie, a potem ustępuje. Jego miecz zagłębia się w moim boku, w moim brzuchu.

Przez chwilę jeszcze na niego patrzę.

Jest tak samo zaskoczony jak ja.

Do tej chwili coś kazało mi wierzyć, że jednak wstrzyma zabójczy cios.

Madok, który był moim ojcem, odkąd zamordował mojego ojca. Ojciec, który nauczył mnie władać mieczem, poczynając od tego, że celem szermierki jest trafić przeciwnika, nie jego broń. Madok, który sadzał mnie na kolanie, czytał mi i zapewniał, że mnie kocha.

Padam na kolana, bo nogi nie chcą już mnie dźwigać. Madok cofa głownię ociekającą moją krwią. Moja noga jest już mokra od krwi. Wykrwawiam się.

Wiem, co teraz się zdarzy. Zada ostateczny cios. Zetnie mi głowę albo pchnie w samo serce. Taki cios w istocie jest dowodem łaski i miłosierdzia. Kto by nie chciał umrzeć szybko, zamiast umierać długo i w męczarniach?

Ja. Ja nie chcę umrzeć szybko. W ogóle nie chcę umrzeć.

Unosi miecz, waha się. Zwierzęcy instynkt każe mi się jeszcze dźwignąć, wstać. Trochę mąci mi się przed oczami, ale napędza mnie adrenalina.

– Jude – słyszę Madoka. Po raz pierwszy słyszę w jego głosie strach. Strach, którego nie rozumiem.

Potem zaś nadlatują trzy czarne strzały. Dwie ze świstem przelatują obok niego, trzecia trafia go w ramię trzymające miecz. Madok wyje, przerzuca broń do drugiej ręki, rozgląda się, chcąc wypatrzeć napastnika. Przez chwilę zapomina o mnie.

Z ciemności nadlatuje kolejna strzała. Ta trafia go w sam środek piersi, przebijając pancerz. Nie wnika na tyle głęboko, żeby zabić, ale musiała zadać ból.

Zza drzewa wychodzi Vivi. Obok niej staje Taryn z Brzaskiem u boku. A towarzyszy im ktoś jeszcze i okazuje się, że wcale to nie jest Heather.

Krwawnikowego wierzchowca dosiada Grima Mog z mieczem w dłoni.



ROZDZIAŁ

15

Z muszam się, żeby iść. Krok po kroku, a każdy z nich sprawia mi rozdzierający ból.

– Ojcie – słyszę głos Vivi. – Zostań tam, gdzie jesteś. Jeśli spróbujesz ją zatrzymać, mam jeszcze mnóstwo strzał, a przez całe życie marzyłam, żeby cię powalić.

– Ty? – rzuca kąpiącym tonem Madok. – Ty mogłabyś mnie uśmiercić najwyżej niechcący. – Sięga dłonią, by złamać drzewce sterczące z jego piersi. – Co ty sobie wyobrażasz? Cała moja armia stoi za tamtym wzgórzem.

– No to ją sprowadź – woła Vivi, a w jej głosie pobrzmiwa histeria. – Sprowadź tu całą swoją przeklętą armię.

Madok spogląda w moją stronę. Muszę nieźle się prezentować w ubraniu przesiąkniętym krwią, z dłonią przyciśniętą do boku. Madok wykonuje jakiś nieokreślony ruch.

– Słuchajcie, ona nie przeżyje. Pozwólcie mi...

Jako odpowiedź szybują ku niemu następne trzy strzały. Żadna z nich nie trafia, co nie świadczy dobrze o strzeleckich umiejętnościach Vivi. Mam jedynie nikłą nadzieję, że moja siostra umyślnie chybia celu.

Coraz bardziej kręci mi się w głowie. Znowu uginają się pode mną nogi.

– Jude – głos mojej siostry rozlega się całkiem blisko. To nie Vivi. Taryn. Z dobytym już mieczem w jednej ręce, drugą próbuje mnie podtrzymać. – Jude, musisz wstać. Nie zamykaj oczu.

Pewnie wyglądam, jakbym miała zemdleć.

– Jestem – mówię, wyciągam do niej rękę, opieram się na niej całym ciężarem. Chwiejnym krokiem idę przed siebie.

– Ach, Madoku – dobiega z oddali zgryźliwy głos Grimy Mog. – Twoje dziecko zaledwie tydzień temu rzuciło mi wyzwanie. Teraz już wiem, kogo tak naprawdę chciało zabić.

– Grima Mog – mówi Madok, skłaniając przy tym lekko głowę na znak szacunku. – Niezależnie od tego, co cię tu sprowadza, ta sprawa nie ma z tobą nic wspólnego.

– Nic, doprawdy? – odpowiada Grima Mog, wężąc intensywnie. Przypuszczalnie wyczuła zapach mojej krwi. Pewnie trzeba było przestrzec przed nią Vivi, kiedy miałam jeszcze taką możliwość. Cokolwiek jednak sprowadza Grimę Mog, cieszę się, że tu jest. – Tak się składa, że jestem bez pracy, a Najwyższy Dwór chyba potrzebuje nowego głównodowodzącego.

Madok jest zdezorientowany, nie wie przecież, że przybyła tu razem z Cardanem. Zaraz jednak dostrzega korzystne dla siebie wyjście z sytuacji.

– Moje córki nie cieszą się łaskami Najwyższego Dworu, a ja mam dla ciebie propozycję, Grimo Mog. Jeśli pomożesz mi zdobyć tron, zyskasz bardzo wiele. Oddaj mi tylko moje córki – kończy niemal warknięciem skierowanym nie tylko do mnie, ale i do nas wszystkich. Do swoich zdradzieckich córek.

Grima Mog spogląda w dal, poza niego, tam, gdzie obozuje jego armia. Na jej twarzy dostrzegam coś dziwnego, pewnie wspomina, że jeszcze niedawno to ona dowodziła częścią tych wojsk.

– Uzgodniłeś tę propozycję z Zębatym Dworem? – wyrzucam z siebie, spoglądając na niego.

Twarz Grimy Mog tężeje.

Madok spogląda na mnie z niechęcią, która przeradza się w coś innego, co bardziej przypomina smutek.

– A może od korzyści wolisz zemstę. Mogę zapewnić ci i jedno, i drugie. Wystarczy, że mi pomożesz – Madok znów zwraca się do Grimy Mog.

Wiedziałałam, że gotów jest w każdej chwili pozbyć się Nore i Jarela.

Grima Mog kręci jednak głową.

– Twoje córki zapłaciły mi złotem, bym je chroniła i walczyła za nie. I tak właśnie uczynię, Madoku. Od dawna byłam ciekawa, które z nas wzięłoby górę w starciu. Może się przekonamy?

Madok waha się, spogląda na miecz Grimy Mog, wielki czarny łuk Vivi, na Taryn i Brzask. Wreszcie spogląda na mnie.

– Pozwól, że cię zabiorę do obozu, Jude – mówi. – Inaczej umrzesz.

Potrząsam głową.

– Nigdzie się stąd nie ruszę.

– W takim razie żegnaj, córko. Byłby z ciebie dobry czerwony kaptur.

To mówiąc, odwraca się, brnie przez śnieg, ani razu już nie oglądając się. Na myśl, że się wycofał, czuję ulgę, aż na moment zapominam, że to za jego sprawą tak cierpię. Jestem zbyt zmęczona, nie mam już nawet siły mieć mu tego za złe. Śnieg wokół mnie przypomina miękki łabędzi puch. Chciałabym się na nim położyć i wreszcie zamknąć oczy.

– Chodź, chodź – ponagla mnie Vivi. W jej głosie słyszę błagalny ton. – Musisz przejść jeszcze kawałek, tam są nasze konie. To niedaleko.

Rana pali żywym ogniem. Jednak muszę iść.

– Zaszycie mnie – mówię, starając się odpędzić ogarniający mnie bezwład. – Zaszycie mnie teraz.

– Ona krwawi – woła Taryn. – Bardzo!

Nagle dociera do mnie, że jeżeli natychmiast czegoś nie zrobię, nie będzie już czego zbierać. Madok miał rację. Umrę tutaj, na śniegu, na oczach moich sióstr. Umrę i nikt nigdy się nie dowie, że kiedyś istniała śmiertelna królowa elfów.

– Napchajcie do rany ziemi i liści, a potem zaszycie – mówię.

Słyszę własny głos, jakby dobiegający z daleka. Nie jestem wcale pewna, czy to się uda. Pamiętam jednak, jak Bomba mówiła, że Najwyższy Król związany jest ze swoją ziemią, że tylko ziemia może go uzdrowić. Pamiętam, że kazała mu wtedy zjeść garść gliny.

Może i ja zdołam się tak wyleczyć.

– Przecież wda się zakażenie – protestuje Taryn. – Jude...

– Też nie wiem, czy to się uda, przecież nie jestem magiczną istotą – odpowiadam. Wiem, że nie tłumaczę tego jasno, mówię nie tak, jak trzeba, bo mąci mi się w głowie. – Jestem prawdziwą królową, ale kto wie, czy ta ziemia zechce mnie uznać.

– Królową? Prawdziwą? – pyta zdumiona Taryn.

– No tak, bo wzięła ślub z Cardanem – potwierdza zdesperowana Vivi. – O tym mówi.

– Co takiego? – Moja siostra bliźniaczka nie posiada się ze zdumienia. – To niemożliwe.

Wtedy wtrąca się Grima Mog, chrapliwie i donośnie:

– No, już! Przecież słyszałyście. Choć prawda, że głupcem jest to dziecko, żeby wdać się w taką kabałę.

– Nie rozumiem – skarży się Taryn.

– Nie nam w to wątpić, czyż nie? – odpowiada Grima Mog. – Ale jeśli Najwyższa Królowa Elfhame wydaje rozkaz, musimy go wypełnić.

Chwytam Taryn za rękę.

– Ty dobrze umiesz szyć – jęczę. – Zaszycie mnie. Proszę.

Kiwa głową, ale w jej oczach dostrzegam przerażenie.

Zostaje mi już tylko nadzieja; Grima Mog zdejmuje płaszcz z ramion i rozkłada go na śniegu. Kładę się na nim i zaciskam zęby, gdy rozcinają mi suknię, żeby obnażyć ranę.

Słyszę, jak któraś z nich gwałtownie chwytą powietrze.

Patrzę na jaśniejące brzaskiem niebo, zastanawiam się, czy Duch już dotarł do pałacu Elfhame. Wspominam smak palców Cardana zaciśniętych na moich ustach, gdy nagle nowa fala bólu nadciąga z rany. Zaciskam zęby jeszcze mocniej, żeby nie krzyczeć, a potem znowu, gdy igła wbija się w moje ciało. Chmury przysłaniają niebo.

– Jude? – głos Taryn brzmi, jakby przełykała łyżę. – Będzie dobrze, Jude. To chyba działa. Skoro działa, to dlaczego te łyżę?

– Nie... – udaje mi się wykrztusić. Zmuszam się do uśmiechu. – Nie martw się.

– Jude, Jude.

Czuję jej dłoń na czole. Jest taka ciepła. Uświadamiam sobie, jaka ja muszę być zimna.

– W całym swoim życiu nigdy czegoś takiego nie widziałam – mówi cicho Grima Mog. Odzywa się też Vivi drżącym, nieswoim głosem:

– Rana się zamknęła. Jak się czujesz? Bo tutaj dzieje się coś dziwnego.

Wrażenie jest takie, jakbym wylądowała nago w pokrzywach, ale ten surowy, obmierzły ból zniknął. Mogę się poruszyć. Przewracam się na zdrowy bok, potem dźwigam się na kolana. Wełniana tkanina płaszcza pode mną przesiąknięta jest krwią. Nie mogę uwierzyć, że to moja krew, jest jej tak wiele. A przy brzegach płaszcza spod śniegu wykwitają maleńkie białe kwiatuszki, większość z nich to jeszcze pączki, ale niektóre już się otwierają. Gapię się, nie bardzo wiem, co się dzieje.

A kiedy już rozumiem, nie mogę w to uwierzyć.

Przypominają mi się słowa Bafena o Najwyższym Królu, że z jego krwi rodzi się życie.

Grima Mog przyklęka na jedno kolano.

– Najjaśniejsza królowo – mówi. – Rozkazuj.

Nie mogę uwierzyć, że w taki sposób się do mnie odnosi. Nie mogę uwierzyć, że ziemia przyjęła mnie za swoją władczynię.

Przecież niemal już sama siebie przekonałam, że Najwyższą Królową jestem tylko na niby, tak samo jak jedynie podstępem zdołałam zdobyć stanowisko seneszała.

W następnej chwili nagle w pełni odzyskuję świadomość. Odpycham się rękami od ziemi, wstaję. Jeżeli natychmiast nie zacznę działać, nie zdążę.

– Muszę dostać się do pałacu. Czy możesz zająć się moimi siostrami?

Vivi gromi mnie spojrzeniem.

– Ledwie trzymasz się na nogach.

– Wezmę krwawnikowego wierzchowca. – Wskazuję go ruchem głowy. – Wy podążycie za mną na tych, które na was czekają.

– Gdzie jest Cardan? Co się stało z goblinem, który mu towarzyszył? – pyta Vivi takim głosem, jakby zaraz miała zacząć krzyczeć. – To oni mieli się tobą zająć.

– Ten goblin powiedział, że nazywa się Karakan – przypomina jej Taryn.

– Został otruty – mówię, po czym robię kolejny krok, i kolejny. Czuję, jak lodowaty wiatr dmucha śniegiem w rozcięcie sukni. Zmuszam się, żeby iść dalej, aż do wierzchowca, wreszcie dotykam jego koronkowej grzywy. – A Cardan musiał go zabrać, żeby na czas dostał antidotum. Ale Cardan nie wie, że Madok nasłał na niego Ducha.

– Ducha... – powtarza jak echo Taryn.

– To przecież śmieszne, każdemu się wydaje, że kiedy zabije króla, to sam będzie lepszym królem – rzuca Vivi. – Wyobraźcie sobie, że w śmiertelnym świecie prawnik robi aplikację w ten sposób, że zabija innego adwokata.

Nie mam pojęcia, o czym mówi moja siostra. Grima Mog zerka na mnie przyjaźnie, potem sięga za pazuchę, wydobywa zakorkowaną manierkę.

– Łyknij tego – mówi. – Doda ci sił.

Nawet nie pytam, co to takiego. Nie ma czasu. Upijam spory łyk. Płyn pali mnie w gardle, aż kaszlę. Pali mnie w żołądku, gdy z trudem wspinam się na grzbiet wierzchowca.

– Jude – mówi jeszcze Taryn, kładąc dłoń na mojej nodze – musisz uważać na szwy. – Kiwam głową, ona rozpina pas i wręcza mi mój miecz. – Weź ze sobą Brzask.

Od razu mi lepiej, wystarczy, że dostałam broń do ręki.

– Do zobaczenia – woła Vivi i ostrzega: – Tylko nie spadnij z tego konia.

– Dzięki! – Wyciągam obie ręce, Vivi chwyta za jedną dłoń, Taryn za drugą. Zaciskam palce.

Koń wzbija się w mroźne powietrze i już po chwili widzę pod sobą góry, widzę obóz Madoka. Widzę moje siostry biegnące przez śnieg. Moje siostry, które mimo wszystko przybyły, by mnie ratować.



Wmiarę jak zbliżam się do Elfhame, niebo staje się coraz cieplejsze. Wczepiona w grzywę krwawnikowego konia, chłonę łapczywie pachnące słońcą wodą powietrze, patrzę na przewalające się podę mną fale. Chociaż ziemia uratowała mnie od śmierci, nie jestem przecież całkiem uleczona. Kiedy poruszam się, czuję ból, czuję szwy; jestem jak szmaciana lalka, z której lada chwila mogą się wysypać trociny.

W dodatku im jestem bliżej celu, tym większe przerażenie mnie ogarnia.

Czy to nie lepiej, jeśli strzała ugodzi go w serce?

Duch zazwyczaj planuje zabójstwo jak pułapkę, znajduje miejsce, z którego uderzy, a potem czeka, aż ofiara znajdzie się w zasięgu strzału. W ten właśnie sposób pod jego kierunkiem dokonałam swojego pierwszego morderstwa; to on zaprowadził mnie na belki u sklepienia Dworu Elfhame i pokazał, jak tego dokonać. Spod tego sklepienia nadleciały pociski w czasie niedoszłej koronacji Daina. I od tamtego czasu nic się nie zmieniło, nadal na belkach wśród korzeni i pnączy nie brak doskonałych miejsc dla czającego się zabójcy. Wiem coś o tym, bo wkrótce po tych wypadkach objęłam władzę i to właśnie ja niczego w tej sprawie nie zrobiłam.

Początkowo zamierzałam po prostu stanąć u bram i zażądać, by zaprowadzono mnie do Najwyższego Króla; Cardan przecież obiecał położyć kres mojemu wygnaniu i niezależnie od tego, co zamierza czynić dalej, mogłabym przestrzec go przed Duchem. Potem jednak pomyślałam, że jakiś nadgorliwy rycerz mógłby uznać za rzecz najpilniejszą wykonanie

ciążącego nade mną wyroku śmierci, a dopiero potem przekazałby Królowi wiadomość – jeśli w ogóle zechciałby się w tym celu pofatygować.

Potem postanowiłam zakraść się do pałacu przez dawne komnaty matki Cardana i stamtąd tajemnym przejściem do apartamentów Najwyższego Króla. Pomyślałam jednak, że jeśli Cardana tam nie zastanę, nie będę miała jak się wydostać, bowiem drzwi tych komnat pilnują strażnicy. Będę musiała wracać tą samą drogą, co oznaczałoby stratę czasu. Czasu, którego i tak już bardzo mi brakuje.

Dwór Cieni wyleciał w powietrze, i nie wiem, czy został odbudowany, więc tamtędy też nie mogę się dostać do środka.

Pozostaje więc tylko jedna droga – muszę po prostu wejść przez bramę na wewnętrzny dziedziniec. Śmiertelniczka w stroju służebnej przeszłaby niezauważona przez nikogo, mnie jednak znają tam zbyt dobrze, żebym mogła się dostać do pałacu bez dobrego przebrania. Ale skąd je wziąć? Moje komnaty znajdują się w głębi Wzgórza i nie zdołam w żaden sposób się do nich dostać. Jeśli chodzi o dom Taryn, czyli dawną siedzibę Lokiego, w której nadal pełnią swe obowiązki jego służący – ryzyko byłoby zbyt wielkie. Pozostaje więc zamek Madoka, gdzie pełno jest strojów należących kiedyś do Taryn, Vivi i do mnie. Nasze dawne suknie wciąż wiszą w zapomnianych szafach.

To może się udać.

Lecę nisko, tuż nad drzewami. Dobrze się składa, że jest wczesne przedpołudnie, bo większość elfów o tej porze twardo śpi. Ląduję przy stajniach i zsiadam z wierzchowca, który natychmiast przeistacza się w łodygę krwawnika; magia rośliny już do cna się wyczerpała. Obolała, powłócząc nogami, kieruję się w stronę domu.

Moje obawy i nadzieje układają się w kilka zdań, które powtarzam na okrągło, bezgłośnie:

Oby Karakan przeżył.

Oby Duch nie zastrzelił Cardana. Oby ten jeden raz chybił.

Oby udało mi się dostać do środka. Oby udało mi się go zatrzymać.

Nie zastanawiam się, dlaczego tak mi zależy na ocaleniu Cardana, wszak tylekroć sama siebie przekonywałam, że wypleniałam już wszelki cień uczucia wobec niego. Teraz nie mam czasu nad tym się zastanawiać.

Siedziba Madoka została ogołocoona z większości mebli, a w tych, które pozostały, podarta jest tapicerka, jakby załęgły się tam bożęta albo wiewiórki. Słyszę echo własnych kroków, gdy wchodzę po znajomych schodach, które teraz, gdy zamek opustoszał, stały się obce. Do swojego dawnego pokoju nawet nie zaglądam, zmierzam prosto do komnaty Vivi. Jej szafy wciąż są pełne. Tego właśnie się spodziewałam; uznałam, że skoro postanowiła przenieść się na stałe do śmiertelnego świata, wiele rzeczy zostawi – przynajmniej tym razem moje przewidywania okazały się trafne.

Wygrzebuję ciemnoszare rajtuzy, spodnie i obcisły żakiet. Może być. Znów tak kręci mi się w głowie, że muszę oprzeć się o framugę. Zawrót głowy mija po chwili, odzyskuję równowagę. Zdejmuję bluzkę, czego dotąd się wystrzegałam – i patrzę na ranę. Widać na niej zakrzepłą krew i czerwony ślad po ostrzu Madoka oraz równy ścieg, którym Taryn zszyła skórę. Równy i schludny, jestem jej za to wdzięczna. Kiedy jednak widzę to wszystko, robi mi się zimno i jakoś mdło. Największe wrażenie robią zaczerwienione punkty, gdzie nic jest najmocniej napięta.

Rozciętą i nasiąkniętą krwią suknię wciskam do kąta, razem z nią ciężkie buty. Drżącymi palcami zaplatam włosy w ciasny kok, który zakrywam czarną chustą owiniętą dwukrotnie wokół głowy. Chodzi o to, żeby nic nie przyciągało wzroku, kiedy zacznę się wspinać.

Zaglądam do głównej części domu; w oko wpada mi rozstrojona lutnia wisząca w salonie Oriany, tam też znajduję barwiki i pomadki. Maluję sobie grube obwódki wokół oczu, aż po skronie. Czernię brwi. To jedna maska, na nią nałożę drugą, przedstawiającą wykrzywione oblicze gargulca.

W zbrojowni znajduję mały, składany łuk, który zamierzam przemycić. Z żalem zostawiam Brzask, staram się go jak najlepiej ukryć pomiędzy innymi mieczami. Z biurka Madoka biorę kartkę i jego piórem piszę ostrzeżenie:

Spodziewać się próby królobójstwa, najprawdopodobniej w sali tronowej. Chronić Najwyższego Króla.

Jeżeli uda mi się nakłonić kogoś, żeby przekazał tę wiadomość Bafenowi albo jakiemuś rycerzowi z osobistej gwardii Cardana, będę miała większe szanse, by wytropić Ducha, nim zdąży uderzyć.

Zmierzam do pałacu pieszo, z lutnią w ręce. To niedaleko, ale kiedy docieram na miejsce, po czole spływa mi zimny pot. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Co prawda ziemia mnie uzdrowiła, więc czuję się tak jakby trochę niepokonana, ale z drugiej strony byłam o krok od śmierci i nadal jestem w kiepskim stanie, a specyfik Grimy Mog, cokolwiek to jest, powoli przestaje działać. Trafiam na grupkę muzyków i razem z nimi zmierzam w kierunku bramy.

– Piękny instrument – mówi jeden z nich, to chłopiec o włosach zielonych jak świeże liście. Patrzy na mnie dziwnie, tak jakby próbował sobie przypomnieć, skąd się znamy.

– Dostaniesz go ode mnie – mówię, wiedziona impulsem. – Dostaniesz, jeżeli coś dla mnie zrobisz.

– Co takiego? – pyta, marszcząc brwi.

Wsuwam mu w dłoń kartkę z wiadomością.

– Zaniesiesz to któremuś z członków Wiecznej Rady, najlepiej Bafenowi. Zapewniam, że nie będziesz miał żadnych kłopotów.

Waha się, nie wie, co ma zrobić.

Akurat w tej chwili zatrzymuje mnie jeden z rycerzy.

– Ty, śmiertelniczka w masce – mówi. – Cuchniesz krwią.

Odwracam się i bez zastanowienia mówię to, co mi ślina na język przynosi:

– No właśnie, jestem śmiertelniczką. I dziewczyną, szanowny panie. My co miesiąc krwawimy, tak jak księżyc co miesiąc kurczy się i rośnie.

Macha na mnie ręką z wyrazem obrzydzenia.

Muzyk też spogląda na mnie z niepokojem.

– Masz – mówię do niego. – Tylko nie zapomnij o wiadomości.

I nie czekając na jego odpowiedź, wciskam mu lutnię w rękę, a sama oddalam się. Chcę się wmieszać w tłum. Wkrótce ciżba mnie pochłania, jest tak gęsto, że mogę pozbyć się maski. Przemykam do zacienionego kąta i zaczynam wdrapywać się na belkowanie.

Ta wspinaczka to koszmar. Muszę trzymać się cieni, poruszać się powoli, jednocześnie wypatrując, czy nie ujrzę ukrytego gdzieś Ducha. Wciąż obawiam się, że do sali wejdzie Cardan, wystawiając się tym samym jako cel. Raz po raz muszę się zatrzymywać – żeby zorientować się, gdzie jestem, a także dlatego, że cały czas kręci mi się w głowie. Mniej więcej w połowie drogi na górę czuję, że jeden ze szwów pęka. Sięgam ręką do boku, moja dłoń jest czerwona. Chowam się w gąszczu korzeni, zdejmuję chustę z głowy i owijam ją wokół talii najciaśniej, jak mogę.

Docieram wreszcie na samą górę, pod samo sklepienie, tam, gdzie jest największy splot korzeni.

Nakładam cięciwę, przygotowuję strzały. Przeszukuję wzrokiem wszelkie możliwe kryjówki. On może już tu być, może schował się całkiem blisko. W końcu to on, nie kto inny, uczył mnie, że gdy się czaimy w kryjówce, najstraszniejszym wrogiem jest nuda. Najtrudniej utrzymać nieustanną czujność, nie stracić uważności, nie popaść w stan letargu, kiedy przestajemy zauważać najdrobniejsze poruszenie w peryferiach naszego widzenia. Albo, jak w moim wypadku, kiedy ból odwraca uwagę.

Muszę wypatrzeć Ducha, a kiedy to się stanie, muszę go zabić. Nie wolno mi się wahać. On sam by mi powiedział, że już zmarnowałam jedną szansę i że drugiej nie wolno mi stracić.

Myślę o Madoku, który wychował mnie w domu śmierci. Madoku tak przywykłym do wojny, że zabił swoją żonę i prawie zabił też mnie.

Zanurz rozpalony do czerwoności miecz w oliwie, a najmniejsza skaza przerodzi się w pęknięcie. Wy zostałyście unurzane we krwi, ale żadna się nie złamała. Stałyście się tylko twardsze.

Czy jeśli dalej będę tak żyć, stanę się podobna do Madoka? Czy jednak się złamię?

W dole grupka dworzan tworzy taneczny krąg, schodzą się i rozchodzą. Pewnie gdy patrzy się na to z boku, sprawia to wrażenie przypadkowego chaosu, jednak z góry widać, że

tworzą idealne, geometryczne kształty. Patrzą na zastawione stoły, na patery z owocami, sery leżące pośród kwiatów, karafki goździkowego wina. Z głodu burczy mi w brzuchu. Tymczasem późne przedpołudnie staje się wczesnym popołudniem, do dworu ściąga coraz więcej elfów.

Przybywa Bafen, królewski astrolog z panią Ashą pod ramię. Idą w stronę podwyższenia, zajmują miejsce w pobliżu tronu. Po kilku kolejnych tańcach w sali pojawia się Nicassia w otoczeniu kilkorga przybyszów z podmorskiej Toni, potem zaś wchodzi Cardan w otoczeniu swojej straży, w Koronie Krwi lśniącej na jego atramentowoczarnych lokach.

Kiedy patrzą na niego, czuję dziwny dysonans.

Nie wygląda jak ktoś, kto brnął przez śnieg, dźwigając na rękach otrutego szpiega. Jak ktoś, kto odważył się zapuścić do samego serca wrogiego obozowiska. Ktoś, kto oddał mi swój magiczny płaszcz. Przypomina raczej tamtego rozwydrzonego chłopaka, który wepchnął mnie do wody i śmiał się, kiedy zamknęła się nad moją głową. Który mnie oszukał.

Ten chłopiec to twoja słabość.

Biesiadnicy wznoszą toasty, ale ich słów nie słyszę; na stołach pojawiają się tace z gołąbkami pieczonymi na rożnie, owiniętymi w liście kęsami mięsa, z nadziewanymi śliwkami. Dziwnie się czuję. Nerwowo sprawdzam czarną chustę, jest niemal całkowicie przesiąknięta krwią. Zmieniam nieco pozycję. I czekam. Wciąż czekam. Muszę uważać, żeby krople mojej krwi nie spadły komuś do talerza. Trochę mąci mi się wzrok, zmuszam się do skupienia uwagi.

Po chwili widzę Randalina, który trzyma coś w dłoni i macha tym w stronę Cardana. To ta kartka ode mnie. Chłopak jednak wywiązał się z zadania. Mocniej zaciskam dłoń na łączyisku. Zaraz go stąd wyprowadzą, niebezpieczeństwo zostanie zażegnane.

Cardan jednak nie patrzy na kartkę. Macha ręką, tak jakby już wszystko wiedział. Ale jeśli wie, to co on tu jeszcze robi?

Chyba że jak głupiec wystawia się, chce posłużyć za przynętę.

Nagle w cieniu pośród korzeni widzę jakiś ruch. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to złudzenie, ale zaraz potem dostrzegam Bombę, ona zaś zauważa mnie i mruży oczy. Podnosi łuk już napięty do strzału.

O moment za późno zdaję sobie sprawę, co się dzieje.

Dwór został powiadomiony o planowanym zamachu na życie władcy, więc Bomba wybrała się na poszukiwanie zabójcy. Dostrzegła w cieniu kogoś uzbrojonego w łuk. Kogoś, kto ma wszelkie powody, żeby życzyć królowi jak najgorzej, czyli mnie.

Czy to nie lepiej, jeśli strzała ugodzi go w serce?

Madok wystawił mnie. Wcale nie nasłał Ducha na Cardana. Zresztą niczego takiego przecież nie powiedział. Dał mi tylko do zrozumienia. A wszystko po to, żebym zjawiła się

na dworze i ścigała widmo. Żeby to ja wyszła na zabójczynię. Madok wcale nie musiał mnie dobijać. Już wcześniej uknuł wszystko tak, żebym sama poszła na spotkanie swojej śmierci.

Bomba strzela, robię unik. Pocisk przelatuje obok, ale moja stopa ślizga się w kałużę mojej własnej krwi, tracę równowagę i spadam w tył. Przez chwilę przebywam w próżni.

Przez chwilę czuję się, jakbym fruwała.

Z hukiem ląduję na bankietowym stole, zwalając stosy granatów. Owoce toczą się we wszystkie strony przez kałużę rozlanego miodu, wśród potłuczonych kryształów. Nie mam wątpliwości, że podczas upadku puściły mi szwy. Boli mnie też wszystko. Nie mogę złapać tchu.

Otwieram oczy i widzę zgromadzony nade mną tłum. Radcy. Strażnicy. Nie pamiętam, kiedy zamknęłam oczy, nie mam pojęcia, jak długo leżałam nieprzytomna.

– Jude Duarte – mówi ktoś. – Złamała warunki wygnania, chciała zabić Najwyższego Króla.

– Wasza Wysokość – mówi Randalin. – Wydaj tylko rozkaz.

Cardan zmierza ku mnie szybkim krokiem, wygląda jak zabawnie powiększone wcielenie zła. Strażnicy rozstępują się, by go przepuścić, ale nie wątpię, że gdybym choćby drgnęła, posiekaliby mnie na kawałki.

– Zgubiłam twój płaszcz – chrypię ostatkiem sił, wciąż nie mogę oddychać.

Patrzy na mnie z góry.

– Jesteś kłamcą! – Jego oczy lśnią od furii. – Obmierzłym, śmiertelnym kłamcą.

Zamykam oczy, tak ostre są te słowa. Czemuż jednak nie miałyby sądzić, że przybyłam tu, aby go zabić?

Jeśli mnie pośle do Wieży Zapomnienia, to czy będzie mnie odwiedzał?

– Zakuć ją w łańcuchy – rozkazuje Randalin.

Nigdy tak bardzo nie pragnęłam dowieść, że mówię prawdę, ale nie ma na to sposobu. Każda przysięga, którą mogłabym złożyć, jest nic niewarta.

Czuję dłoń strażnika chwytającą mnie za ramię, potem zaś rozlega się głos Cardana:

– Nie dotykać jej.

Zapada przeraźliwa cisza. Czekam, aż ogłosi wyrok. Cokolwiek rozkaże, to się stanie. Jego władza jest absolutna. Ja zaś nawet nie mam siły, żeby się bronić.

– Co rozkażesz, panie? – pyta Randalin. – Ona jest...

– Ona jest moją żoną – kończy za niego Cardan, a jego głos niesie się ponad tłumem. – Jest prawowitą Najwyższą Królową na Elfhame. I z całą pewnością nie na wygnaniu.

Zdumiony pomruk tłumu dobiega mnie ze wszystkich stron, nikt jednak nie jest tak zaskoczony jak ja. Próbuję otworzyć oczy, próbuję usiąść, ale ciemność gromadzi się po

bokach mojego pola widzenia, by w następnej chwili całkowicie mnie przytłoczyć.

KSIEGA DRUGA



Z duchami przyływu pospołu
Płomienne elfy gromiła
Śród wojennego mozołu
I woda się ogniem wznieciła.
Dzierżyła lśniącą stal,
Jak trzcina giętką i prężną,
I hardo patrzyła w dal
Gdy okrzyknięto ją mężną.
U boku Królowej walczyła,
I księcia płomieni zabiła;
A Ludek z ognia zrodzony
Choć w bitwie tej rozgromiony,
Królową ją swoją ogłosił,
W triumfie z orszakiem zaprosił
W ojczyste elfów strony.

– Philip James Bailey, *Baśń*



Leżę na ogromnym łożu Najwyższego Króla, plamię krwią jego jaśnie oświecone prześcieradła. Boli mnie wszystko. Czuję palący, surowy ból w brzuchu, pulsujące łomotanie w głowie.

Cardan stoi nade mną. Odrzucił kurtę na krzesło, jej aksamit przesiąkł czymś ciemnym. Podwinął białe rękawy koszuli, obmywa moje ręce kawałkiem mokrej tkaniny. Zmywa z nich krew.

Próbuję się odezwać, ale usta mam jak zalepione miodem. Znów zapadam w ciemność gęstą niczym syrop.



Nie wiem, jak długo spałam. Wiem tylko, że długo. Kiedy się budzę, dokucza mi potworne pragnienie. Gramolę się z łoża, zupełnie zdezorientowana. Komnatę rozświetla kilka świec, dzięki temu wiem, że nadal jestem u Cardana, w jego łożu, oraz że jestem sama.

Udaje mi się odnaleźć dzban pełny wody, przykładam go do ust, nie tracąc czasu na szukanie kubka. Piję i piję, i piję, aż wreszcie udaje mi się zaspokoić pragnienie. Opadam znów na materac, próbuję zastanowić się nad tym, co się wydarzyło. Wszystko to jest jakby snem prześnionym w gorączce.

Nie mogę dłużej się wylegiwać. Nie zważając na ból w całym ciele, idę do pokoju kąpielowego. Wanna jest napełniona, a gdy dotykam powierzchni wody, połyskuje srebrzyście. Ktoś również pomyślał o nocniku, za co temu komuś jestem ogromnie wdzięczna.

Niezdarnie ściągam ubranie i wchodzę do wanny. Drapię skórę paznokciami, żeby woda zmyła kilkudniowy brud i skrzeplą krew. Szoruję twarz, wykręcam włosy. Po kąpeli czuję się dużo lepiej.

Znów jestem w sypialni i dokonuję przeglądu zawartości szaf. Przerzucam całe rzędy absurdalnych strojów Cardana, aż stwierdzam, że nawet gdyby któryś z nich na mnie pasował, nie mogę się w czymś takim pokazać. Wkładam więc obszerną koszulę o bufiastych rękawach, a na to najmniej śmieszny z jego pretensjonalnych płaszczy; wełniany, obsyty jelenim futrem, na brzegu haftowany w liście. Owijam się nim i wychodzę na korytarz, by udać się do moich własnych komnat.

Rycerze pełniący straż przy drzwiach spoglądają na moje bose stopy i widoczne spod płaszczka kostki, na pewno zwrócili uwagę, jak szczelnie owinęłam się płaszczem. Nie wiem, co sobie myślą, ale nie zamierzam niczego się wstydzić. Postanawiam wykorzystać swój świeżo usankcjonowany status królowej na Elfhame i miażdżę ich tak morderczym spojrzaniem, że odwracają twarze.

W swoich dawnych komnatach zastaję zaskoczoną moim widokiem Strzępkę; gra z Dębem w uno.

– Oho – mówię. – Ups.

– Cześć – wita mnie Dąb niepewnym głosem.

– Co ty tu robisz? – Gdy to mówię, jego buzia wykrzywia się, a mnie robi się przykro, że powitałam go tak ostrym tonem. – Przepraszam – mówię, siadam na kanapie i schylam się, żeby go uściskać. – Cieszę się, że cię widzę, tylko jestem zaskoczona.

Nie dodaję, że również zaniepokojona, choć to prawda. Dwór Elfhame dla każdego jest niebezpiecznym miejscem, ale dla Dęba wyjątkowo niebezpiecznym.

Teraz jednak jest to nieważne, przyciskam policzek do jego szyi i rozkoszuję się zapachem łąk oraz igieł sosnowych, zapachem mojego braciszka, który ściska mnie tak mocno, że aż boli, a jeden z jego rożków wbija mi się w szczękę.

– Vivi też tu jest – oznajmia, kiedy już mnie puścił. – I Taryn. I Heather.

– Naprawdę?

Przez chwilę patrzymy na siebie znacząco. Liczyłam na to, że kiedyś Heather i Vivi znów będą razem, dziwi mnie jednak, że odważyła się na kolejną wyprawę do Elfhame. Obawiałam się, że jeszcze wiele czasu upłynie, zanim zdecyduje się na więcej niż tylko przelotne wzmianki o elfach.

– Gdzie one teraz są?

– Na kolacji u Najwyższego Króla – odpowiada Strzępka. – Ten tutaj nie chciał iść, więc powiedziałam, żeby przynieśli mu jedzenie.

Jak zwykle mówi to z przyganą w głosie, tak dobrze znanym mi gderliwym tonem. Z pewnością uważa, że skoro Dąb odrzuca taki zaszczyt jak wieczerza przy królewskim stole, musi to oznaczać, że jest rozpuszczonym bachorem.

A ja myślę, że słuchał uważnie tego, czego należało słuchać.

W tej chwili jednak bardziej mnie interesuje taca i jej zawartość, czyli niedojedzone porcje różnych pyszności na srebrnych talerzach. Ścisza mnie w żołądku. Nawet nie wiem, kiedy ostatnio jadłam prawdziwy posiłek. Nie pytam nikogo o zdanie, tylko rzucam się na jedzenie – pochłaniam kaczkę na zimno, plastry sera i figi. Jest też mocna herbata w imbryku, piję ją prosto z dzióbka.

Jestem tak głodna, że budzi to moje podejrzenia.

– Jak długo spałam?

– Czy ja wiem? – Dąb wzrusza ramionami. – Dali ci jakieś zioła, więc spałaś i spałaś. Budziłaś się, ale nie na długo. Nie tak normalnie.

Trochę mnie to martwi, częściowo dlatego, że nic nie pamiętam, a częściowo z tego powodu, że chyba cały ten czas spędziłam w łóżu Cardana. Tym jednak również nie zamierzam sobie zaprzętać głowy, tak samo jak faktem, że opuściłam komnaty Najwyższego Króla w samej koszuli i płaszczu. Zamiast oddawać się próżnym rozmyśleniom, wybieram jeden z moich dawnych strojów seneszala – suknię do samej ziemi, czarną, z obszytymi na srebrno rękawami i kołnierzykiem. Może jest zbyt pospolita jak na królową, ale Cardan jest wystarczająco ekstrawagancki, wystarczy tego na nas dwoje.

Ubieram się i wracam do salonu.

– Zająłabyś się moimi włosami? – pytam Strzępkę.

No pewnie, najwyższa pora. – Zrywa się na równe nogi. – Nie możesz się pokazać tak, jak tu

Prowadzi mnie z powrotem do łazienki i zagania przed toaletkę. Tam zaplata moje brązowe loki w aureolę wokół głowy, następnie maluje mi usta i powieki na blad różowy kolor.

– Pomyślałam, że ułożę ci włosy w koronę – mówi – ale pewnie niedługo czeka cię prawdziwa koronacja.

Od takich myśli można dostać zawrotu głowy, wszystko to wydaje mi się nierealne. Nie rozumiem, w co gra Cardan i poważnie mnie to martwi.

Przypomina mi się, jak Strzępka kiedyś namawiała mnie na jak najszybsze zamążpójście. To wspomnienie i ówczesna moja pewność, że nigdy do tego nie dojdzie, sprawiają, że teraz, kiedy tak samo jak w tamtych zamierzonych czasach układa mi włosy, czuję się jeszcze dziwniej.

– W każdym razie zawdzięczam ci królewski wygląd – chwale ją, a kiedy napotykam spojrzenie jej czarnych paciorkowatych oczu w lustrze, widzę, że się uśmiecha.

– Jude? – ktoś woła mnie półgłosem. Taryn.

Weszła z sąsiedniego pokoju, ma na sobie suknię utkaną ze złota i wygląda wspaniale – różowe policzki, lśniący błysk w oku.

– No, hej.

– Obudziłaś się! – Odwraca się i woła: – Vivi, obudziła się!

Pojawia się moja starsza siostra, ma na sobie kostium z aksamitu barwy butelkowej zieleni.

– Omal nie umarłaś, wiesz o tym? Znowu omal nie umarłaś.

Za nią widzę Heather w jasnoniebieskiej sukni obszytej różem identycznym jak jej gęste kręcone włosy. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Miło pomyśleć, że jest ktoś, kto nie zna mnie wystarczająco dobrze, żeby się na mnie wściekać.

– Tak – odpowiadam. – Zauważyłam.

– Ciągłe pakujesz się w niebezpieczne sytuacje – informuje mnie Vivi. – Musisz wreszcie przestać zachowywać się, jakby dworska polityka była jakimś sportem ekstremalnym. Ty chyba jesteś uzależniona od adrenaliny.

– To nie moja wina, że Madok mnie porwał – przypominam.

Vivi peroruje dalej, nie zwracając uwagi na moje słowa.

– No tak, ale wyobraź sobie, otwieram drzwi mieszkania i widzę Najwyższego Króla, który chce przetrząsnąć cały blok, żeby cię znaleźć. A kiedy wreszcie dostajemy wiadomość od Oriany, to przecież żadna z nas nie wie, czy komuś w ogóle można zaufać. No więc wynajęliśmy tę krwiożerczą kanibalkę, czerwony kaptur. Żeby pojechała z nami, tak na wszelki wypadek. I dobrze, bo...

– Kiedy leżałaś tam, w śniegu... Byłaś taka blada, Jude – przerywa jej Taryn. – A kiedy wszystko zaczęło pączkować i rozkwitać wokół ciebie, to już nie wiedziałam, co myśleć. Kwiaty i pnącza wyrastały prosto ze śniegu. A potem kolory ci wróciły i wstałaś. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Tak – mówię cicho. – Też byłam mocno zdziwiona.

– Czy to znaczy, że stałaś się magiczna? – pyta Heather. Dobre pytanie. Śmiertelnicy raczej nie bywają magiczni.

– Nie wiem.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że wzięłaś ślub z księciem Cardanem – mówi Taryn.

A mówi takim tonem, że chyba powinnam się z tego wytłumaczyć. Chciałabym się wyprzeć pragnienia i zapewnić ją, że to wszystko z czysto praktycznych względów. Kto nie chciałby zostać królową elfów? Kto nie zgodziłby się na taki układ?

– Bo wiesz... Tak strasznie go nienawidziłaś – zastanawia się Taryn. – A potem dowiedziałam się, że cały czas miałaś nad nim władzę. Więc myślałam, że może dalej go nienawidzisz. No i wiesz, już nie wiem. Może dalej go nienawidzisz, teraz też, i on ciebie nienawidzi, ale już nic z tego wszystkiego nie pojmuję.

Przerywa jej stukanie do drzwi. Dąb biegnie, żeby otworzyć. Jakby przywołany naszą rozmową, do komnaty wkracza Najwyższy Król we własnej osobie, a za nim jego świta strażników.



ROZDZIAŁ

18

Cardan ma na sobie sztywny czarny kaftan z wysokim, nabijanym klejnotami złotym kołnierzem. Na czubkach uszu złocą się ostre jak nóż zwieńczenia, złoto lśni też na jego policzkach. Ma nieobecny wyraz twarzy.

– Pozwól ze mną – mówi, nie bardzo dając mi możliwość odmowy.

– Oczywiście.

Serce bije mi mocno, nic na to nie poradzę. W końcu widział mnie zupełnie bezbronną, potem pozwolił, żebym zakrwawiła jego posłanie z pajęczego jedwabiu.

Vivi chwyta mnie za rękę.

– Jeszcze nie wyzdrowiałaś.

Cardan unosi czarne brwi.

– Wieczna Rada nie może się doczekać, chcą jak najprędzej cię wysłuchać.

– Całkiem słusznie – stwierdzam. Patrzą na siostry, na Heather i Dęba. – Vivi, powinnaś być zadowolona, bo akurat na posiedzeniu Rady grozi mi tylko jedno niebezpieczeństwo, takie, że umrę z nudów.

Wyswobadzam dłoń, rozdzielają nas strażnicy. Cardan podaje mi ramię, żebym szła u jego boku, nie zaś za nim, jak za czasów, gdy piastowałam urząd seneszala. Przemierzamy korytarze, a gdy mijamy dworzan, wszyscy kłaniają się nam nisko. Czuję się okropnie nieswojo.

– Jak się miewa Karakan? – pytam na tyle cicho, żeby inni mnie nie słyszeli.

– Bomba jeszcze nie odkryła, jak go obudzić – odpowiada Cardan – ale jest nadzieja, że w końcu do tego dojdzie.

Przynajmniej żyje – pocieszam się w myśli. Jeśli jednak czeka go stuletni sen, dawno będę już w grobie, kiedy on otworzy oczy.

– Przyszła wiadomość od twojego ojca – ciągnie Cardan, zerkając na mnie z ukosa. – Utrzymana w bardzo nieprzyjaznym tonie. Coś jakby winił mnie za śmierć swojej córki.

– O!

– Rozesłał posłańców do niższych dworów, obiecując im nowe rządy. Nalega, by nie wahali się, lecz przybyli do Elfhame i wysłuchali wyzwania, które rzuci Koronie. – Cardan opowiada o tym wszystkim niedbałym tonem. – Wieczna Rada chce wysłuchać wszystkiego, co ci wiadome o mieczu i o mapach Madoka. Przykro to stwierdzić, ale członkowie Rady uznali mój opis obozowiska za nieudolny.

– Mogą jeszcze trochę poczekać – zmuszam się, żeby to powiedzieć. – Musimy porozmawiać.

Jest zaskoczony, trochę zbity z tropu.

– To nie potrwa długo. – Chodzi o rozmowę, przed którą wzdragam się jak przed małym czymś, ale im dłużej ją będę odwlekać, tym trudniejsza do zniesienia stanie się niepewność. Jak obiecał, położył kres mojemu wygnaniu; tę obietnicę na nim wymogłam, ale co go skłoniło, żeby wszem wobec ogłosić mnie królową? – Nie wiem, na czym polega twój plan, co wobec mnie zamierzasz, ale przecież chyba możesz mi to wyjawić od razu, jeszcze zanim staniemy przed całą Radą. Rzucaj swoje groźby. Pokaż się od najgorszej strony.

– Tak – odpowiada, po czym skręca w korytarz prowadzący na zewnątrz. – Tak, istotnie musimy porozmawiać.

Kilka chwil potem znajdujemy się w królewskim ogrodzie różanym. Strażnicy zatrzymują się przy bramie, zostawiając nas samych. Schodzimy na dół po lśniących kwarcem stopniach, wokół panuje cisza. Łagodny powiew niesie kwiatowe zapachy, dziką woń, która nie istnieje nigdzie poza krainą elfów, a która każe mi myśleć o domu i zarazem odczuwać strach.

– Zakładam, że tak naprawdę nie zamierzałaś mnie zastrzelić – odzywa się Cardan. – Wnioskując z tego, że ostrzeżenie napisane było twoją ręką...

– Madok nasłał na ciebie Ducha... – zaczynam, ale milknę i po chwili zaczynam od początku: – To znaczy, myślałam, że dojdzie do zamachu.

Cardan przygląda się różom o płatkach tak czarnych i lśniących, że wyglądają jak patentowa skóra.

– To było przerażające – mówi – patrzeć, jak spadasz. Jasne, ty tak w ogóle jesteś przerażająca, ale nie przywykłem, żeby bać się o ciebie. A potem ogarnęła mnie wściekłość. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w życiu odczuwałem taki gniew.

– Śmiertelnicy to kruche istoty.

– Ale nie ty – mówi tonem nie pozbawionym przygany. – Ty jesteś niezniszczalna.

Śmiesznie to brzmi, bo boli mnie dosłownie wszystko. Czuję się jak konstelacja ran, które trzymają w kupie tylko wątła nić oraz mój wrodzony upór. Miło to jednak słyszeć. Coś za bardzo mi się podoba wszystko, co mówi.

Ten chłopiec to twoja słabość.

– Kiedy pojawiłam się tu jako Taryn, powiedziałeś, że wysyłałeś mi jakieś wiadomości – mówię. – I dziwiłeś się, że ich nie dostałam. Co w nich było?

Cardan odwraca się w moją stronę, dłonie splata za plecami.

– Głównie różne błagania. Nalegałem, żebyś koniecznie wróciła. Składałem nieopatrzne obietnice.

Uśmiecha się tym kpiącym uśmiezkiem, który podobno ma maskować zdenerwowanie.

Zamykam oczy, bo chce mi się wrzeszczeć.

– Przestań ze mną igrzać – mówię. – Wygnałeś mnie z królestwa.

– A, o to ci chodzi. Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedziałaś, zanim Madok cię porwał. Mówiłaś, że to sztuczka. Miałaś na myśli nasz ślub, uczynienie ciebie królową, a potem wysłanie do śmiertelnego świata. Chodziło ci o to wszystko, prawda?

Ochronnym gestem splatam ramiona na piersi.

– Sam przyznałeś, że to była sztuczka. Tak właśnie odpowiedziałeś, chyba nie zaprzeczysz?

– Przecież to twoja specjalność – mówi Cardan. – Sztuczki. Omamiłaś nimi Nicassię, Madoka, Balekina, Orlagh. Mnie. Myślałem, że będziesz umiała docenić, że tym razem to ja tobie splatałem sztuczkę. Myślałem, że się rozżościsz, to jasne, ale nie że aż tak strasznie.

Gapię się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Co?

– Pozwól sobie przypomnieć: dopiero rankiem tamtego dnia dowiedziałem się, że pozbawiłaś życia mojego brata, skądinąd ambasadora Toni. Musiałem w pośpiechu podjąć decyzję. Może zresztą byłem nawet trochę na ciebie zły. Pomyślałem, że w ten sposób zaspokoję obrażoną królową Orlagh, przynajmniej na tyle, żeby doszło do zawarcia ostatecznego traktatu. Zakładałem, że wpadniesz na właściwą odpowiedź już po zakończeniu negocjacji. A teraz się zastanów: *Skazuję Jude Duarte na wygnanie do śmiertelnego świata. Dopóki Korona nie udzieli jej wybaczenia, pod groźbą śmierci nie wolno jej postawić stopy na lądzie naszej krainy* – milknie, a potem powtarza: – *Dopóki Korona nie udzieli jej wybaczenia.* Co znaczy: dopóki nie zostanie ułaskawiona przez króla elfów. Albo przez królową. Mogłaś sama siebie ułaskawić i wrócić, kiedy tylko byś zechciała.

Aha.

Aha.

A więc nie przypadkiem właśnie tak dobrał słowa. To nie było przejęzyczenie. Zrobił to rozmyślnie. Specjalnie dla mnie wymyślił tę łamigłówkę.

Pewnie powinnam się wstydzić własnej głupoty, ale zamiast tego ogarnia mnie złość. Odwracam się, ruszam szybkim krokiem, idę prosto przed siebie, nie zważając, dokąd idę. Cardan biegnie za mną, chwyta mnie za ramię.

Odwracam się i wymierzam mu siarczysty policzek. Moja dłoń rozmazuje złoto, na jego policzku wykwita czerwony ślad. Przez długą chwilę patrzymy na siebie w milczeniu, zdyszani. W jego oczach lśni jednak coś zupełnie innego niż gniew.

A ja się pogrążam. Tonę.

– Nie chciałem cię zranić. – Chwyta mnie za rękę, pewnie żeby znów nie oberwać. Nasze palce się splatają. – Nie, to nie tak, niezupełnie tak. Nie sądziłem, że w ogóle mogłbym cię zranić. I nigdy nie przypuszczałem, że możesz się mnie bać.

– A spодobało ci się? – pytam.

Odwraca się i to jest odpowiedź. Może nie chce się do tego przyznać, ale ja i tak wiem.

– Otóż zraniłeś mnie i owszem, boję się ciebie – mówię to, a jednocześnie chciałabym sama sobie zatkać usta. Może to przez wycięczenie albo dlatego, że dosłownie otarłam się o śmierć, ale prawda sama ze mnie wychodzi, istną lawiną. – Zawsze się ciebie bałam. Miałam przecież wszelkie powody, żeby się obawiać twoich kaprysów i twojego okrucieństwa. Bałam się ciebie nawet wtedy, kiedy siedziałeś przywiązany do krzesła w Dworze Cieni. Bałam się ciebie, kiedy przytykałam ci ostrze noża do gardła. I teraz też się ciebie boję.

Cardan jest teraz bardziej zdziwiony niż wtedy, gdy go uderzyłam.

Zawsze był dla mnie symbolem tego w Elfhame, czego nigdy nie będę miała. Symbolem samego Elfhame, które nigdy mnie nie zechce. Kiedy mu o tym mówię, to jakbym rzuciła potężne brzemie, lecz problem polega na tym, że owo brzemie jest zarazem moją zbroją. Obawiam się, że bez niej będę zupełnie bezbronna. Mówię jednak dalej, tak jakbym już całkiem straciła panowanie nad własnym językiem.

– Pogardzałeś mną. Więc kiedy potem powiedziałaś, że mnie pragniesz, świat stanął na głowie.

Milknę, ale tylko na chwilę.

– Dlatego to wygnanie dokładnie pasowało do mojej wizji Cardana. – Napotykam jego spojrzenie. – To było coś, czego mogłabym się po nim, po tobie spodziewać. Byłam na siebie wściekła, bo tego nie przewidziałam. A teraz wściekam się, bo dalej nie wiem, co zamierzasz zrobić.

Zamyka oczy, a kiedy je otwiera, puszcza moją rękę i odwraca się. Stajemy twarzą w twarz.

– Rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś. Domyślam się, że niełatwo mi zaufać. Może zresztą nie powinno mi się ufać, pozwól jednak, że powiem tak: ja tobie ufam. – Bierze głęboki wdech. – Być może jeszcze pamiętasz, że wcale nie chciałem być Najwyższym Królem. A ty nie pytałaś mnie o zdanie, tylko włożyłaś mi koronę na głowę. Może pamiętasz i to, że Balekin raczej sobie nie życzył, żebym ten tytuł zachował, zresztą Wieczna Rada także nigdy za mną nie przepadała.

– No, zapewne – przyznaję, chociaż mówi rzeczy oczywiste. Balekin po prostu chciał korony dla siebie, a członkowie Wiecznej Rady domagali się jedynie, żeby Cardan stawiał się na posiedzenia, co nader rzadko mu się zdarzało.

– Istnieje przepowiednia spisana po moich narodzinach. Zazwyczaj Bafen wygłasza proroctwa mętne i wieloznaczne, tym razem jednak stwierdził jasno, że jeśli obejmę rządy, kiepski będzie ze mnie król. Jest tam też coś o unicestwieniu tronu i Korony, a wszystko to bardzo górnolotne.

Pamiętam. Oriana mówiła, że Cardan urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą, coś podobnego mówił też Madok, ale dopiero teraz dowiaduję się, że to ma być więcej niż zwykły pech. To jest coś, co każe mi myśleć o nadchodzącej bitwie i przypomina mój sen o gwiazdnych mapach i rozlanym krwawym atramencie.

Cardan znów na mnie patrzy. Z góry, tak jak w moich sennych marach.

– Zanim zmusiłaś mnie do pracy dla Dworu Cieni, nigdy nie zastanawiałem się, czy potrafię zastraszać, oczarowywać. Nigdy też nie uważałem tego za swoje szczególne zdolności, tym bardziej za coś przydatnego. A ty pokazałaś mi, jak je spożytkować. Nie miałem nic przeciwko temu, by być drobnym nicponiem, ale może zdarzyć się, że z czasem wyrosnę na coś gorszego, że stanę się Najwyższym Królem równie potwornym jak Dain. Jeśli do tego dojdzie, jeżeli tak właśnie spełnię przepowiednię, ktoś powinien mnie powstrzymać. Wierzę, że ty byś to zrobiła.

– Mam cię powstrzymać? – odpowiadam. – Nie ma sprawy. Jeżeli okażesz się megalajdakiem i zagrożeniem dla Elfhame, to po prostu urwę ci łeb.

– Dobrze. – Spogląda tęsknie i dodaje: – To jeden z powodów, dla których nie chciałem wierzyć, że przyłączyłaś się do Madoka. Drugi jest taki, że chcę mieć cię przy sobie jako moją królową.

Dziwna to przemowa i nie ma w niej zbyt wiele miłości, lecz nie brzmi też jak kunsztownie budowana pułapka, jak jakaś nowa sztuczka. O ile jest mi trochę przykro, że podziwia mnie przede wszystkim za moją bezwzględność, to cóż, chyba należy uznać za pocieszające, że w ogóle za coś mnie podziwia. Chce mieć mnie przy sobie, a może też i pragnie mnie jakoś inaczej. Życzyć sobie czegoś więcej byłoby już zachłannością.

Król Cardan uśmiecha się leciutko.

– A teraz, kiedy jesteś Najwyższą Królową i znów obejmujesz ster rządów, i tak nie będę robił niczego istotnego. Jeśli unicestwię Koronę i zrujnuję tron, to tylko przez

niedopatrzenie.

Słyszając to, wybucham śmiechem.

– A więc taki sobie obmyśliłeś wykręt, by się wymigać od jakiegokolwiek pracy? Przywdziewasz szaty dekadencji, bo gdybyś przypadkiem czymś się zajął, mógłbyś wypełnić jakąś wyssaną z palca przepowiednię?

– Otóż to właśnie. – Dotyka mego ramienia, jego uśmiech znika. – Może chcesz, żebym powiadomił Radę, że spotkasz się z nimi kiedy indziej? To byłaby pewna nowość, jeśli to ja będę tłumaczył twoją nieobecność, a nie ty moją.

– Nie. Jestem gotowa.

W głowie mi szumi od tego wszystkiego, co zostało powiedziane. Na dłoni mam złoty krem. Patrzę na Cardana, widzę, że resztkę pudru rozmazała się na jego policzku. To od mego uderzenia. Nie mogę przestać patrzeć na ten ślad, nie mogę też przestać myśleć o tym, jak na mnie patrzył, gdy pochwycił moje palce. To jedyne wytłumaczenie faktu, że nie zauważyłam, dokąd zaszliśmy: znów znaleźliśmy się w jego komnatach. Komnatach, które, jak sądzę, są także moje, jesteśmy wszak małżeństwem.

– Oni są tutaj? – pytam.

– To chyba miała być zasadzka – tłumaczy mi, krzywiąc usta. – Jak wiesz, są nad wyraz wścibscy i nie znoszą, gdy ktoś usiłuje trzymać ich z dala od ważnych wydarzeń, takich jak przychodzenie do zdrowia Jej Królewskiej Wysokości.

Na myśl, że mogłam obudzić się w obecności całej Wiecznej Rady, półprzytomna, brudna i naga, prostuję się ze złości; mam nadzieję, że dzięki temu prezentuję się teraz godnie.

Wewnątrz przy kominku drzemie Wielki Błazen Fala. Pozostali członkowie Rady – a więc Randalin o baranich rogach, Bafen gładzący się po sieniej brodzie, złowrogi Mikkel reprezentujący Niecne Dwory oraz owadziokształtna Nihuar jako przedstawicielka Cnych Dworów – zasiadają w komnacie, bez wątpienia poirytowani tym, że musieli czekać.

– Królowo seneszału! – wykrzykuje Fala, zrywa się i kłania przesadnie nisko.

Randalin patrzy spode łba, pozostali niemrawo zbierają się, żeby wstać. Czuję się okropnie niezręcznie.

– Nie, bardzo proszę – mówię. – Nie fatygujcie się.

Radcy i ja nie żyjemy ze sobą w wielkiej przyjaźni. Jako seneszał Cardana po wielokroć odmawiałam im posłuchania u Najwyższego Króla. Zapewne w ich mniemaniu jedyną moją kwalifikacją do tej funkcji była umiejętność kłamania.

Teraz zapewne nie dostrzegają u mnie żadnych kwalifikacji uprawniających do objęcia nowej funkcji.

Nim jednak któryś z nich zdąży mi to powiedzieć, przystępuję do opisu obozowiska Madoka. Potem odtwarzam widziane tam morskie mapy, sporządzam listę wszystkich

frakcji, które opowiedziały się po wrogiej stronie. Opowiadam też, co widziałam w kuźni Grimsena. Cardan od czasu do czasu wtrąca coś dla uzupełnienia.

Przewaga liczebna jest po stronie Elfhame. Nie wiem, czy ja byłabym w stanie, ale Cardan na pewno może czerpać z mocy ziemi. Pozostaje jednak kwestia miecza.

– Pojedynek? – zastanawia się Mikkel. – Może pomylił Najwyższego Króla z kimś bardziej krwiożerczym. Może na przykład z tobą?

Te słowa padające akurat z jego ust nie są obelgą.

– Cóż, pani Jude zadała się z samą Grimą Mog. – Randalin nigdy za mną nie przepadał i podejrzewam, że ostatnie wypadki nie zwiększyły jego sympatii do mnie. – Któż inny wykorzystałby czas swojej banicji do zwerbowania cieszących się jak najgorszą sławą rzeźników.

– Ale powiedz, czy naprawdę zamordowałaś Balekina? – Ni stąd, ni zowąd pyta Nihuar. Wyraźnie nie potrafiła już zapanować nad ciekawością.

– Tak – odpowiadam. – Po tym jak otruł Najwyższego Króla.

– Otruł? – dziwi się Nihuar i patrzy pytająco na Cardana.

Cardan, rozwalony na fotelu i znudzony jak zawsze, wzrusza ramionami.

– Przecież nie będę wam opowiadał o każdym drobiazgu z mojego życia.

Randalin nie zamierza dać za wygraną, przeciwnie, aż nadyma się ze złości.

– Wasza Wysokość, zapewniano nas, że jej wygnanie było uzasadnione. Sądziliśmy ponadto, że nim Wasza Wysokość zechce wstąpić w związek małżeński, zechce wprzód z nami...

– Przynajmniej jedno z was mogło nas powiadomić – wtrąca Bafen.

A więc to o tym tak naprawdę chcieli mówić. Chcieli upewnić się i sprawdzić, czy istnieje jakaś możliwość, by zapobiec czemuś, co już się stało, odczynić jakoś moje wyniesienie na stanowisko Najwyższej Królowej.

Cardan unosi dłoń.

– Nie, nie. Już dosyć. Nie chce mi się tego tłumaczyć. Zamykam posiedzenie Wiecznej Rady i tak dalej. – Strzela palcami, pokazuje drzwi. – Zostawcie nas. Jesteście nudni.

Wiele czasu upłynie, zanim zdobędę się na równie bezwstydną arogancję.

Oni zaś nie mają wyboru. Mruczą coś tam pod nosem, ale potulnie wstają i wychodzą. Fala na pożegnanie śle mi całusa.

Przez chwilę jesteśmy sami.

Zaraz potem ktoś łomocze do tajnych drzwi. Nim którekolwiek z nas zdąży wstać, do komnaty wpada Bomba niesie tacę z herbatą. Białe włosy spięła w kucyk, a jeśli nawet jest zmęczona i zrozpaczona, nie pokazuje tego po sobie.

– Niech żyje Jude! – woła, puszcza do mnie oko, po czym stawia tacę na stole, czemu towarzyszy głośny brzęk filiżanek, spodków i całej reszty. – Choć może akurat ja nie powinnam tego mówić.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Jeżeli żyję, to tylko dzięki temu, że jesteś łamaga i kiepsko strzelasz.

Bomba pokazuje nam wiązaną ziół.

– Kataplazm. Dla wyciągnięcia gorączki z krwi, aby chora szybciej przychodziła do zdrowia i aby stępić ból. Niestety, twojego ostrego języka nic nie stępi. – Wyciąga z kieszeni bandaż i mówi do Cardana: – Lepiej idź stąd.

– No nie, przecież to jest mój pokój – mówi z urazą w głosie Cardan. – I w dodatku moja żona.

– Tak, w kółko to powtarzasz – odpowiada Bomba. – Ale ja zamierzam zdjąć jej szwy i myślę, że nie będziesz chciał na to patrzeć.

– No nie wiem – wtrącam. – Może chciałby usłyszeć mój krzyk.

– Pewnie – mówi Cardan i wstaje. – Może zresztą któregoś dnia usłyszę.

Wychodząc, muska moje włosy. Leciutko, przelotnie, a potem go już nie ma.



Zdejbowanie szwów okazuje się operacją długotrwałą i bolesną. Moja siostra to mistrzyni krawieckiego kunsztu, jej szwy są niczym artystyczny haft wykonany na moim brzuchu oraz boku, tak więc Bomba ma do czynienia ze schludnymi, równiutkimi krzyżykami. Każdy z nich trzeba osobno rozciąć, a potem wyciągnąć nitki, również każdą osobno, by wreszcie móc posmarować obolałe miejsce gojącą maścią.

– Auu! – krzyczę chyba już tysięczny raz. – Naprawdę musisz to wszystko wyciągać?

Bomba ciężko wzdycha.

– Należało to zrobić już parę dni temu.

Zaciskam zęby, bo znowu chce mi się zawyć. Kiedy już jestem w stanie mówić, aby odwrócić własną uwagę, rzucam:

– Cardan mówi, że według ciebie jest nadzieja na uzdrowienie Karakana.

Pochylona nade mną Bomba pachnie prochem i gorzkimi ziołami. Na moje stwierdzenie odpowiada lekkim tonem:

– Jeżeli chodzi o niego, to zawsze mam nadzieję.

Ktoś cicho puka do drzwi. Bomba spogląda na mnie pytająco.

– Proszę – wołam, opuszczając jednocześnie suknię, żeby zakryć brzuch.

Do pokoju wchodzi posłanka o skrzydełkach ćmy i wystraszonym wyglądem. Zawdzięczam jej chwilę wytchnienia, z której nie omieszka skorzystać. Kłania się, sprawia wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć. Może to z powodu tego stosiku zakrwawionych nitek?

Już mam jej wyjaśnić, skąd się wzięły, ale przecież królowej nie przystoi się tłumaczyć, poza tym tylko wprowadziłabym nas obie w zakłopotanie. Uśmiecham się więc do niej zachęcająco.

– Tak?

– Wasza Wysokość – mówi – pani Asha pragnie cię ujrzeć. Przysłała mnie, bym przyprowadziła Waszą Wysokość od razu prosto do komnaty, gdzie leży, złożona boleścią.

– Boleścią! – parska cicho Bomba.

– Możesz jej powiedzieć, że wpadnę do niej, gdy znajdę chwilę – odpowiadam najwznieśliwiej, jak tylko potrafię.

Choć oczywiście nie jest to odpowiedź, której oczekiwała ode mnie jej pani, wysłanniczka niewiele może zrobić, aby to zmienić. Przez chwilę stoi niepewna, czy dobrze zrozumiała, potem chyba to do niej dociera. Zgnębiona, kłania się i odchodzi.

– Jesteś Najwyższą Królową na Elfhame. Zachowuj się jak królowa – poucza mnie Bomba z surowym wyrazem twarzyczki. – Nie możesz pozwalać, żeby ktoś ci rozkazywał. Nawet ja.

– Przecież jej odmówiłam! – protestuję.

Bomba dobiera się do kolejnej nitki, ale nie robi tego jakoś szczególnie delikatnie.

– Pani Asha nie jest osobą, której należy udzielić posłuchania w pierwszej kolejności tylko dlatego, że sobie tego życzy. Poza tym to nie królowa powinna do niej przychodzić, tylko odwrotnie. Zwłaszcza że ty jesteś ranna, a ona leży w swym łożu złożona niedomaganiem, którego się nabawiła, widząc, jak spadasz z sufitu.

– Ojoj – mówię. Sama już nie wiem, czy to reakcja na wyrwanie kolejnej nitki z żywego ciała, czy na jak najbardziej uzasadnioną połajankę, czy też na kąśliwą a trafną uwagę dotyczącą pani Ashy.



Kiedy Bomba wreszcie uznaje, że można dać mi spokój, odchodzi, a ja natychmiast ignoruję jej wysmienite rady i udaję się do komnaty pani Ashy. Nie żebym się z tymi radami nie zgadzała. Chcę jednak coś powiedzieć matce Cardana i intuicja mi mówi, że oto nadarza się po temu wysmienita okazja.

Po drodze w korytarzu zatrzymuje mnie Val Moren, zagrządzając mi drogę laską. W przymrużonych oczach śmiertelnika, który był seneszalem ostatniego Najwyższego Króla, dostrzegam przewrotną złośliwość.

– Jak to jest, gdy ktoś dźwignie się na równie oszalamiające wyżyny? – pyta. – Nie boisz się kolejnego upadku?

Mierzę go spojrzeniem.

– Nie wątpię, że ty wiesz, jakie to uczucie.

– Niełaskawa dla mnie moja królowa, niełaskawa – stęka Val Moren. – Czyś nie powinna być dobra dla najmniejszego ze swoich poddanych?

– Chciałbyś, żebym była dla ciebie dobra? – Kiedyś się go bałam, tych jego enigmatycznych przestroóg i szaleństwa w oczach, teraz jednak tylko mnie drażni. – Przez te wszystkie lata miałeś niejedną okazję być dobrym dla mnie i dla mojej siostry. Mogłeś nam pomóc, mogłeś nauczyć, jak tutaj przetrwać, gdy jest się śmiertelną istotą. Ale nie. Zostawiłeś nas na pastwę losu, chociaż przecież jesteśmy tacy sami.

Wpatruje się we mnie spod przymrużonych powiek.

– Tacy sami? – obrusza się. – Myślisz, że nasienie, które spocznie w goblinowej ziemi, wyrośnie na taką samą roślinę, jaka byłaby z niego w śmiertelnym świecie? Nie, moje małe nasionko! Nie wiem, czym ty jesteś, ale tacy sami nie jesteśmy na pewno. Ja tu przybyłem, gdy byłem już całkiem dorosły.

To rzekłszy, odchodzi. Przez chwilę spoglądam za nim rozgniewana.

Panią Ashę zastaję w łóżu pod baldachimem, z głową opartą o poduszki. Odnoszę wrażenie, że z takimi rogami niełatwo jest znaleźć wygodną pozycję, ale pewnie jest tak, że gdy już ma się rogi, to trzeba i można się do nich przyzwyczaić.

Na krzesłach stojących obok jej łóżka zasiadają dwaj dworzanie, jeden w długiej szacie, drugi w spodniach i kaftanie rozciętym na plecach; przez ten otwór wysuwają się dwa delikatne skrzydełka. Ten pierwszy czyta coś głośno ze zbioru plotkarskich sonetów. Służka, która przyniosła mi wiadomość od pani Ashy, zapala świece; w powietrzu pachnie szałwią, goździkami i lawendą.

Kiedy wchodzę, dworzanie siedzą o wiele za długo, niż powinni, a kiedy wreszcie się dźwigają, by złożyć mi ukłon, robią to nadzwyczaj ospale. Pani Asha nawet się nie rusza, spogląda tylko na mnie z pobłażliwym uśmiechem, tak jakbyśmy dzieliły ze sobą jakiś obleśny sekret.

Myślę o mojej matce, jak nie myślałam o niej już od dawna. Wspominam, jak śmiejąc się, odchylała głowę do tyłu. Jak pozwalała nam latem później chodzić spać i ganiałyśmy po podwórku w świetle księżycy; miałam ręce lepkie od lizaka, w powietrzu czuć było gęsty dym z kuźni taty. Pamiętam, jak przez całe popołudnia razem oglądałyśmy kreskówki i pamiętam bąble od ukąszeń komarów. Myślę o tym, jak wynosiła mnie na rękach z samochodu, gdy zdarzyło mi się usnąć podczas długiej podróży. Przypomina mi się to senne, ciepłe uczucie, gdy ktoś człowieka niesie w powietrzu.

Kim bym była bez tego wszystkiego?

– Bez ceremonii, możesz nie wstawać – powiadamiam panią Ashę.

Najpierw jest zaskoczona, potem obrażona. Cóż to za impertynencja dawać jej do zrozumienia, że mogą mi się należeć jakieś względy. Dostrzegam błysk w oku dworzanina

ze skrzydełkami; jestem pewna, że natychmiast rozpowie wszystkim, co tu widział i słyszał. Wątpię, czy przedstawi mnie w korzystnym świetle.

– Porozmawiamy później – pani Asha zwraca się do swoich przyjaciół wyjątkowo oziębłym tonem. Zostają więc bezceremonialnie odprawieni, ale nie widać, by poczuli się urażeni. Znow się kłaniają, tym razem nam obu, a potem wychodzą. Zanim domykają za sobą drzwi, już rozlega się gorączkowa szeptanina. – Bardzo uprzejme z twojej strony, że raczyłaś mnie odwiedzić – mówi matka Cardana. – Przecież tak niedawno do nas wróciłaś. I od tak niedawna zasiadasz na tronie.

Z trudem powstrzymuję uśmiech. Niemożność kłamania sprawia, że czasem można usłyszeć przedziwne rzeczy.

– Chodź – mówi. – Posiedź ze mną chwilę.

Wiem, co powiedziałyby Bomba. Kolejny raz pozwalam matce Cardana mówić, co mam robić, ale nie chcę być małostkowa, nie będę się czepiać słówek.

– Kiedy sprowadziłam cię z Wieży Zapomnienia do mojego szpiegowskiego matecznika – odzywam się, przypominając jej w ten sposób, dlaczego raczej nie powinna ze mną zadzierać – powiedziałaś, że chcesz się znaleźć jak najdalej od Najwyższego Króla, swojego syna. Wygląda jednak na to, że się pogodziliście. Z pewnością bardzo cię to cieszy.

Asha wydyma usta.

– Cardan nie był dzieckiem, które łatwo kochać, a z czasem stał się tylko gorszy. Krzyczał, domagał się, by go brać na ręce, a kiedy go podnosiłam, gryzł i kopał, byle jak najprędzej uwolnić się z mych ramion. Znajdował sobie taką czy inną grę, zajmował się nią do opętania, dopóki jej nie rozwikłał, a wówczas rzucał planszę i pionki do ognia. Gdy nie będziesz już dla niego wyzwaniem, odepchnie cię i wzgardzi tobą.

Przyglądam się jej.

– Czy to jest przestroga udzielona z dobroci serca?

Asha uśmiecha się.

– Udzielam ci tej przestrogi, bo nie ma ona żadnego znaczenia. Już jesteś skazana, a twój los przypieczętowany, królowo na Elfhame. Już go pokochałaś. Kochałaś go, kiedy wypytywałaś mnie o niego zamiast o swoją rodzoną matkę. I nadal będziesz go kochać, śmiertelna dziewczyno, długo po tym, jak jego uczucie wyparuje niczym poranna rosa.

Trudno nie pamiętać milczenia Cardana, kiedy go spytałam, czy mój strach sprawia mu przyjemność. Zawsze w jego charakterze pozostanie upodobanie do okrucieństwa. Być może się zmienił, ale przecież może zmienić się znowu.

Nie cierpię wychodzić na głupca. Nie cierpię, gdy emocje biorą górę, czyniąc mnie słabą. Jednak lęk przed wyjściem na głupca sprawił, że właśnie na głupca wyszłam. Dużo wcześniej powinnam była odgadnąć sens cardanowej zagadki. Co prawda nie wiedziałam, że to łamigłówka, ale i tak należało tę kwestię porządnie przemyśleć. Tymczasem byłam tak

zawstydzona, że dałam się złapać w pułapkę, przestałam szukać furtki, którą mogłabym się z niej wydostać. Zresztą przecież znalazłam wyjście, ale nie zrobiłam nic, żeby z niego skorzystać.

Może to nie takie straszne, kiedy ktoś pragnie być kochany, nawet kiedy nie jest. Nawet jeśli to sprawia ból. Może bycie istotą ludzką nie zawsze oznacza słabość.

Może to właśnie ten wstyd jest największym problemem.

Ale tak długo przebywałam na wygnaniu nie tylko z powodu moich lęków.

– To dlatego przejmowałaś wysyłane przez niego listy? Byłaś taka dobra i chciałaś mnie chronić? A może raczej bałaś się, że jednak nigdy się mną nie znuży? Albowiem, moja damo, ja zawsze będę dla niego wyzwaniem!

Przyznaję, z tymi listami to tylko domysł. Jednak z drugiej strony, mało kto miał dostęp do Najwyższego Króla i jednocześnie sposobność, żeby przejmować jego korespondencję. Na pewno nie żaden ambasador obcego królestwa. Raczej też nie któryś z członków Wiecznej Rady. Coś mi natomiast mówi, że pani Asha za mną nie przepada.

Spogląda na mnie dobrotliwie.

– Ach, tyle rzeczy ginie, tyle ulega zniszczeniu.

Biorąc pod uwagę fakt, że nie może kłamać, jest to praktycznie przyznanie się do winy.

– Rozumiem – odpowiadam i wstaję. – W takim razie przyjmę twoją radę dokładnie w takim duchu, w jakim została udzielona. – Już w drzwiach odwracam się i mówię to, czego pani Asha najbardziej nie chce usłyszeć: – Następnym razem nie wybaczę, jeśli się nie uklonisz.



Jestem w połowie korytarza, kiedy widzę biegnącą w moją stronę rycerza pixie; jej polerowana zbroja lśni odcieniem błękitu harmonizującym ze skórą koloru ceruleum.

– Wasza Wysokość, pilne wezwanie do Waszej Wysokości – mówi, przykładając dłoń do napierśnika.

– Fand? – Kiedy razem chodziłyśmy do pałacowej szkoły, obie marzyłyśmy o rycerskim stanie. Jak widać, jednej z nas się udało.

Spogląda zaskoczona, że ją pamiętam, a przecież było to całkiem niedawno. Pewnie i ona sądzi, że zaszłam niebywale wysoko i z tego powodu doznaję zawrotu głowy, który osłabia pamięć.

– Rycerzu Fand – poprawiam się, a na jej twarzy pojawia się uśmiech. I ja się do niej uśmiecham. Nie byłyśmy co prawda przyjaciółkami, ale pozostawałyśmy w przyjacielskich stosunkach; niuans, który dla mnie na dworze Najwyższego Króla stanowił coś wyjątkowego. – Co się stało, cóż to tak pilnego?

Natychmiast znów staje się poważna.

– W sali tronowej są wojownicy Toni.

– Aha – mówię i pozwalam prowadzić się przez korytarze. Niektórzy elfowie kłaniają się, inni ostentacyjnie tego nie robią. Nie mając pewności, jak powinnam się zachować, ignoruję i jednych, i drugich.

– Powinnaś mieć własną straż, pani – stwierdza rycerz Fand, podążająca tuż za mną.

Niesamowite, że każdy ma coś do powiedzenia na temat tego, co powinnam i jak mam sprawować swój królewski urząd. Przynajmniej tym razem moje milczenie wystarcza za odpowiedź, rycerz Fand więcej się nie odzywa.

Sala tronowa jest niemal pusta. Randalin wyłamuje palce poranych zmarszczkami dłoni, przyglądając się żołnierzom Toni – selkie i elfów o białej skórze, która przywodzi mi na myśl tych, których oni zowią topielcami. Na ich czele stoi Nicassia, okryta zbroją z opalizujących łusek, z włosami przyozdobionymi zębami rekina; trzyma w swoich dłoniach dłonie Cardana. Jej oczy są zaczerwienione i spuchnięte, jakby płakała. Jego ciemnowłosa głowa chyli się ku niej, co przypomina mi, że kiedyś byli kochankami.

Na mój widok Nicassia odwraca się gwałtownie w moją stronę i krzyczy we wściekłej furii:

– To sprawka twojego ojca!

Powstrzymuję odruch, by nie cofnąć się pod naporem jej gniewu.

– Ale co?

– Królowa Orlagh – Cardan wyjaśnia to z jakby wymuszonym spokojem. – Ponoć została ugodzona niezwykłą strzałą, która wniknęła głęboko w ciało, lecz zatrzymała się, nie tykając serca. Gdy ktokolwiek próbuje ją wyciągnąć, stawia opór niby żywa istota, niepodatna ani na siłę, ani na magię. Żywa, ale też może w niej być żelazo.

Myślę szybko i chyba już wiem. Duch. To tam go posłał Madok, na dno morza. Nie po to, żeby zabił królową, bo to wzniesiłoby gniew wodnych elfów i tym bardziej związało je z Cardanem, ale żeby ją ranić, a potem mieć jej życie w swojej mocy. Jak jej poddani mieliby walczyć z Madokiem, który powstrzymuje zadanie ostatecznego ciosu, dopóki oni zachowują neutralną pozycję?

– Strasznie mi przykro – to zupełnie ludzkie słowa, kompletnie bezużyteczne, ale i tak już je wypowiedziałam.

Nicassia wykrzywia usta.

– I powinno ci być przykro!

Po chwili z ociąganiem puszcza dłoń Cardana. Przecież całkiem niedawno chciała brać z nim ślub. Szczerze wątpię, czy moje pojawienie się sprawiło, że całkiem dała za wygraną.

– Muszę być przy mojej matce. Na dworze Toni zapanował chaos.

Całkiem niedawno Nicassia i jej matka trzymały mnie w niewoli, zamkniętą w klatce, za pomocą czarów próbowały odebrać mi wolę. Czasami w snach wciąż tam przebywam, wciąż unoszę się pośród mroku i w chłodzie.

– Jesteśmy twoimi sprzymierzeńcami, Nicassio – odzywa się Cardan. – Pamiętaj o tym, jeśli będziesz nas potrzebować.

– Liczę, że przynajmniej pomścicie moją matkę – odpowiada Nicassia. Raz jeszcze rzuca nieprzyjazne spojrzenie w moim kierunku, odwraca się i opuszcza salę. Żołnierze Toni

podążają za nią.

Nawet nie mogę mieć jej tego za złe. Jestem oszołomiona tak śmiałym – i celnym – uderzeniem Madoka. Cóż za rozmach! Uśmiercenie Orlagh wydaje się czymś niemal niewykonalnym, jest ona w końcu jedną z najdawniejszych potęg elfowych królestw, starsza jest nawet od Eldreda. Natomiast zranienie jej w ten sposób jest czymś jeszcze trudniejszym do wyobrażenia.

– Teraz, gdy władza Orlagh jest osłabiona, mogą pojawić się chętni do zajęcia jej tronu – odzywa się Randalin jakby z nutką żalu w głosie, tak jakby wątpił, czy Nicassia zdoła stanąć na wysokości zadania. – Morze to okrutna kraina.

– Czy pojмали przypuszczalnego zabójcę? – pytam.

Randalin spogląda na mnie z przyganą, tak jak czynił to już wiele razy, kiedy zadawałam pytanie, na które on nie znał odpowiedzi, ale nie zamierzał tego przyznać.

– Nie przypuszczam. Gdyby go schwytali, na pewno nie omieszkaliby nas powiadomić.

A to znaczy, że Duch jednak może i tutaj się zjawić. Co oznacza, że Cardanowi nadal grozi niebezpieczeństwo. W dodatku właśnie utraciliśmy potężnego sojusznika. Tak właśnie bywa, kiedy w wojennej grze los zmusza nas do obrony – nigdy nie wiemy, gdzie wróg uderzy, musimy więc gromadzić większe siły i rozpraszać je, starając się przewidzieć wszystkie ewentualności.

– Generałowie będą chcieli dokonać poprawek w swoich planach – mówi Randalin, spoglądając znacząco na Cardana. – Może należałoby wziąć udział w ich naradzie.

– Tak – zgadza się Cardan. – Tak, chyba należałoby się naradzić.

Podążamy więc do Sali Strategii. Czeka tam na nas zimna kolacja złożona z kaczych jaj, chleba jagodowego i cienkich jak papier plasterków pieczonego mięsa niedźwiedzia. Przełożona służby, rosła niewiasta o pajęczych rękach i nogach, czeka na nas wraz z dowódcami. Rozmowa szybko przeradza się w ucztę, podczas której tylko połowa zebranych zajęta jest wymienianiem grzeczności z panami i paniami przybyłymi z niższych dworów, druga skupia się jednak na planowaniu wojny.

Nowym głównodowodzącym okazuje się nieznanym mi ogr o imieniu Yorn, który objął stanowisko podczas mojego wygnania. Nie wiem o niczym, co świadczyłoby na jego niekorzyść, ale widzę, że zachowuje się nerwowo. Przywołuje jeszcze trzech ze swoich generałów, po czym zadaje mnóstwo pytań o mapy i inne materiały otrzymane od Wiecznej Rady. Przymierza się do próby stworzenia nowej strategii morskiej.

Znów zastanawiam się, jaki będzie następny ruch Madoka. Wciąż mam wrażenie, że trzymam w rękach już wystarczająco dużo kawałków układanki, tylko nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób należy je dopasować do siebie. Wiem tyle, że stara się blokować nasze możliwości manewru, ograniczać opcje, eliminować możliwe elementy zaskoczenia z naszej strony, by zyskać jak największe prawdopodobieństwo powodzenia swoich planów.

Jedyna nadzieja w tym, że i my zdołamy go jakoś zaskoczyć.

– Należy zaatakować, gdy tylko jego okręty pojawią się na horyzoncie – twierdzi Yorn. – Nie dać mu szansy na domaganie się rokowań. Bez pomocy władczyni mórz będzie trudniej, ale nadal jest to możliwe. Wciąż dysponujemy przewagą liczebną.

Zgodnie z obowiązującymi wśród elfów zasadami grzeczności, jeśli Madok tego zażąda, będzie miał prawo przybyć do Elfhame, ale tylko z nieliczną świtą i podjąć rozmowy. Dopóki nie sięgnie po broń, może jeść, pić i pertraktować z nami tak długo, jak tylko zechce. Kiedy odejdzie, działania wojenne zostaną podjęte w punkcie, w którym je przerwano.

– Pośle wiadomość ptasią pocztą – mówi Bafen. – A jego okręty mogą przybyć pod zasłoną mgły lub cienia. Nie wiemy, jaką magię ma do dyspozycji.

– On chce pojedynku – wtrącam. – Jednak kiedy dobędzie broni, złamie warunki rozejmu. Skoro chce rokowań, wolno mu wysadzić na brzeg tylko nieliczną świtę.

– Lepiej będzie otoczyć wyspy okrętami – podsuwa Yorn, znów przesuwając strategiczne figurki na przepięknie wyrysowanej mapie Insweal, Insmire, Insmoor oraz Insear leżącej na stole. – Uniemożliwimy wojskom Madoka dotarcie do brzegu, będziemy szyć z kusz do wszystkich ptaków lecących w naszą stronę. Mamy po naszej stronie sojuszników z niższych dworów.

– A co, jeżeli Madok uzyska pomoc od Toni? – pytam. Tamci patrzą na mnie ze zdumieniem.

– Przecież mamy traktat – odpowiada Randalin. – Może o tym nie wiedziałaś, pani, ponieważ...

– Tak, tak, teraz macie traktat – mówię, nie życzę sobie, żeby znów mi przypominano o moim wygnaniu. – Jednak Orlagh może przekazać koronę Nicassi. Jeśli tak się stanie, nowa królowa może zawrzeć nowy sojusz z Madokiem, tak samo jak Zębaty Dwór osadził na swoim tronie podmieńca, by móc wystąpić przeciwko Elfhame. A Nicassia za cenę uzdrowienia matki może zawrzeć traktat z Madokiem.

– Najjaśniejszy Panie, czy sądzisz, że to prawdopodobne? – Yorn zwraca się do Cardana, marszcząc czoło.

Najwyższy Król macha niedbale ręką.

– Jude spodziewa się wszystkiego najgorszego zarówno po swoich wrogach, jak i po swoich sprzymierzeńcach. Szczęśliwie co do tych drugich czasami się myli.

– Jakoś nie pamiętam, żeby mi się to zdarzyło – mówię do niego półgłosem.

Cardan unosi jedną brew.

Do sali wkracza Fand, choć wyraźnie zdaje sobie sprawę, że nie tutaj jej miejsce.

– Błagam o wybaczenie, ale... ale mam wiadomość dla Najjaśniejszej Pani – oznajmia, zacinając się nerwowo. – Od jej siostry.

– Jak widzisz, królowa... – zaczyna Randalin.

– Siostry? Której? – pytam, idąc w stronę Fand.

– Od Taryn – odpowiada. Teraz, kiedy rozmawia tylko ze mną, jest już spokojniejsza. Zniża głos. – Prosi o spotkanie w dawnej siedzibie Najwyższego Króla.

– Kiedy? – pytam, bicie mojego serca przyspiesza. Taryn jest osobą taktowną, dobrze wie, jak się zachować w każdej sytuacji. Enigmatyczne wiadomości i tajemnicze miejsca spotkań to zupełnie nie w jej stylu. Jeżeli chce, żebym zjawiła się w Próżnym Dworze, to znaczy, że wydarzyło się coś bardzo złego.

– Kiedy tylko zdołasz, pani – odpowiada Fand.

– Ruszam natychmiast – oznajmiam, po czym zwracam się do radców, generałów oraz Najwyższego Króla. – Pojawiły się pewne problemy rodzinne. Zechciejcie mi wybaczyć.

– Będę ci towarzyszył – powiadamia mnie Cardan i wstaje. Otwieram usta, żeby wyłożyć mu wszystkie przyczyny, dla których nie powinien tego robić. Kłopot w tym, że kiedy na niego spoglądam, łobuzersko mruga do mnie powieką podkreśloną złotą kreską, więc nie mogę wymyślić nic, co rzeczywiście zdołałoby go powstrzymać.

– Dobrze – mówię, a on staje obok mnie. – W takim razie, w drogę.

Yorn jakby odetchnął z ulgą na wieść, że opuszczamy naradę. Jak można było się spodziewać, Randalin ma wszystkim wszystko za złe. Bafen zajęty jest spożywaniem kaczego jaja, większość generałów pogrążona jest w rozmowach dotyczących tego, które z niższych dworów posiadają okręty i jak to uwzględnić na mapie.

Idąc korytarzem, muszę przyspieszyć, by dorównać kroku Cardanowi.

– Przecież nawet nie wiesz, dokąd się wybieramy.

Odgarnia z twarzy czarne loki.

– Fand, dokąd się wybieramy?

Fand z przepaszającą miną odpowiada:

– Do Próżnego Dworu.

– Aha – odpowiada Cardan. – W takim razie naprawdę się przydam. Jestem wam potrzebny, żeby pogadać z drzwiami, inaczej mogą być opryskliwe.

Próżny Dwór należał do Balekina, starszego brata Cardana. Był on uważany za najbardziej wpływową postać spośród Wilg – frakcji Najwyższego Dworu za czasów Eldreda z największym upodobaniem oddającej się ucztom, rozpuście i innym miłym występkom. Balekin słynął ze swoich nieokiełznanych biesiad. Podstępem zwabiał na służbę śmiertelników, rzucał na nich czar, za którego sprawą pamiętali tylko to, co on im kazał pamiętać. Był wyjątkowo wredną postacią nawet jeszcze zanim doprowadził do krwawego przewrotu i śmierci niemal całej rodziny, dążąc do zdobycia tronu.

Był też tym z braci, który podjął się wychowania Cardana.

Cardan posyła Fand, by sprowadziła królewską karocę. Chciałabym zaprotestować i oświadczyć, że mogę pojechać konno, zdaję sobie jednak sprawę, że przypuszczalnie jeszcze nie jestem w stanie tego zrobić. Po kilku minutach Cardan podaje mi rękę, wsiadam do przepięknie zdobionego powozu o siedziskach wyszywanych w winorośle i żuki. Cardan siada naprzeciwko mnie, opiera głowę o framugę okienka. Konie ruszają galopem.

Wyjeżdżamy poza zamkowe mury i wtedy sobie uświadamiam, że jest później, niż myślałam. Zaczyna już jaśnieć nad horyzontem. Spałam tak długo, że straciłam poczucie czasu.

Nadal rozważam, co ma znaczyć ta wiadomość od Taryn. Dlaczego mamy się spotkać właśnie w dawnych włościach Balekina? Czy to spotkanie ma jakiś związek ze śmiercią Lokiego?

Czy może należy spodziewać się kolejnej zdrady?

Konie wreszcie zwalniają, powóz zatrzymuje się. Wyskakuję; strażnik, który zdążył zeskoczyć z kozła, by zgodnie z ceremoniałem podać mi dłoń przy wysiadaniu, widząc mnie już przy koniach, jest zdezorientowany. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że powinnam zaczekać. Nie przywykłam do królewskiego życia i obawiam się, że nieprędko przywyknę.

Po mnie wysiada Cardan, ale nie patrzy ani na mnie, ani na strażnika, tylko na Próżny Dwór. Uderza ogonem, zdradzając uczucia, które nie malują się na jego twarzy.

To domostwo porośnięte grubą warstwą bluszczu, o pochylonej wieży, jasnym włosiu korzeni zwisającym z balkonów było kiedyś jego siedzibą. Tu byłam świadkiem, jak na rozkaz Balekina został wychłostany przez służącego śmiertelnika. Jestem pewna, że zdarzały tu się dużo gorsze rzeczy, choć nigdy o nich nie opowiadał.

Pocieram kciukiem o palec, któremu brakuje końca, bo odgryzł go jeden ze strażników Madoka. Nagle zdaję sobie sprawę, że gdybym opowiedziała o tym Cardanowi, zapewne by zrozumiał. Może nawet lepiej niż ktokolwiek inny pojąłby tę dziwną mieszaninę strachu i wstydu, które towarzyszy mi nawet teraz, kiedy o tym myślę. Mimo wszystkiego, co między nami zaszło, są chwile, w których doskonale się rozumiemy.

– Dlaczego tu jesteśmy? – pyta.

– Tutaj Taryn chciała się ze mną spotkać – wyjaśniam. – Nawet nie wiedziałam, że zna to miejsce.

– Bo nie zna – odpowiada Cardan.

Na wypolerowanych drewnianych drzwiach nadal widnieje ogromne ponure oblicze, nadal po bokach świecą latarnie, ale wokół nich nie krążą już otumanione świetliki. Zamiast tego sączy się z nich magiczne, miękkie światło.

– Mój królu! – Drzwi otwierają oczy i witają go, wyraźnie uradowane.

Cardan odpowiada łaskawym uśmiechem.

– Moje drzwi – mówi trochę dziwnym głosem, tak jakby właśnie się dziwił, że los znowu go tu sprowadza.

– Bądź pozdrowiony i witaj – dodają drzwi, po czym otwierają się na oścież.

– Czy wewnątrz znajduje się dziewczyna podobna do tej? – pyta Cardan, wskazując mnie dwornym ruchem.

– O tak – odpowiadają drzwi. – Bardzo podobna. Jest na dole, razem z tamtym.

– Na dole? – dziwię się, gdy wchodzimy do sieni, witani echem naszych kroków.

– Owszem, są tutaj lochy – wyjaśnia Cardan. – Prawie wszyscy goście sądzili, że to puste piwnice, pozostałość zamierzchłych czasów. Niestety, nie tylko.

– Czego Taryn tam szuka?

Na to jednak Cardan już nie ma odpowiedzi.

Schodzimy po schodach, przodem idzie królewski strażnik. W piwnicach czuć intensywny zapach ziemi. Wchodzimy do pomieszczenia, w którym jest tylko kilka sprzętów o surowym, niewygodnym wyglądzie oraz łańcuchy. Grube pochodnie płoną tak mocno, że czuję ich żar na policzkach.

Taryn siedzi obok otworu w podłodze. Ma na sobie prosty strój, zwykły płaszcz na ramionach, włosy spięte zwyczajnie do tyłu; gdy nie jest ubrana we wspaniałe suknie, gdy jej włosy nie są wymyślnie utrefione, wygląda zdumiewająco młodo. Niepokoi mnie, że i ja mogę tak dziecinnie wyglądać.

Na widok Cardana wstaje, obronnym gestem przykłada dłoń do brzucha. Składa dworski pokłon.

– Taryn? – odzywa się Cardan.

– On szukał ciebie – zwraca się do mnie Taryn. – Kiedy zastał mnie w twoich komnatach, powiedział, że muszę go zakuć w kajdany, bo Madok wydał mu jeszcze więcej rozkazów. Powiedział mi o tych lochach i zażądał, żebym go tutaj sprowadziła. Chodziło o takie miejsce, w którym nikt nie będzie go szukał.

Podchodzę do otworu, zaglądam. To wejście do podziemnego lochu, w którym siedzi teraz Duch – opiera się plecami o ścianę, na nadgarstkach i kostkach ma kajdany. Jest blady, źle wygląda, patrzy na mnie niespokojnie.

Mam ochotę spytać go, czy wszystko w porządku, ale przecież widać, że nie.

Cardan przygląda się mojej siostrze, próbując rozwikłać zagadkę.

– Ty go znasz, prawda? – pyta.

Taryn przytakuje, Duch splata dłonie na piersi.

– Czasami odwiedzał Lokiego. Ale nie, on nie ma nic wspólnego z jego śmiercią, jeżeli to masz na myśli.

– O nie, nie to mam na myśli – odpowiada Cardan. – Zupełnie nie to.

Oczywiście, że nie, przecież już wtedy Duch był więźniem Madoka. Wolałabym jednak, żeby rozmowa toczyła się na inny temat. Wciąż nie do końca wiem, jak zachowałby się Cardan, gdyby poznał prawdę o śmierci Lokiego.

– Jak to było z królową Orlagh? – pytam Ducha, zmieniając bieg rozmowy, a przy tym kierując ją ku najważniejszemu sprawom. – Jak to zrobiłeś?

– Ten grot dostałem od Madoka – wyjaśnia. – Był ciężki, gdy go ważyłem w dłoni i wił się niby żywa istota. Pan Jarel rzucił na mnie czar, dzięki któremu mogłem oddychać pod wodą, chociaż skóra paliła mnie jak obłożona lodem. Madok kazał mi postrzelić Orlagh, byle nie w serce czy głowę, i dodał, że grot załatwi resztę.

– Jak udało ci się uciec?

– Zabiłem ścigającego mnie rekina i skryłem się w jego cielsku, przeczekałem, aż minęło niebezpieczeństwo. Potem popłynąłem do brzegu.

– Czy Madok wydał ci jeszcze jakieś rozkazy? – pyta Cardan.

– Tak – odpowiada Duch z dziwnym wyrazem twarzy. To jedyne ostrzeżenie, w następnej chwili, jak pająk wspina się po ścianie lochu i jest już w połowie drogi. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że niepostrzeżenie uporał się z łańcuchami, w które zakula go Taryn, a zrobił to na pewno dużo wcześniej. Ogarnia mnie lodowate przerażenie. Zbyt jestem zeszywniała, żeby z nim teraz walczyć, zbyt obolała. Sięgam po ciężką pokrywę służącą jako zamknięcie otworu, licząc, że zdołam ją przesunąć, nim Duch się uwolni. Równocześnie Cardan woła strażnika, dobywając spod kaftana groźnie wyglądający nóż. Tego się nie spodziewałam; przynajmniej nie jest całkiem bezbronny, z pewnością to zasługa Karakana.

W tym momencie moja siostra odzywa się głośno:

– Ty jesteś Larkin Gorm Garrett. Odwołuję wszystkie rozkazy, odtąd masz słuchać tylko mnie.

Mimo woli wydaję cichy okrzyk. Nigdy jeszcze nie widziałam kogoś, wobec kogo użyto prawdziwego imienia. W świecie elfów, znając je, zyskujemy absolutną władzę nad jego posiadaczem. Słyszałam o przedstawicielach Ludku, którzy ucinali sobie uszy, żeby nie słyszeć poleceń, inni zaś ucinali język tym, którzy posiadli ową niebezpieczną wiedzę i dzięki takiemu zabiegowi ich imię nie mogło już zostać wypowiedziane.

Nawet sama Taryn jest teraz pod wrażeniem tego, co zaszło.

Duch zsuwa się na dno lochu. Mam wrażenie, że odetchnął z ulgą, chociaż moja siostra właśnie dała mu odczuć potęgę władzy, którą ma nad nim. Zapewne jednak lepiej być na jej łasce niż we władaniu mojego ojca.

– Znasz jego prawdziwe imię – Cardan zwraca się do Taryn. Chowa nóż pod kaftan, przygląda jego poję. – Gdzie się dowiedziałaś takiej ciekawostki?

– Loki wiele mi mówił. Często zbyt wiele – odpowiada Taryn, a w jej głosie słycać nutkę wyzwania.

Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

I przyznam, że mi ulżyło. Przecież mogła posłużyć się prawdziwym imieniem Ducha dla jakichś własnych celów. Mogła go ukryć. Kto wie, może zbliża się dzień, w którym przestaniemy się wzajemnie okłamywać.

– Chyba już możesz wyjść – mówię do Ducha.

Znów wspina się po ścianie, tym razem ostrożnie i powoli. Podciąga się, wychodzi. Cardan chce mu podać rękę, ale Duch kręci głową, radzi sobie sam, chociaż doskonale widzę, że jest bardzo osłabiony.

Przygląda mi się tak, jakby myślał o mnie dokładnie to samo.

– Czy trzeba dalszych rozkazów, żebyś nie zaatakował nikogo w tym pomieszczeniu? Czy wystarczy, że dasz słowo?

Krzywi się.

– Masz moje słowo.

Z pewnością jest niezadowolony, że teraz i ja znam jego prawdziwe imię. Cóż, na jego miejscu też bym sobie tego nie życzyła.

Nie mówiąc już o Cardanie.

– Może udalibyśmy się do którejś z przytulniejszych części Próżnego Dworu, żeby sobie uciąć pogawędkę? Należy nam się chwila odpoczynku po tych dramatycznych scenach – proponuje Najwyższy Król.

Duch chwieje się na nogach, Cardan chwyta go za ramię i pomaga wejść po schodach. Idziemy do salonu, jeden ze strażników przynosi koce. Rozpalam ogień na kominku. Taryn chyba chciałaby mi powiedzieć, że bym tego nie robiła, ale trochę nie śmie.

– Rozumiem, że kazano ci... Właściwie, jaki był rozkaz? Żeby mnie zamordować, jeśli nadarzy się okazja? – pyta Cardan, przechadzając się tam i z powrotem.

Duch kiwa głową, owija się ciasniej kocem. Jego orzechowe oczy są bez wyrazu, włosy splątane w nieładzie.

– Miałem nadzieję, że nasze drogi się nie skrzyżują i jednocześnie się lękałem, że do tego dojdzie.

– Tak, no cóż. Chyba obaj mamy szczęście, że Taryn była tak uprzejma i akurat kręciła się po pałacu – stwierdza Cardan.

– Nie wrócę do domu mojego męża, dopóki się nie upewnię, że Jude nie zagraża żadne niebezpieczeństwo – oświadcza moja siostra.

– Między mną a Jude doszło do nieporozumienia – mówi Cardan, ostrożnie dobierając słowa – ale nie jesteśmy nieprzyjaciółmi. Nie jestem też twoim wrogiem, Taryn.

– Tobie się zdaje, że wszystko jest zabawą – odpowiada Taryn. – Loki też tak myślał.

– W przeciwieństwie do Lokiego nigdy nie uważałem, że miłość jest zabawą – sprzeciwia się Cardan. – Wiele możesz mi zarzucić, ale tego z pewnością nie.

Przerywam im, bo po pierwsze, nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć ciąg dalszy tej rozmowy, a po drugie, naprawdę są pilniejsze sprawy.

– Czy jest jeszcze coś, co mógłbyś nam powiedzieć? – pytam Ducha. – Musimy wiedzieć, jakie są plany Madoka.

Duch potrząsa głową.

– Kiedy go ostatnio widziałem, był wściekły. Na ciebie i na siebie. Oraz na mnie, gdy tylko się dowiedział, że mnie znalazłaś. Wydał mi rozkazy i posłał w drogę, ale nie sądzę, żeby jego zamiarem było posłać mnie tak wcześnie.

Kiwam głową.

– Zgadza się. Musiał przyspieszyć akcję.

Kiedy uciekłam, magiczny miecz nie był jeszcze wykuty. To musiało być dla niego frustrujące, zmusiłam go do działania, zanim był całkiem gotowy.

Madok prawdopodobnie nadal nie wie, że jestem królową. Przypuszczam, że nawet nie wie, czy żyję. A to już coś.

– Jeżeli Rada dowie się, że wpadł nam w ręce winny napaści na Orlagh, będą kłopoty – odzywa się Cardan, który najwyraźniej podjął już jakąś decyzję. – Będą nalegać, żebym cię wydał Toni, żebyśmy w ten sposób przypodobali się naszym sojusznikom. To tylko kwestia czasu, prędzej czy później Nicassia dowie się o tobie. Zabierzemy cię więc do pałacu i ukryjemy. Pozostaniesz pod pieczęcią Bomby. Niech ona postanowi, co dalej z tobą zrobić.

– Doskonale – odpowiada Duch, jednocześnie z rezygnacją, ale i z ulgą.

Cardan przywołuje karocę.

Wsiadając do niej, Taryn ziewa. Zajmuje miejsce obok Ducha.

Opieram głowę o okno, prawie nie słucham, jak Cardan wypytuje moją siostrę o świat ludzi. Odnotowuję jednak, że z niekłamany zachwytem słucha o tym, jak działają automaty do lodów i sorbetów. Mniej więcej w połowie jej wykładu o różnych rodzajach gumy do żucia dojeżdżamy do pałacu, wysiadamy.

– Odprowadzę Ducha do jego nowego miejsca pobytu – mówi Cardan. – Jude, ty musisz odpocząć.

Wprost nie chce mi się wierzyć, że to dzisiaj po tak długim czasie obudziłam się z narkotycznego snu, że dopiero dzisiaj Bomba zdjęła mi szwy.

– Pójdę z tobą do twoich komnat – mówi Taryn konspiracyjnym tonem. Idziemy więc razem ku królewskim apartamentom.

Za nami korytarzem podąża dwóch strażników, zachowują jednak dyskretną odległość.

– Ty mu ufasz? – pyta mnie siostra szeptem, kiedy Cardan znajduje się poza zasięgiem jej głosu.

– Czasem – przyznaję.

Patrzy na mnie ze zrozumieniem.

– W powozie był całkiem miły. Nawet nie wiedziałam, że tak potrafi.

Śmieję się. Przy drzwiach komnaty Taryn kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Chciał zrobić wrażenie na tobie. Wiesz, rozmawiał ze mną, ale tak naprawdę chodziło mu o ciebie.

Unoszę brwi.

– Myślałam, że raczej pragnął się czegoś dowiedzieć o naszych dziwnych, ludzkich słodyczach i obyczajach.

Taryn potrząsa głową.

– Nie, on chce, żebyś go lubiła. Ale z tego, że on sobie czegoś życzy, jeszcze nie wynika, że i ty powinnaś – dodaje na pożegnanie.

Odchodzi, a ja zostaję sama w tej wielkiej komnacie.

Zdejmuję suknię, wieszam ją na parawanie. Pożyczam sobie następną bufiastą koszulę Cardana i moszczę się w wielkim łożu. Serce bije mi nerwowo, kiedy podciągam pod brodę haftowane w myśliwskie sceny przykrycie.

Nasze małżeństwo to sojusz. To układ. Sama siebie przekonuję, że nie musi ono być niczym więcej. Usiłuję sobie wmówić, że pożądanie, jakie Cardan odczuwa wobec mnie, zawsze mieszało się ze wstrętem, więc nawet dobrze, że teraz mój królewski małżonek mnie zaniedbuje.

Czekając na odgłos otwieranych drzwi i jego kroków na dębowej podłodze, usypiam.

Kiedy się budzę, nadal jestem sama. Nikt nie zapalił lampy, nikt nie przesunął nawet poduszki. Nic się nie zmieniło.

Siadam.

Być może spędził resztę poranka i popołudnie w Dworze Cieni, grając w bierki z Duchem i doglądając nieprzytomnego Karakana, łatwiej jednak mi go sobie wyobrazić w sali tronowej, gdzie dołącza do ostatnich niedobitków nocnej biesiady, spija szklanice wina, byle tylko nie położyć się koło mnie.



ROZDZIAŁ

21

Walenie do drzwi. Wyskakuję z łóżka; pospiesznie na koszulę, w której spałam, wkładam jeden ze szlafroków Cardana.

Jeszcze nim udaje mi się tego dokonać, drzwi otwierają się i do komnaty pakuje się Randalin.

– Moja pani – oznajmia nieco oskarżycielskim tonem. – Mamy wiele spraw do omówienia.

Owijam się staranniej szlafrokiem. Radca musiał wiedzieć, że Cardana ze mną nie ma, inaczej nie ośmieliłby się mnie nachodzić w tak bezceremonialny sposób, nie zamierzam jednak dać mu tej satysfakcji i pytać, gdzie jest król. Natychmiast też przypominają mi się słowa Bomby: *jesteś Najwyższą Królową na Elfhame, zachowuj się więc jak królowa*. Jakos tak.

Trudno jednak zachowywać godność, kiedy jest się nieubraną, potarganą, z nieumyтыми zębami. Nielatwo tak na zawołanie przydać sobie majestatu.

– A o czym to mielibyśmy rozmawiać? – odpowiadam najłodowatszym z lodowatych głosów.

Bomba niewątpliwie byłaby zdania, że powinnam go za ucho wyprowadzić na korytarz.

Hob Randalin prostuje się, nadyma od poczucia własnej ważności. Spogląda na mnie krytycznie kozimi oczami zza okularów o drucianych oprawkach. Jego baranie rogi są wypolerowane na wysoki połysk. Podchodzi do niskiej kanapy i siada.

Idę do drzwi, otwieram je i widzę dwóch nieznanym mi rycerzy. Oczywiście nie należą do osobistej gwardii Cardana. Skądże znowu, zapewne posterunek przy drzwiach wyznaczono za karę jakimś przypadkowym strażnikom, gdzieżby tacy śmieli bronić wstępu dostojnikowi zasiadającemu w Wiecznej Radzie. Na szczęście po drugiej stronie korytarza jest też Fand. Na mój widok ożywia się.

– Masz dla mnie jakąś wiadomość? – pytam.

Fand kręci głową.

Zwracam się więc do strażników:

– Kto wpuścił radcę bez mojego pozwolenia?

W ich oczach z nagłą pojawia się niepokój, jeden z nich zaczyna coś bąkać.

– Mówiłam, żeby go nie wpuszczać – przerywa mu Fand. – Potrzebujesz kogoś, by cię strzegł. Ciebie i twoich drzwi. Pozwól mi zostać twoim rycerzem. Znasz mnie. Wiesz, co potrafię. Czekałam tutaj w nadziei...

Pamiętam, jak sama marzyłam o stanowisku na królewskim dworze, jak wbrew wszelkiej właśnie nadziei liczyłam, że zostanę przyjęta do osobistej straży którejś z księżniczek. Rozumiem też doskonale, dlaczego Fand żadnego ważniejszego stanowiska nie otrzymała. Jest za młoda oraz – jak wszystko na to wskazuje – nieźle wygadana.

– Bardzo bym tego chciała. Fand, odtąd uważaj się za dowódcę mojej straży.

Nigdy dotąd nie miałam własnej straży, więc nawet nie bardzo wiem, co powinno się w takiej sytuacji powiedzieć.

– Na dąb i popiół, na cierń i jarzębinę przysięgam służyć ci lojalnie do samej śmierci – ślubuje pospiesznie Fand. – Czy mam teraz wyprowadzić radcę z twoich komnat, pani?

– Nie trzeba – odpowiadam, chociaż z przyjemnością wydałabym taki rozkaz, do tego podejrzewam, że nie całkiem udaje mi się ukryć uśmiech satysfakcji na taką myśl. – Ale wyślij, proszę, posłańca do moich dawnych apartamentów, niech sprawdzi, czy Strzępka nie mogłaby przynieść mi trochę moich rzeczy. Ja tymczasem zamienię słówko z Randalinem.

– Tak jest, Najjaśniejsza Pani – mówi, przyciskając pięść do serca.

Pokrzepiona myślą, że już wkrótce będę miała do dyspozycji swoje własne ubrania, wracam do środka. Przysiadam na oparciu przeciwległej sofy i przyglądam się radcy uważniej. Niewątpliwie zamierzał mnie zaskoczyć i w ten sposób coś na mnie wymóc.

– No, dobrze – odzywam się, obiecując sobie, że będę to miała na uwadze. – Słucham.

– Zaczynają nadciągać władcy niższych dworów. Zapewniają, że chcą być świadkami, kiedy twój ojciec rzuci wyzwanie, a przy tym zapewnić wsparcie Najwyższemu Królowi. Ale przybyli tu nie tylko dlatego – oznajmia, po czym dodaje z przekąsem: – Zjawili się tutaj, bo węższą słabość.

– Przysięgali Koronie. Winni są wierność Cardanowi, czy im się to podoba, czy nie.

– Pomimo to – peroruje dalej Randalin – skoro podmorskie królestwo nie może nam przysłać posiłków, jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zależni od naszych wasali z niższych dworów. Nie chcemy przecież, żeby pozostawali lojalni wobec nas wbrew swojej woli, z niechęcią. Kiedy zaś przybędzie Madok, a bez wątpienia na dniach to uczyni, będzie próbował wykorzystać wszelkie możliwe wątpliwości. Te zaś wiążą się z tobą, pani.

Aha, czyli o to mu chodzi.

– Nigdy na Elfhame nie było królowej śmiertelniczki – ciągnie dalej. – I teraz być nie powinno.

– Naprawdę sądzisz, że zrzeknę się władzy jedynie dlatego, że ty tak mówisz?

– Byłaś, pani, dobrym seneszalem – mówi ku mojemu zaskoczeniu Randalin. – Losy Elfhame leżą ci na sercu. Dlatego upraszam, byś zrzekła się swojego tytułu.

W tym momencie otwierają się drzwi.

– Nikt cię tu nie prosił, więc nam nie przeszkadzaj! – rzuca, nie oglądając się, Randalin. Zapewne miał to być wstęp do zbesztania służącego, a może Fand, chociaż tak naprawdę chciałby powiedzieć coś do słuchu swojej królowej. A potem odwraca się, blednie jak ściana i zrywa na równe nogi.

W drzwiach stoi Najwyższy Król. Unosi brwi, na jego ustach pojawia się złośliwy uśmieszek.

– Wielu tak myśli, lecz mało komu starcza odwagi, by to głośno powiedzieć.

Za nim stoi Grima Mog. Wojowniczką trzyma w dłoniach parujący garnek. Apetyczna woń sprawia, że czuję gwałtowny przypływ głodu.

Randalin tłumaczy się pospiesznie:

– Najjaśniejszy Panie! Wasza Wysokość, wielki to wstyd dla mnie. Moje niewczesne słowa żadną miarą nie były skierowane do Waszej Wysokości. Sądziłem, że... – urywa w porę, ale zaczyna znowu: – Jestem głupcem. Jeśli wołą Waszej Wysokości jest mnie ukarać...

Cardan przerywa mu:

– Może lepiej powiedzcie, o czym tak sobie rozmawialiście? Nie dziwi mnie, że przedkładasz rozsądne odpowiedzi Jude nad moje gaworzenie, dla zabawy jednak chętnie posłucham o sprawach państwowej wagi.

– Namawiałem tylko, żeby królowa miała na uwadze, że jej ojciec przynosi ze sobą wojnę. Wszyscy muszą ponieść ofiary.

Randalin zerka lękliwie na Grimę Mog, która odstawia garnek na stolik, potem znów patrzy na Cardana.

Mogłabym ostrzec Randalina, że takiego spojrzenia Cardana należy się obawiać.

Cardan zwraca się do mnie, w jego oczach dostrzegam iskierkę gniewu.

– Jude, pozwól, że zamienię z radcą słówko na osobności. Ja też chciałbym poprosić, by zechciał pilnie wziąć pod uwagę to i owo. A przy okazji, Grima Mog przyniosła ci zupę.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy, żeby odpowiedzieć Randalinowi: to jest moja ojczyzna i moja ziemia, nigdzie się nie wybieram i niczego się nie wyrzeknę.

– A jednak – powiada Cardan, kładąc dłoń na karku radcy – a jednak chciałbym mu szepnąć słówko.

Randalin daje się zaprowadzić Cardanowi do jednej z sąsiednich komnat. Drzwi się zamykają, słyszę zza nich głos Cardana i chociaż nie jestem w stanie rozróżnić słów, jedwabista groźba w ich tonie nie pozostawia najmniejszych wątpliwości.

– Zjedz – mówi Grima Mog i nalewa nieco zupy do miski. – To ci pomoże odzyskać siły.

W zupie pływają grzyby, a kiedy wkładam do niej łyżkę, widzę też jakieś bulwy i kawałki czegoś, co może być mięsem.

– Co w niej właściwie jest?

Wojowniczką prychna lekceważąco.

– Czy wiesz, że zostawiłaś pod moim domem swój nóż? Uznałam, że moim obowiązkiem jest zwrócić ci własność. Sąsiedzkim obowiązkiem. – Uśmiecha się do mnie chytrze. – Nie zastałam cię jednak w domu, tylko twoją prześliczną bliźniaczkę o wykwintnych manierach. Poczęstowała mnie herbatką i ciastem, i opowiedziała mi tak wiele ciekawych rzeczy. Szkoda, że ty nie opowiedziałas mi więcej o sobie. Może prędzej byśmy się porozumiały.

– Kto wie? – odpowiadam. – A co do zupy...

– Jestem wybredna, ale potrafię docenić wiele różnych smaków. A ty nie grymas, tylko jedz. Musisz nabrać nieco sił.

Upijam łyk, starając się nie zastanawiać zbyt dogłębnie, co połykam. Zupa smakuje jak chudy rosół, jest ostro przyprawiona i sprawia wrażenie nieszkodliwej. Przechyliłam więc miskę i wypijam do dna. Jest smaczna i gorąca, natychmiast czuję się dużo lepiej niż kiedykolwiek od mojego przebudzenia w Elfhame. Grzebię łyżką w resztkach na dnie i zaraz przestaję, bo jeżeli jest tam jakieś okropieństwo, to lepiej, żebym tego nie widziała.

Drzwi otwierają się, wchodzi Strzępka z naręczem sukien, a za nią Fand i jeszcze dwóch rycerzy, którzy także dźwigają stroje. Za nimi zaś pojawia się Heather w klapkach, niesie stos biżuterii.

– Taryn powiedziała, że warto skorzystać z okazji i że jak do ciebie wpadnę, to będę mogła rzucić okiem na królewskie apartamenty. – Heather podchodzi bliżej i zniża głos: – Super, że lepiej się czujesz. Vee chce, żebyśmy wracały przed przybyciem twojego ojca, więc zaraz się zmywamy, ale przecież nie mogłyśmy tego zrobić, dopóki leżałaś w śpiączce.

– Dobry pomysł, lepiej, żeby was tu nie było – mówię. – Swoją drogą, trochę jestem zaskoczona, że w ogóle zdecydowałaś się tu przybyć.

– Twoja siostra zaproponowała mi układ – odpowiada Heather, jakby z nutką żalu w głosie. – A ja się zgodziłam.

Rozmowę przerywa nam Randalin, który truchtem biegnie do drzwi, w pośpiechu o mało nie wpadając na Heather. Mruga ślepiami, zdumiony widokiem kolejnej śmiertelniczki, potem znika, na mnie nawet nie patrząc.

– Duże rogi – komentuje półgłosem Heather – ale koleś kurdupel.

Zza futryny wyłania się Cardan, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

– Dziś wieczór wyprawiamy bal na powitanie gości z niższych dworów. Heather, mam nadzieję, że ty i Vivienne zechcecie przyjść. Gdy ostatnim razem tu byłaś, nie okazaliśmy się tak gościnni, jak by wypadało. A tymczasem mamy tu wiele cudowności, którymi pragnęlibyśmy ucieszyć twoje oczy.

– Na przykład wojnę – wtrąca Grima Mog. – Czy może być coś cudowniejszego?



Po odejściu Heather i Grimy Mog Strzępka przygotowuje mnie na nadchodzący wieczór. Splata mi włosy, maluje policzki. Na tę okazję włożę złotą suknię obszytą cieniutkim tiulem tak tkanym, że przypomina złotą kolczugę. Skórzane płaty na ramionach podtrzymują lśniący materiał układający się wokół dekoltu, który pokazuje zdecydowanie więcej niż moje codzienne stroje.

Cardan rozsiada się na pokrytym poduszkami fotelu z korzeni, wyciąga nogi. Ma na sobie strój w barwach nocy – ciemnego granatu wyszywanego i wykładanego klejnotami przedstawiającymi żuki, a na głowie złotą koronę Elfhame; dębowe liście połyskują w płomieniach świec. Przechyla głowę na bok, przygląda mi się taksująco.

– Będziesz musiała dziś przemówić do władców – powiadamia mnie.

– Owszem – odpowiadam. Kątem oka widzę, że Strzępka z uznaniem przyjmuje fakt, że małżonek udziela mi nieproszonych rad.

– No właśnie, a to dlatego, że tylko jedno z nas może ich okłamywać – mówi dalej Cardan. – A koniecznie muszą uwierzyć w nasze niechybne zwycięstwo.

– A czyż nie jest ono nieuniknione?

Cardan uśmiecha się.

– Ty mi powiedz.

– Madok w starciu z nami nie ma najmniejszych szans – kłamię na zawołanie.

Pamiętam, jak po dokonanych przez Balekina i Madoka zamachu udałam się do obozowiska niższych dworów, pragnąc namówić panów i panie, lenników Korony, by zawarli ze mną sojusz. To Cardan mi wtedy powiedział, do których warto się zwrócić.

Cardan udzielił mi informacji, dzięki którym znalazłam sposoby, aby ich przekonać. Jeśli więc ktoś może mi poradzić, jak powinnam zachować się tej nocy, to tylko on.

Jego szczególną zdolnością jest to, że potrafi sprawić, by wszyscy wokół czuli się swobodnie, nawet jeśli wcale nie powinni.

Niestety, moją specjalnością jest działanie elfom na nerwy. Szczęście, że potrafię też kłamać.

– Czy nadciągnął już Dwór Termitów? – pytam, myśląc nie bez obaw o spotkaniu z panem Roibenem.

– Obawiam się, że tak – odpowiada Cardan. Wstaje, podaje mi ramię. – Chodźmy, bo czas już oczarować i omamić naszych wiernych i mniej wiernych poddanych.

Strzępka dokonuje jeszcze ostatnich poprawek mojej fryzury, przygląda warkocz, po czym wreszcie odpuszcza i pozwala mi wstać.

Podążamy do wielkiej sali tronowej; Fand i pozostali strażnicy otaczają nas zbrojnym orszakiem, by tym mocniej świecił nasz wspólny majestat.

Gdy docieramy na miejsce, herold oznajmia nasze przybycie; jego słowa dobiegają jak z wielkiej dali:

– Najwyższy Król i Najwyższa Królowa na Elfhame.

W sali zapada cisza.

Gobliny i grigi, hoby i chochliki, trolle i czarownice... Nieludzko piękni, wspaniali i przewstrętni Ludkowie, poddani Elfhame, patrzą na nas. Ich czarne oczy lśnią. Ich skrzydełka, ogony, czułki i wibrysy drżą. Powietrze jest aż gęste od ich osłupienia wobec faktu, że władca krainy związał się ze śmiertelniczką, że śmiertelną istotę oznajmniają im jako ich władczynię.

A po chwili w zgiełku i gwarze tłum rusza ku nam.

Bezmiar pocałunków na mojej dłoni. Bezmiar komplementów – wyszukanych i oklepanych. Próbuję zapamiętać, kim są owi panowie, panie i wasale nieokreślonej płci. Zapewniam ich, że sromotna klęska Madoka jest nieuchronna, że szczęśliwi jesteśmy, mogąc ich gościć, że nie mniej radują się nasze serca, widząc, że przybyli na czele swoich wojsk, gotowi dobyć oręża u naszego boku. Wmawiam wszem wobec, że wedle mojego jak najpewniejszego mniemania, spór z moim ojcem nie potrwa długo. Pomijam tak nieistotne drobiazgi jak to, że straciliśmy wsparcie Toni czy że armia Madoka dysponuje bronią sporządzoną przez Grimsena. W szczególności nie wspominam o przeraźliwym mieczu, którym Madok zamierza się posłużyć, rzucając Cardanowi wyzwanie.

Kłamię, kłamię i kłamię.

– Twój ojciec, pani, jest jednak nader groźnym przeciwnikiem. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że to on nas wszystkich namówił do przybycia – mówi do mnie pan Roiben z Dworu Termitów. Jego oczy są jak kostki lodu. Zabijając Balekina, spłaciłam swój dług

wobec niego. Nie znaczy to, że budzę jego zachwyty. Nie znaczy to również niestety, by wierzył w te wszystkie bzdury, które opowiadam. – Nawet moi przyjaciele nie są tak wspaniałomyślni, żeby przed bitwą zgromadzić wszystkich moich sojuszników.

– To z jego strony niewątpliwie demonstracja siły – stwierdzam. – Chce nas po prostu zastraszyć.

Roiben zastanawia się tylko przez ułamek sekundy.

– Chce was unicestwić.

Jego towarzyszką, pixie o imieniu Kaye, kładzie dłoń na biodrze i wyciąga szyję, żeby rozejrzeć się wśród tłumu.

– Czy Nicassia tu jest?

– Obawiam się, że nie – odpowiadam, obawiając się raczej tego, że nic dobrego z tej rozmowy nie wyniknie. Podmorskie królestwo dopuściło się napaści na Dwór Termitów, Kaye w walce odniosła ciężkie rany. – Musiała wrócić do siebie.

– Szkoda – odpowiada Kaye, zaciskając pięść. – Mam coś dla niej.

Do sali wchodzi Heather i Vivi. Heather ma na sobie suknię barwy kości słoniowej, która wspaniale kontrastuje z pięknym, brązowym odcieniem jej skóry. Wełniste włosy ma upięte za pomocą grzebieni. Obok niej Vivi w szkarłacie, nader przypominającym kolor zaschniętej krwi, który tak lubił Madok.

Pojawia się jakiś grig, częstuje nas skwaśniałym ostowym mlekiem w żółdziowych miseczkach. Kaye wychyla to jak kieliszek wódki, krzywi się. Ja odmawiam.

– Wybaczcie – mówię i idę przez salę do siostry. Mijam królową Annet z Dworu Ciem, króla Olszyn i jego przyjaciółkę, mijam dziesiątki innych.

– Tańczyć, czyż to nie wyśmienita przyjemność? – zaczyna mnie po drodze błazen Fala. – Płasajmy więc na popiołach tradycji.

Jak zwykle nie wiem, co mu odpowiedzieć. Nie mam pojęcia, czy to ma być kpina, krytyka mojej osoby, czy też mówi całkiem szczerze. Oddalam się pospiesznie.

Heather z uznaniem kiwa głową.

– Oż ty, niezła suknia.

– No, spoko jest – przyznaje Vivi. – Poszukam jakichś drinków. To znaczy, bezpiecznych drinków. Jude, mogłabyś zostać, dopóki nie wrócę, czy oddajesz się bez reszty dyplomacji?

– Dyplomacja może poczekać – mówię, bo cieszę się, że mam okazję pogadać sam na sam z Heather. Vivi oddala się, pytam więc: – Powiedz mi, na co dokładnie się zgodziłaś?

– A co? Chyba nie myślisz, że twoja siostra mnie wystawi do wiatru?

– Na pewno nie celowo – odpowiadam wymijająco. Elfowe układy słusznie cieszą się jak najgorszą sławą. Rzadko są proste i przejrzyste. Nieraz brzmią wspaniale. Na przykład ktoś obiecuje ci, że do końca życia żyć będziesz w szczęściu, a tak naprawdę czeka cię jedna

upojna noc, po której umrzesz. Albo że stracisz na wadze, po czym ktoś ci odrąbuje nogę. Nie, nie posądzam Vivi o coś podobnego, nie zrobiłaby tego Heather, mam jednak w pamięci własne wygnanie i wolałabym wiedzieć dokładniej, jak się umówiły.

– Powiedziała, że musi razem z Taryn jechać po ciebie, a ktoś w tym czasie powinien przecież zająć się w Elfhame Dębem. No i zaproponowała mi coś takiego: dopóki będziemy tutaj, będziemy ze sobą. A kiedy wrócimy, zrobi tak, żebym zapomniała o elfach i o niej też.

Pozwalam sobie na ciche syknięcie. Czy właśnie tego chce Heather? Czy też Vivi zaproponowała jej takie rozwiązanie, a Heather się zgodziła, bo to lepsze niż stan zawieszenia i niepewność?

– Więc kiedy wrócisz...

– Będzie po wszystkim. – Na jej twarzy widzę bezbrzeżny smutek. – Koniec. Są takie rzeczy, do których lepiej się nie przyzwyczajać. Na przykład do magii.

– Heather, wcale nie musisz...

– Kocham Vee – mówi. – Myślę, że popełniłam błąd. Kiedy tu byłam poprzednio, to miejsce wyglądało jak piękna inscenizacja do filmu grozy, a ja tylko chciałam wyrzucić to ze swojej głowy. Ale o niej nie chcę zapomnieć.

– Nie możesz jej tego po prostu powiedzieć? – Spoglądam w stronę mojej siostry, która właśnie wraca. – Odwołaj układ.

Heather potrząsa głową.

– Pytałam, czy będzie próbowała mnie namówić, żebym zmieniła decyzję. Chyba nie byłam pewna, czy dam radę, kiedy przyjdzie do rozstania. Pewnie chciałam usłyszeć, że na to właśnie liczy, że może jeszcze zmienię zdanie i zechcę z nią być. Ale nie, zrobiła się wtedy strasznie poważna i oświadczyła, że potem, już niezależnie od tego, co powiem, dotrzyma słowa.

– Co za idiotka – wymyka mi się.

– Nie, to ja jestem głupia – protestuje Heather. – Gdybym nie była takim tchórzem... – urywa, bo Vivi staje przy nas z trzema kubeczkami w dłoniach.

– Co się dzieje? – pyta mnie, wręczając naczynie. – Obie macie dziwne miny.

Nie odpowiadamy, ani ja, ani Heather.

– No? – ponagla Vivi.

– Jude poprosiła, żebyśmy zostały jeszcze kilka dni – niespodziewanie mówi Heather. – Potrzebuje naszej pomocy.

Vivi spogląda na mnie z wyrzutem.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale przecież nie mogę tego zrobić, bo wsypałabym Heather. Byłam wściekła na Vivi, kiedy posłużyła się magią, żeby zatrzeć w pamięci swojej dziewczyny to, co zdarzyło się podczas ślubu Taryn, ale dotarło do mnie wtedy, i to w całej

pełni, że ona należy do świata elfów, a ja niezupełnie. Teraz zaś uświadamiam sobie wszystkie, jakże ludzkie, cechy Heather.

– Chociaż kilka dni – mówię. Może jestem złą siostrą, ale może właśnie wcale nie.

W drugim końcu sali Cardan wznosi kielich.

– Bądźcie pozdrowieni i witajcie na wyspie Insmire – rozpoczyna toast. – Cne i niecne rody, elfy wędrowne i elfy ukryte, raduje się moje serce, gdy stajecie ramię w ramię pod moją chorągwią, cieszy mnie wasza lojalność, wdzięcznością napawa wasz honor. – Spogląda na mnie. – Dla was mam wino i miód, gościnę przy moim stole. Inną jednak mam gościnę dla zdrajców i krzywoprzysięzców, gościnę mojej królowej. Gościnę żelaza.

Gwar narasta, słychać syki i wycia. Niejedno spojrzenie zwraca się ku mnie. Dostrzegam nachmurzone oblicze pani Ashy.

Wszyscy w krainie elfów wiedzą, że to od mojego żelaza zginął Balekin. Wiedzą, że za to właśnie zostałam wygnana i że dopiero teraz wróciłam. I wiedzą też, że jestem przybraną córką Madoka. Nie wątpią w prawdziwość słów Cardana.

Trudno nie przyznać, że za jego sprawą patrzę na mnie już nie tylko jak na królową śmiertelniczkę. Teraz widzą też we mnie królową morderczynię. Nie jestem pewna, czy to mnie zachwyca, jednak obserwując wyraźne zainteresowanie w ich spojrzeniach, przekonuję się, że to manewr wyjątkowo skuteczny.

Unoszę wysoko swój kubek, potem piję.

Gdy zaś przyjęcie ma się ku końcowi, mijani dworzanie gorliwie składają mi ukłony. Wszyscy, co do jednego.



Jestem już bardzo zmęczona, ale wychodzę z sali, wysoko dzierżąc głowę i ściągając łopatki, żeby się nie garbić. Nikt nie może się domyślić, że jestem u kresu sił.

Dopiero gdy zamykają się za mną podwoje królewskich apartamentów, mogę odetchnąć i pozwolić sobie, żeby się ciężko oprzeć o framugę wewnętrznych drzwi.

– Królowo moja, byłaś dzisiaj najwspanialsza – odzywa się Cardan, idąc w moją stronę.

– Po twojej przemowie nie było to trudne.

Pomimo zmęczenia jak nigdy dotąd jestem świadoma jego obecności, jego gorącej skóry i tego, że ten szelmowski uśmieszek budzi w moim podbrzuszu głupią tęsknotę.

– Nie może to być niczym innym niż samą prawdą – oświadcza. – Inaczej nie mogłoby mi przecież przejść przez usta.

Łapię się na tym, że przyglądam się jego wargom, zatapiam w czerń jego oczu, przesuвам wzrokiem po policzkach.

– Nie było cię w łóżku zeszłej nocy – szepczę.

Nagle uświadamiam sobie, że kiedy leżałam nieprzytomna, spędzałam noce gdzie indziej. Być może nie był wtedy samotny. Minęło przecież wiele czasu, odkąd opuściłam Dwór. Zupełnie nie wiem, kto teraz cieszy się jego względami.

Jeśli jednak jest jakaś inna, nie do niej kieruje teraz swoje myśli.

– Ale dziś tu jestem – powiada Cardan.

Wolno mi pragnąć czegoś, co zaboli – przypominam sobie samej. Przysuwam się do niego, na tyle blisko, że możemy się dotknąć.

Bierze mnie za rękę, nasze palce się splatają, Cardan pochyla się.

Zostawia mi mnóstwo czasu, mogę się odsunąć, uniknąć tego pocałunku – a jednak stoję w miejscu. Chcę, żeby mnie pocałował. Zmęczenie odchodzi w niepamięć, gdy czuję dotyk jego warg. Wciąż na nowo, pocałunek za pocałunkiem.

– Wyglądałaś dzisiaj jak królowa z bajki – mówi mi cicho do ucha. – Może nawet świńskiej bajki.

Kopię go lekko w nogę, w odpowiedzi całuje mnie mocniej.

Zataczamy się na ścianę, przyciągam go do siebie. Wsuwam palce pod jego koszulę, wyczuwam kręgosłup aż po skrzydła jego łopatek.

Zamiata ogonem w prawo i w lewo, puszysta kita muska moją łydkę.

Drży, przyciska mnie mocniej do siebie, całuje głębiej. Czuję jego palce we włosach. Całe moje ciało jest spięte od pożądania, wyrывa się do niego. Ogarnia mnie gorączka. Każdy pocałunek sączy narkotyk w moje myśli. Czuję jego usta na karku, język na mojej skórze. Jego dłoń wędruje po moich biodrach ku górze.

Jest mi gorąco, tracę kontrolę.

Ta nagła myśl przegania wszystkie inne, nieruchomieję.

On natychmiast mnie puszcza i cofa się jak oparzony.

– Nie musimy...

Nie chcę, żeby wiedział, jaka się czuję bezbronna.

– Nie, zaczekaj chwilę – mówię, przygryzam wargę. Jego oczy są bardzo ciemne, źrenice rozszerzone. Jest taki piękny, tak perfekcyjnie, straszliwie, nieludzko piękny, że aż zapiera dech. – Zaraz.

Biegnę do garderoby. Nadal czuję łomotanie pulsu w całym ciele.

Kiedy byłam mała, seks stanowił tajemnicę, był czymś dziwnym, czymś, co ludzie robią ze sobą, kiedy wezmą ślub, a potem mają dzieci. Dawno temu razem z przyjaciółką z tamtych czasów wkładałyśmy lalki do kapelusza i potrzęsałyśmy nim, co miało znaczyć, że lalki właśnie „to” robią.

W krainie elfów, rzecz jasna, wszystko wygląda inaczej. Nikogo nie dziwi, gdy któryś z nich na biesiadę przyjdzie nago, zabawiają się ze sobą dla przyjemności, zwłaszcza kiedy

przyjęcie się przeciąga. A jednak chociaż teraz już dobrze rozumiem, czym jest cielesna miłość i jak przebiega, nigdy się nie spodziewałam, że do tego stopnia się w niej zatracę. Kiedy Cardan mnie dotyka, moje ciało mnie zdradza, ulegając rozkoszy. I on o tym wie. Jest doświadczony w miłosnej sztuce. Potrafi wydobyć ze mnie taką reakcję, jakiej pragnę. Irytuje mnie to, a przecież i ja tego pragnę.

Może jednak nie tylko ja muszę być tą, w której się wzbudza odczucia.

Zrzucam suknię i buty, rozpuszczam włosy, pozwalając im spłynąć na ramiona. W lustrze widzę krzywizny swojego ciała, mięśnie ramion i klatki piersiowej wyrobione podczas tysięcy godzin szermierczych ćwiczeń, ciężkość białych piersi i krągłość bioder. Gdy jestem naga, nic nie skrywa mojej śmiertelności.

Wracam do sypialni.

Cardan stoi przy łożu. Odwraca się i na jego twarzy odmalowuje się takie zdumienie, że omal nie wybucham śmiechem. Rzadko zdarza mi się widzieć, jak traci pewność siebie; nawet kiedy jest pijany, nawet kiedy jest zraniony. Mało co jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. W jego oczach pojawia się dziki żar, całkiem podobny do śmiertelnego przerażenia. Czuję przyływ mocy, który uderza do głowy jak wino.

W taką grę i ja mogę zagrać.

– Chodź – mówi ochrypłym głosem. Podchodzę.

Może brak mi doświadczenia w miłości, ale umiem prowokować. Opadam przed nim na kolana.

– Czy tak sobie wyobrażałeś triumf nade mną, kiedy jeszcze mieszkałeś w Próżnym Dworze, kiedy myślałeś o mnie i powtarzałeś z nienawiścią moje imię? Czy tak oczami wyobraźni widziałeś moje poddanie?

Widać, jak bardzo jest skrępowany, nie zdoła jednak ukryć przede mną rumieńca i błysku w oczach.

– Tak – odpowiada, jakbym siłą z niego to słowo wyciągnęła; wymawia je głosem chropawym od żądy.

– I co wtedy robiłam? – pytam zniżonym głosem.

Wyciągam rękę, dotykam dłonią jego uda.

W jego spojrzeniu aż skrzy się żar. Jednak mój królewski małżonek przypatruje mi się ostrożnie i wtedy nagle doznaję olśnienia: on sądzi, że wypytuję go, bo jestem rozgniewana. Bo chcę go upokorzyć.

Przemaga się jednak i mówi:

– Tak, wyobrażałem sobie, jak mówisz mi, żebym zrobił z tobą, co zechcę.

– Naprawdę? – Nasze spojrzenia spotykają się, gdy słyszy śmiech w moim głosie.

– No tak, może nawet było tam trochę błagania. Z odrobiną pełzania u mych stóp. – Uśmiecha się z zażenowaniem. – Moje fantazje cechował niejaki przerost ambicji.

Skoro jestem już na kolanach, nie trudno mi pochylić się, dotykając głową zimnego kamienia posadzki. Wyciągam ręce w błagalnym geście.

– Możesz zrobić ze mną, co zechcesz. Proszę, błagam. Pragnę tylko ciebie.

Słyszę jego przyspieszony oddech; w następnej chwili już oboje jesteśmy na podłodze, on otacza mnie klatką swojego ciała. Odwracam się na plecy, Cardan przyciska usta do mojego nadgarstka w miejscu, gdzie wyczuwa się puls – i mój puls natychmiast przyspiesza.

– Kpij sobie ze mnie, ile tylko chcesz. Nieważne, co wtedy sobie wyobrażałem, bo teraz to ja błagałbym cię i pełzał przed tobą, byle usłyszeć jedno dobre słowo. – Jego oczy są czarne od pożądania. – Powiedz je, a pogrążę się na zawsze.

Nie do wiary, że to mówi, bo przecież musi to być prawda. A kiedy znów się pochyła i całuje mnie, ta myśl przeradza się w fizyczne odczucie. Przywiera do mnie, drży. Zaczynam rozpinąć guziki jego kaftana. Jednym ruchem zdziera z siebie koszulę.

– Ja nie żartuję – mówię szeptem do jego skóry.

Kiedy na mnie patrzy, na jego twarzy maluje się zmieszanie.

– Ty i ja... zbyt długo żyliśmy okryci pancerzem. Teraz już nawet nie wiem, czy którekolwiek z nas potrafi zdjąć z siebie taką zbroję.

– To ma być kolejna zagadka? – pytam. – Jeżeli odpowiem, będziesz mnie znowu całować?

– Jeśli tylko tego sobie życzysz.

Jego głos jest niepewny, ochrypły. Cardan przesuwają się i kładzie obok mnie.

– Już powiedziałam, czego chcę – odzywam się. – Masz zrobić ze mną, co tylko...

– Nie – przerywa mi. – Czego ty chcesz.

Odwracam się, siadam na nim okrakiem. Patrzę na niego z góry, przyglądam się jego klatce piersiowej, wspaniałym czarnym lokom opadającym na czoło, lekko rozchyłonym wargom, widzę włochatą kitę na końcu ogona.

– Chciałabym... – mówię, ale brak mi śmiałości, żeby powiedzieć to na głos.

Zamiast tego całuję go. Całuję tak długo, aż zaczyna rozumieć.

Wysuwa się ze spodni, zerka przy tym na mnie, jakby się obawiał, że nagle zmienię zdanie. Czuję miękkie muśnięcie na kostce, potem jego ogon owija się wokół mojej łydki. Może niezdarnie, ale przesuwam się, aby zająć właściwą moim zdaniem pozycję. Chwytam powietrze, nasze ciała się łączą. Trzyma mnie mocno, kiedy czuję ostre ukłucie bólu. Gryzę go w rękę. Wszystko dzieje się szybko, w gorączce. Panuję nad wszystkim i jednocześnie tracę nad sobą kontrolę.

On za to całkiem nie panuje nad swoją twarzą.

Kiedy jest już po wszystkim, całuje mnie, słodko i zwyczajnie.

– Tęskniłam za tobą – szepczę znów do jego skóry, doznaję przy tym zawrotu głowy od własnych słów, czuję się bardziej rozebrana, niż kiedy mógł widzieć każdy cal mojego ciała.

– W świecie ludzi, nawet kiedy myślałam, że jesteś moim wrogiem, też za tobą tęskniłam.

– Moja słodka zmozo, jakże się cieszę, że wróciłaś.

Przyciąga mnie do siebie, układam głowę na jego piersi. Wciąż jesteśmy na podłodze, chociaż tuż obok mamy bardzo wygodne łóżko.

Rozmyślam o jego zagadce. Jak mamy pozbyć się pancerza?

To przyjdzie z czasem. Przecież mamy mnóstwo czasu.



Kolejne dwa dni spędzamy głównie w sali wojennej. Zapraszam Grimę Mog, by dołączyła do generałów Cardana i tych wielmożów z niższych dworów, którzy raczą zajmować się tworzeniem bitewnych planów. Towarzyszy nam także Bomba, z twarzą zakrytą czarną siatką, a cała reszta jej ciała zasłonięta jest najczarniejszą z czarnych szat i kapturem. Członkowie Wiecznej Rady przedstawiają swoje troski oraz obiekcje. Cardan i ja pochylamy się nad stołem, patrząc, jak kolejni elfowie szkicują plany możliwej obrony czy ataku. Figurki wędrują po planszy tam i z powrotem. Wysyłamy do Nicassii trzy kolejne wiadomości, lecz z podmorskiej Toni nie przychodzi żadna odpowiedź.

– Madok chce urządzać widowisko dla pań i panów oraz dostojnych wielmożów z niższych dworów – mówi Grima Mog. – Pozwólcie, że ja stanę z nim w szranki. To będzie dla mnie zaszczyt.

– Wyzwijcie go na pchełki, a ja zadam mu haniebną klęskę – ofiarowuje się Fala.

Cardan potrząsa głową.

– Nie, niech Madok przybędzie, niech zażąda rokowań. Nasi rycerze będą gotowi. To się odbędzie wewnątrz Wzgórza, więc i rycerze, i nasi łucznicy będą czuwać. Wysłuchamy go, potem udzielimy odpowiedzi. Nie będziemy jednak urządzać żadnych widowisk. Jeśli Madok chce wystąpić przeciwko Elfhame, niech to zrobi, a my wtedy uderzymy z taką mocą, na jaką nas stać.

Patrzy w podłogę, potem zerka na mnie.

– Jeśli myśli, że może zmusić cię do pojedynku, to znaczy, że jego wyzwanie będzie ci bardzo trudno odrzucić – zauważam.

– Po prostu każcie mu zostawić broń u wejścia – odpowiada Bomba. – Jeśli się nie zgodzi, natychmiast go odstrzele.

– Wyszedłbym na tchórza – oponuje Cardan. – Nawet go nie wysłuchać?

Kiedy to słyszę, tracę nadzieję. Właśnie tak, właśnie dumą najłatwiej jest manipulować, a Madok nie omieszka tego wykorzystać.

– E tam, przynajmniej ty byś żył, a twój wróg byłby trupem – konkluduje Bomba. Ma zakrytą twarz, więc nie widać jej wyrazu. – A my odpowiedzielibyśmy hańbą na hańbę.

– Mam nadzieję, że nikt w ogóle nie bierze pod uwagę podjęcia tak rzuconej rękawicy – wtrąca Randalin. – Ojciec twój, Najjaśniejszy Panie, nawet przez chwilę nie brałby pod uwagę równie absurdalnej propozycji.

– Oczywiście, że nie – ucina Cardan. – Nie jestem szermierzem, a co ważniejsze, nie zamierzam dawać wrogowi tego, czego sobie zażyczy. Madok chce pojedynku, ale jeśli to tylko jego zachcianka, nie mam powodu, żeby ją spełnić.

– Kiedy skończą się rokowania – mówi Yorn, przyglądając się swoim mapom – spotkamy się na polu bitwy. Wtedy pokażemy mu, jaką cenę płacą zdrajcy. Zmierzamy prosto ku zwycięstwu.

Ja tymczasem mam paskudne przeczucie, że ta droga wcale nie będzie prosta. Fala chwyta moje spojrzenie i zongluje pionkami ze stołu – rycerzem, mieczem, koroną.

Chwilę potem do komnaty wpada skrzydlaty posłaniec.

– Dostrzeżono ich – oznajmia. – Nadpływają okręty Madoka.

Wkrótce potem nadlatuje morski ptak z przywiązanim do łapy wezwaniem do rozmów.

Nowy głównodowodzący rusza ku drzwiom, by postawić wojska w stan gotowości.

– Moi żołnierze natychmiast zajmą swoje stanowiska. Mamy może jeszcze trzy godziny.

– A ja rozstawię swoich – dodaje Bomba, zwracając się do Cardana i do mnie. – Na znak któregośkolwiek z was łucznicy natychmiast wypuszczą swoje strzały.

Cardan bierze mnie za rękę, splatamy się palcami.

– Wiem, że niełatwo jest walczyć z kimś, kogo się kocha.

Nie wiem, czy nie ma też na myśli siebie i Balekina.

Chociaż Madok jest teraz moim wrogiem, coś gdzieś w kąciку mózgu łatwo dałoby się skusić wyobrażeniu, że jeszcze wszystko da się naprawić, że można mu tę wojnę wyperswadować. Przecież jest tutaj Vivi, jest Taryn, jest nawet Dąb. Oriana na pewno pragnie pokoju, dążyłaby do niego, gdyby tylko znalazła po temu sposobność. Może zdołałabym go przekonać, żeby zakończył tę wojnę, jeszcze zanim się zacznie. Może

moglibyśmy się jakoś porozumieć. W końcu jestem teraz królową. Czy nie można by odstąpić mu jakiegoś terytorium, żeby sobie nim władał i dał nam spokój?

Wiem jednak, że to mrzonki. Gdybym mimo jego zdrady przyznała mu jakiegokolwiek przywileje, byłaby to nagroda za zdradę i zachęta dla dalszej zdrady. Wiem, że nie sposób Madoka zaspokoić. To wojownik i potomek wojowników. Przyszedł na świat podczas krwawej bitwy i zamierza umrzeć z mieczem w dłoni.

Nie przypuszczam jednak, żeby planował umrzeć dzisiaj.

Przypuszczam natomiast, że zamierza dziś zwyciężyć.



Słońce chyli się już ku zachodowi, kiedy jestem gotowa zasiąść na tronie. Mam na sobie zielono-złotą suknię, na skroniach diadem ze złoconych gałązek. Włosy mi utrefiono i upięto na kształt dwóch baranich rogów, usta umalowano szminką barwy zimowych jagód. Jedno, co jest mi swojskie i bliskie, to ciężar Brzasku w nowej, kunsztownie zdobionej pochwie.

Cardan jest u mego boku, omawia z Bombą ostatnie szczegóły. Ma na sobie strój tak głębokiej zielonej barwy, że niemal zbliża się odcieniem do jego kruczoczarnych włosów.

Dąb jest z Taryn, Vivi i Heather. Będą obecni, lecz ukryci w tym samym miejscu, z którego ongiś Taryn i ja przyglądałyśmy się królewskim biesiadom, same nie będąc widzianymi.

– Nie musisz tu być – mówię do Dęba.

– Ale ja chcę zobaczyć mamę – odpowiada stanowczo. – I chcę zobaczyć, co się wydarzy.

Jeśli pewnego dnia ma zostać królem, ma też prawo widzieć i wiedzieć, ale wolałabym, żeby dowiedział się tego wszystkiego w jakiś inny sposób. Cokolwiek dziś się zdarzy, najprawdopodobniej przez lata będzie do niego powracać w koszmarach snach.

– Masz, tu jest twój pierścień – mówi, sięga do kieszeni i kładzie mi go na dłoń. – Przechowałem go dla ciebie, tak jak chciałaś.

– Miło mi – odpowiadam półgłosem i wsuwam pierścień na palec. Metal jest jeszcze ciepły od jego ciała.

– Jeżeli coś pójdzie nie tak, zabiorę stąd Dęba – obiecuje Taryn, ale nie było jej w tej sali podczas niedoszłej koronacji księcia Daina, dlatego nie zdaje sobie sprawy, jak prędko wszystko może się zmienić.

Vivi zaś spogląda na Heather.

– A my powinnyśmy już wracać do świata ludzi. Za długo tutaj zabawiłyśmy.

Widzę jednak smutek w jej oczach. Nigdy przedtem nie chciała dłużej się zatrzymać w Elysium, a teraz tak łatwo było ją namówić, żeby została kilka dni dłużej.

– Tak, wiadomo – odpowiadam.

Heather unika i jej, i mojego spojrzenia.

Oddalają się, a wtedy podchodzi do mnie Bomba, ujmuje obie moje dłonie swoimi dłońmi.

– Cokolwiek się zdarzy – mówi – pamiętaj, czuwam nad tobą z ukrycia.

– Nigdy nie zapomnę – odpowiadam i myślę o Karakanie, przez mojego ojca śpiącym snem, z którego nie może się obudzić. O Duchu, który był więźniem mojego ojca. I o sobie samej, wykrwawiającej się na śmierć w śniegu. Muszę odpłacić ojcu za tyle krzywd.

Bomba odchodzi i zostaje sama z Cardanem – na krótką chwilę.

– Madok utrzymuje, że przyjmiesz wyzwanie w imię miłości – mówię mu.

– Czyjej? – pyta, marszcząc czoło.

Nie ma uczy zbyt obfitej dla wygłodniałego.

Rozkładam bezradnie ręce.

– Ciebie kocham – mówi Cardan. – Przez większość życia strzegłem swojego serca. Strzegłem go tak bardzo, że potrafiłem żyć, jakbym wcale go nie miał. Nawet dziś jeszcze jest ono nędznym, żalonym i pomarszczonym strzępem, ale i tak należy do ciebie. – Idzie w stronę drzwi naszych królewskich komnat, wyraźnie kończąc rozmowę. – Zresztą pewnie i tak o tym wiesz – dodaje. – Ale mówię ci o tym na wypadek, gdybyś jednak nie wiedziała.

Otwiera drzwi, nie dając mi szansy na odpowiedź. Nie jesteśmy już bowiem sami, Fand oraz pozostali strażnicy czekają w korytarzu, a za nimi stoją i niecierpliwą się członkowie Wiecznej Rady.

Nie mogę uwierzyć, że powiedział coś takiego, a potem po prostu sobie wyszedł, zostawiając mnie z tymi myślami. Chyba go uduszę.

– Zdrajca i jego świta są już na wewnętrznym dziedzińcu – oznajmia Randalin. – Czekają, aż zechcesz ich przyjąć.

– Ilu jest parlamentarzy? – pyta Cardan.

– Dwanaścioro. Madok, Oriana, Grimsen, przedstawiciele Zębatego Dworu i kilku najlepszych generałów Madoka.

Niewielu. Dworzanie i wojownicy. Nie wiem, co to znaczy, rozumiem tylko tyle, że – co akurat oczywiste – chodzi o dyplomację i o wojnę.

Spoglądam ukradkiem na Cardana. Uśmiecha się do mnie, zatroskany, jakby pogrążony w myślach o Madoku i nadchodzącej wojnie.

Przecież i ja go kocham – myślę. Kochałam go, zanim jeszcze spotkała mnie niewola Toni. Kochałam go, w przeciwnym razie nie zgodziłabym się na małżeństwo.

Kiedy będzie po wszystkim, zdobędę się na odwagę, żeby mu to powiedzieć.

Po chwili wchodzimy na podwyższenie, niczym aktorzy na scenę przed rozpoczęciem przedstawienia.

Spoglądam na władców cnych i niecnych dworów, na elfy wędrownie, które jednak zaprzysięgły nam wierność; na dworzan, muzyków i kuglarzy, na służących. Dostrzegam Dęba częściowo skrytego na skalnej półce. Moja siostra bliźniaczka śle mi uśmiech mający dodać otuchy. Pan Roiben stoi opodal, jak zawsze groźny i niedostępny. Nagle tłum w odległym końcu sali zaczyna się rozstępować, robiąc przejście dla Madoka oraz jego towarzyszy.

Nerwowo zaginam i rozprostowuję palce, przechodzi mnie zimny dreszcz.

Mój ojciec zbliża się. Jego zbroja jest świeżo wypolerowana, lśniąca, ale poza tym nie wyróżnia się niczym – to zbroja wojownika, której zadaniem jest raczej osłaniać go, niż kłuć innych w oczy bogactwem. Ramiona Madoka okrywa obszty czerwienią wełniany płaszcz ze znakiem srebrnego półksiężyca. Wielki miecz przewieszony ma tak, by móc go dobyć jednym, płynnym ruchem, na głowie widzę dobrze mi znany kaptur, sztywny od czarnej, zaschniętej krwi.

Na widok kaptura zamieram – już wiem, że nie przybył tu tylko po to, by rozmawiać.

Za nim podążają pani Nore i pan Jarel z Zębatego Dworu, towarzyszy im okiełznana mała królowa Suren. Następnie zaś idą zaufani generałowie Madoka: Kalidor, Sulfur oraz Vavindra. U boków Madoka – Grimsen i Oriana. Grimsen wystroił się, ma na sobie kaftan z płatków czystego złota. Oriana jest blada jak zawsze, co podkreśla ciemnobłękitny kolor sukni obsztyj białym futerkiem; jako jedyną ozdobę ma we włosach diadem srebrny niczym lód.

– Dostojny Madoku – odzywa się Cardan. – Zdrajco tronu, morderco mojego brata, co cię tutaj sprowadza? Czy chcesz zdać się na łaskę Korony? Masz pewnie nadzieję, że królowa na Elfhame okaże ci łaskę.

Madok śmieje się, spoglądając na mnie.

– Cóрко, ilekroć wątpię w to, że zdołasz wynieść się wyżej, udowadniasz mi, jak się myślę. A ja, głupiec, martwiłem się, czy aby jeszcze żyjesz.

– Żyję – odpowiadam. – Ale nie tobie to zawdzięczam.

Niejaką satysfakcję sprawia mi wyraz kompletnego zdumienia malujący się na twarzy Oriany, potem zaś jeszcze większego osłupienia, gdy nagle uświadamia sobie, że moja obecność u boku Najwyższego Króla nie jest jakimś niewybrednym żarciem. Że jakimś sposobem zostałam małżonką Cardana.

– To twoja ostatnia szansa, żeby się poddać – mówię. – Ugnij kolano, ojczu.

Śmieje się znów, potrząsa głową.

– Nigdy w życiu się nie poddałem. Przez wszystkie te lata wojowałem, lecz nigdy przed nikim nie ugiąłem karku ani kolana. Tobie też się nie poddam, córeczko.

– A więc pozostanie po tobie pamięć jako o zdrajcy, a kiedy będą o tobie śpiewać pieśni, zabraknie w nich miejsca na twoje chwalebne czyny, będzie w nich tylko hańba.

– Ach, Jude – słyszę odpowiedź. – Sądzisz, że dbam o pieśni?

– Przybyłeś, aby rozmawiać, nie zamierzasz się poddać – stwierdza Cardan – więc mów. Nie spodziewam się, żebyś sprowadził tak liczne wojska bez powodu.

Madok unosi dłoń.

– Przybyłem, aby ci rzucić wyzwanie, a stawką niech będzie twoja korona.

Cardan śmieje się.

– To jest Korona Krwi, wykuta dla Mab, pierwszej z dynastii Kolcowojów. Nie możesz jej włożyć na swoją głowę.

– Wykuta przez Grimsena – odpowiada Madok. – Mam go u swego boku. Znajdzie sposób, by stała się moją, jeśli zwyciężę. Wysłuchasz więc mojego wyzwania?

Nie! – chciałabym krzyknąć. Przestań go słuchać! Jednak na tym właśnie polegają rokowania. Nie mogę ich zerwać bez ważnej przyczyny.

– Kawał drogi przebyłeś – stwierdza Cardan. – Wezwałeś tak wielu moich poddanych na świadków. Jakże mógłbym cię nie wysłuchać?

– Kiedy zmarła królowa Mab – odzywa się Madok, dobywając zza pleców miecza – ten pałac wybudowano na jej grobowcu. Choć jej szczątki zniknęły, jej moc przetrwała w skałach. Ten miecz został zahartowany w tej ziemi, jego rękojeść wyłożona jest jej kamieniami. Grimsen twierdzi, że może wstrząsnąć posadami Wysp.

Cardan spogląda ku cieniom, gdzie kryją się łucznicy.

– Dopókiś nie wyciągnął tego frymuśnego miecza, byłeś gościem. Odłóż go i bądź nim znowu.

– Odłożyć? – powtarza Madok. – Doskonale.

Uderza nim w ziemię, wbija. Pomruk niczym grom wstrząsa Wzgórzem, jakby dochodził z samego serca ziemi. Elfowie podnoszą krzyk. Grimsen rechocze, zachwycony swoim dziełem.

W ziemi tworzy się szczelina, pęknięcie od wbitego ostrza biegnie aż po wyniesienie, na którym stoi tron. Kamień pęka. Chwilę przed tym, nim rozpadlina sięgnie tronu, zdają sobie sprawę, co się zaraz stanie. Zakrywam dłonią usta. Potem zaś prastary tron Elfhame pęka na pół, jego siedzisko i kwitnące gałęzie rozpadają się w drzazgi, jak krew z rany cieknie z nich żywica.

– Przybyłem, by ci podarować tę klingę – oznajmia Madok, a jego głos niesie się ponad krzyki zgrozy i przerażenia.

Cardan w osłupieniu patrzy na zrujnowany tron.

– Dłaczego?

– W turnieju, na który cię wyzywam, będzie twoim orężem przeciwko mnie. Żądam pojedynku według wszelkich zasad, lecz twój miecz będzie o wiele lepszy. Jeśli wygrasz, do

ciebie będzie on należeć, zgodnie z prawem, jako do zdobywcy, podobnie jak i ja. Gdyż jeśli nie zginę w pojedynku, poddam się bez żadnych warunków.

Cardan jest wyraźnie zaniepokojony. Złe przeczucie ścisła mój żołądek.

– Najwyższy Królu Cardanie, synu Eldreda, praprawnuku Mab. Ty, któryś się urodził pod złą gwiazdą, ty, którego matka zaniedbywała, tak że zjadałeś okruchy z królewskiego stołu, jakbyś był jednym ze sfory psów, któremu dana została władza i dostatek, którym ojciec gardził, którego żona sprawuje nad tobą władzę, czy umiesz wzbudzić lojalność swojego ludu?

– Cardanie... – zaczynam, a potem milknę. Madok znów schwytał mnie w pułapkę. Jeżeli przemówię i Cardan mnie posłucha, wyjdzie wtedy na to, że nim komenderuję.

– Nikt nade mną nie sprawuje władzy – odpowiada Cardan. – Twoja zaś zdrada zaczęła się od śmierci mojego ojca, nie tobie więc mówić, kim gardził. Wracaj do swoich dalekich gór. Tutejsi elfowie ślubowali mi wierność, a twoje obelgi nic nie wskórają.

Madok uśmiecha się.

– Tak, lecz czy poddani, którzy składali przysięgę, szczerze cię miłują? Moi żołnierze są lojalni, Najwyższy Królu Cardanie, bo zasłużyłem sobie na ich wierność. A ty, czy zasłużyłeś na którąkolwiek z rzeczy, które masz? Ja walczyłem ramie w ramie z tymi, którzy podążyli za mną, razem z nimi przelewałem krew. Poświęciłem Elfhame swoje życie. Jako Najwyższy Król zapewniłbym wszystkim, którzy za mną idą, panowanie nad światem. Gdybym nosił na głowie zamiast tego kaptura Koronę Krwi, naszym udziałem stałyby się niesłychane dotąd zwycięstwa. Niech więc oni dokonają wyboru, a ten, kogo wybiorą, niech sprawuje rządy na Elfhame. Niech przywdzieje koronę. Jeśli Elfhame cię miłuje, wówczas się poddam. Jak jednak twoi poddani mają wybierać, skoro nigdy nie dałeś im takiej możliwości? Niech to będzie turniejem, niech zdecydują serca i umysły Dworu. Jeśli strach nie pozwala ci skrzyżować ze mną ostrzy, niech to będzie nasz pojedynek.

Cardan patrzy na tron. Widać, że coś się w nim dzieje, coś dojrzewa.

– Korona nie czyni króla.

Jego głos jest odległy, jakby mówił przede wszystkim do samego siebie.

Madok zaciska szczękę. Jest spięty, gotów do walki.

– Jest coś jeszcze. Pozostaje jeszcze kwestia królowej Orlagh.

– Którą ranił nasłany przez ciebie zabójca – dopowiadam.

Przez tłum przechodzi szmer.

– Jest waszą sojuszniczką – podejmuje Madok, niczemu nie przecząc. – Jej córka razem z tobą dorastała w tym pałacu.

Cardan chmurzy się.

– Jeśli nie staniesz w szranki o Koronę Krwi, grot strzały zagłębi się w jej serce i królowa umrze. Będzie to tak, jakbyś ty ją zabił, Najwyższy Królu na Elfhame. A wszystko dlatego,

że nie wierzysz, by twoi poddani cię poparli.

Nie zgadaj się na to – chciałabym krzyknąć, ale gdybym choć słowem się odezwała, Cardan mógłby uznać, że musi przystać na absurdalne żądania Madoka, byle tylko dowieść, że nie sprawuję nad nim władzy. Trzęsie mną gniew, teraz wreszcie rozumiem, dlaczego Madok uważa, że zdoła zmusić Cardana do przyjęcia wyzwania. Zrozumiałam poniewczasie.

Cardan nie był dzieckiem, które łatwo kochać, a z czasem stał się tylko gorszy – tak powiedziała mi pani Asha. Eldred obawiał się spełnienia przepowiedni i nie dbał o syna. Skoro zaś Cardan nie był w łaskach u ojca będącego źródłem wszelkiej władzy, mało też o niego dbali bracia i siostry. Bliscy odrzucili go, lecz przecież został Najwyższym Królem, odnalazł swoje miejsce, przestał być wyrzutkiem. Korona jest symbolem uznania oraz posłuchu.

Czy może nie chcesz udowodnić, że na nią zasługuje?

Czy Elfhame wybrałoby Cardana na swojego władcę? Rozglądam się po tłumie. Widzę królową Annet, której może się podobać brutalność Madoka i zapewne ceni jego doświadczenie. Na pana Roibena, osławionego zabójcę. Na króla Olszyn, Severina z Fairfold, którego ojca Eldred skazał na wygnanie, więc może nie chcesz poddać się władzy Eldredowego syna.

Cardan zdejmuję z głowy koronę.

Tłum wstrzymuje oddech.

– Co ty wyprawiasz? – pytam szeptem, ale on nawet na mnie nie patrzy. Przygląda się trzymanej w dłoniach koronie.

Miecz tkwi w ziemi. W sali tronowej panuje cisza.

– Tron nie czyni króla i nie stanowi go też korona – oznajmia Cardan. – Masz słusność, mówiąc, że ani lojalność, ani miłość poddanych nie powinny być wymuszone. Jednak władza na Elfhame nie jest czymś, co można wygrać lub przegrać, niczym kieszę pełną złota albo flaszkę wina. Jestem Najwyższym Królem i nie postawię w zakład tego tytułu dla twojej zachcianki ani dla miecza, ani dla zaspokojenia swojej własnej dumy. Jest on wart więcej niż jedno i drugie. – Cardan patrzy teraz na mnie i się uśmiecha. – Co więcej, stoisz przed dwojgiem władców. Nawet jeśli mnie pokonasz, pozostanie moja królowa.

Oddycham z ulgą i rzucam Madokowi triumfalne spojrzenie. Pierwszy raz na jego twarzy widzę niepewność, dostrzegam też obawę, że się omylił w swoich rachubach.

Cardan jednak nie skończył jeszcze przemowy.

– Tak sarkasz na Koronę Krwi, a przecież jej właśnie pożądasz. Chcesz, żeby moi poddani związali się z tobą tak silnymi więzami, jakie łączą ich ze mną. Pragniesz korony tak bardzo, że chcesz dla niej frymarczyć głową królowej Orlagh. – Cardan uśmiecha się. – Mojemu

przyjściu na świat towarzyszyła przepowiednia, że jeśli zasiądę na tronie, dojdzie do jego zniszczenia, że przepadnie i tron, i Korona.

Madok spogląda na Cardana, to znów na mnie, potem znowu na Cardana. Wyraźnie rozważa pozostające mu opcje. Sprawy nie przedstawiają się najlepiej, ale wciąż jeszcze ma swój wielki miecz. Moja dłoń machinalnie wędruje do rękojeści Brzasku.

Cardan wyciąga rękę w stronę tronu Elfhame, pokazuje go palcem.

– Patrzcie zatem, oto spełniła się połowa przepowiedni – śmieje się. – Nigdy nie sądziłem, że należy ją rozumieć tak dosłownie. Nigdy też nie przypuszczałem, że będę pragnąć jej spełnienia.

Nie podoba mi się to, co teraz słyszę.

– Królowa Mab stworzyła tę koronę, aby zagwarantować ciągłość władzy swoim potomkom – mówi dalej Cardan. – Nie powinno się jednak przysięgać wierności koronie, lecz władcy. I taka przysięga winna być dobrowolna. Jestem waszym królem, obok mnie stoi moja królowa. Jednak to do was należy wybór, czy chcecie naszych rządów. Niech więc stanie się wasza wola.

Gołymi rękami rozłamuje Koronę Krwi na dwie części. Korona pęka niczym zabawka, jakby to nie był metal, tylko suche patyki.

Wydaje mi się, że cicho krzyknęłam, ale może krzyknęłam na całe gardło. Wiele głosów podniosło się w mieszaninie zgrozy i zachwyty.

Madok oniemiał. Przybył tu po koronę, a teraz został z niej tylko złom. Jednak to twarz Grimsena zwraca moją uwagę. Gwałtownie potrząsa głową w przeczącym *nie, nie, nie, nie*.

– Ludu Elfhame, czy chcecie mnie na swojego Najwyższego Króla? – woła Cardan.

To są słowa wypowiedane podczas rytuału koronacji. Pamiętam, że podobne padły w tej samej wielkiej sali z ust Eldreda.

Jeden po drugim wszyscy zgromadzeni chylą głowy, zewsząd dobiegają jak fala twierdzące odpowiedzi.

Wybrali go. Z własnej woli oddają mu się we władanie. Zwyciężyliśmy.

Patrzę na Cardana i widzę, że jego oczy stały się zupełnie czarne.

– Niiieeee! – wrzeszczy Grimsen. – Moje dzieło. Moje precudne dzieło. Miało trwać wiecznie!

Kwiaty, które jeszcze chwilę temu kwitły na tronie, przybierają ten sam odcień atramentowej czerni. Czerń pokrywa też twarz Cardana, który odwraca się do mnie, otwiera usta, ale to już nie są jego usta. Całe jego ciało ulega metamorfozie, wydłuża się, wije.

Widząc to, przypominam sobie słowa Grimsena, że opatrzył kłótwami wszystkie swoje dzieła.

Kiedy Mab zażądała, żebym sporządził dla niej Koronę Krwi, która zapewni wieczne panowanie jej dynastii, zrobiła mi wielki zaszczyt, lecz zarazem wyznaczyła nie lada zadanie. Wywiązałem się z niego, rzucając przy tym klątwę tak potężną, że chronić będzie koronę po wsze czasy.

Upiorny stwór jakby pochłonął Cardana. Jego usta rozwierają się coraz szerzej, dostrzegam w nich długie kły. Kamienieję z przerażenia.

Powietrze rozbrzmiewa krzykami. Niektórzy dworzanie biegną do drzwi. Dobywam Brzasku. Gwardia patrzy na Cardana ze zgrozą, w rękach żołnierzy lśnią miecze. Grima Mog biegnie w kierunku tronowego podium.

Tam, gdzie stał Najwyższy Król, wije się teraz ogromny wąż o czarnych łuskach i zakrzywionych kłach. Wzdłuż ogromnego cielska biegnie złota pręga. Patrzę w czarne ślepia węża, licząc, że dostrzegę w nich błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznaje, ale są zimne i puste.

– Zatruje ziemię – krzyczy kowal. – Nie przemieni się od całusa swej lubej. Nie da się tej klątwy odwrócić, jej kres położyć może tylko śmierć!

– Nie ma już króla na Elfhame – oznajmia Madok, chwytając za rękojeść swojego potężnego miecza. Chce przemienić niemal pewną klęskę w zwycięstwo. – Zabiję gada i obejmę tron!

– Zapominasz się – wołam, a mój głos niesie się dźwięcznie i daleko. Elfowie zatrzymują się. Władcy niższych dworów patrzą na mnie, patrzą na mnie też radcy i wszyscy elfowie z Elfhame. To coś całkiem innego niż być seneszalem Cardana, a nawet królową u jego boku. To potworne. Przecież oni mnie nie posłuchają.

Wąż wysuwa rozdwojony język, smakuje powietrze. W duchu trzęsę się, ale nie pozwolę, żeby ktoś dostrzegł mój strach.

– W Elfhame jest królowa, która teraz stoi przed wami. Straż, pojmać Madoka. Pojmać całą jego świtę. Złamali święte zasady gościnności. Mają zostać pojmani. Mają zostać straceni.

Madok śmieje się.

– Czyżby, Jude? Nie ma już korony. Dlaczego mieliby cię słuchać, skoro mogą władzę powierzyć mnie?

– Bo jestem królową na Elfhame, prawdziwie wybraną przez króla i przez ziemię. – Głos mi się łamie, ale kończę: – A ty jesteś tylko zdrajcą.

Czy to brzmi przekonująco? Nie wiem. Obawiam się, że nie.

W tym momencie obok mnie staje Randalin.

– Słyszeliście rozkaz – rzuca ku mojemu zaskoczeniu. – Brać ich.

Jego słowa chyba bardziej niż moje przywołują zbrojnych do porządku, bo ruszają, aby z dobytymi mieczami otoczyć Madoka i jego towarzyszy.

Wtedy wąż nagle się porusza. Szybciej, niżbym się mogła tego spodziewać, sunie z podwyższenia prosto w tłum, który rozstępuje się i rozbiega, krzycząc ze strachu. Wydaje się, że wąż z każdą chwilą staje się coraz większy. Złoty pas na jego łuskach lśni coraz wyraźniej. Ziemia pod jego cielskiem trzeszczy i jęczy, jakby wysysał z niej duszę.

Strażnicy już uciekli, Madok wyrywa swój wielki miecz z ziemi. Wąż sunie w jego stronę.

– Mamo! – woła Dąb, biegnąc w stronę Oriany. Vivi próbuje go złapać, Heather woła po imieniu, ale kopytka Dęba już młóćą ziemię. Oriana rozwiera usta do krzyku, bo mój braciszek, pędząc do niej, musi wejść wężowi w drogę.

Dąb, widząc wyraz twarzy matki, zatrzymuje się. Dobywa swojego dziecięcego miecza. Tego miecza, którym ćwiczył ze mną szermierkę w leniwe popołudnia, gdy przebywaliśmy w świecie śmiertelników. Dzierży go wysoko, staje między matką i wężem.

To moja wina. To wszystko moja wina.

Krzyczę, zeskakuję z podium i biegnę po mojego brata.

Madok, cofając się, uderza. Ostrze miecza odbija się od węzowych łusek i powala go na ziemię, potem wąż przesuwa się po leżącym Madoku i zmierza ku swojemu prawdziwemu celowi, którym jest Grimsen.

Stwór owija się wokół uciekającego kowala, wbija kły w jego plecy. Rozlega się cienki, piskliwy krzyk i Grimsen pada. Jest już tylko bezkształtną, pomarszczoną masą, a w następnej chwili zostaje z niego jedynie zapadła skóra, jakby wężowa trucizna wypaliła całe jego wnętrze.

Gdy rzucał swoją klątwę, nie przyszło mu zapewne na myśl, że w taki sposób sam może paść jej ofiarą.

Rozglądam się i widzę, że sala opustoszała. Rycerze cofnęli się. Łucznicy Bomby nie kryją się już, stoją na swoich stanowiskach z łukami gotowymi do strzału. Grima Mog jest obok mnie, z mieczem w dłoni. Madok podnosi się, ale noga, po której przepelzł wąż, nie chce go dźwigać. Chwytam za ramię Oriany i popycham ją w stronę stojącej w pogotowiu Fand. Potem staję między Dębem a wężem.

– Idź z nią – wołam do dzieciaka, pokazuję na jego przybraną matkę. – Zabierz ją w bezpieczne miejsce.

Dąb patrzy na mnie oczami mokrymi od łez. Jego rączka drży, o wiele za mocno zaciska palce na rękojeści mieczyka.

– Byłeś bardzo dzielny – chwalebę go. – Ale teraz musisz jeszcze trochę być dzielny.

Odpowiada skinieniem głowy, przez moment patrzy w stronę Madoka, potem biegnie do matki.

Wąż odwraca się i wysuwa język w moją stronę. Wąż, który kiedyś był Cardanem.

– Chcesz być królową elfów, Jude? – woła do mnie Madok. Idzie do wyjścia, mocno kulejąc. – A więc może ty zdołasz go pokonać? Zabij bestię. Przekonajmy się, czy starczy ci

sił i odwagi, żeby dokonać tego, co jest konieczne.

– Pozwól, pani – nalega Fand, ciągnie mnie do drzwi. Wąż tymczasem wraca na podwyższenie. Raz jeszcze wysuwa język, a wówczas ogarnia mnie taki strach i zgroza, że o mało nie pochłaniają całego mojego jestestwa.

Kiedy wąż owija się wokół strzaskanych szczątków tronu, pozwalam się poprowadzić do wyjścia. Kiedy zaś wszyscy opuszczają salę, każę ją zamknąć i zaryglować drzwi.



Wkorytarzu panuje nieopisany zgiełk, wszyscy krzyczą naraz. Radcy wrzeszczą na siebie wzajemnie. Generałowie i rycerze próbują rozkazywać, każdy każdemu. Ktoś rozpaczliwie szlocha. Dworzanie trzymają się za ręce i próbują pojąć, czego właśnie byli świadkami. Nawet w krainie klątw, zagadek i wysp wywoływanych spod morza, tak potężna magia jest rzadkością.

Moje serce bije jak oszalałe, zagłuszając wszystko inne. Elfowie zadają mi jakieś pytania, ale słyszę je jakby z bardzo daleka. Nie mogę przestać myśleć o czerniejących oczach Cardana, o dźwięku jego głosu.

Przez większość życia strzegłem swojego serca. Strzegłem go tak bardzo, że potrafiłem żyć, jakbym wcale go nie miał. Nawet dziś jeszcze jest ono nędznym, żalonym i pomarszczonym strzępem, ale należy do ciebie.

– Moja Pani – mówi Grima Mog, czuję jej rękę na swoich plecach. – Moja Pani, pójdź ze mną.

Jej dotyk przywraca mi poczucie wrzaskliwej i potwornej rzeczywistości. Trochę dziwi mnie widok rosłej wojowniczk. Ona zaś chwytą mnie za ramię i siłą ciągnie do sali wojennej.

– Weźże się w garść – warczy na mnie.

Za zamkniętymi drzwiami uginają się pode mną kolana, padam na ziemię z dłonią przyciśniętą do piersi, jakbym chciała powstrzymać serce, żeby nie wyrwało się z za żeber na

wolność.

Moja suknia jest zbyt ciężka. Nie mogę oddychać.

Nie wiem, co mam robić.

Ktoś wali do drzwi. Wiem, że muszę wstać. Muszę coś wymyślić. Muszę mieć odpowiedzi na ich pytania. Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie, tylko jakie?

Jakie?

Przecież nie mogę nawet myśleć.

– Zaraz wstanę – zapewniam Grimę Mog, która jest chyba trochę zaniepokojona. Na jej miejscu, gdybym patrzyła na siebie jej oczami i zdawała sobie sprawę, że przyszłość całej krainy leży w moich rękach, też bym się niepokoiła. – Zaraz mi przejdzie.

– Pewnie, że ci przejdzie – odpowiada.

Tylko jak mogę zatrzeć wspomnienie czarnego kształtu pełzającego przez salę tronową, przestać widzieć przed sobą te puste żółte oczy i jadowite kły?

Przytrzymuję się kantu stołu, dźwigam się do pozycji stojącej.

– Muszę odszukać królewskiego astrologa.

– Nie bądź śmieszna – beszta mnie Grima Mog. – Nigdzie nie pójdziesz. Jesteś królową. Jeżeli potrzebny ci do czegoś pan Bafen i jego gusła, to każ go wezwać. Teraz właśnie decyduje się twój los. Albo pozostaniesz władczynią na Elfhame, albo zginiesz. Stoisz między tymi wszystkimi królami i książętami pomniejszych dworów a władzą, po którą nie tylko Madok chce sięgnąć. Każdy z nich może uznać, że jeśli cię zabije, będzie to wyborny wstęp do jego panowania. Musisz trzymać im but na gardle.

Kręci mi się w głowie. Tak. Muszę się pozbierać.

– Masz rację – mówię. – Potrzeba mi nowego głównodowodzącego. Czy przyjmiesz to stanowisko?

Grima Mog jest najwyraźniej zaskoczona.

– Ja? A co z Yornem?

– Brak mu doświadczenia. Poza tym nie lubię go.

– Próbowałam cię zabić – przypomina mi Grima Mog.

– Nie ty jedna – odpowiadam, oddycham płytko, powoli. – A ciebie nawet lubię.

Na to Grima Mog szczyrzy zębiska w uśmiechu.

– W takim razie do roboty.

– Chcę cały czas wiedzieć, gdzie przebywa wąż – mówię. – Niech ktoś nieustannie nad nim czuwa i mam być na bieżąco informowana, jeśli zmieni miejsce pobytu. Może uda się go zatrzymać w sali tronowej. Ściany są grube, drzwi ciężkie, podłoga z ubitej ziemi. I przyślij do mnie Bombę. I Fand. A także moją siostrę Taryn. I wybierz gońców, żebyśmy cały czas były w kontakcie.

Okazuje się, że Fand stoi tuż za drzwiami. Otrzymuje ode mnie krótką listę osób, które mogą wejść do środka.

Kiedy Grima Mog odchodzi, pozwalam sobie jeszcze na chwilę bezradnej rozpacz, potem zaś zmuszam się, żeby chodzić tam i z powrotem, żeby przemyśleć wszystko, zastanowić się, co mnie czeka. Armia Madoka wciąż jeszcze nie wylądowała. Muszę się zorientować, jakimi siłami dysponuję, czy wystarczą, by powstrzymać go od bezpośredniej napaści.

Cardan odszedł. Mój umysł zatrzymuje się na tym, zawiesza, a muszę przecież myśleć, myśleć, myśleć. Dopóki nie porozmawiam z Bafenem, nie zamierzam przyjmować do wiadomości słów wykrzyczanych przez Grimsena. Musi być jakieś wyjście. Jakaś sztuczka. Musi istnieć sposób na przełamanie klątwy i to taki, żeby Cardan pozostał przy życiu.

No i są jeszcze wszyscy elfowie, których trzeba utwierdzić w przekonaniu, że to ja jestem ich prawowitą królową.

Kiedy pojawia się Bomba – z zakrytą twarzą, w długiej szacie z kapturem – już panuję nad sobą.

Spoglądamy na siebie, a wtedy po prostu podbiega i obejmuje mnie ramionami. Myślę o Karakanie i wszystkich klątwach, których nie sposób przełamać i przez chwilę ściskam ją mocno.

– Muszę wiedzieć, kto pozostaje lojalny wobec mnie. – Odsuwam się, znowu chodzę tam i z powrotem. – I kto opowiada się po stronie Madoka oraz kto chce działać na własny rachunek.

Kiwa głową.

– Dowiem się.

– Jeżeli któryś ze szpiegów dowie się o przygotowywanym na mnie zamachu, niech nie traci czasu i nie czeka na mój rozkaz. Nieistotne, czy będą to groźne plany, czy tylko puste gadanie. Mają umrzeć, natychmiast. Wszyscy.

Może nie postępuję właściwie i nie tak zachowałby się Cardan, lecz jego już nie ma, a mnie brakuje czasu na takie luksusy jak wyrozumiałość.

– Tak się stanie – brzmi odpowiedź. – Spodziewaj się wieści ode mnie jeszcze dziś w nocy.

Po niej przychodzi Taryn. Rozgląda się, jakby się spodziewała ujrzeć przy mnie wielkiego węża.

– Co z Dębem? – pytam.

– Jest u Oriany. Oriany, która nie wie, czy jest więźniem, czy nie.

– W żadnym razie. Okazała mi gościnę na Północy, zamierzam jej się za to odwdziżyć.

Teraz, kiedy mija oszołomienie, zdaję sobie sprawę, że jestem wściekła. Wściekła na Madoka, na Oriane i na całe Elfhame. Z tego jednak również nic nie wynika.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej? – dziwi się Taryn.

– Dobrałaś mi stroje, kiedy piastowałam urząd seneszała, i zrobiłaś to tak, że prezentowałam się godnie. Widziałam wewnątrz domu Lokiego i zmiany, jakie tam zaprowadziłaś. Czy możesz dla mnie urządzić salę tronową? I może znaleźć jakieś stroje na najbliższe dni? Nie obchodzi mnie, skąd je weźmiesz, bylebym w nich wyglądała jak królowa elfów.

Taryn bierze głęboki wdech.

– Dobra. Jasne. Postaram się, żebyś dobrze wyglądała.

– Muszę naprawdę dobrze wyglądać.

Taryn wreszcie się do mnie uśmiecha.

– Nie mam pojęcia, jak ty to robisz – mówi. – Jak to się dzieje, że jesteś taka spokojna.

Nie bardzo wiem, co mam jej odpowiedzieć. Wcale nie jestem spokojna. Wszystko się we mnie gotuje i mam ochotę wrzeszczeć.

Znowu stukanie do drzwi. Pojawia się w nich Fand.

– Proszę o wybaczenie – odzywa się. – Przyszedł pan Bafen, a mówiłaś, pani, że chcesz go widzieć natychmiast.

– Znajdę dla ciebie lepsze miejsce do urzędowania – zapewnia mnie Taryn i prześlizguje się obok Fand na zewnątrz.

– Rada także domaga się posłuchania – mówi strażniczka. – Chcą wejść razem z panem Bafenem. Twierdzą, że nie ma takiej rzeczy, o której on by wiedział, a oni nie powinni usłyszeć.

– Nie – ucinam. – Tylko on.

Kilka chwil później do komnaty wchodzi Bafen. Ma na sobie długą, granatową szatę, nieco jaśniejszą od jego ciemnobłękitnych włosów. Na głowie ma brązową czapkę. Jego, w przeciwieństwie do pozostałych radców, zawsze lubiałam, sądziłam też, że i on nie ma nic przeciwko mnie. Teraz jednak patrzę na niego z lękiem.

– Naprawdę nie ma nic, co... – zaczyna, ale przerywam mu:

– Chcę wiedzieć wszystko o przepowiedni, którą spisałeś po przyjsciu Cardana na świat. Chcę wiedzieć, jak dokładnie brzmiała.

Patrzy na mnie z pewnym zdziwieniem. Kiedy podczas posiedzeń Rady występowałam jako seneszał Najwyższego Króla, zawsze okazywałam mu uszanowanie. Jeszcze nie miał okazji poznać mnie z innej strony jako Najwyższej Królowej.

Widzę zażenowanie na jego twarzy.

– Nigdy nie jest miło oznajmiać królowi złe wieści. Wtedy jednak to pani Asha wprowadziła mnie w przerażenie. W jej spojrzeniu była taka nienawiść, że poczułem ją aż po czubki uszu.

Chyba uważała, że coś wyolbrzymiam, że knuję przeciwko niej.

– Teraz stało się jasne, że niczego nie wyolbrzymiłeś – mówię oschłym tonem. – Powiedz mi wszystko.

Odkasłuje.

– Są dwie części przepowiedni. Pierwsza: *Z nim nadejdzie zniszczenie Korony i rozpad tronu.* I druga: *Tylko z krwi przelanej może powstać wielki władca.*

Ta druga część jest jeszcze gorsza niż pierwsza. Przez chwilę te słowa rozbrzmiewają w mojej głowie.

– Czy książę Cardan znał treść przepowiedni? – pytam wreszcie. – Czy Madok także ją zna?

– Najwyższemu Królowi mogła o niej powiedzieć matka – zastanawia się pan Bafen. – Zakładałem... Myślałem, że książę Cardan nigdy nie dojdzie do władzy. A potem, kiedy się to stało, spodziewałem się, że okaże się złym władcą i szybko zostanie zgładzony. Myślałem, że takie są wyroki losu. Natomiast co do Madoka, nie wiem, co wie o przepowiedni.

– Czy klątwę można jakoś przełamać? – Mój głos drży z niepewności. – Grimsen przed śmiercią wykrzyczał: *Nie przemieni się od całusa swej lubej. Nie da się tej klątwy odwrócić, jej kres położy tylko śmierć.* Ale to nie może być prawda. Myślałam, że może z przepowiedni wyniknie jakieś rozwiązanie, ale... – Nie potrafię dokończyć swojej myśli. Byłaby to odpowiedź, jakiej nie chcę przecież usłyszeć.

– Jeżeli jest jakiś sposób, by cofnąć tę... jakby tu rzec... przemianę – mówi ostrożnie Bafen – to ja go nie znam.

Zaciskam dłonie, wbijam paznokcie w skórę. Ogarnia mnie przerażenie jak zawrót głowy.

– Niczego więcej nie da się wyczytać w gwiazdach? Niczego nie pominąłeś?

– Obawiam się, że nie.

– Może zechciałbyś raz jeszcze spojrzeć w gwiazdne mapy? – proszę. – Przejrzyj je powtórnie, sprawdź, bo może coś jednak za pierwszym razem przeoczyłeś. Spójrz w gwiazdy, bo może tam pojawiła się jakaś nowa odpowiedź.

Przytakuje.

– Jeśli takie jest życzenie Waszej Wysokości.

Z jego tonu wnioskuję, że wiele już razy udzielał takiej odpowiedzi na równie bezcelowe żądania poprzednich władców.

Mało mnie jednak obchodzi, czy moje żądanie jest rozsądne.

– Tak. Tego sobie życzę.

– Czy zechcesz, pani, w pierw przyjąć członków Rady?

Nawet najmniejsza zwłoka mnie drażni, chciałabym, żeby Bafen natychmiast zajął się poszukiwaniem rozwiązania, jeśli jednak chcę, by mnie zaakceptowali jako prawowitą królową, potrzebuję wsparcia Wiecznej Rady. Tego też nie mogę odwlekać.

Czy właśnie na tym polega sprawowanie władzy? Z dala od akcji, jest się przykutym do tronu albo uwięzionym we wspaniałych komnatach, trzeba polegać na informacjach dostarczanych przez innych? Madokowi to by nie przypadło do gustu.

– Przyjmę ich – oznajmiam.

Przy drzwiach Fand powiadamia mnie, że gotowa już jest przeznaczona dla mnie komnata. Jestem pod wrażeniem, jak prędko Taryn zdołała wszystko urządzić.

– Coś jeszcze?

– Przybył goniec od Grimy Mog. Król... To znaczy, wąż... nie przebywa już w sali tronowej. Chyba się wydostał rozpadliną wybitą mieczem Madoka. Poza tym naprawdę nie wiem, jak to rozumieć, ale w sali tronowej pada śnieg. Wewnątrz.

Przechodzi mnie lodowaty dreszcz. Moja ręka sięga po miecz. Chciałabym natychmiast wyruszyć, znaleźć go, ale jeśli nawet znajdę węża – co wtedy?

Przerasta mnie odpowiedź na to pytanie. Zamykam oczy, nie chcę jej znać. Kiedy je otwieram, mam wrażenie, że wiruje mi w głowie. Rozkazuję, by zaprowadzono mnie do mojej nowej sali tronowej.

U wejścia stoi Taryn; czeka, by wprowadzić mnie do środka. Wybrała ogromną komnatę, z której kazała usunąć wszystkie meble. Głos rozbrzmiewa tu echem, pośrodku, na pokrytym dywanem podwyższeniu, stoi wielkie siedzisko z rzeźbionego drewna. Posadzka jest zastawiona świecami, dzięki migoczącym cieniom będę wydawać się groźna; może nawet tym groźniejsza, że śmiertelna.

Po obu stronach mojego tronu stoją gwardziści Cardana, na jednym z dywanów klęczy mały paż o skrzydełkach jak ćma.

– Nieźle – mówię swojej siostrze.

Taryn chichocze.

– E tam. Właż, muszę zobaczyć, jak się komponujesz.

Zasiadam z wyprostowanymi plecami, spoglądam na tańczące płomienie. Taryn bardzo po śmiertelnemu pokazuje uniesiony kciuk.

– Dobrze – powiadam. – W takim razie jestem gotowa przyjąć Wieczną Radę.

Fand przytakuje ruchem głowy, idzie po nich. Gdy drzwi się zamykają, rozmawia o czymś z Taryn. Jednak zaraz potem muszę skupić uwagę na Randalinie i pozostałych radcach, którzy w grobowych nastrojach wkraczają do komnaty.

Mało mnie jeszcze znacie i nie wiecie, na co mnie stać – przemawiam do nich w myśli, próbując samej w to uwierzyć.

– Wasza Wysokość – odzywa się Randalin, ale mówi to w taki sposób, jakby zadawał pytanie. W krytycznym momencie, w sali tronowej poparł mnie, ale nie wiem, czy nadal mogę na niego liczyć.

– Mianowałam Grimę Mog głównodowodzącym – informuję ich. – W tej chwili nie może przyjść i się przedstawić, ale wkrótce dostaniemy od niej raport.

– Czy to aby mądre posunięcie? – pyta Nihuar, zaciska wąskie zielone wargi, jej przypominające modliszkę ciało kołysze się, wyraźnie jest wytrącona z równowagi. – Może lepiej byłoby poczekać, aż Najwyższy Król powróci do swojej zwykłej postaci i dopiero wtedy podejmować decyzje o tak kluczowym znaczeniu.

– Właśnie – podchwytuje gorliwie Randalin, patrzy na mnie, jakby spodziewał się, że zaraz mu powiem, jak tego dokonam.

– Wąż pełzający królujący – oznajmia Fala, ma na sobie pstrokaty strój w odcieniach lawendy – nam miłościwie panujący.

Pomna na przestrogi Bomby ani drgnę, nie podejmuję sporu. Czekam, a moje milczenie sprawia, że cichną i oni. Nawet Fala się już nie odzywa.

– Pan Bafen – powiadamiam ich trochę wymijająco – jeszcze nie zna odpowiedzi na pytanie, jak przywrócić Najwyższego Króla do jego postaci.

Wszyscy patrzą na królewskiego astrologa.

Tylko z przelanej krwi powstanie wielki władca.

Bafen przytakuje.

– Nie wiem i wcale nie mam pewności, że to w ogóle możliwe.

Nihuar jest zdziwiona. Nawet Mikkel się nie spodziewał aż tak złych wieści.

Randalin patrzy na mnie oskarżycielsko. Zupełnie jakby było już po wszystkim i wszystko zostało bezpowrotnie stracone.

Jest jakiś sposób – chciałabym móc to powiedzieć. Jest jakiś sposób, tylko jeszcze go nie znam.

– Przybywam, by złożyć raport królowej – rozlega się głos u wejścia. Stoi tam Grima Mog.

Mija członków Rady, wita ich skinieniem głowy. Przyglądają się jej niepewnie.

– Wysłuchamy wszyscy, co masz do powiedzenia – odpowiadam; słyszę, jak niechętnym pomrukiem wyrażają zgodę.

– Doskonale. Otrzymaliśmy wieść, że Madok zamierza dokonać napaści o świcie dnia po dniu jutrzejszym. Liczy na to, że nas zaskoczy, zwłaszcza że jeszcze kilka dworów przeszło pod jego sztandary. Największy jednak nasz kłopot polega na tym, że nie wiemy, kto wstrzyma się, by przeczekać i przekonać się, z której strony wiatr wieje.

– Jesteś pewna, że to prawdziwa wiadomość? – pyta podejrzliwie Randalin. – Jak ją zdobyłaś?

Grima Mog wskazuje mnie ruchem głowy.

– Dzięki jej szpiegom.

– Jej szpiegom? – powtarza po niej Bafen.

Widzę, że coś do niego dociera. No tak, przecież i wcześniej wiedziałam różne dziwne rzeczy, a teraz wreszcie zaczyna to rozumieć. Czuję niejaką satysfakcję na myśl, że nie muszę już udawać kogoś, kto może polegać tylko na sobie.

– Czy nasze wojska są wystarczająco liczne, aby go powstrzymać? – pytam.

– Nie możemy być pewni zwycięstwa – odpowiada dyplomatycznie Grima Mog. – Ale i Madok nie dysponuje liczebną przewagą. Przynajmniej nie w tej chwili.

Sprawy mają się więc całkiem odmiennie niż zaledwie dzień wcześniej. Lepsze to jednak niż nic.

– Pojawiła się też pewna pogłoska – mówi dalej Grima Mog. – Coraz liczniejsi twierdzą, że władzę na Elfhame obejmie ten, kto uśmierci węża. Inaczej mówiąc, że przelać krew Kolcowojów, to jakby mieć ją w swoich żyłach.

– Bardzo w niecnym guście – stwierdza Mikkel. Chciałabym wiedzieć, czy i on tak uważa. I czy właśnie tego się po mnie spodziewa.

– Król był pięknego oblicza – mówi Fala. – Jak sobie bez niego poradzi?

– A gdzie on jest? – pytam. – Gdzie jest Najwyższy Król?

– Węża wypatrzone na brzegach Insear. Pewien rycerz z Igielnego Dworu spróbował szczęścia, mierząc się ze stworem. Godzinę temu znaleźliśmy to, co z rycerza pozostało, i od tych szczątków tropiliśmy węża. Pozostawia on bowiem po sobie ślady, czarne smugi wyjałowionej ziemi. Zadanie utrudnia fakt, że te smugi się rozszerzają, zamazują trop i zatruwają ziemię. Udało się nam jednak stwierdzić, że wąż wrócił do pałacu. Chyba obrał sobie salę tronową za matecznik.

– Król stanowi jedność z ziemią – wtrąca Bafen. – Przekląć króla, to przekląć samą ziemię. Moja pani, może się okazać, że istnieje tylko jeden sposób, by uzdrowić...

– Dość – przerywam Bafenowi, nie dopuszczam do słowa Randalina i pozostałych radców. Wstaję. – Posłuchanie skończone.

– Ale przecież trzeba... – zaczyna Randalin, ale potem dostrzega coś w mojej twarzy i milknie.

– Jesteśmy po to, by ci służyć radą – mówi Nihuar głosem lepkiem jak syrop. – Służyć swoją mądrością.

– A czy jesteście naprawdę mądrzy? – pytam i słyszę, że mój własny głos przybiera ton ugrzecznionej pogroźki, taki właśnie, jaki przybrałby Cardan. Wypluwam te słowa, jakbym

już nie panowała nad sobą. – Prawdziwa bowiem mądrość powinna wam podpowiedzieć, żeby nie narażać się na moją niełaskę. Kto wie, czy pobyt w Wieży Zapomnienia nie przywróci wam utraconego rozsądku.

Teraz uciszyli się na dobre.

Wyobrażałam sobie, że jestem inna niż Madok, ale jak widać, gdy tylko pojawiła się taka możliwość, zostałam tyranem i grozę, zamiast przekonywać. Sieję burzę, zamiast zaprowadzać pokój.

Moje właściwe królestwo to cienie, noże, rozlew krwi; słowa ociekające trucizną i kielichy pełne trucizny. Nigdy nie spodziewałam się, że znajdę aż tak wysoko, na sam tron. Obawiam się, że do takiego królowania zupełnie się nie nadaję.



Wiedziona raczej musem niż świadomym wyborem odsuwam ciężkie rygle wrót do sali tronowej.

Fand stoi obok, próbuje mi to odradzać.

– Może przynajmniej...

– Zostań tutaj – mówię. – Nie idź za mną.

– Tak, pani... – słyszę jej głos; trudno to uznać za głos poparcia, tym jednak muszę się zadowolić.

Wchodzę do ogromnej sali, zrzucam płaszcz z ramion.

Wąż leży owinięty wokół szczątków tronu. Urósł. Teraz wystarczyłoby, że rozewrze paszczę, a mógłby połknąć całego konia. W wielkiej sali płonie jeszcze kilka pochodni, widać w ich blasku rozrzucone jedzenie i przewrócone stoły, połyskują w nim czarne łuski węża. Złota pręga jakby zmatowiała. Nie wiem, czy to objaw choroby, czy zapowiedź dalszej transformacji. Na boku węża widać świeże zadrapania, jakby od miecza czy włóczni. Z rozpadliny w podłodze unosi się para, niesie woń rozpalonego kamienia.

– Cardan? – odzywam się, podchodzę nieco bliżej.

Wielka głowa węża odwraca się ku mnie. Jego zwoje rozplątują się w przygotowaniu do obrony, a może ataku. Staję; wąż nie rzuca się na mnie, chociaż kołysze głową w przód i w tył, jakby rozważając: jestem zagrożeniem czy posiłkiem.

Zmuszam się, żeby zrobić krok, potem kolejny. Złote ślepia węża obserwują mnie i tylko one – jeśli nie liczyć paskudnego charakteru – przypominają mi Cardana.

Może dojść do tego, że wyrosnę na coś gorszego, że stanę się Najwyższym Królem równie potwornym jak Dain. Jeśli do tego dojdzie, jeżeli tak właśnie spełnię przepowiednię, ktoś powinien mnie powstrzymać. Wierzę, że ty byś to zrobiła.

Myślę o szwach na swoim boku i białych kwiatkach rosnących na śniegu. Skupiam się na tym wspomnieniu, próbuję czerpać moc z ziemi. On jest potomkiem Mab i prawowitym królem. Ja jestem jego małżonką. Uzdrowiłam siebie, więc może i jego zdołam uzdrowić.

– Proszę – zwracam się do klepiska pod moimi stopami, do samej ziemi. – Zrobię, co tylko każesz. Jeśli zechcesz, zrzeknę się Korony. Zgodzę się na każdy układ. Ale ocal go, pomóż mi złamać klątwę.

Koncentruję się, wytyżam swą królewską wolę, ale magia nie nadpływa.



ROZDZIAŁ

24

W sali tronowej zastaje mnie Bomba, pełnym gracji krokiem wyłania się z mroku. Nie ma na twarzy maski.

– Jude? – pozdrawia mnie.

Zdaję sobie sprawę, jak blisko podeszłam do węża. Siedzę na podwyższeniu, może trzy kroki od niego. Tak się do mnie przyzwyczaił, że zamknął złote ślepia.

– Twoje siostry się niepokoją – mówi Bomba, podchodzi na tyle blisko, na ile wystarcza jej odwagi. Głowa węża unosi się, język jak rozdwojony sztylet przeszywa powietrze. Bomba nieruchomieje w pół kroku.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. – Musiałam tylko to wszystko przemyśleć.

Nie przemieni się od całusa swej lubej. Nie da się tej klątwy odwrócić, jej kres położy tylko śmierć!

Bomba przygląda się wężowi.

– On cię rozpoznaje?

– Trudno powiedzieć – odpowiadam. – Raczej bym powiedziała, że chyba nie ma nic przeciwko mojej obecności. Tłumaczyłam mu, że nie wiem, czy zdołam dotrzymać wszystkich danych mu obietnic.

Najtrudniejsze zaś – ba, niemożliwe – jest zapomnieć, że Cardan wyznał mi miłość. Wymówił te słowa, a ja nie odpowiedziałam. Myślałam, że jeszcze zdążę. I byłam

szczęśliwa – bez względu na wszystko inne. Kochał mnie. Zwyciężyliśmy, wszystko zapowiadało się jak najpomyślniej. Byłam szczęśliwa, a potem wszystko runęło.

– Jest kilka rzeczy, o których powinnaś wiedzieć – mówi Bomba. – O ile wiem, Grima Mog przedstawiła ci sprawozdanie z planów i posunięć Madoka.

– Tak jest – potwierdzam.

– Wytropiliśmy tych i owych na Dworze, którzy snuli plany, by uśmiercić śmiertelną królową. Ich plany wzięły w łeb – na jej twarzyczce pojawia się przelotny uśmiezek. – I oni też.

Nie wiem, czy powinnam być zadowolona, czy wręcz przeciwnie. W tej chwili jej słowa stanowią dla mnie tylko dodatkowy ciężar potęgający zmęczenie.

– Duch wywiedziało się, którzy z władców dochowają wierności. Mogę ci ich zaraz wymienić. Jednak najciekawsze jest to, że nadeszła wiadomość od twojego ojca. Madok domaga się gwarancji, że on, pani Nore i pan Jarel mogą przyjść do pałacu, by prowadzić dalsze rokowania.

– Chcą tu przyjść? Znowu? – Zsuwam się z podium. Wąz śledzi mnie spojrzeniem. – Po co? Nie wystarcza im to, co uzyskali podczas dotychczasowych rozmów?

– Tego nie wiem – odpowiada, gorycz w jej głosie przypomina mi, jak śmiertelnie nienawidzi władców Zębatego Dworu i jak bardzo ta nienawiść jest uzasadniona. – W każdym razie Madok chce widzieć ciebie, twojego brata i siostry. A także swoją żonę.

– Doskonale – odpowiadam. – Niech przyjdzie razem z panią Nore i panem Jarelem. Niech jednak też wie, że nie wolno mu przynieść do Elfhame broni. Nie przybywa tu jako mój gość. Mogę tylko dać słowo, że nic mu się nie stanie, gościny mojego domostwa dać mu już nie mogę.

– Wiadomo zaś, jak wiele waży twoje słowo... – napomyka z nadzieją w głosie Bomba.

– Cóż, to się okaże.

W drzwiach oglądam się, patrzę na węża. W miejscu, gdzie leży, ziemia poczerniała niemal tak jak jego łuski.



Po dłuższej wymianie wiadomości dochodzimy w końcu do następujących ustaleń: Madok i jego towarzysze zjawią się o zmierzchu. Zgodziłam się ich przyjąć w pałacowych ogrodach, nie zamierzam bowiem powtórnie wpuścić wroga do pałacowych komnat. Grima Mog dowodzi ustawionym w półkole oddziałem zbrojnych, którzy nas strzegą; na drzewach zajęli stanowiska łucznicy. Bomba prócz tego rozmieszcza swoich zwiadowców wyposażonych w skrytobójczą broń. Jest wśród nich i Duch, jego uszy zatkałe są miękkim woskiem.

Mój rzeźbiony tron został wyniesiony do ogrodu, ustawiony na nowym, wyższym podium. Pod nim rozłożono poduszki dla mojego brata i sióstr, także dla Oriany, jeżeli zechce się pojawić.

Nie ma natomiast stołów, bankietu ani wina. Dla wygody przybyłych rozłożono tylko na błotnistej ziemi dywan. Po obu moich stronach płoną pochodnie, lecz jedynie z uwagi na mój ułomny wzrok śmiertelniczki, nie na ich cześć.

Nad nami przepływają burzowe chmury, przesywają je iskry błyskawic. Wcześniej doniesiono mi, że na Insweal spadł grad wielkości jabłek. Takie anomalie nie zdarzają się w Elfhame, toteż przypuszczam, że klątwa, która przez Cardana spływa na ziemię, jest jak zaraza też dla chmur, wody i powietrza.

Siadam na rzeźbionym tronie, układam suknię, przydając sobie – mam nadzieję – królewskiego wyglądu. Strzepuję pył z jej rąbka.

– Jeszcze tutaj – Bomba pokazuje palcem. – Wasza Wysokość.

Zajmuje miejsce na podium po mojej prawej stronie. Otrzepuję resztę ziemi ze wskazanego przez nią miejsca. Uśmiech na twarzy Bomby ustępuje miejsca powadze, gdy nadchodzą moje siostry i braciszek. Kiedy Bomba opuszcza zasłonę na twarz, wygląda, jakby całkiem kryła się w cieniu.

Kiedy ostatnio widziałam Dęba, dzierzył w rączce dobytą dziecięcą broń, a na jego buzi malowało się przerażenie. Cieszę się, że teraz mogę odnotować w pamięci zupełnie inny widok: jak biegnie do mnie, roześmiany.

– Jude! – woła, wspina się na moje kolana, niweczając wysiłek włożony w ułożenie spódnic. Jego różki wbijają mi się w ramię. – Mówiłem Orianie, jak się jeździ na desce, a ona na to, że nie wypada mi tego robić.

Spoglądam w stronę drzwi, spodziewając się ją ujrzeć, ale z Dębem przyszły tylko Vivi i Taryn. Vivi ma na sobie jeansy i wyszywaną brokatem kurtkę nałożoną na białą koszulę z falbanami – kompromis między śmiertelnym a nieśmiertelnym sposobem ubierania. Taryn włożyła suknię, którą widziałam w jej garderobie, tę w leśne zwierzęta kryjące się pośród liści. Dąb ubrany jest w kurteczkę granatową jak niebo o północy. Ktoś włożył mu na główkę złoty diadem, który przypomina wszystkim, że to być może on jest już ostatnim przedstawicielem rodu Kolcowojów.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię do Dęba. – Ale to będzie bardzo trudne i bardzo nudne.

– A co mam robić? – pyta i patrzy na mnie bardzo podejrzliwie.

– Musisz sprawiać wrażenie, że słuchasz uważnie, ale nie ruszać się z miejsca. Niezależnie od tego, co powiem. I od tego, co powie twój tato. Cokolwiek się zdarzy.

– To nie jest żadna pomoc – protestuje Dąb.

– W ten sposób bardzo byś mi pomógł – nalegam.

Wzdycha ostentacyjnie, złazi ze mnie i obrażony zajmuje miejsce na poduszkach.

– Gdzie jest Heather? – pytam Vivi.

– W bibliotece – moja siostra odpowiada tak, jakby czuła się czemuś winna. Może sądzi, że jej obowiązkiem jest zapewnić Heather powrót do ludzkiego świata i że to samolubne z jej strony, żeby ją tutaj przetrzymywać. Tymczasem Vivi nie zdaje sobie sprawy, że obie zmierzają do tego samego celu. – Twierdzi, że gdyby to był film, ktoś znalazłby poemat o przeklętych węzłach, a w nim wskazówkę, co mamy robić, no więc szuka. Archiwiści nie wiedzą, co mają z nią robić.

– Szybko się odnajduje w naszej baśniowej krainie – zauważam.

Vivi odpowiada mi wymuszonym, smutnym uśmiechem.

Potem jednak przychodzi Oriana, przyprowadza ją Grima Mog, która potem staje po mojej lewej stronie. Oriana nie przebrała się od wczorajszego wieczora, tak samo jak ja. Gdy widzę zachodzące słońce, uświadamiam sobie, że właśnie minął cały dzień. Nie za bardzo wiem, jak długo byłam sam na sam z węzłem, natomiast niewątpliwie straciłam mnóstwo czasu i nawet tego nie zauważyłam. Wydaje się, że klątwa spadła na Cardana zaledwie przed chwilą, a jednocześnie jakby to było wieki temu.

– Już są – oznajmia Fand, która nadbiega ścieżką, by zająć miejsce obok Bomby. Zaraz potem słychać łoskot kopyt. Madok nadjechał na rumaku, lecz nie okryty zbroją jak zazwyczaj, tylko odziany w kaftan o głębokim błękitnym kolorze. Kiedy zsiada, widzę, że wyraźnie utyka na nogę, po której przepelzł wąż.

Za nim nadjeżdża lodowa karoca ciągnięta przez elfowe konie tak krystaliczne, jakby wyczarowane z zamrożonych morskich fal. Gdy władcy Zębatego Dworu wysiadają, powóz i konie rozpływają się, roztapiają.

Pani Nore i pan Jarel ubrani są w białe futra, choć nie jest bardzo zimno. Za nimi podąża sługa, który niesie skrzynkę ze srebrnymi okuciami, a także królowa Suren. Jest wprawdzie ich władczynią, ale ma na sobie tylko zwykłą, prostą suknię. Złotą koronę przyszyto jej do czoła, a cienki złoty łańcuszek przeszywa skórę na jej nadgarstku jako nowa smycz; umocowano do niego poprzeczny pręt, żeby łańcuch się nie wyslizgnął.

Na jej twarzy widać świeże blizny po uździe, którą nosiła, kiedy ostatnio ją widziałam.

Próbuję zachować kamienną twarz, ale ten widok jest naprawdę okropny.

Madok wysuwa się przed pozostałych, obdarza nas uśmiechem, jakbyśmy się tu wszyscy zgromadzili, by pozować do rodzinnego portretu, a on za moment miał do nas dołączyć.

Dąb blednie na widok ogniw łańcucha przebijających skórę królowej Suren. Spogląda na Madoka, jakby spodziewał się wyjaśnienia.

Nie pada jednak ani słowo.

– Może chcielibyście usiąść? – pytam Madoka i jego nieliczną świtę. – Jeśli sobie życzyacie, każę przynieść poduszki.

Pani Nore i pan Jarel widzą ogrody, rycerzy, Bombę o zakrytej twarzy, Grimę Mog i moją rodzinę. Dąb dalej jest obrażony, leży twarzą w dół na poduszce, zamiast siedzieć. Miałabym ochotę trącić go stopą i skarcić, że jest taki niegrzeczny, ale może właśnie to jest całkiem odpowiednia chwila na jego fochy. Nie zamierzam pozwolić, żeby ci z Zębatego Dworu poczuli się zbyt ważni. Co do Madoka, to i tak zna nas wystarczająco dobrze, żeby nie dać się nabrać.

– Będziemy stali – oświadcza pani Nore, wydymając usta.

Trudno bowiem z godnością zasiadać na poduszce, a poza tym znalazłaby się wtedy znacznie niżej ode mnie. Byłam pewna, że odmówi.

Cardan chodził w przekrzywionej koronie, rozwalał się na siedzisku tronu w taki sposób, że dawało mu to przewagę nieprzewidywalności, a zarazem przypominało wszystkim, że to on tworzy reguły, a sam nie musi się stosować do żadnej. Postanowiłam, gdy tylko się da, iść za jego przykładem.

– To duża śmiałość z waszej strony, by się tu zjawić – stwierdzam.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś docenić odrobinę śmiałości. – Madok spogląda na Vivi i Taryn, a potem znów na mnie. – Pograżyłem się w żałobie. Naprawdę myślałem, że umarłaś.

– Dziwię się, że nie unurzałeś swojego kaptura w mojej posoce – odpowiadam.

Stojąca obok mnie Grima Mog unosi brwi.

– Nie mogę mieć ci za złe twojego gniewu – mówi Madok. – Jednak gniewaliśmy się na siebie zbyt długo, Jude. Popełniłem błąd, nie doceniając cię i wiedząc, że nie chcę cię skrzywdzić. Jesteś Najwyższą Królową elfów. Nie wiem, jak tego dokonałaś, lecz mogę temu tylko przyklasnąć.

Może i nie chce mnie skrzywdzić, ale to jeszcze nie znaczy, że nie skrzywdzi.

– Ona jest prawdziwą królową – odzywa się Taryn. – Nie umarła, tam w śniegu, bo uleczyła ją sama ziemia.

Pomruk przechodzi przez szeregi zbrojnych elfów zgromadzonych wokół nas. Pani Nore patrzy na mnie z nieskrywanym wstrętem. Zauważyłam, że ani ona, ani jej małżonek nie pokłonili się, nie wypowiedzieli na głos mojego tytułu. Jak ona musi dławić się na samą myśl, że zasiadam na tronie, choćby takim improwizowanym. I jak do szau musi ją doprowadzać to, że mam wszelkie prawa do rzeczywistego tronu.

– Leży w naturze rzeczy, by dzieci osiągały to, o czym ich rodzice mogą tylko marzyć – powiada Madok. Patrzy na Orianę, mrużąc powieki. – Przypomnijmy sobie jednak, że nasze rodzinne niesnaski zaczęły się od tego, że zamierzałem osadzić na tronie Dęba. Zawsze gotów byłem zadowolić się sprawowaniem rządów za pośrednictwem moich dzieci, nie mniej niż gdybym sam przywdział koronę.

Czuję ukłucie złości, nagłe i palące.

– I biada twoim dzieciom, jeśli by nie pozwoliły sobą rządzić.

Czyni gest, jakby nie chciał powracać do tej bolesnej kwestii.

– Przemysłmy twoje poczynania w najbliższym czasie, Najwyższa Królowo Jude. Ty i twoje wojska, z tak groźnym nowym głównodowodzącym na czele, zmierzają się z moimi. Nastąpi wielka bitwa. Może zwyciężysz, a ja wycofam się na Północ, by opracować nowy plan. Być może zaś zginę. Lecz cóż potem? Nadal pozostaje wężowy król, z którym należy się liczyć, którego łuski twardsze są od najtwardszego pancerza, którego jad zatruwa ziemię. Ty zaś nadal jesteś śmiertelną istotą. Nie ma już Korony Krwi, która wiązałaby elfowy lud z twoim panowaniem, a nawet gdyby istniała, ty nie mogłabyś jej nosić. Pani Asha już gromadzi wokół siebie krąg dworzan i rycerzy; utrzymują oni, że jako matka Cardana powinna objąć stanowisko regentki, dopóki on nie odzyska właściwej postaci. Przez całe swoje panowanie będziesz musiała się bronić przed zabójcami oraz kolejnymi samozwańczymi pretendentami do tronu.

Zerkam na Bombę, która nie wymieniła pani Ashy, gdy mówiła, o czym powinnam wiedzieć. Bomba odpowiada nieznacznym skinieniem głowy. Niewesoła to perspektywa, zwłaszcza, że każde słowo Madoka musi być prawdziwe.

– To może Jude zrezygnuje – odzywa się Vivi. Siedzi na poduszkach prosto i godnie, dokonuje tego samą siłą woli. – No, abdykuje, czy jak to tam się nazywa.

– Nie robi tego – odpowiada Madok. – Zaledwie w części pojmujesz, do czego zmierza Jude. Może dlatego, że gdybyś zrozumiała, nie mogłabyś się już zachowywać tak, jakby istniały proste rozwiązania wszystkich problemów. Jude uczyniła z siebie cel, żeby celem nie stał się jej brat.

– Przestań mnie pouczać – odpala Vivi. – To wszystko twoja wina. Jeżeli coś grozi Dębowi, to przez ciebie. Przez ciebie na Cardana spadła klątwa, a Jude omal nie umarła.

– Jestem tu – oznajmia Madok – żeby to wszystko naprawić.

Obserwuję uważnie jego twarz. Pamiętam, jak powiedział osobie, którą brał za Taryn, że jeśli ciąży jej to, że zamordowała męża, może zwalić swoje brzemię na jego barki. Być może i teraz myśli podobnie, ja jednak nie mogę na coś podobnego przystać.

Pan Jarel postępuje krok naprzód.

– To dziecię u twoich stóp jest prawowitym następcą rodu Kolcowojów, czyż nie?

– Owszem – odpowiadam. – Dąb pewnego dnia zostanie Najwyższym Królem.

Szczęśliwie tym razem braciszek się ze mną nie spiera.

Pani Nore kiwa głową.

– Jesteś istotą śmiertelną. Wkrótce cię nie będzie.

Nie zamierzam na to odpowiadać. Tutaj, w Elysium, śmiertelnicy pozostają młodzi, ale ciężar minionych lat przywala ich, gdy tylko postawią stopę na ludzkiej ziemi. Nawet

gdybym zdołała uniknąć tego losu, Madok przytoczył przekonujące argumenty. Bez Cardana niełatwo mi będzie zasiadać na tronie.

– Na tym właśnie polega bycie śmiertelną istotą – odpowiadam z westchnieniem, którego nie muszę udawać. – Umieramy. Jesteśmy niczym spadające gwiazdy, lśnimy jasno, lecz krótko.

– Ileż w tym poezji – głos Nore ocieka sarkazmem. – I fatalizmu. Doskonale. Zdaje się, że nie jesteś głucha na głos rozsądku. Madok pragnie, byśmy uczynili ci propozycję, albowiem w naszym posiadaniu jest coś, co pozwoli ci sprawować kontrolę nad twoim węzowym małżonkiem.

Czuję gwałtowny przypływ krwi do głowy.

– Kontrolę?

– Jak nad każdą bestią. – Uśmiech pana Jarela jest niczym pogroźka. – Naszą własnością jest magiczna uździenica. Stworzył ją Grimsen, by móc okiełznać każde stworzenie. Uździenica sama się dopasuje do kształtu kielzanego stworzenia. Teraz, skoro Grimsena zabrakło, przedmiot taki jest jeszcze cenniejszym skarbem niż kiedykolwiek.

Mimo woli zerkam na Suren i jej bliźny. Chodzi o uzdę, którą nosiła? Zdjęli te rzemienie z niej, żeby mi je wręczyć?

Pani Nore wchodzi w słowo małżonkowi, wyjaśnia:

– Rzemienie uździenicy zapadną w jego skórę i Cardan na zawsze pozostanie w twojej władzy.

Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem, co ma na myśli.

– W mojej władzy? Przecież ciąży nad nim klątwa.

– I jeśli wierzyć słowom Grimsena, ciążyć nie przestanie. Jednak gdyby nawet jakoś powrócił do swojego dawnego stanu, wciąż pozostanie na zawsze w twojej mocy. Czyż to nie wyborne?

Przygryzam język, żeby nie odpowiedzieć zbyt pochopnie.

– To niezwykła oferta – mówię, zwracając się znowu do Madoka. – Mówiąc to, mam na myśli, że wygląda na podstęp.

– Tak, rozumiem cię, Jude. Zwróć jednak uwagę, że wszyscy dostaną to, czego pragną. Ty, Jude, będziesz Najwyższą Królową przez tak długi czas, jak tylko zechcesz. Gdy wąż zostanie okiełznany, nikt nie sprzeciwi się twoim rządóm. Ty, Taryn, będziesz siostrą królowej, powrócisz do łask na Dworze. Nikt ci nie odmówi prawa do włości po Lokim. Może siostra nawet zechce cię obdarzyć jakimś zaszczytnym tytułem.

– Kto wie – wtrącam, jakbym niebezpiecznie ulegała tej kuszącej wizji idealnej przeszłości.

– Vivienne, ty będziesz mogła wrócić do ludzkiego świata i bawić się tam w najlepsze, nikt z rodziny nie będzie się wtrącał w twoje życie. Dąb będzie mógł wrócić do swojej

matki. – Madok wpatruje się we mnie tak intensywnie, jakbyśmy się już spotykali na polu bitwy. – Obejdziemy się bez Wiecznej Rady, ja zajmę jej miejsce. Służyć ci będę za przewodnika, Jude.

Patrzę na władców Zębatego Dworu.

– A oni? Co dostaną?

Pan Jarel uśmiecha się błogo.

– Madok zgodził się, żeby twój brat, Dąb, pojął za żonę naszą małą królową, kiedy więc zasiądzie na tronie, jego małżonka zasiądzie obok niego.

– Jude...? – słyszę wystraszony głos Dęba. Oriana bierze go za rączkę, ścisła mocno.

– To chyba żarty – oburza się Vivi. – Dąb nie będzie miał nic wspólnego z takimi jak oni ani z ich pomyloną córeczką!

Pan Jarel rzuca jej spojrzenie wściekłe i wzgardliwe.

– A ty, choć jesteś jedynym prawdziwym dzieckiem Madoka, liczysz się tu najmniej ze wszystkich.

Vivi przewraca oczami.

Spoglądam na małą królową, obserwuję jej bladą twarzyczkę i dziwnie pozbawione wyrazu oczy. Choć omawiamy jej los, nie wygląda na zainteresowaną. Nie sprawia też wrażenia, by dobrze ją traktowano. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mój braciszek miał się z nią związać.

– Na razie odłożmy kwestię ślubu Dęba na bok – proponuje Madok. – Czy chcesz tę uzdę, Jude?

Myśl, żeby przywiązać do siebie Cardana więzami wiecznego posłuszeństwa, jest czymś potwornym. Nie tego chcę, tylko żeby wrócił, stanął przy mnie, żebyśmy się razem ze wszystkiego śmiali. Przystałabym nawet na Cardana w najgorszym wydaniu, na płóczego okrutnika, jakim był kiedyś – byle tylko powrócił.

Powtarzam sobie w myślach słowa Cardana wypowiedziane w sali tronowej, zanim strzaskał koronę: *Ani lojalność, ani miłość poddanych nie powinna być wymuszona.*

Miał rację. Oczywiście, że miał rację. A jednak chcę dostać tę uzdę. Bardzo chcę. Oczami wyobraźni widzę siebie na odbudowanym tronie z węzem u boku, symbolem mojej potęgi i wspomnieniem miłości. Miłości nigdy tak całkiem nieutraconej.

Potworna wizja, ale też potwornie kusząca.

Przynajmniej byłaby jakaś nadzieja. Jaki mam inny wybór? Stoczyć bitwę, dopuścić do rozlewu krwi mojego ludu? Urządzić łowy na węża i zaprzepaścić szansę na odzyskanie Cardana? W imię czego? Jestem już znużona ciągłą walką.

Niech Madok rządzi za moim pośrednictwem. Niech choć spróbuje.

– Przysięgnijcie, że uździenica nie ma jeszcze jakiegoś innego działania – żądam.

– Nie ma – zapewnia pani Nore. – Pozwala tylko sprawować władzę nad istotą, której się ją założy. Trzeba znać sposób, a poznasz go, jeśli zgodzisz się na nasze warunki.

Pan Jarel kiwa na sługę, który wyjmując uzdę ze skrzynki, po czym rzuca ją pod moje nogi. Uździenica lśni, kunsztownie złożone rzemienie splatają się w wizję przyszłości, w której nie tracę wszystkiego.

– Zastanawiam się... – mówię i rzeczywiście się nad tym zastanawiam – dlaczego mając w swoim posiadaniu przedmiot o takiej mocy, sami go nie użyliście.

Przez chwilę Jarel nie odpowiada, o ułamek chwili zbyt długo.

– Aha – odzywam się, mając w pamięci świeże rysy na łuskach węża. Gdybym dobrze się przyjrzała tej uździe, zapewne wypatrzyłabym na niej ślady nie całkiem jeszcze zaschniętej krwi rycerzy Zębatego Dworu, a może też ochotników z armii Madoka. – Nie daliście rady go okiełznać, prawda? Ilu ludzi straciliście?

Pan Jarel wyraźnie jest ze mnie bardzo niezadowolony.

Madok odpowiada za niego:

– Cały zastęp, spłonęła też przy tym część Krzywolasu. Stwór nie pozwolił nam się do siebie zbliżyć. Jest szybki i śmiertelnie niebezpieczny, dysponuje też niewyczerpanym zapasem jadu.

– Wczoraj, w sali tronowej – podejmuje pani Nore – rozpoznał Grimsena jako swojego wroga, sprawcę klątwy. Uważamy, że rozpozna też ciebie. I ty właśnie możesz go okiełznać, tak jak to w zamierzonych czasach bywało z dziewicami i jednorożcami. Jeśli zaś przy tym zginiesz, Dąb wstąpi na tron w dziecięcym wieku, ze swoją królową u boku.

– Praktyczne rozwiązanie – stwierdzam.

– Wziąłabym ten układ pod uwagę – odzywa się niespodziewanie Grima Mog. Spoglądam na nią, a ona wzrusza ramionami. – Madok ma rację. W przeciwnym razie trudno ci będzie utrzymać się na tronie. Za to nie wątpię, że zdołasz okiełznać węża, a przy tym, pomyśl, zyskasz w nim broń, jakiej nie miała jeszcze żadna elfowa armia. To jest potęga, dziewczyno.

– Albo może lepiej od razu ich zamordować. Uzdę weźmiemy jako nasz łup wojenny – proponuje Bomba, odsuwając z twarzy siatkową zasłonę. – Są winni zdrady. Nie mają broni. A znając ich, z pewnością chcą cię oszukać. Chyba sama sobie z tego zdajesz sprawę, Jude.

– Liliver?

Dziwnie słyszeć, jak ktoś nazywa ją inaczej niż szpiegowskim kryptonimem, lecz Bomba była więźniem Zębatego Dworu, jeszcze zanim została szpiegiem. Znali ją pod dawnym imieniem, nic w tym dziwnego.

– Pamiętasz mnie, pani Nore – mówi Bomba. – Wiedz, że i ja ciebie pamiętam.

– Możecie nam odebrać uzdę, ale nie dowiedcie się, jak jej użyć – odzywa się pan Jarel. – Bez nas nie zdołacie okiełznać węża.

– Sądzę, że zdołałabym to od nich wydobyć – ofiarowuje się Bomba. – W każdym razie bardzo chętnie spróbuję.

– Pozwolisz, żeby tak się do nas odzywała? – pani Nore zwraca się do Madoka, tak jakby mógł cokolwiek zrobić w tej sprawie.

– Liliver wcale się do was nie odzywała – poprawiam ją słodkim głosem. – Odzywała się do mnie. Ponieważ zaś jest moją doradczynią, byłoby głupotą z mojej strony nie brać pod uwagę jej słów.

Madok wybucha tubalnym śmiechem.

– Dajże spokój, gdybyś lepiej знаła przekorny charakter pana Jarela i panią Nore, to byś wiedziała, że niczego z nich się nie da wyciągnąć i żadne wymyślone przez twojego szpiega tortury nic tu nie wskórają. A ty potrzebujesz tej uzdy, córko.

Państwo z Zębatego Dworu podchodzą za Madokiem bliżej tronu. Spodziewają się wkrótce objąć rządy na Elfhame i udzielnie nim władać za pośrednictwem Dęba. Niech tylko braciszek weźmie ślub z Suren, moje dni będą policzone. To samo zresztą dotyczy Madoka.

Tyle że będę miała węża związanego ze mną nierozzerwalną więzią.

Węża, który jest zgubą dla tej ziemi.

– Udowodnijcie, że działacie w dobrej wierze – mówię. – Cardan spełnił wasze żądania, jeśli chodzi o królową Orlagh z Toni. Uwolnijcie ją od tego, co jej zagraża, czymkolwiek jest ów złowieszczy grot. Ona i jej córka mnie nienawidzą, więc możecie się nie obawiać, nie pospieszają mi na pomoc.

– Sądziłem, że i ty ich nie cierpisz – odzywa się Madok.

– Chcę, żeby poświęcenie Cardana nie poszło na marne – odpowiadam. – I chcę wiedzieć, że nie wykręcicie się z każdego układu, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Kiwa głową.

– Doskonale. Już załatwione.

Biorę głęboki wdech.

– Nie zamierzam decydować za Dęba, ale jeśli chcecie powstrzymać wybuch wojny, zdradźcie mi sekret uźdżienicy i zacznijmy działać na rzecz pokoju.

Pan Jarel wchodzi na podwyższenie, gwardziści odgradzają mnie od niego, ostrza wyciągają się w jego stronę.

– Wolisz, żebym powiedział to na głos, wobec wszystkich? – pyta, rozdrażniony.

Odprawiam strażę ruchem dłoni. Jarel pochyła się, szepcze mi do ucha odpowiedź.

– Weź trzy włosy ze swojej głowy i zawiąż je na uźdżienicy. Na zawsze będziecie związani. – Cofa się i głośno pyta: – Czy teraz zgadzasz się na naszą propozycję?

Patrzę na nich troje.

– Kiedy Najwyższy Król zostanie okiełznany i opanowany, wtedy dam wam wszystko, czego żądaliście; wszystko, co dać wam będzie w mojej mocy. Niczego jednak przedtem nie dostaniecie.

– W takim razie oto, co musisz zrobić, Jude – powiadamia mnie Madok. – Jutro wydasz ucztę dla niższych dworów i nas na nią zaprosisz. Wyjaśnisz, że wobec większego zagrożenia na bok odłożyliśmy nasze niesnaski i że dostałaś od nas sposób na pojmanie węzowego króla. Nasze armie staną na skałach Insweal, lecz nie po to, by walczyć. Wezmiesz uzdę i przywabisz do siebie węża. Gdy mu ją nałożysz, wydasz pierwszy rozkaz. On cię posłucha, wszyscy zaś wzniosą okrzyk na twoją cześć. To ugruntuje twoją władzę i da ci możliwość, by nas wynagrodzić. Co też niechybnie uczynisz.

Już próbuje rządzić za moim pośrednictwem i mną samą.

– Miło mieć królową, która będzie mogła skłamać, skoro ty nie możesz tego zrobić. Prawda? – pytam.

W uśmiechu Madoka nie dostrzegam przewrotności.

– Dobrze będzie, gdy znowu staniemy się rodziną.

Nic w tym wszystkim się nie zgadza, może oprócz dotyku gładkiej skóry uździenicy, którą trzymam w rękach.



Wracam do pałacu, mijam salę tronową, ale kiedy otwieram wierzeje i zaglądam do środka, węża tam nie ma, zostawił po sobie tylko przypominającą papier pofałdowaną, podartą skórę.

Pośród mroku idę na brzeg morza. Klękam na kamieniu i rzucam falom poskładaną kartkę:

Jeśli kiedykolwiek go kochałaś, pomóż mi.



Leżę na dywanie przy kominku w moich dawnych komnatach. Obok mnie siedzi Taryn, zajada się pieczonym kurczakiem, którego kazała sobie przynieść z pałacowych kuchni. Na podłodze stoi cała taca pełna jedzenia – są tam sery i chleb, porzeczki i agrest, granaty i śliwki damascenki, do tego dzban gęstej śmietany. Vivi i Heather leżą po drugiej stronie, ze splecionymi nogami, trzymają się za ręce. Dąb układa jagody, potem je rozrzuca, turlając w ich stronę śliwki. Kiedyś bym mu na to nie pozwoliła, ale teraz nie zamierzam.

– Zawsze to lepsze od wojny, nie? – odzywa się Taryn. Bierze do ręki stojący na podgrzewaczu czajnik, nalewa z niego wody do garnuszka. Dorzuca liście, w powietrzu rozchodzi się aromat mięty i dzikiego bzu. – A więc rozejm. Kto by się spodziewał.

Żadne z nas nie odpowiada, a ja zastanawiam się nad tym, co powiedziała. Nie obiecałam Madokowi niczego konkretnego, nie mam jednak wątpliwości, że podczas bankietu tego wieczoru zamierza poczynić pierwsze kroki, aby przejąć władzę. To będzie taki strumyczek, który wkrótce stanie się rzeką, a potem będę już tylko figurantką pozbawioną jakichkolwiek realnych wpływów. Owszem, będę sobie wmawiać, że to czy tamto było nieuniknione, że zawsze jeszcze mogę odrobić poniesione straty, że następnym razem go przechytrzę.

– O co chodzi z tą dziewczyną? – chce wiedzieć Dąb. – No, z tą królową Suren.

– Władcy Zębatego Dworu nie są szczególnie mili – odpowiadam, podnoszę się do pozycji siedzącej, żeby wziąć kubek od Taryn. Nie śpię od bardzo dawna, ale nie jestem zmęczona. Nie jestem też głodna, ale zmusiłam się, żeby coś zjeść. Nie wiem, jaka jestem.

Vivi obrusza się.

– Jasne, można tak powiedzieć. Można też powiedzieć, że wulkan jest ciepłutki.

Dąb marszczy czoło.

– Czy ją uratujemy?

– Jeśli zdecydujesz się wziąć ją za żonę, wtedy moglibyśmy zażądać, żeby zamieszkała u nas w pałacu do czasu, kiedy będziesz trochę starszy – mówię. – Wtedy moglibyśmy zapewnić jej odpowiednie traktowanie. Pewnie tak byłoby dla niej lepiej. Jednak nadal uważam, że nie powinieneś tego robić.

– Pewnie, nie chcę się z nią żenić i z nikim innym też – odpowiada Dąb. – I nie chcę być królem. Nie możemy jej po prostu uratować?

Napar jest zbyt gorący. Pierwszy łyk parzy w język.

– Nielatwo jest dopomóc królowej – zauważa Taryn. – Przyjmuje się, że królowe nie potrzebują pomocy.

Zapada milczenie.

– To jak, przejmiesz włości Lokiego? – pyta Vivi moją siostrę bliźniaczkę. – Jak nie chcesz, to przecież nie musisz. Tak samo, jak nie musisz urodzić jego dziecka.

Taryn bierze do ręki owoc agrestu, obraca jasnozieloną kulkę w palcach.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiem, że wśród elfów dzieci są wielkim skarbem i tak dalej, ale w świecie ludzi jest coś takiego jak skrobanki – wyjaśnia Vivi. – Zresztą nawet tutaj zdarzają się podmieńcy.

– I oprócz aborcji jest też adopcja – dodaje Heather. – Decyzja należy do ciebie. Nikt nie będzie cię osądzał.

– A jakby ktoś próbował, to mogę kazać mu uciąć ręce – proponuję.

– Chcę tego dziecka – mówi Taryn. – Pewnie, że się boję, ale też strasznie mnie to kręci. Dąb już nie będzie najmłodszy w rodzinie.

– I dobrze – mówi Dąb, turla śliwkę w stronę dzbanka ze śmietaną.

Vivi porywa ją i nadgryza.

– Hej! – zgłasza pretensje Dąb, a ona tylko chichocze złośliwie.

– Znalazłaś coś w bibliotece? – pytam Heather, starając się udawać, że głos wcale mi nie zadrzał. Wiem, że niczego tam nie znalazła. W przeciwnym razie natychmiast by mi o tym powiedziała. A jednak ją o to pytam.

Heather ziewa.

– Nie bardzo. Znalazłam trochę zwariowanych historii, ale raczej na nic się nie przydadzą. Jedna była o królu węży, który rządził wszystkimi węzami na całym świecie. Druga o wężu, który rzuca klątwę na dwie elfowe księżniczki, tak że one też się stają węzami, ale tylko raz na jakiś czas. I jest jeszcze baśń o tym, jak żona pewnego ogrodnika chciała mieć dziecko –

Heather zerka w stronę Taryn. – Nie mogła zająć w ciążę, ale pewnego dnia w ogrodzie zobaczyła ślicznego zielonego węża, więc zaczęła skarżyć się na swój los, że nawet węże mają małe, a ona nic. Wąż ją usłyszał i mówi, że może być jej synem.

Unoszę brwi. Dąb śmieje się.

– Ale nie, okazuje się, że jest całkiem fajnym synem – opowiada dalej Heather. – Robią dla niego norkę w kącie domu i on tam sobie mieszka. Karmią go tym, co sami jedzą. Generalnie wszystko jest spoko, dopóki on nie dorasta, bo wtedy postanawia ożenić się z księżniczką. I nie jakąś księżniczką żmiją czy anakondą, nic z tych rzeczy. Wąż chce ożenić się z prawdziwą księżniczką, córką tamtejszego króla.

– Jak zamierza to załatwić? – pyta Taryn.

Heather śmieje się.

– Tatuś idzie do króla i oświadcza się w imieniu swojej wężowej latorośli. Król zachwycony nie jest, ale jak to bywa w bajkach, zamiast po prostu kolesia spławić, domaga się, żeby wąż dokonał trzech niemożliwych rzeczy. Po pierwsze, wszystkie owoce w sadzie mają się zmienić w klejnoty. Potem ma zmienić wszystkie podłogi pałacu w srebro, no i na koniec wszystkie ściany w złoto. Za każdym razem ojciec wraca, opowiada wężowi, czego sobie życzy król, a wąż mówi mu, jak to załatwić. Najpierw trzeba zasadzić pestki, z których w jedną noc wyrastają drzewa rodzące szlachetne jaspisy i jadeity. Potem trzeba potrzebować pałacowe podłogi skórą zrzucaną przez węża i zaraz zamieniają się w srebro. Na koniec tatuś musi posmarować ściany pałacu jego jadem i od tego robią się złote.

– Czyli w zasadzie wszystko załatwia tatuś – komentuję. Przy ogniu jest tak ciepło...

– No raczej. Taki tatuś helikopter – głos Heather napływa jakby z bardzo daleka. – Wreszcie król musi odpuścić i przyznaje córeczce, że w zasadzie sprzedał ją wężowi i teraz laska musi za niego wyjść. Biorą ślub, ale kiedy zostają sami, wąż zrzuca skórę i okazuje się, że to superciacho. Księżniczka zachwycona, ale wtedy do sypialni wparowuje król i pali tę jego skórę, bo sobie myśli, że w ten sposób załatwi sprawę. Wężowy koleś podnosi jednak straszny krzyk i przemienia się w gołębia, po czym odlatuje. Księżniczka świruje, leje łzy, a potem wyrusza, by go odnaleźć. Wiadomo, że to bajka, więc po drodze spotyka wyjątkowo gadatliwego lisa, który zdradza się, że słyszał, jak ptaki plotkują o księciu, na którego rzucono klątwę i żeby ją zdjąć, potrzebna jest krew kilku ptaków i akurat lisa. Można łatwo zgadnąć, co było dalej. Biedny lis, no nie?

– Ale świństwo – komentuje Vivi. – Suka nieźle mu się odwdzięczyła.

Potem już nie słyszę; usypiam ukołysana odgłosami przyjaznych głosów.



Kiedy się budzę, ogień już przygasa. Ktoś przykrył mnie kocem.

Magia snu podziałała, ustąpiła groza minionych dwóch dni, teraz mój mózg pracuje nieco sprawniej.

Dostrzegam Taryn śpiącą na kanapie, owiniętą kocem. Idę cicho przez pokoje, widzę w moim łóżku Heather i Vivi. Dęba nie ma, pewnie jest u Oriany.

U wejścia pełni straż jeden z rycerzy. Rozpoznaję go, to jeden z członków królewskiej gwardii Cardana.

– Wasza Wysokość – wita mnie, przykładając dłoń do piersi. – Fand odpoczywa. Kazała mi pełnić straż przy tobie, dopóki nie wróci.

Mam poczucie winy, bo ani przez chwilę się nie zastanowiłam, czy Fand nie czuwa nade mną zbyt długo i czy nie pracuje zbyt ciężko. To oczywiste, potrzeba mi więcej niż jednego rycerza.

– Jak się zwiesz?

– Artegowl, Najjaśniejsza Pani.

– Gdzie reszta królewskich strażników? – pytam.

Artegowl wzdycha.

– Grima Mog powierzyła nam zadanie polegające na tropieniu poruszeń węża.

Cóż za dziwna i złowieszcza odmiana wobec dotychczasowego charakteru ich służby, ale przecież nadal strzegą tego samego Cardana. Nie wiem zresztą, czy Artegowl podziela tę opinię ani czy wypada mi wdawać się z nim w takie rozważania. Zostawiam go przed drzwiami prowadzącymi do królewskich komnat.

Ku swojemu zaskoczeniu w środku widzę Bombę. Siedzi na sofie, obraca w dłoniach śnieżną kulę. Wewnątrz kuli jest plastikowy kotek i słowa GRATULUJĘ AWANSU – prezent z ludzkiego świata od Vivi, dostała go z okazji koronacji. Nawet nie wiedziałam, że go zachowała. Patrzę na białe płatki wirujące wewnątrz szklanej sfery i przypomina mi się doniesienie o śniegu padającym wewnątrz sali tronowej.

Bomba spogląda na mnie, jest przygarbiona co najmniej tak samo jak ja.

– Pewnie nie powinnam tu przychodzić – mówi, co jest zupełnie nie w jej stylu.

– Co się stało? – pytam, wchodzę i zamykam za sobą drzwi.

– Słyszałam, co Taryn powiedziała o tobie podczas rozmów z Madokiem.

Czeka, aż zrozumiem, ale ja nie rozumiem.

Potrząsam więc głową.

– Że uzdrowiła cię ziemia. – Patrzy na mnie, jakby się na poły spodziewała, że zaprzeczę. Jednak to ona sama w tej właśnie komnacie zdejmowała mi szwy. I rzeczywiście, jakimś cudem przeżyłam także upadek z belkowania wielkiej sali tronowej. – Pomyślałam... że może mogłabyś użyć tej mocy i obudzić Karakana.

Gdy przystąpiłam do Dworu Cieni, nie wiedziałam nic o szpiegowskim rzemiośle. Bomba była świadkiem moich licznych niepowodzeń. Jednak do tego trudno mi się przyznać.

– Próbowałam przełamać klątwę ciężącą nad Cardanem, ale nie potrafiłam. Jakoś udało mi się przeżyć, ale nie wiem, jak to zrobiłam i nie wiem, czy potrafię to powtórzyć.

– Kiedy znów zobaczyłam Nore i Jarela, z tym większą mocą powróciło wspomnienie, jak wiele zawdzięczam Karakanowi. Gdyby nie on, nie wyszłabym stamtąd żywa. Nawet gdybym go tak bardzo nie kochała, mam wobec niego dług, muszę coś zrobić, żeby mu się poprawiło. Jeżeli ty jesteś w stanie chociaż spróbować...

Pamiętam kwiatki rozkwitające w śniegu. W tamtej chwili miałam dostęp do jakiejś magii.

Jest w końcu coś takiego jak nadzieja.

– Pewnie, że spróbuję – mówię, przerywając jej. – Oczywiście, że jeśli jestem w stanie pomóc Karakanowi, to na pewno chcę to zrobić. Jasne, nie ma na co czekać. Chodźmy, chodźmy teraz.

– Teraz? – mówi Bomba, wstaje. – Nie, przecież wróciłaś do swoich komnat, żeby się przespać.

– Nawet jeśli rozejm z Madokiem i Zębatym Dworem skończy się o wiele lepiej, niż się obawiam, być może wąż nie pozwoli się okiełznać – odpowiadam. – Mogę nie pożyc już długo. Lepiej tego nie odwlekać.

Bomba delikatnie dotyka mojego ramienia.

– Dziękuję ci – mówi, te ludzkie słowa dziwnie wybrzmiewają w jej ustach.

– Jeszcze nie dziękuj.

– A więc może zamiast tego podarek?

Z kieszeni wyciąga maseczkę z czarnej siatki, podobną do swojej.

Przebieram się w czarne szaty, zarzucam na ramiona ciężki płaszcz. Potem nakładam maskę i razem wychodzimy tajnym przejściem. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że zostało przebudowane; odkąd szłam nim ostatnio, połączono je z siecią tajnych korytarzy obejmującą cały pałac. Przechodzimy przez piwnice z winem, aż do nowego Dworu Cieni. Komnaty są o wiele większe niż w tym dawnym Dworze, lepiej wyposażone. Nie ma wątpliwości, że budowę sfinansował Cardan, chyba że oszczędzili mu zachodu i sami obrabowali królewski skarbiec. Jest tam osobna kuchnia, a w niej całe mnóstwo naczyń i palenisko tak wielkie, że można by na nim upiec średnich rozmiarów kucyka. Mijamy sale treningowe i sale kostiumowe, także pokój strategiczny nie gorszy od tego, jaki ma głównodowodzący. Kręci się tam kilkoro szpiegów, niektórych znam, innych nie.

Duch podnosi wzrok znad stołu, przy którym siedzi. Rozkłada karty, piaskowe włosy opadają mu na oczy. Spogląda na mnie podejrzliwie.

Zdejmuję maseczkę.

– Jude – w jego głosie słyszę ulgę. – Przyszłaś.

Nie chcę dawać im złudnej nadziei.

– Nie wiem, czy zdołam cokolwiek zrobić, ale chcę go zobaczyć.

– Tędy – mówi Duch. Wstaje, prowadzi mnie do pokoiku oświetlonego rozwieszonymi szklanymi kulami. Karakan leży na łóżku. Tak bardzo się zmienił! Jestem przerażona jego wyglądem.

Jego skóra przybrała popielaty odcień, nie jest już barwy zielonej jak świeże wodorosty, stała się dziwnie woskowata. Goblin porusza się przez sen, coś wykrzykuje, otwiera oczy. Są przekrwione, niewidzące.

Wstrzymuję oddech, ale w następnej chwili Karakan znów pogrąża się we śnie.

– Myślałam, że on po prostu będzie spał – mówię. Wygląda to naprawdę niepokojąco. A ja sobie wyobrażałam, że to będzie jak w baśni o królowie Śnieżce, będzie sobie leżał nietknięty w szklanej skrzyni, nic a nic się nie zmieniając.

– Pomóżcie mi znaleźć coś, żeby go przywiązać – mówi Bomba, przygniata go ciężarem swojego ciała. – Czasem trucizna powoduje takie właśnie ataki, wtedy trzeba go unieruchomić, dopóki mu nie przejdzie.

Teraz rozumiem, dlaczego po mnie przyszła; to oczywiste, że coś trzeba zrobić. Rozglądam się po pokoju. Na skrzyni leży stos poskładanych prześcieradeł. Duch bierze jedno z nich, drze na pasy.

– Nie ma na co czekać, zaczynaj – mówi do mnie.

Nie mam pojęcia, jak to zrobić, staję więc przy nogach łóżka i zamykam oczy. Wyobrażam sobie ziemię pode mną, wizualizuję jej moc przenikającą podeszwy moich stóp, wypełniającą moje ciało.

Potem nagle robi mi się głupio, przestaję.

Przecież to bez sensu. Jestem zwykłą śmiertelniczką. Z magią nie mam nic wspólnego. Nie uda mi się ocalić Cardana. Nikogo nie uzdrowię. Nic z tego nie będzie.

Otwieram oczy, kręcę głową.

Duch kładzie mi dłoń na ramieniu, stoi tak blisko jak wtedy, kiedy wtajemniczał mnie w arkana sztuki zabijania. Mówi cichym głosem:

– Jude, nie próbuj zrobić tego na siłę. Pozwól, żeby samo przyszło.

Wzdycham, znów zamykam oczy. Znów próbuję poczuć ziemię. Ziemię elfów. Przypominają mi się słowa Val Morena: *Myślisz, że nasienie, które spocznie w goblinowej ziemi, wyrośnie na taką samą roślinę, jaka powstałaby z niego w śmiertelnym świecie?* Kimkolwiek jestem, to moja ziemia. Tu wzrastałam, to moja ziemia, ja jestem z tej ziemi.

Znowu mam to dziwne odczucie jakby parzenia pokrzyw na całym ciele.

Obudź się – myślę, dotykam dłonią jego kostki. – Jestem twoją królową, rozkazuję ci wstać.

Ciałem Karakana wstrząsa spazm. Zaliczam potężne kopnięcie w żołądek, lecę na ścianę.

Osuwam się na podłogę. Ból jest wystarczająco silny, żebym sobie przypomniała niedawno otrzymaną ranę.

– Jude! – woła Bomba, rzuca się, żeby skrępować mu nogi.

Duch przyklęka obok mnie.

– Jest bardzo źle?

Pokazuję uniesiony kciuk na znak, że nic mi się nie stało, tylko na razie jeszcze nie mogę mówić.

Karakan znów wydaje okrzyk, ale tym razem przeradza się on w coś innego.

– Lil... – mówi. Jego głos jest skrzypiący i ochrypły, ale mówi.

Jest przytomny. Obudził się.

Uleczony.

Chwyta Bombę za rękę.

– Umieram – oznajmia. – Trucizna... Byłem głupcem. Niewiele czasu mi zostało.

– Nie, nie umierasz – przeczy Bomba.

– Jest coś, czego, dopóki żyłem, nie mogłem ci powiedzieć – mówi Karakan, przyciąga ją do siebie. – Kocham cię, Liliver. Kochałem cię od pierwszej chwili, gdy cię poznałem. Kochałem i rozpaczałem. Chcę, żebyś się o tym dowiedziała, zanim umrę.

Duch unosi brwi, spogląda na mnie. Szczerzę zęby. Oboje jesteśmy na podłodze, ja leżę, a Duch klęczy, więc Karakan pewnie nie ma pojęcia, że i my tu jesteśmy. A poza tym jest wpatrzony w osłupiałą twarzyczkę Bomby.

– Nigdy nie... – zaczyna, potem urywa, bo chyba bierze wyraz jej twarzy za zgrozę i przerażenie. – Nie, nie. Nie musisz nic odpowiadać. Ale zanim umrę...

– Ale ty nie umierasz – powtarza Bomba. Tym razem chyba to do niego dotarło.

– Rozumiem. – Teraz jest zawstydzony, odwraca wzrok. – Niepotrzebnie przemówiłem.

Czołgam się do kuchni, Duch za mną. Jestem w drzwiach, gdy słyszę cichy głos Bomby.

– Gdybyś tego nie powiedział – mówi – nie mogłabym odpowiedzieć, że twoje uczucia są odwzajemnione.

Razem z Duchem wychodzę na zewnątrz, patrzymy na gwiazdy. Myślę sobie, jaka mądra jest Bomba, a jaka ja głupia. Ona, gdy nadarzyła się szansa, potrafiła z niej skorzystać. Powiedziała, co czuje. A ja Cardanowi tego nie wyznałam. I teraz już nigdy nie będę mogła tego zrobić.

Skrećam ku namiotom obozowiska niższych dworów. Duch spogląda na mnie pytająco.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę zrobić, zanim pójdę spać – wyjaśniam.

Nie pyta mnie o nic, bez słowa idzie obok mnie.



Udaję się na umówione spotkanie z mateczką Szpik i Severinem, synem króla Olszyn, na którego służbie tak długo pozostawał Grimsen. Są moją ostatnią nadzieją. I choć zgodzili się ze mną spotkać w blasku gwiazd, choć słuchają uprzejmie moich słów, nie mają dla mnie odpowiedzi.

– Musi być jakiś sposób – nalegam. – Musi być coś...

– Rzecz w tym – powiada mateczka Szpik – że ty już znasz odpowiedź i wiesz, jak położyć kres działaniu klątwy. *Tylko śmierć*, tak powiedział Grimsen. Ty byś chciała innej odpowiedzi, ale magia rzadko ulega naszym zachciankom.

Duch w ponurym milczeniu stoi opodal. Jestem mu wdzięczna, że mi towarzyszy, zwłaszcza właśnie w tej chwili, bo nie jestem pewna, czy potrafiłabym znieść tę rozmowę sama.

– Grimsen, rzucając klątwę, z pewnością zadbał, by nie dało się jej złamać – powiada Severin. Zakrzywione rogi przydają mu groźnego wyglądu, lecz głos brzmi dobrotliwie.

– No, tak. – Siadam ciężko na pniu. Niewiele sobie obiecywałam po tym spotkaniu, ale teraz znów zamyka się wokół mnie ciemna chmura smutku.

Mateczka Szpik patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– To jak, użyjesz tej uździenicy od Zębatego Dworu? Chętnie bym ją sobie obejrzała. Grimsen sporządzał takie rozkoszne okropności.

– Zapraszam, kiedy tylko zechcesz – mówię. – Kazali mi zawiązać na niej swoje włosy.

– No nie, tego to nie rób. – Czarownica prycha. – Jeżeli przywiążesz włosy, będziesz tak samo związana jak wąż.

Na zawsze będziecie związani.

Ogarnia mnie wściekłość taka, że wszystko robi się białe jak po uderzeniu pioruna, gdy zaraz potem następuje huk grzmotu.

– Więc jak to powinno działać? – pytam głosem drżącym od furii.

– Jest pewno jakieś słowo, jakiś rozkaz-zaklęcie – odpowiada mateczka Szpik. Wzrusza ramionami. – Trudno powiedzieć, co to może być, a bez zaklęcia rzecz nic nie jest warta.

Severin z namysłem kiwa głową.

– Kowal pragnął, by wszyscy pamiętali tylko jedno...

– Jego imię – kończę za króla Olszyn.



Niedługo po moim powrocie do pałacu zjawia się Strzępka, przynosi suknię, którą Taryn wynalazła dla mnie na bankiet. Służba wnosi jadło, przygotowuje dla mnie kąpiel. Gdy z niej wychodzę, perfumują mnie i układają włosy, jakbym była lalką.

Suknia jest srebrna, obszyta listkami ze sztywnego jedwabiu. Do nogi mocuję pasami trzy noże i jeszcze jeden chowam między piersiami. Strzępka spogląda pytająco na świeże siniaki; to ślad kopnięcia, ale ja nie zamierzam jej opowiadać o moich niefortunnych przygodach, ona zaś mnie nie wypytuje.

Dorastając w zamku Madoka, przywykłam do obecności służących. W kuchni pracowali kucharze, stajenni dbali o wierzchowce, było też nieco służby domowej, do której należało ślanie łóżek oraz utrzymanie znośnej czystości. Przychodziłam jednak i odchodziłam, kiedy mi się podobało, najczęściej pozostawiano mi całkowitą swobodę.

Teraz nad każdym moim ruchem czuwa królewska straż, Strzępka i reszta pałacowej służby. Sama zostaję rzadko i nie na długo. Tyle razy przypatrywałam się Eldredowi majestatycznie zasiadającemu na tronie czy Cardanowi wychylającemu kolejny kubek wina pośród biesiadnych uciech i ani razu nie przyszło mi do głowy, jak strasznie jest mieć taką władzę i jednocześnie być tak zupełnie bezsilnym.

– Możecie odejść – mówię, kiedy moje włosy są już zaplecione, a uszy obwieszane srebrem w kształcie grotów strzał.

Nie potrafię przechytryć kłątwy ani tym bardziej jej pokonać. Muszę tę kwestię odłożyć na bok i skupić się na tym, czego mogę dokonać: uniknąć pułapki zastawionej na mnie przez Zębaty Dwór oraz nie pozwolić Madokowi przejąć władzy nade mną. Przypuszczam, że pozostawiłby mnie na tronie jako Najwyższą Królową z wężowym Najwyższym Królem u boku. Kiedy się nad tym zastanawiam, wyobrażam sobie, jak straszne byłoby dla Cardana uwięzienie na wieki w ciele węża.

Nie wiem, czy teraz cierpi. Nie wie, jak to jest, kiedy z czyjś ciała sączy się jad zatruwający ziemię. Nie wiem, czy pozostało mu tyle świadomości, żeby poczuć upokorzenie okiełznania wobec całego dworu, który wszak kiedyś darzył go miłością. Czy wtedy w jego sercu zrodzi się ostateczna nienawiść. Do nich. Do mnie.

Może dojść do tego, że wyrosnę na coś gorszego, że stanę się Najwyższym Królem równie potwornym jak Dain. Jeśli do tego dojdzie, jeżeli tak właśnie spełnię przepowiednię, ktoś powinien mnie powstrzymać. Wierzę, że ty byś to zrobiła.

Madok, pan Jarel i pani Nore mają mi towarzyszyć podczas bankietu, na którym ogłoszę zawarty przez nas układ. Będę musiała umocnić swój autorytet i utrzymać go przez cały wieczór, co nie będzie łatwe. Władcy Zębatego Dworu są wzgardliwi i wyniośli. Jeśli pozwolę im się wywyższać, okażę słabość. Jeżeli nie pozostanę im dłużna, mogę przez swoją próżność i głupotę narazić na szwank zawarty rozejm. Jeśli chodzi o Madoka, nie wątpię, że nie będzie mi szczędził ojcowskich rad, od pierwszych chwil ustawiając w pozycji krnąbrnej córeczki, zwłaszcza gdybym zbyt głośno chciała protestować.

Tymczasem jeśli nie uda mi się ich powstrzymać, jeżeli wezmą nade mną górę, wtedy wszystko, co zrobiłam i co planowałam, obróci się wniwecz.

Mając to wszystko na uwadze, prostuję plecy i ruszam na bankiet.

Stąpając po mszystej trawie, wysoko trzymam głowę. Tren mojej sukni frunie za mną – dosłownie, bo niesie go ów paż o skrzydełkach jak ćma. Srebrne nitki wplecione w moje włosy połyskują blaskiem gwiazd. Gwardia królewska towarzyszy mi, zachowując pełny respektu dystans.

Dostrzegam pana Roibena, stoi pod jabłonią, krzywy miecz lśni u jego boku. Jego towarzyszka, Kaye, ma na sobie zieloną suknię podobnej barwy co jej skóra. Królowa Annet rozmawia z panem Severinem. Randalin wychyla jeden kielich wina za drugim. Wszyscy jakby pogodzili się z losem. Widzieli, jak rozpętała się klątwa i są tu jeszcze tylko dlatego, że zatrzymuje ich lenna przysięga. Chociaż wbrew sobie, ale muszą jutro walczyć.

Tylko jedno z nas może ich okłamywać. Cardan wypowiedział te słowa, zanim ostatni raz przemówił do władców niższych dworów.

Dziś jednak nie trzeba mi kłamstw. Choć też i niezupełnie o prawdę mi chodzi.

Zgromadzeni widzą mnie razem z Madokiem i władcami Zębatego Dworu, więc szemrają, wszystkie ich atramentowe oczy zwracają się w moją stronę. Wszystkie te wygłodniałe, przepiękne oblicza zwracają się ku mnie, jakbym była bezbronną owieczką w mateczniku lwów.

– Cardan zdruzgotał koronę, bo chciał być innym władcą i dać początek innemu królowaniu. Przynajmniej pod jednym względem jego życzenie się spełniło. Madok i królowa Suren z Zębatego Dworu złożyli broń. Spotkaliśmy się i uzgodniliśmy warunki rozejmu.

Przez tłum przechodzi niski pomruk.

Nie patrzę w bok. Madokowi z pewnością się nie podoba, że przedstawiam ten układ jako swój triumf. Pani Nore i pan Jarel z pewnością nie posiadają się z wściekłości, słysząc, jak mówię o ich córce niczym o kimś, kto w istocie włada Zębatym Dworem.

Mówię dalej.

– Zaprosiłam ich, by dziś w nocy razem z nami ucztowali, a jutro spotkamy się na polu, jednak nie aby walczyć, lecz żeby okiełznać węża i położyć kres zagrożeniu, jakie stanowi on dla Elfhame. Dokonamy tego wspólnie.

Rozlega się rozproszony, niezbyt entuzjastyczny aplauz.

Z całego serca pragnęłabym, żeby Cardan tu był. Niemal widzę, jak rozwaliliby się na fotelu, podpowiadał, co mam powiedzieć. Złościłabym się na niego, ale teraz, kiedy o tym myślę, czuję w żołądku zimny ucisk tęsknoty.

Bo tęsknię za nim i ta tęsknota jest otchłanią bólu, w którą najchętniej rzuciłabym się aż po zatrąę.

Unoszę kubek, wszędzie wokół posłusznie unoszą się kubki, szkła i rogi.

– Wypijmy za Cardana, naszego Najwyższego Króla, który poświęcił się dla swojego ludu. Za Cardana, który przełamał moc Korony Krwi. Wypijmy za sojusze niezłomne jak podwaliny wysp Elfhame. I wypijmy za obietnicę pokoju.

Gdy przechyliam kubek, piją wszyscy. Odnoszę wrażenie, że w powietrzu zaszła jakaś przemiana. Mam nadzieję, że to wystarczy.

– Piękna mowa, moja córko – chwali mnie Madok. – Nie było w niej jednak ani słowa o obiecanej mi nagrodzie.

– O tym, że masz zostać moim pierwszym doradcą? No właśnie, nie było o tym ani słowa, a ty już mnie pouczasz. – Patrzę mu prosto w oczy. – Dopóki wąż nie będzie okiełznany, nasza umowa nie jest zawarta.

Marszczy czoło. Nie zamierzam czekać, aż zacznie się ze mną spierać, tylko kieruję się do grupki Zębatego Dworu.

– Pani Nore. – Jest zdumiona, że się do niej zwracam, jakby to była z mojej strony jakaś szczególna śmiałość. – Może nie znasz jeszcze pani Ashy, matki Najwyższego Króla.

– Zapewne – przyznaje. – Chociaż...

Biorę ją za ramię i prowadzę do otoczonej dworzanami Ashy. Matka Cardana na mój widok przybiera zaniepokojony wyraz twarzy i niepokoi się jeszcze bardziej, kiedy słyszy moje słowa:

– Doszły mnie słuchy, że pragniesz dla siebie nowego stanowiska. Pomyślałam więc, że mianuję cię ambasadorką przy Zębatym Dworze, wypada więc, byś poznała panią Nore.

W tym, co mówię, nie ma absolutnie ani słowa prawdy. Chcę jednak, żeby pani Asha zrozumiała, że doskonale wiem o jej knowaniach i że jeżeli wejdzie mi w drogę, łatwo mogę się jej pozbyć, pozbawiając zarazem luksusów, które tak sobie ceni. Byłaby to zresztą kara w sam raz dla nich obu – gdyby zostały na siebie nawzajem skazane.

– Czy doprawdy chcesz mnie zesłać tak daleko od mojego syna? – pyta.

– Jeśli wolisz tu zostać i dopomóc w opiece nad wężem – odpowiadam – to wystarczy, że powiesz.

Pani Asha sprawia wrażenie, że tak naprawdę to wolałaby wbić mi coś ostrego w gardło. Pozostawiam ją w towarzystwie pani Nore.

– Miłej pogawędki.

Może istotnie miło im się będzie rozmawiać. Obie mnie nienawidzą, więc mają coś, co je łączy.

Służba wnosi niezliczone naczynia, a na nich pyszną się miękkie pędy paproci, orzechy zawinięte w płatki róż i maleńkie ptaszyny upieczone w całości z miodem, do tego podaje butelki wina i ziołowe napary. Gdy tak przyglądam się Ludkowi, mam wrażenie, jakby

ogrody Elfhame wirowały wokół mnie. Doznaję dziwnego poczucia nierealności. Rozglądam się, wypatrując którejs z moich sióstr, kogoś z Dworu Cieni albo choćby i Fand.

– Najjaśniejsza Pani – rozlega się głos. U mego boku stoi pan Roiben. Spinam się. Coś mi mówi, że w tej właśnie chwili jego akurat nie zdołam przekonać o swoim „autorytecie”.

– Cieszę się, że zostałeś, panie – odzywam się do niego. – Po tym, jak Cardan zniszczył koronę, nie byłam pewna, czy nie odejdziesz.

Przytakuje skinieniem głowy.

– Nigdy nie byłem o nim wysokiego mniemania – odpowiada, wpatrując się we mnie szarymi oczyma, bezbarwnymi jak rzeczna woda. – Nie on, a ty mnie przekonałaś, bym ślubował Koronie i to ty doprowadziłaś do nastania pokoju po tym, jak Toń pogwałciła ustalenia traktatów.

Owszem, zarzynając Balekina. Trudno by mi było o tym nie pamiętać.

– I może walczyłbym po twojej stronie choćby z takiej przyczyny, że śmiertelna królowa elfów budzi zachwyt u wielu, którzy są mi drodzy, a spędza sen z powiek licznych, których nie darzę miłością. Jednak kiedy Cardan przemówił w sali tronowej, zrozumiałem, dlaczego podjęłaś się tak szalonego przedsięwzięcia, jakim było osadzenie go na tronie. Teraz, gdy zajdzie potrzeba, będę za ciebie walczył aż do ostatniego tchu.

Nigdy nie oczekiwałabym po nim takiej przemowy. Po prostu mnie zamurowało.

Roiben dotyka bransolety, w którą wpleciono zielone nici. Nie, to nie są nici, tylko włosy.

– Skruszył Koronę Krwi i zawierzył swoim poddanym, by poszli za nim z własnej woli, bez przymusu. Jest prawdziwym królem tej krainy.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, kiedy nagle widzę w oddali Nicassię w lśniącej sukni ze srebrnych rybich łusek przeciskającą się przez cizbę dworzan i władców.

Spostrzegam też Kaye, która zmierza prosto w jej stronę.

– Hm – mówię pospiesznie. – Panie, twoja towarzyszka chyba zamierza...

Odwraca się w samą porę, więc teraz oboje widzimy, jak Kaye wali Nicassię pięścią w twarz. Podmorska księżniczka zatacza się na kogoś z dworzan, potem pada na ziemię. Pixi potrząsa dłonią, jakby bolały ją knykcie.

Eskorta selkie, przybyła z Nicassią, biegnie w jej stronę. Roiben natychmiast zaczyna przeciskać się przez tłum, by stanąć w obronie Kaye. Chcę pójść za nim, ale drogę zastępuje mi Madok.

– Królowej nie wypada rwać się do bitki jak jakiejś dzierlatce – oznajmia, chwyta mnie za ramię. Moje myśli zaprzątnięte są czym innym, lecz nie do tego stopnia, by nie wykorzystać natrafiającej się okazji. Wyszarpuję mu się, a przy tym wyrywam mu kilka włosów.

Jakaś rudowłosa wojowniczką rozdziela Kaye i strażników Nicassi. Nie znam jej, w każdym razie gdy dociera tam też i Roiben, najwyraźniej wszyscy wyzywają wszystkich na pojedynki.

– Zejdźże mi z drogi – warczę na Madoka, ruszam biegiem. Ignoruję wszystkich innych, którzy próbują się do mnie odezwać. Może i śmiesznie wyglądam, kiedy biegnę z zadartą kiecą, ale co mnie to może obchodzić? Na pewno to jeszcze śmieszniejsze, że coś sobie wsuwam za dekolt.

Na szczęście Nicassi widnieje czerwony ślad, ma też zaczerwienioną szyję. Muszę stłumić śmiech, który byłby zupełnie nie na miejscu.

– Tylko nie broń tej pixie! – mówi do mnie Nicassia wyniosłym tonem.

Rudowłosa wojowniczką jest śmiertelną kobietą, ma na sobie barwy króla Olszyn. Z jej nosa cieknie strużka krwi, z czego wnioskuję, że doszło już do wymiany ciosów z selkie. Pan Roiben gotów jest dobyć miecza. Ponieważ zaś dopiero co wspomniał o walce do ostatniego tchu, wolałabym go przed tym powstrzymać.

Kaye ma na sobie śmielszą suknię niż ostatnio. Dekolt ukazuje bliznę zaczynającą się na szyi i biegnącą niżej, aż na klatkę piersiową. Wygląda trochę jak cięcie, trochę jak oparzenie, na pewno zaś jak coś, o co można słusznie się gniewać.

– Nie trzeba mi żadnej obrony – mówi. – Sama sobie poradzę.

– Masz szczęście, że tylko cię uderzyła. – Patrzę na Nicassię. Jej obecność sprawia, że mój puls przyspiesza ze zdenerwowania. Doskonale pamiętam, jak byłam jej więźniem w głębinach. Potem zwracam się do Kaye: – Ale na tym koniec. Zrozumiano?

Roiben kładzie dłoń na jej ramieniu.

– No, może i tak – odpowiada Kaye, oddala się, głośno tupiąc ciężkimi buciorami. Roiben odczeka chwilę, potrząsam głową. Idzie więc za swoją towarzyszką.

Nicassia ostrożnie dotyka palcami szczęki, patrzy na mnie uważnie.

– Widzę, że dostałaś moją wiadomość.

– A ja widzę, że zadajesz się z wrogiem – odpala Nicassia, zerkając w stronę Madoka. – Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Wszystko jedno. Chodź gdzieś, gdzie nikt nas nie podsłucha.

Idziemy razem przez ogród, zostawiając w tyle nasze straże. Nicassia chwyta mnie za rękę.

– Czy to prawda? Że klątwa padła na Cardana? Słyszałam, że przemienił się w potwora, na którego łuskach kruszą się włócznie twoich elfów.

Przytakuję ruchem głowy.

Ku mojemu zdumieniu Nicassia pada na kolana.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, osłupiała.

– Błagam – mówi z pochyloną głową. – Błagam cię. Musisz spróbować przełamać tę klątwę. Wiem, że ty jesteś prawowitą królową i możesz nie chcieć, żeby wrócił, ale...

Jeżeli coś mogłoby jeszcze bardziej mnie zdziwić, to właśnie te słowa.

– Jak to, sądzisz, że mogłabym...

– Przedtem cię nie znałam – przerywa mi z wyraźną udręką w głosie. I z czymś jeszcze, co brzmi jak powstrzymywany szloch. – Wydawało mi się, że jesteś tylko zwykłą śmiertelniczką.

Na to muszę zacisnąć zęby, ale jej nie przerywam.

– Kiedy zrobił cię seneszalem, powtarzałam sobie, że jesteś mu potrzebna ze względu na swój kłamliwy język. Że nabrałaś respektu, chociaż przedtem nigdy go nie miałaś. Nie wierzyłam, gdy mu powiedziałaś, że nawet się nie domyśla, do czego jesteś zdolna. Kiedy byłaś na wygnaniu, dowiedziałam się od niego więcej. Wiem, że w to nie uwierzysz, ale ja i Cardan, zanim zostaliśmy kochankami, byliśmy przyjaciółmi, jeszcze przed Lokim. Cardan był moim pierwszym przyjacielem, kiedy przybyłam tu z Toni. I pozostaliśmy przyjaciółmi, nawet po tym wszystkim. Nie mogę znieść, że on cię kocha.

– On też to źle znosił – wtrącam ze śmiechem, który brzmi trochę bardziej kpiąco, niż zamierzałam.

Nicassia spogląda na mnie przeciągle.

– Nieprawda.

To mogę skwitować tylko milczeniem.

– On budził strach, ale wcale nie jest taki, jak myślisz. Pamiętasz tych służących u Balekina? To znaczy ludzi, którzy mu usługiwali?

W milczeniu kiwam głową. Pewnie, że pamiętam. Nigdy nie zapomnę Sophie i jej wypchanych kamieniami kieszeni.

– Od czasu do czasu któreś z nich zniknęło. Krążyły nawet pogłoski, że to Cardan ich mordował, nie była to jednak prawda. On umożliwiał im powrót do śmiertelnego świata.

Muszę przyznać, że jestem zaskoczona.

– Dlaczego?

Nicassia rozkłada ręce.

– Nie wiem! Może na złość swojemu bratu. Ale ty jesteś istotą ludzką, więc pomyślałam, że to ci się spodoba. No i przysłał ci suknię. Wiesz, na koronację.

Pamiętam tę suknię, balowy strój w barwach nocy, z zarysem linii drzew i kryształami przedstawiającymi gwiazdy. Była tysiąc razy piękniejsza od sukni, którą zamówiłam. Sądziłam, że może to dar księcia Daina, bo przecież to miała być jego koronacja i jemu przysięgałam wierność, wstępując do Dworu Cieni.

– Nie mówił ci o tym, prawda? – mówi Nicassia. – Więc widzisz, to są już dwie rzeczy, których o nim nie wiedziałaś. A ja też widziałam, jak na niego patrzysz, kiedy myślałaś, że nikt inny nie widzi.

Przygryzam wewnątrz policzka; jestem zawstydzona, chociaż przecież byliśmy kochankami i małżonkami, i chyba nie jest już dla nikogo tajemnicą, że niejedno nas łączy.

– Obiecuj mi – podejmuje Nicassia – obiecuj, że go uratujesz.

Myślę o złotej uździenicy i przyszłości zapisanej w gwiazdach.

– Ale ja nie wiem, jak przełamać tę klątwę – szepczę, a wszystkie dotąd nieprzelane łzy wzbierają pod moimi powiekami. – Myślisz, że gdybym potrafiła, to urządziłabym jakieś bzdurne przyjęcia? Powiedz mi, jakiego smoka mam uśmiercić, co muszę ukraść, jaką zagadkę rozwiązać albo którą czarownicę przechytzyć. Powiedz mi, a zrobię to, nie dbając o niebezpieczeństwo, nie oszczędzając trudu, nie zważając na cenę, jaką będę musiała zapłacić.

Mój głos się łamie.

Nicassia patrzy na mnie, już nic nie mówi. Cokolwiek bym o niej myślała, zdaję sobie sprawę, że naprawdę nie jest jej obojętny los Cardana.

A do niej, kiedy widzi łzy spływające po moich policzkach, chyba właśnie dociera, że i ja go kocham.

Tylko co mu z tego?



Po tej rozmowie wracam na przyjęcie, odnajduję wśród gości nowego króla Olszyn. Dziwi się, widząc mnie, a towarzyszy mu właśnie ta rudowłosa wojowniczką, której z nosa wciąż sączy się krew. Dziewczyna o tak samo czerwonych włosach przykłada jej opatrunek; rozpoznaję ją jako małżonkę Severina. W następnej chwili uświadamiam sobie, że wojowniczką i królową są bliźniaczkami. Nie identycznymi, jak Taryn i ja, ale jednak bliźniaczkami. No proszę. Kolejne śmiertelne bliźniaczki w krainie elfów, w dodatku żadna z nich nie sprawia wrażenia, jakby czuła się tu nieswojo.

– Potrzeba mi czegoś, co jest twoją własnością – zwracam się do Severina.

Rogaty król składa ukłon.

– Oczywiście, Najjaśniejsza Pani. Wszystko, co do mnie należy, należy do ciebie, Najjaśniejsza Pani.



Tej nocy leżę w wielkim łóżu Cardana, w jego wielkiej sypialni. Budzę się, wyciągnięta i widzę, że rozkopałam pościel.

Spoglądam na złotą uździenicę, którą położyłam na krześle, lśni w nikłym blasku lampki.

Jeśli założę ją wężowi, będzie mój na zawsze. Kiedy go okiełznam, będę mogła go tutaj sprowadzić. Mógłby zalegać zwinięty na dywanie w tej oto komnacie i chociaż wtedy też

stałabym się potworem, przynajmniej nie byłabym sama.

Wreszcie znów usypiam.

W moich snach wąż Cardan wznosi się nade mną, jego czarne łuski lśnią.

– Kocham – mówię, a potem on mnie pożera.



Jeszcze nie wydobrzałaś – mówi do mnie Strzępka, obmacuje bliznę ostrymi palcami. Krząta się wokół mnie, odkąd tylko wstałam z łóżka, przygotowuje na spotkanie z wężem, jakby czekał mnie następny bankiet, przy czym cały czas zrędzi. – Całkiem niedawno Madok omal nie przeciął cię na pół.

– Nie przeszkadza ci, że jesteś tu ze mną, chociaż to jemu składałaś przysięgę? – pytam, gdy kończy zaplatać ciasny warkocz na czubku mojej głowy. Część włosów jest zaczesana do tyłu, reszta spięta w kok. Żadnych ozdób w uszach czy wokół szyi, oczywiście, niczego, za co można by chwycić.

– Sam mnie tu przysłał – odpowiada Strzępka. Ze stołu, na którym rozłożyła swoje narzędzia, bierze szczotkę, zanurza jej włosie w naczyniu z czarnym popiołem. – Może teraz tego żałuje. Mogłabym przecież jego besztać, nie ciebie.

Nie mogę się na to nie uśmiechnąć.

Strzępka maluje mi twarz, robi cienie na powiekach i kładzie pomadkę na usta.

Stukanie do drzwi, wchodzą Taryn i Vivi.

– Nie uwierzysz, co znalazłyśmy w skarbcu – oznajmia Vivi.

– Z tego co wiem, to w skarbcach znajdują się głównie drogie kamienie, złoto i inne takie.

Pamiętam, jak wieki temu Cardan obiecywał, że odda cały skarb Balekina moim towarzyszom z Dworu Cieni; byle tylko zdradzili mnie, a jego uwolnili. To dziwne uczucie

wspominać teraz, jakie przerażenie mnie obleciało, jaki był wtedy uroczy i jak się wściekałam na siebie samą, że tak mi się podoba.

Strzępka fuka, widząc, że do komnaty wchodzi także Karakan i wlecze za sobą jakąś skrzynię.

– Twoich sióstr nie sposób ustrzec, żeby się trzymały z dala od kłopotów.

Jego skóra przybrała już na powrót zwyczajny odcień głębokiej zieleni, jest wychudzony, ale prezentuje się całkiem niezłe. To niesamowita ulga widzieć, że tak szybko wrócił do siebie. Ciekawa jestem, jak moje siostry zdołały go zwerbować do pomocy, ale jeszcze bardziej, co powiedziała mu Bomba. Jego twarz jest inna, widać na niej nową radość, która igra w kącikach ust, gdy się uśmiecha, i która lśni w jego goblinowych oczach.

To widok cudowny i bolesny.

Taryn opowiada:

– Znalazłyśmy zbroję. Przepyszną. W sam raz dla ciebie.

– Tak, zbroję królowej – dodaje Vivi. – Jak może przypadkiem pamiętasz, królowych tu dość dawno nie było.

– Kto wie, może należała do samej Mab – mówi Taryn.

– Teraz to już naprawdę przesadzacie – odpowiadam.

Vivi schyla się, otwiera skrzynię. Wyciąga zbroję z maleńkich łusek, które przypominają maleńkie metalowe listki bluszczu. To naprawdę najpiękniejsza zbroja, jaką kiedykolwiek widziałam. Sprawia wrażenie pradawnej, stworzył ją niezwykły kunszt, lecz całkiem odmienny od sztuki Grimsena. Dobrze jest pomyśleć, że i przed nim byli wielcy kowale, zaś po nim nadejdą inni.

– Wiedziałam, że ci się spodoba – mówi zadowolona Taryn.

– A i ja mam coś, co spodoba ci się niemal tak samo – obwieszcza Karakan. Sięga do sakiewki, wyjmując z niej trzy pasma czegoś, co przypomina srebrne nitki.

Wsadzam je do kieszeni, razem z włosami, które wyrwałam z głowy Madoka.

Vivi jest zbyt zajęta wydobywaniem reszty zawartości skrzyni, żeby to zauważyć. Buty pokryte płytkami giętego metalu. Karwasze kute we wzór z kolcowoju. Naramienniki, też z listków, zaokrąglone na krawędziach. Do tego hełm, który wygląda jak korona ze złotych gałęzi, z jagodami po obu stronach.

– Aha, a więc nawet jeżeli wąż odgryzie ci głowę – stwierdza Strzępka – reszta nadal będzie ładnie wyglądać.

– I tego się trzymajmy – odpowiadam.



Wojska Elfhame gromadzą się, przygotowują do wymarszu. Siodłane są elfowe chude jak szczapy rumaki, pachnące błotem konie wodne, renifery o rozłożystych porożach oraz potężne ropuchy. Niektóre z nich pokrywa pancerz.

Łucznicy uzbrojeni w długie łuki i zatrute nasennym dekoktem strzały ustawiają się w szeregi. Rycerze przygotowują się do boju. Widzę Grimę Mog, którą otacza niewielka grupka czerwonych kapturów. Przekazują sobie kielich pełen krwi, popijają z niego i maczają w nim kaptury. W powietrzu śmigają chmary chochlików wyposażonych w zatrute dziryty.

– Będziemy przygotowani – oznajmia Grima Mog, zwracając się do mnie – na wypadek gdyby uździenica nie zadziałała tak, jak oni zapewniają. Albo gdyby nie przypadło im do gustu to, co zdarzy się potem. – Przygląda się mojej zbroi, widzi pożyczony miecz przytroczony do pleców. Szczyrzy się, zadowolona, pokazując zakrwawione zęby, a potem przykładą dłoń do piersi. – Najwyższa Królowo.

Próbuję też się do niej uśmiechnąć, ale wiem, że to bardzo wymuszony uśmiech. Lęk pożera mnie od wewnątrz.

Są przede mną dwie drogi, lecz tylko jedna prowadzi do zwycięstwa.

Byłam wychowanką Madoka i wysługiwałam się Dainowi. Nie umiem zwyciężyć inaczej niż oni. Nie jest to sposób na to, żeby zostać bohaterką, lecz to może być droga do triumfu. Umieć przebić nożem własną dłoń. Wiem, co to nienawiść w moim sercu i cudza nienawiść wobec mnie. Wiem, jak odnieść zwycięstwo, o ile tylko w imię tego zwycięstwa zgodzę się poświęcić wszystko, co we mnie dobre.

Mówiłam kiedyś, że jeśli nie mogę być lepsza od moich wrogów, to będę od nich gorsza. O wiele, o wiele gorsza.

Weź trzy włosy ze swojej głowy i zawiąż je na uździenicy. Na zawsze będziecie związani.

Pan Jarel sądził, że mnie przechytrył. Zamierzał dla siebie zachować zaklęcie i użyć go dopiero, kiedy okiełznam węża, a potem spętać nas oboje. Jestem przekonana, że Madok nie wie o tym podstępie Jarela, z czego zaś niechybnie należy wnioskować, że następnym posunięciem ma być zamordowanie Madoka.

Jest to jednak podstęp, który można odwrócić. Do złotej uździenicy przywiązałam włosy ich obu, to nie ja zostanę związana z wężem na wieki. Kiedy poskromionę gada, zyskam nieograniczoną władzę nad Madokiem i Jarelem, równie nieograniczoną, jak ongiś moja władza nad Cardanem. To równie pewne, jak fakt, że Cardan znów będzie do mnie należał, a złote rzemienie wrosną w jego żywe ciało.

Wąż będzie tuczył się w potworności i rozkładzie, ztruwał ziemię Elfhame, ja zaś stanę się potworną królową. Będę sprawować władzę nad poczerniałą krainą, podczas gdy mój odziany w krwawy kaptur ojciec stanie się moją marionetką. Będę siać przerażenie, a sama już nigdy nie odczuję strachu.

Tylko z przelanej krwi powstanie wielki władca.

Nie braknie mi wszystkiego, czego kiedykolwiek pragnęłam, o czym kiedykolwiek marzyłam, a do tego przypadnie mi jeszcze w udziale niekończąca się rozpacz. Będę żyć z odłamkiem lodu w sercu.

– Patrzyłem w gwiazdy – mówi Bafen; przez chwilę jestem jeszcze zbyt pogrążona w moich oszalałych myślach, żeby się skupić. Jego granatowa szata powiewa na popołudniowym wietrze. – Nie chcą jednak do mnie przemówić. Kiedy przyszłość jest tak przesłonięta, to znaczy, że nadchodzi wydarzenie, które na dobre lub na złe przemieni jej kształt. Nim nastąpi, niczego nie można dostrzec.

– Przynajmniej z tamtej strony żadnych nacisków – mówię pod nosem.

Z cienia wyłania się Bomba.

– Udało się wytropić węża – oznajmia. – Znajduje się w pobliżu brzegu, opodal Krzywolasu. Musimy się pospieszyć, inaczej znów nam się wymknie.

– Utrzymać szyk! – woła Grima Mog do swoich wojsk. – Nadciągamy z północy, żołnierze Madoka znajdować się będą na południu, a siły Zębatego Dworu na zachodzie. Zachować dystans. Naszym celem jest zapędzić stwora prosto w ramiona kochającej królowej.

Łuski mojej nowej zbroi pobrzękują cicho i melodyjnie. Giermkowie podsadzają mnie na rosłego czarnego rumaka. Grima Mog dosiada ogromnego opancerzonego jelenia.

– To twoja pierwsza bitwa? – pyta mnie.

Przytakuję.

– Jeśli dojdzie do walki, skup się na tym, co masz przed sobą. Walcz za siebie, niech inni sami pilnują swojej skóry.

Znów kiwam głową. Przyglądam się armii Madoka zmierzającej na swoje pozycje. Najpierw idą żołnierze, doborowi, wybrani i podstępem odebrani armii Elfhame. Potem zbrojni z tych niższych dworów, które przeszły pod jego sztandary. Do tego, rzecz jasna, zastępy Zębatego Dworu zbrojne w lodowy oręż. Wielu z nich jest pokrytych szronem, niektórzy są sini, jakby już od dawna nie żyli. Nie uśmiecha mi się myśl, że miałabym z nimi walczyć, ani tego dnia, ani żadnego innego.

Tuż za Grimą Mog podąża Dwór Termitów. Łatwo wśród zbrojnych wypatrzyć białe jak sól włosy Roibena. Siedzi na grzbiecie kelpie; chwyta moje spojrzenie i pozdrawia ruchem ręki. Dalej maszerują wojska króla Olszyn. Śmiertelna małżonka Severina tym razem mu nie towarzyszy, natomiast tuż obok króla jedzie rudowłosa wojowniczką, którą selkie towarzyszący Nicassii uderzył w nos. Ma zdumiewająco pogodny wyraz twarzy.

W pałacu zostały Vivi, Oriana, Heather i Dąb, czekają tam z częścią gwardii i większością radców, tudzież licznymi dworzanami wyższych i niższych dworów. Przyglądać się będą z daleka.

Zaciskam palce na złotej uździenicy.

– Głowa do góry – rzuca Mog, widząc moją minę. Poprawia czepek sztywny od warstw krwi. – Idziemy po chwałę.

Jedziemy przez las; przychodzi mi na myśl, że kiedy marzyłam o stanie rycerskim, jakoś tak to sobie właśnie wyobrażałam. Okryta zbroją, z mieczem u boku zmierzam na spotkanie magicznego potwora. Tylko że jak to zwykle bywa w wyobraźni, nie przewidziałam całego okropieństwa, które temu towarzyszy.

Z gęstwiny przed nami dochodzi rozdzierający, piskliwy wrzask. Grima Mog daje znak, wojska Elfhame zatrzymują się, rozchodzą na boki, tworząc okalające skrzydła. Dalej jadę już sama, okrążam kolejne martwe drzewa, jedno po drugim, aż wreszcie widzę czarne zwoje węzowego cielska, zaledwie trzydzieści stóp od miejsca, w którym się znajduję. Mój koń płoszy się, głośno rzy.

Trzymając uzdę, zeskakuję z jego grzbietu. Idę w stronę potwornej kreatury, która kiedyś była Cardanem. Urósł bardzo, teraz jest dłuższy od największego z okrętów Madoka, głowę ma tak wielką, że gdyby otworzył paszczę, ujrzałabym kły niemal tak długie jak miecz, który dźwigam na plecach.

Jest bezgranicznie przerażający.

Zmuszam się do każdego kroku, brnąc w wyschłej i poczerniałej trawie. W tyle za węzem dostrzegam powiewające na wietrze sztandary z półksiężycem Madoka.

– Cardan – wołam szeptem. Siatka złotych rzemieni łśni w moich rękach.

Wąż w odpowiedzi unosi głowę, kołysze nią, jakby rozważał, jak najlepiej uderzyć.

– To ja, Jude – mówię łamiącym się głosem. – Jude. Lubisz mnie, pamiętasz? Ufasz mi.

Wąż rusza, sunie przez trawę w moim kierunku, jest coraz bliżej. Żołnierze rozbiegają się, konie stają dęba. Ropuchy dają susa, chcą schować się w lesie, nie zważają już na swoich jeźdźców. Kelpie biegną do morza.

Podnoszę uzdę, nie mam w rękach niczego innego na swoją obronę. Przygotowuję się do jej zarzucenia. Wąż jednak zatrzymuje się zaledwie dziesięć stóp przede mną, zwija się wokół siebie.

Spogląda na mnie złotymi oczami.

Drzę na całym ciele. Moje dłonie się pocą.

Wiem, co muszę zrobić, jeśli pragnę pokonać swoich wrogów, ale już nie chcę tego uczynić. Nigdy nie chciałam.

Im bliżej jest wąż, tym trudniej myśleć mi o czymś innym niż tylko o wrastających w skórę Cardana rzemieniach, o wiecznej pułapce. Pamiętam, jak uderzyło mi do głowy poczucie władzy, kiedy zaprzysiągł mi posłuszeństwo na rok i dzień. Wtedy zdawało mi się, że cały świat do mnie należy, że jestem niepokonana.

Kolejny krok w stronę węża. A potem następny. Patrząc z tak bliska, nie mogę się nadziwić jego ogromowi. Ostrożnie wyciągam rękę i dotykam czarnych łusek. Są suche i chłodne.

W złotych oczach nie widzę odpowiedzi, ale myślę o Cardanie leżącym obok mnie na posadzce królewskiej komnaty.

Myślę o jego uśmiechu, który był niczym żywe srebro.

Myślę o cierpieniu i wiecznych kajdanach. O podłości, jaką byłoby go więzić i obłudzie, jaką byłoby nazywać to miłością.

Rzecz w tym, że ty już znasz odpowiedź i wiesz, jak położyć kres działaniu klątwy. Tylko śmierć.

– Kocham cię – mówię szeptem. – Zawsze będę cię kochać.

Przedemną dwie drogi, lecz tylko jedna prowadzi do zwycięstwa.

Nie chcę takiego zwycięstwa. Być może strach będzie mi towarzyszył do końca moich dni, zapewne władza wymknie mi się z rąk, zapewne ból po jego utracie będzie nie do zniesienia.

A przecież kocham go, więc nie mam wyboru.

Dobynam pożyczonego miecza zza pleców. To Heartsworn, którego ostrze przetnie wszystko. Zażądałam go od Severina i wzięłam ze sobą, bo choć w myślach zmagalam się z sobą samą, coś we mnie od początku wiedziało, jakiego dokonam wyboru.

Złote oczy węża nie poruszają się, za to słyszę zdumione głosy zgromadzonych elfów. W następnej chwili słyszę ryk Madoka.

– Nie tak to być miało!

Zaciskam powieki, ale to na nic się nie zda. Muszę to zrobić z otwartymi oczami. Jednym ruchem uderzam lśniącą głownią w łeb węża. Klinga opada, przebija łuski, mięso i kość. Głowa węża upada do moich stóp, złote oczy mętnieją.

Krew jest wszędzie. Przez cielsko węża przebiega straszny, skrętny spazm, potem zwoje wiotczej. Drżącymi rękami podnoszę Heartsworna; trzęsę się cała, tak bardzo, że nie mogę stać, padam więc na kolana w czarną trawę, w morze krwi.

Słyszę, że pan Jarel coś do mnie woła, ale nie rozróżniam słów.

Możliwe, że i ja krzyczę.

Elfowie biegną w moją stronę. Słyszę szczęk stali i świst strzał przesywających powietrze. Te dźwięki rozlegają się gdzieś bardzo daleko ode mnie.

Blisko zaś rozlegają się w moich uszach słowa klątwy Valeriana wypowiedziane tuż przed śmiercią. *Niech twe dłonie zawsze będą splamione krwią. Niech śmierć będzie ci jedynym towarzyszem.*

– Trzeba było brać, co ci dawano – grzmi pan Jarel, zamachuje się na mnie włócznią. – Twoje królowanie będzie bardzo krótkie, śmiertelna królowo.

W tej samej chwili drogę zagradza mu Grima Mog, z donośnym szczękiem odbija długi grot.

– Ty umrzesz długo przed nią – oznajmia. – A potem cię zjem.

Spośród drzew nadlatują dwie czarne strzały, obie grzęzną w krtani pana Jarela, który spada z konia i z hukiem wali się na ziemię. Wojownicy Zębatego Dworu wznoszą okrzyk, a ja dostrzegam pośród gałęzi błysk białych włosów Bomby.

Grima Mog odwraca się błyskawicznie, stawia czoło trzem rycerzom z Zębatego Dworu. Kiedyś zapewne ich znała, walczyli razem, ale teraz się z nimi rozprawia w mgnieniu oka.

Bitewny zgiełk wokół mnie narasta, słyszę krzyki agonii i szczęk oręża.

Od strony morza dobiega dźwięk rogu.

Zza zagrody czarnych skał wzbija się piana. Z głębin wynurzają się selkie i wodny lud, ich łuski lśnią w ostatnich promieniach słońca. Wraz z nimi ukazuje się dosiadająca rekina Nicassia.

– Toń dotrzyma sojuszu zawartego z ziemią i jej królową! – woła, jej głos niesie się ponad odgłosami rzezi. – Złóżcie broń.

W następnej chwili nieprzeliczone rzesze podmorskich żołnierzy już roją się na brzegu.

Potem zaś przede mną staje Madok. Jego policzek i pół czoła umazane są czerwienią. Na jego twarzy maluje się dzika rozkosz. Takie jest przeznaczenie czerwonych kapturów, stworzone są do bitewnego amoku, przemocy i zabójstwa. Nawet w godzinie klęski sprawia mu radość fakt, że może ze mną dzielić tę krwawą obecność.

– Wstań.

Przez większość swojego życia wykonywałam jego rozkazy. Dźwigam się na nogi, sięgam po zatkniętą za pas złotą uzdę, owiązaną wszak jego włosami, za pomocą której mogłam okiełznać go i która nadal może mi do tego celu posłużyć.

– Nie będę już z tobą walczyć – mój głos słyszę tak, jakby mówił te słowa ktoś inny. – Chociaż nie sprawi mi radości widok rzemieni wrastających w twoją skórę, żałować cię też nie będę.

– Szkoda twoich słów – odpowiada. – Już zwyciężyłaś. Spójrz.

Chwyta mnie za ramiona i odwraca, tak żebym spojrzała w stronę cielska wielkiego węża. Próbuje się wyrwać, bo ogarnia mnie zgroza i obrzydzenie, ale nagle dostrzegam, że bitwa ustała, wojownicy opuścili broń i patrzą. Z trzewi stwora bije światłość.

A potem wyłania się z niej Cardan. Cardan, nagi i pokryty krwią.

Żywy.

Tylko z krwi przelanej może powstać wielki władca.

Wszyscy wokół padają na kolana. Klęka Grima Mog, klęka pan Roiben. Ci wszyscy, którzy jeszcze przed chwilą oddawali się rozkoszom zabijania, teraz oniemieli i znieruchomieli. Nicassia spogląda od strony morza, jak całe Elfhame składa pokłon Najwyższemu Królowi, przywróconemu i odrodzonemu.

– Ja schylę czoła tylko przed tobą – mówi do mnie Madok półgłosem. – Tylko i jedynie przed tobą.

Cardan postępuje krok do przodu, pod jego stopami w ziemi pojawia się pajęczyna małych pęknięć. On i ta ziemia to jedno. Przemawia głosem tak grzmiącym, że słyszą go wszyscy.

– Klątwa została przełamana. Król powrócił.

Jest tak samo przerażający jak wąż.

I co z tego? Biegnę mu na spotkanie.



Palce Cardana wpijają się w moje plecy. Drży, nie wiadomo, czy to od potężnej magii, czy ze strachu, nie mam pojęcia. Ścisną tak mocno, jakby tylko mnie na całym świecie mógł się przytrzymać.

Nadchodzą żołnierze, Cardan szybko odsuwa się ode mnie. Unosi dumnie głowę. Ruchem ręki odprawia rycerza, który chce narzucić mu płaszcz na ramiona, choć przecież okryty jest tylko krwią.

– Całe dni nie miałem nic na sobie – stwierdza Najwyższy Król, a choć w jego oczach widać figlarny błysk, większość obecnych jest zbyt zdumiona, by to zauważyć. – Czemuż miałbym teraz się stroić?

– Z powodu skromności, być może? – podejmuję grę, trochę z przymusem, bardzo zdumiona, że już potrafi żartować z klątwy.

Rzuca mi beztroski, czarujący uśmiech. Taki uśmiech, za którym można się skryć.

– Czemuż miałbym skąpić światu tak pięknego widoku?

Kiedy patrzę na niego, wszystko mnie boli. Jakbym nie mogła oddychać. Choć stoi przede mną, ból po jego utracie nie zniknął.

– Wasza Wysokość – zwraca się do mnie Grima Mog – czy zakuć twojego ojca w łańcuchy?

Nie wiem, co odpowiedzieć, pamiętam głównie chwilę, kiedy stałam przed nim ze złotą uździenicą. *Już zwyciężyłaś. Spójrz.*

– Tak – rozkazuje Cardan. – Zakuć go.

Zostaje sprowadzony powóz, jego okute koła dudnią o skały. Grima Mog wykrzykuje rozkazy. Dwóch generałów zakłada kajdany na ręce i nogi Madoka, ciężkie łańcuchy dzwonią przy każdym jego ruchu. Eskortują go łucznicy, mierzą w niego grotami strzał założonych na napięte łuki.

Jego wojska poddają się, słyszę wykrzykiwane słowa przysięg. Słyszę też furkot skrzydeł, szcęk oręża i jęki rannych. Czerwone kaptury nurzają nakrycia głów w świeżej krwi, jest jej pod dostatkiem. Niektórzy z elfów od razu przystępują do pożerania trupów. W powietrzu czuć dym zmieszany z zapachem morza, krwi i mchu. Pokłosem nawet tak krótkiej bitwy jest przyspieszone bicie serc, opatrunki i triumf zwycięzców.

Uczta się rozpoczęła, nie tylko na polu bitewnym; także w pałacu z pewnością wino już leje się strugami, biesiada potrwa znacznie dłużej niż śmiertelne zmagania.

Wewnątrz karocy Cardan opada z sił. Przypatruję mu się, patrzę na pokrywającą jego ciało krew, która zasycha, krzepnie w jego włosach jak maleńkie kryształy granatu. Zmuszam się, żeby odwrócić wzrok, spojrzeć za okno.

– Jak długo trwało zanim... – pyta i urywa.

– Niecałe trzy dni – odpowiadam. – A więc niedługo.

Nie muszę mu mówić, jak długi był dla mnie ten czas.

I nie muszę mówić, że mógł zostać węzłem na wieczność, okiełznany i związany. Albo martwy.

Martwy.

Powóz rusza, wkrótce jesteśmy na miejscu. Służebni podają Cardanowi obszerny aksamitny płaszcz. Tym razem godzi się nim okryć, owija go sobie wokół ramion, po czym przemierzamy chłodne podziemne korytarze.

– Wasza Wysokość może zechce zażyć kąpieli – proponuje Randalin, co brzmi całkiem rozsądnie.

– Nie. Najpierw chcę zobaczyć tron – mówi Cardan.

Nikt nie próbuje się z nim spierać.

Sala tronowa nadal jest usiana gnijącymi owocami, nikt nie podniósł przewróconych stołów. Jej środkiem przebiega rozpadlina prowadząca aż do pękniętego tronu z jego zwiędłym kwieciami. Cardan rozkłada ramiona, a wtenczas rana w ziemi zasklepia się, goi, zapełnia z wrzeniem żwiru i kamieni. Potem król strzela palcami i tron w oczach odrasta, zakwita głógiem i rozwidla się na dwa oddzielne trony, które wyrastają tam, gdzie kiedyś był tylko jeden.

– Jak ci się podoba? – pyta mnie, co brzmi, jakby ktoś pytał, czy fajny jest diadem zrobiony z prawdziwych gwiazd, które dopiero co świeciły na niebie.

– Spoko – udaje mi się wykrztusić.

Zadowolony ze swojego dzieła, Cardan pozwala, by Randalin powiódł nas ku królewskim komnatom, gdzie roi się od służby, generałów, gdzie stawiała się także Wieczna Rada. Przygotowano kąpiel dla Najwyższego Króla. Pojawia się karafa pełna wina oraz zdobny kubek wysadzany kaboszonami. Fala śpiewa piosnkę o królu węży, Cardan zaś przyjmuje to wszystko z dziwnym połączeniem zgrozy i zachwyty.

Choć lepiej się od gadziej krwi, nie zamierzam zdejmować zbroi przy wszystkich zgromadzonych. Wymykam się więc i idę do swoich dawnych apartamentów.

Zastaję tam Heather. Wstaje z kanapy, trzyma w rękach ogromne tomiszcze. Róż jej włosów zbladł, ale poza tym dziewczyna promienieje.

– Gratulacje – mówi – chociaż to może dziwne słowo w takich okolicznościach. Nie wiem, co się mówi komuś, kto wygrał bitwę. Bo zdaje się, że wygrałaś?

– Wygraliśmy – koryguję i potwierdzam.

Uśmiecham się do niej.

Heather pokazuje mi podwójny sznur bardzo nieudolnie nawleczonych jagód jarzębiny, który ma na szyi.

– Vee to dla mnie zrobiła. Na imprezę – dopiero teraz widzi, co mam na sobie. – Rany, to chyba nie twoja krew...

– Nie – uspokajam ją. – Jestem cała i zdrowa, tylko tak się upaprałam.

Z wolna kiwa głową.

– Cardan też – dodaję. – Już wszystko w porządku.

Ciężki tom wysuwa się z jej dłoni, spada na kanapę.

– Już nie jest wielkim wężem?

– Nie. Słuchaj, chyba mam coś w rodzaju hiperwentylacji. Tak to się nazywa, no nie? Za dużo oddychałam. Kręci mi się w głowie.

– Tutaj nikt się nie zna na ludzkiej medycynie, prawda? – Podchodzi do mnie, zaczyna zdejmować kawałki zbroi. – Pozbądźmy się tego sztywnego stroju, może poczujesz się lepiej.

– Mów do mnie – proszę. – Opowiedz jakąś inną bajkę. Opowiedz mi cokolwiek.

– Dobra – odpowiada, próbuje się zorientować, jak dobrać się do tej zbroi. – Posłuchałam twojej rady i pogadałam z Vee. Przemogłam się i wreszcie to zrobiłam. Powiedziałam jej, że nie chcę, żeby odbierała mi wspomnienia i że ją przepraszam, że wymogłam na niej taką obietnicę.

– Była zadowolona?

Pomagam Heather rozpiąć klamrę.

– Co ty. Strasznie się pokłóciłyśmy. Był niezły wrzask. I obie strasznie się poryczałyśmy.

– Aha.

- Pamiętasz tę bajkę o wężu, który ma helikopterowych rodziców i żeni się z księżniczką?
- Helikopterowych? – powtarzam.

Usnęłam wtedy przed zakończeniem.

– No więc wężowa skóra chłopaka płonie, a księżniczka musi wyruszyć w świat, żeby go odzyskać. I powiedziałam Vee, że ona też musi zrobić coś takiego. Musimy spotkać się na nowo, tylko teraz wszystko ma być zupełnie inaczej, od samego początku. Ma powiedzieć mi prawdę i przekonać od zera, żebym ją kochała.

– O, cholera. – Ostatnia część zbroi spada z brzękiem na podłogę. To mi uświadamia, że Heather udało się odwrócić moją uwagę, znów normalnie oddycham. – Zupełnie jak w prawdziwej baśni. Zdobyć serce ukochanej.

Heather wyciąga do mnie rękę.

– Jeżeli jej się uda, wrócą wszystkie wspomnienia. Jeżeli nie, to dzisiaj widzimy się ostatni raz.

– Musisz dziś osuszyć zamkowe piwnice podczas przyjęcia – mówię jej, obejmuję i mocno ściskam. – Przede wszystkim jednak życzę ci, żeby Vee dała radę i na nowo zdobyła twoją rękę.

Otwierają się drzwi, wchodzi Oriana. Na mój widok ogarnia ją panika, natychmiast składa głęboki ukłon, niemal dotyka czołem podłogi.

– Nie musisz tego robić – mówię do niej, ona zaś w odpowiedzi taksuje mnie ostrym spojrzeniem. Widać, że miałyby niejedno do powiedzenia na temat mojego zachowania w roli Najwyższej Królowej. Nie bez złośliwej satysfakcji uświadamiam sobie, że nie może mi tego wszystkiego powiedzieć, bo inaczej złamałaby własne zasady dotyczące tego, co wypada, a co nie.

Oriana prostuje się.

– Mam nadzieję, że okażesz łaskę swojemu ojcu. Ze względu na brata, jeśli nie ze względu na siebie samą.

– Łaskawa już byłam – odpowiadam, po czym wychodzę.

Kiedy przemierzam korytarz, mówię sobie, że niepotrzebnie opuściłam królewskie komnaty. Uczyniłam to wiedziona dawnym odruchem: niech Cardan rządzi, a ja pozostanę w cieniu. Oczywiście chciałam też odetchnąć od natrętnych spojrzeń. Jednak gdy nie ma przy mnie Cardana, wszystko staje się nierealne, wraca obawa, że nie udało się przełamać klątwy, że wszystko sobie ubzdurałam w gorączkowej malignie. Przyspieszam kroku, nie zważając na to, że mam na sobie tylko watowany szary strój, który wkłada się pod zbroję.

Cardan opuścił już swoje komnaty, szczęśliwie zabrał ze sobą wszystkich dygnitarzy. Woda w wannie jest ciepła, świece nadal płoną, lecz komnaty opustoszały.

– Nalałam świeżej wody – oznajmia Strzępka, która pojawiła się nie wiadomo skąd. – Włóż. Wyglądasz okropnie.

– A gdzie Cardan? – pytam, ściągając z siebie resztki odzienia.

– A gdzie ma być? W sali tronowej – brzmi odpowiedź. – Ty się spóźnisz. I bardzo dobrze, bo to ty jesteś gwiazdą wieczoru. A ja zrobię z ciebie takie чудо, że wszyscy oniemieją.

– Niełatwej rzeczy się podejmujesz – odpowiadam, po czym jednak posłusznie wchodzę do wanny, zakłócając spokój różanych płatków unoszących się na powierzchni. Gorąca woda niesie ulgę obolałym mięśniom, zanurzam się w niej z głową. Kłopot w tym, że kiedy przeżyje się coś strasznego czy wielkiego, zostają i wracają najrozmaitsze uczucia, które człowiek przedtem odsuwał na bok. Przez wiele długich dni żyłam w kleszczach przerażenia, więc teraz, chociaż powinnam się cieszyć, mam tylko ochotę schować się pod stołem w sali tronowej, razem z Cardanem – aż wreszcie przekonam siebie samą, że nic mu nie jest.

A może też się tam z nim całować, jeżeli nie będzie miał nic przeciwko temu.

Wynurzam się z wody, odgarniam włosy z twarzy. Strzępka podaje mi płachtę materiału.

– Zetrzyj krew z rąk – nakazuje.

Znowu zaplata mi rogi z warkoczy, tym razem przyozdobione złotą nicią. Przygotowała dla mnie tunikę w kolorze mosiądzu, na nią wkłada skórzaną kurtę tej samej barwy, o wysokim kołnierzu, z welonem niczym płaszcz, który powiewa przy najlżejszym podmuchu powietrza. Na koniec połyskujące mosiężnymi zdobieniami rękawiczki o szerokich mankietach.

Tak wystrojonej niełatwo by mi było wejść do wielkiej sali niepostrzeżenie, nawet gdyby nie zadęły rogi i paż nie oznajmił mojego przybycia:

– Najwyższa Królowa na Elfhame, Najjaśniejsza Jude Duarte.

Widzę Cardana, siedzi u szczytu stołu. Nawet z tej odległości czuję jego pałacę spojrzenie.

Tak, jak się należy, z myślą o uczcie, rozstawiono długie stoły. Zastawiono je szczodrym poczęstunkiem: wazami pełnymi owoców, orzechów; chlebem nadzianym daktylami. W powietrzu unosi się aromat miodowego wina.

Słyszę muzykantów, którzy na bieżąco układają słowa nowych pieśni, niejedna z nich jest ku czci wężowego króla. Co ciekawe, jedna głosi też moją chwałę:

Nasza królowa oczy swe zmrużyła,

Że ta gadzina większą jest, sądziła.

Z kuchni pałacu nadchodzi nowa ciżba służących, niosą tace pełne najrozmaiciej przyrządzonego mięsa – pieczonego i smażonego w oleju, wędzonego i gotowanego. Mija chwila, nim orientuję się, co podają. To jest mięso węża. Mięso ogromnego potwora, który był ich najwyższym królem, a teraz mogą się zażerać jego magicznością. Patrzę i patrzę,

i jak tyle już razy, czuję się nie z tego świata. Elfowa kraina zadziwiać mnie będzie zawsze, zadziwiać i przerażać.

Mam nadzieję, że Cardan dobrze to zniesie. I tak, jest uradowany, zachwycony, ze śmiechem zachęca swoich wiernych poddanych:

– Kosztujcie, spożywajcie. Zawsze wiedziałem, że jestem pyszny – słyszę jego słowa, ale też dostrzegam, że on sam tego mięsa nie tyka.

Znów kusi mnie, by dać nura pod stół i tam się schować, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Oraz wtedy, gdy podczas krwawej koronacji, z Cardanem właśnie kryłam się pod zasłonami obrusów.

Kroczę jednak ku stołowi władcy, zajmuję swoje miejsce, czyli zasiadam na drugim końcu królewskiego stołu. Spoglądamy na siebie wskroś sreber, szkielec i świec.

Potem on wstaje, a elfowie zgromadzeni w wielkiej komnacie milkną.

– Jutro nadejdzie czas, by rozstrzygnąć o sprawach, które się zdarzyły – powiada, wznosząc wysoko swój kubek pełny wina. – Dzisiejszej jednak nocy pamiętajmy tylko o naszym triumfie, sprycie naszym i jak wielką rozkoszą jest być nami.

Za to pijemy wszyscy.

Potem rozbrzmiewają pieśni, na pozór nieskończony repertuar śpiewów, służba wnosi coraz to nowe potrawy, nawet łakoma śmiertelniczka jak ja może się nimi najeść. Patrząc, jak Heather i Vivi przemykają między stołami, by zatańczyć. Widzę Karakana i Bombę w cieniu odrodzonych tronów. On rzuca winogronami, celuje w jej otwarte usta i ani razu nie chybia. Czy może to ona umie chwycić każde z nich? Grima Mog pogrążona jest w rozmowie z panem Roibenem, na jej talerzu widzę wężowinę oraz jeszcze inne mięso, którego rozpoznać nie umiem. Nicassia zajmuje honorowe miejsce, całkiem blisko mnie, pośród świty swoich podwładnych. Taryn pogrążona jest w rozmowie z muzykantami, wymachuje rękami, opowiadając im jakąś historię. Widzę też Ducha, który bacznie ją obserwuje.

– Błagam o wybaczenie – słyszę głos, widzę ministra kluczy, Randalina, który staje u boku Cardana.

– Radco nasz kochany – odzywa się Cardan, opiera się o stół, macha niedbale ręką jak ktoś, kto spełnił niejedną już kielich. – Masz ochotę na miodowe ciasteczko? Częstuj się więc, ale przecież mogłeś wydać rozkaz służącym.

– Chodzi o więźniów. O Madoka, jego żołnierzy i o tych z Zębatego Dworu – mówi Randalin. – Wiele też innych spraw pozostaje, które należałoby z tobą omówić, Najjaśniejszy Panie.

– Jutro – odpowiada Cardan. – A może pojutrze. A może lepiej za tydzień.

Po czym wstaje, upija potężny łyk z kubka, odstawia go na stół, następnie zaś podchodzi do mnie.

– Zatańczysz? – pyta, wyciągając do mnie dłoń.

– Pamiętasz zapewne, że nie jest to moją specjalnością – odpowiadam, również wstając. Ostatnio tańczyliśmy ze sobą podczas wieczoru wyznaczonego na koronację księcia Daina, tuż zanim wszystko obróciło się w masakrę. Był wtedy wyjątkowo, bardzo i nadzwyczaj pijany.

Ty naprawdę mnie nienawidzisz, prawda? – spytał wtedy.

Och, prawie tak jak ty mnie – odpowiedziałam.

Prowadzi mnie tam, gdzie skrzypkowie dają z siebie wszystko, by zmusić płaszących do coraz szybszego tańca, do piruetów, zwrotów i skoków. Trzyma moje dłonie w swoich rękach.

– Nie wiem, za co bardziej mam przeproszać – odzywam się. – Czy za rozrąbanie ci głowy, czy za to, że tak długo się przed tym wahałam. Tak strasznie się bałam, że przepadnie to nikielne coś, co z ciebie pozostało. Nie posiadam się ze zdumienia, widząc, że oto w cudowny sposób jednak żyjesz.

– Nie domyślasz się, jak bardzo czekałem na te słowa – odpowiada Cardan. – To znaczy, że jednak nie chcesz, żebym nie żył.

– Jeżeli to ma być żart, to...

– To co, zabijesz mnie? – pyta, unosząc czarne brwi.

Chyba rzeczywiście kiedyś go zabiję.

Potem Cardan bierze mnie za rękę, odciąga od płaszącego tłumu, prowadzi do tajemnej komnaty, którą już kiedyś mi pokazał, do tej ukrytej za podwyższeniem tronu. Wygląda tak samo, jak ją pamiętałam: ściany porośnięte gęstym mchem, niska leżanka pośród sączących łagodną poświatę grzybów.

– Potrafię tylko być okrutny. I jeszcze śmiać się, kiedy jestem zbity z tropu – mówi, siada na kanapie.

Puszczam jego dłoń, nie siadam obok niego. Obiecałam sobie, że zrobię to, jeśli jeszcze kiedyś trafi się sposobność. Że zrobię to jak najprędzej, przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Kocham cię – mówię, a słowa te wypowiadam tak pospiesznie, że aż sama się dziwię.

Cardan jest zaskoczony. A może powiedziałam to tak szybko, że nie jest pewien, czy dobrze mnie zrozumiał.

– Nie musisz tak mówić z litości – odzywa się po dłuższej chwili, bardzo powoli dobierając słowa. – Ani dlatego, że byłem przeklęty. Wiem, w przeszłości prosiłem cię o kłamstwa, nawet w tym samym pokoju, ale błagam, teraz mnie nie okłamuj.

Na wspomnienie tamtych jakoby kłamstw moje policzki płoną.

– Nie postarałem się, żeby łatwo było mnie kochać – stwierdza, słyszę w tym echo słów jego matki.

Kiedy myślałam, jak mu to powiem, wydawało mi się, że gdy w końcu padną te słowa, poczuję się, jak gdybym zdzierła bandaż. Bolesna rzecz, więc najlepiej uporać się z tym jak najszybciej. Nie przyszło mi do głowy, że może mi nie uwierzyć.

– Zaczęłeś mi się podobać, kiedy rozmawialiśmy z władcami niższych dworów – mówię.
– Byłeś zabawny, co wtedy okropnie mnie dziwiło. A potem, kiedy udaliśmy się do Próżnego Dworu, okazałeś się błyskotliwy. Poza tym nie zapomnę, że to przecież ty umożliwiłeś nam ucieczkę z sali tronowej, tuż przed tym, jak przyłożyłam ci nóż do gardła.

– Nie próbuje mi przerywać, więc nie mam wyboru, brnę dalej.

– Kiedy podstępem osadziłam cię na tronie Najwyższego Króla, byłam przekonana, że mnie za to znienawidzisz, więc i ja będę mogła to uczucie odwzajemnić. Nic z tego. I czułam się tak głupio! Byłam pewna, że z rozkoszą złamiesz mi serce. Że to słabość, którą byś jak najchętniej wykorzystał przeciwko mnie. Jednak potem wyciągnąłeś mnie z Toni, a przecież dużo wygodniej byłoby mnie zostawić, żebym tam gniła w nieskończoność. Wtedy zaczęłam mieć nadzieję, że i ty coś do mnie czujesz. Ale zaraz potem to wygnanie...
– urywam, żeby zaczerpnąć tchu. – Mam wrażenie, że bardzo się z tym kryłam. Wydawało mi się, że w przeciwnym razie, jeżeli pozwolę sobie na miłość do ciebie, spalę się jak zapalka. Jak całe pudełko zapalek.

– Ale teraz wszystko się wyjaśniło – konkluduje spokojnie Cardan. – I rzeczywiście mnie kochasz.

– Kocham – potwierdzam.

– Dlatego, że jestem zabawny i błyskotliwy – dodaje z uśmiechem. – Nie powiedziałaś, że również jestem przystojny.

– Ani że jesteś rozkoszny – przyznaję. – Choć jedno i drugie to cenne zalety.

Przyciąga mnie do siebie, leżymy teraz oboje na kanapie. Spoglądam w czerń jego oczu, na miękkość jego ust. Ścieram odrobinę zaschniętej krwi z czubka jego ucha.

– Jak to było? To znaczy, kiedy byłeś wężem?

Zastanawia się.

– Jakbym został uwięziony w mroku – odpowiada. – Byłem sam, a instynkt kazał mi zabijać. Może nie całkiem byłem zwierzęciem, ale też i nie byłem sobą. Nie mogłem myśleć. Pozostały we mnie tylko uczucia. Była tylko nienawiść. Groza. I żądza niszczenia.

Chcę odpowiedzieć, ale Cardan ucisza mnie ruchem ręki.

– I byłaś ty. – Patrzy na mnie, jego usta tworzą coś, co nie całkiem jest uśmiechem, lecz zarazem czymś więcej i czymś mniej. – Mało co pojmowałem, ale ciebie rozpoznawałem zawsze.

Kiedy mnie całuje, czuję, że wreszcie mogę swobodnie oddychać.

EPILOG

Moja koronacja, a właściwie nasza koronacja, odbywa się tydzień później; nie mogę się nadziwić, jak wielu władców niższych dworów i poddanych tak licznych królestw przybywa, żeby w niej uczestniczyć. Co ciekawe, wielu dokłada starań, żeby jako swoich gości przywieźć śmiertelników – podmieńców, a także artystów oraz kochanki i kochanków. W ten przedziwny sposób chcą się przypodobać i w rzeczy samej, sprawiają mi w ten sposób przyjemność.

Cardan zaprosił na dwór Elfhame trójkę nowych twórców: mateczkę Szpik, pewnego wiekowego hoba kryjącego twarz za niewiarygodnie gęstą, splecioną w warkoczyki brodą – i ku mojemu zaskoczeniu płatnerza, który jest śmiertelnikiem i korespondował z moim ojcem. Tym ludzkim ojcem. Nawet poznał go podczas jakiegoś zlotu. Nazywa się Robert, pochodzi z wyspy Jersey. Kiedy się spotkaliśmy, przez długą chwilę podziwiał Brzask, a potem opowiada mi zabawne historyjki z dawnych dobrych czasów.

Gdy tylko twórcy zjawili się na dworze, nie brakowało im zajęcia.

Ceremonia rozpoczyna się o zmierzchu, odbędzie się pod gwiazdami na nowej wyspie Insear. Płoną ognie, powietrze gęste jest od morskiej piany i kadzidła. U naszych stóp lśni kwiecie księżycowych floksów.

Mam na sobie suknię barwy ciemnej leśnej zieleni z kruczymi piórami pokrywającymi ramiona i rękawy, a Cardan włożył kaftan przyozdobiony połyskującymi skrzydełkami żuków. Bafen jak zwykle występuje w długiej, granatowej szacie, do tego wplótł w brodę rozmaite gwiazdne ornamenty. Będzie mistrzem ceremonii.

Dąb jest ubrany na biało, jego strój zdobią złote guziki. Taryn daje mu całusa w czoło, żeby dodać odwagi, bo to on ma włożyć korony na głowy nas obojga.

– Z dawien dawna na Najwyższym Dworze hołduje się tradycji Kolcowojów – przemawia astrolog. – Krew koronuje krew. A choć nie ma już Krwawej Korony i złożone jej ślubowania nie obowiązują, postąpimy zgodnie z tą tradycją. Zechciej więc, Najwyższy Królu, przyjąć nową koronę z rąk Dęba, w którego żyłach płynie ta sama krew i który jest twoim następcą.

Dąb nie jest zadowolony, że Bafen tak go nazwał, bierze jednak z poduszki koronę, czyli złoty diadem z dziewięcioma szczytami w kształcie liści. Cardan jest Najwyższym Królem, więc nie uchodzi, żeby przed kimkolwiek zgął kolano, dlatego Vivienne podnosi Dęba. Mój braciszek, roześmiany, przy wtórze aplauzu zachwyconego tłumu, wkłada nową koronę na głowę Cardana.

– Ludu Elfhame! – zakrzykuje Bafen, posługując się słowami prastarego rytuału, na który zabrakło czasu podczas pierwszej, uknutej przeze mnie i podstępem przeprowadzonej koronacji. – Czy przyjmiecie Cardana z rodu Kolcowojów za swojego Najwyższego Króla?

Odpowiada chór głosów.

– Przyjmiemy.

Teraz moja kolej.

– Nie jest rzeczą zwykłą, by którykolwiek z wyższych dworów miał więcej niż jednego władcę. Ty jednak, Jude Duarte, Najwyższa Królowa, udowodniłaś nam, że to może być znakiem siły, nie słabości. Kiedy Najwyższemu Dworowi zagroziło straszliwe niebezpieczeństwo, ty stawiałaś czoło naszym wrogom i przełamałaś klątwę, za której sprawą Najwyższy Król mógł przepaść na zawsze. Podejdź i przyjmij koronę z rąk Dęba, twojego brata i następcy.

Podchodzę więc, staję przed Vivienne, która znowu dźwiga mojego braciszka, ten zaś wkłada teraz diadem na moją głowę – ta korona jest bliźniaczo podobna do Cardanowej. Przy tym cięższa, niż się spodziewałam.

– Ludu Elfhame – przemawia znów Bafen. – Czy przyjmiecie Jude Duarte jako swoją Najwyższą Królową?

Przez ułamek sekundy, gdy jeszcze panuje cisza, przejmuję mnie lęk, że zostanę odrzucona, jednak w tej samej chwili z niezliczonych ust padają rytualne słowa:

– Przyjmujemy.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, spoglądam na Cardana. On także się do mnie uśmiecha, ale sprawia wrażenie odrobinę zaskoczzonego. Aha; niewykluczone, że nie bardzo często uśmiecham się w taki sposób.

Teraz Cardan przemawia do tłumu:

– Czas nadszedł, by głosić pochwały i by ukarać zdrajców. Najpierw pochwały.

Skinieniem daje znak służącemu, który wnosi miecz Madoka; ten sam, który rozplątał tron Elfhame.

– Dla Grimy Mog, naszego głównodowodzącego generała – powiada. – Ostatnie dzieło Grimsena pozostanie w twoim posiadaniu tak długo, jak ty pozostaniesz w naszej służbie.

Grima Mog przyjmuje dar z pokłonem i zaciśniętą dłonią na sercu.

– Taryn Duarte, zabawnym zrządzeniem losu, posiedzenie naszego trybunału nie zakończyło się rozstrzygnięciem twojej sprawy w formalny sposób. Niech w dniu dzisiejszym będzie wszem wobec wiadome, że została rozsądzona na twoją korzyść. Naszym wyrokiem wszystkie włości Lokiego przypadają w udziale tobie i twojemu dziecku.

Na to rozlegają się pomruki. Taryn nic sobie z nich nie robi, występuje krok do przodu i nisko dyga.

– I na sam koniec – mówi dalej Cardan – pragniemy, by stawiło się przed naszym obliczem troje naszych przyjaciół z Dworu Cieni.

Na dywan z białego kwiecica wstępują Duch, Bomba i Karakan. Owinięci są szatami spowijającymi ich od stóp do głów, twarze mają zasłonięte czarną siatką.

Cardan cofa się, podchodzi trzech paziów niosących poduszki. Na każdej spoczywa srebrna maska, niemęska i niekobieca, to tylko bezimienna metalowa twarz, być może z cieniem kpiącego uśmiechu w krzywiźnie warg.

– Wy, którzy żyjecie w cieniu. Jest moim życzeniem, byście czasem obok nas stanęli w blasku chwały – mówi Cardan. – Każde z was otrzyma maskę. Kto taką maskę nosi, tego głosu nikt nie rozpozna. Kto ją nosi, temu nikt w Elfhame nie śmie odmówić żadnej pomocy. Każde drzwi stoją przed wami otworem, łącznie z moimi.

Kłaniają się, nakładają blaszane oblicza. Te zaś sprawiają, że trzy postacie ulegają niepozornej, lecz istotnej przemianie.

– To wielka łaska, mój królu – odzywa się jedna z nich i nawet ja, która tak dobrze ich znam, nie jestem w stanie stwierdzić, kto to powiedział. Jednak żadna maska nie skryje przede mną pewnych ważnych szczegółów: gdy już się pokłonią i cofną, jedna z zamaskowanych postaci bierze drugą za rękę.

A trzecia z nich zwraca lśniąca metalową twarz w stronę Taryn.

Teraz moja kolej, by wystąpić. Jestem zdenerwowana; Cardan złożył na moje barki niełatwe zadanie osądzenia jeńców. Powiedział wobec Wiecznej Rady: *Ty zwyciężyłaś, nikt inny. Sprawiałaś to, dokładając nadludzkich starań, by wniwecz obróciły się ich knowania. Jest więc sprawiedliwym, żebyś to ty zdecydowała o ich losie.*

Jakąkolwiek karę wyznaczę, od egzekucji po wygnanie lub klątwę, zostanie ona uznana za sprawiedliwą – a jeśli sprytnie ją obmyślę, zyskam też sobie poklask Ludku.

– Teraz przyjmujemy zdrajców i wysłuchamy, co mają do powiedzenia – oznajmiam.

Dąb tymczasem znikł ze sceny, stoi teraz między Taryn a Orianą.

Podchodzi dwóch rycerzy, klękają.

– Wyznaczono mnie, bym przemówił w imieniu tych wszystkich, których opowieść jest taka sama jak moja – przemawia pierwszy. – Należeliśmy ongiś do armii Elfhame, lecz gdy zwolniono nas z przysięgi, z własnej woli poszliśmy za generałem Madokiem na Północ. Zdradziliśmy Najwyższego Króla i – urywa na krótką chwilę – pragnęliśmy położyć kres jego panowaniu. Uczyniliśmy źle. Chcemy powrócić i dowieść, że możemy być i będziemy odtąd na zawsze wierni.

Po tym przemówieniu odzywa się drugi:

– Wyznaczono mnie, bym przemówił w imieniu tych wszystkich, których opowieść jest taka sama jak moja. Kiedyś należeliśmy do wojsk Elfhame i gdy zwolniono nas z przysięgi, z własnej woli poszliśmy za generałem Madokiem na Północ. Zdradziliśmy Najwyższego

Króla i próbowaliśmy położyć kres jego panowaniu. Nie pragniemy wyrazić skruchy. Dochowaliśmy wierności naszemu dowódcy i choć czeka nas kara, oświadczamy, że nie żałujemy swojej decyzji.

Spoglądam po zgromadzonych, po wiernych poddanych Elfhame, którzy walczyli i przelewali krew, którzy noszą świeżą żałobę po utraconych istnieniach – a mogłyby one wszak trwać przez całe stulecia, gdyby ich nić życia nie została przecięta mieczem.

– Jest takie powiedzenie, że żołnierz jest jak sokół – przemawiam, sama się dziwię, jak stanowczo brzmi mój głos. – A więc niech ci, którzy nie wyrażają skruchy, zaprawdę staną się sokołami. Wzbijcie się w niebiosa i oddajcie się łowom do woli. Nie odzyskacie jednak swojej prawdziwej postaci, dopóki nie minie rok i dzień, jak nie ukrzywdzicie żyjącego stworzenia.

– Jak więc mamy się pożywiać? – pyta rycerz.

– Niech was utrzymuje przy życiu cudza dobroć i łaskawość – odpowiadam, starając się to zrobić jak najłodowatszym głosem. – Co do tych zaś, którzy wyrazili skruchę, przyjmujemy wasz ślub lojalności i miłości. Znów będziecie należeć do Najwyższego Dworu. Jednak za zdradę zostaniecie napiętnowani. Wasze dłonie na zawsze będą czerwone jako poplamione krwią, którą zamierzaliście przelać.

Cardan rzuca mi zachęcający uśmiech. Randalin złości się, że tylko ja wydaję wyroki. Odkasłuje, ale przecież nie śmie mi przerwać.

Następną penitentką jest pani Nore z Zębatego Dworu. Królowa Suren wlecze się za nią. Korona dalej jest przyszyta do jej głowy i choć mała już nie idzie na uwięzi, wciąż widać dziurę w jej nadgarstku, wciąż jeszcze zionie świeża rana.

Każę służącemu podejść z uździenicą, której jak dotąd jeszcze nie użyłam.

– Uczyniliśmy ci propozycję – mówi Nore, przyklękając na jedno kolano. – Ty jednak postąpiłaś inaczej. Pozwól nam wrócić na Północ. Czyż już nie dość zostaliśmy ukarani?

– Pan Jarel próbował podstępem mnie związać. Czy o tym wiedziałaś? – pytam, spoglądając na uździenicę.

Nie może kłamać, więc milczy.

– A ty? – zwracam się do Suren.

Dziewczynka chichocze – dziko, przerażająco.

– Znam wszystkie ich sekrety, choć myśleli, że je przede mną skryją.

Jej głos jest cienki i ochrypły, jakby rzadko miała okazję się nim posługiwać.

Ktoś ciągnie mnie za rękaw. Ku mojemu zdumieniu okazuje się, że stoi obok mnie Dąb. Daje znak, żebym się pochyliła, bo chce mi coś wyszeptać do ucha. Randalin spogląda na mnie z jeszcze większą przyganą.

– Pamiętasz, mówiłaś, że nie możemy jej pomóc – przypomina. – To teraz chyba możemy?

Odsuwam się, patrzę mu w oczy.

– Chcesz więc się ująć za królową Suren?

– Tak, chcę.

Odsyłam go z powrotem do Oriany. Jego wstawiennictwo pozwala mieć nadzieję, że jednak pewnego dnia zechce zasiąść na elfowym tronie.

– Mój brat prosi, żebym była dla ciebie łaskawa. Królowo Suren, czy złożysz koronie wiernopoddańczą przysięgę?

Dziewczynka patrzy na panią Nore, jakby pytała o pozwolenie. Nore kiwa głową.

– Należę do ciebie, Najwyższa Królowo – odzywa się ta dziwna dziewczynka. Spogląda na Cardana. – I do ciebie, Najwyższy Królu.

Zwracam się do pani Nore:

– Chciałabym usłyszeć, jak składasz śluby wierności swojej królowej.

Pani Nore dziwi się.

– Ależ oczywiście, ślubuję ci...

Potrząsam głową.

– Nie, nie mnie. To jej masz ślubować. Swojej królowej. Władczyni Zębatego Dworu.

– Jak to? Suren?

Rozgląda się gorączkowo, jakby szukając jakiejś drogi ucieczki. Po raz pierwszy, odkąd przede mną stanęła, pani Nore naprawdę się boi.

– Tak – ponaglam ją. – Złóż jej przysięgę. Jest w końcu twoją królową, czy nie? Możesz wybierać, albo ślubujesz, albo sama przywdziejesz złotą uździenicę.

Pani Nore zgrzyta zębami, potem półgłosem wydusza z siebie odpowiednie słowa. Półgłosem, ale przecież je wypowiada. Wyraz twarzy królowej Suren staje się teraz dziwny, trochę nieobecny.

– Doskonale – mówię. – Najwyższy Dwór zachowa dla siebie uździenicę, lecz w nadziei, że nigdy nie trzeba będzie jej użyć. Królowo Suren, ponieważ wstawił się za tobą mój brat, pozwalam ci odejść wolno i nie nakładam żadnej kary prócz tej: Zębaty Dwór przestanie istnieć.

Pani Nore gwałtownie chwyta powietrze.

Kończę:

– Wasze ziemie należą odtąd do Najwyższego Dworu, tracicie swoje tytuły, a wasze zamki zostaną obsadzone naszymi wojskami. A gdybyś ty, Nore, zechciała się temu opierać, pamiętaj, że to Suren, której przysięgałaś wierność, ukarze cię, jak uzna to za stosowne. A teraz odejdźcie i bądźcie wdzięczne za wstawiennictwo Dęba.

Królowa Suren, choć już nie jest królową, uśmiecha się i to wcale nie przyjaźnie; spostrzegam, że jej zęby są spiłowane na ostre czubki, na których widać coś czerwonego. Po

raz pierwszy dociera do mnie, że być może Suren okiełznano z obawy, czego może się dopuścić, jeśli pozostawić jej swobodę.

Ostatnim z więźniów jest Madok. Jego ręce i nogi zakute są w ciężkie kajdany i sądząc po udręczonym wyrazie jego twarzy, mogą być żelazne.

Nie klęka i o nic nie prosi. Spogląda tylko na jedno z nas i na drugie, potem jego spojrzenie wędruje w stronę Dęba oraz Oriany. Wtedy drga mięsień przy jego szczęce, ale nic prócz tego po sobie nie pokazuje.

Chcę się odezwać, ale czuję, że tym razem jednak zabrakło mi głosu.

– Nie masz nic do powiedzenia? – pyta go Cardan. – Przedtem mówiłeś tak wiele.

Madok odwraca głowę w moją stronę.

– Poddałem się na polu bitwy. Cóż więcej mówić? Wojna skończona, a ja przegrałem.

– I tak spokojnie gotów jesteś pójść na śmierć? – pytam.

Słyszę cichy krzyk Oriany.

Jednak Madok ani drgnie.

– Jesteś nieprzejednana i tak właśnie cię wychowałem. Proszę tylko o dobrą śmierć. O szybką śmierć, ze względu na miłość, jaką wobec siebie żywiliśmy. I wiedz też, że nie czuję żalu, skoro to ty zwyciężyłaś.

Gdy tylko skończyła się bitwa, wiedziałam, że to ja będę musiała wydać na niego wyrok. Rozważałam tę kwestię po wielokroć, przy czym musiałam brać pod uwagę nie tylko jego bunt, nie tylko ów pojedynek w śniegu, ale i dawną zbrodnię, tę, która zawsze kładła się krwawym cieniem między nami. Czyż nie powinnam pomścić śmierci swoich rodziców? Czy jest to dług, który powinien być spłacony? Madok by mnie zrozumiał, uznałby, że miłość nie może stanąć na drodze obowiązku.

Ja jednak uważam, że pamięci swoich rodziców winna jestem nieco inne spojrzenie na miłość i obowiązek, takie może, jakie byłoby im bliższe.

– Kiedyś powiedziałam ci, że jestem taka, jaką mnie uczyniłeś. I to prawda, ale nie cała prawda. Po tobie jestem nieprzejednana, lecz jednak nauczyłam się też czegoś więcej. Okażę ci więc coś na kształt łaski, jeśli zdołasz udowodnić, że na to zasługujesz.

Zaskoczony, spogląda na mnie z lekkim niepokojem.

– Panie – odważa się wreszcie wtrącić Randalin, najwyraźniej nie może już znieść, że tak się rządzą. – Z pewnością masz coś do powiedzenia na temat...

– Milczeć – przerywa mu Cardan. Nagle wygląda zupełnie inaczej, jego język chłostcze jak bicz. Mierzy Randalina spojrzeniem wyraźnie dającym do zrozumienia, że niewiele brakuje, by następny wyrok zapadł na pewnego ministra kluczy. Potem kiwa głową w moją stronę. – Zechciej milczeć, bo Jude dochodziła właśnie do najciekawszego kawałka.

Nie spuszczam spojrzenia z Madoka.

– Po pierwsze, przysięgniesz zapomnieć pewne znane ci imię. Wymażesz je z pamięci i nigdy więcej twoje usta go nie wypowiedzą ani palce nie napiszą.

– A nie chciałabyś wprzódy go usłyszeć? – pyta, na jego ustach pojawia się coś na kształt uśmiechu.

– Nie – ucinam. Nie czas i nie miejsce, by się przechwalać, że już je znam. – Po drugie, złożysz nam ślubowanie wierności i posłuszeństwa. Po trzecie zaś, uczynisz jedno i drugie, nie wiedząc, jaki cię czeka wyrok za twoje postęпки, który to wyrok jednak już został na ciebie wydany.

Widzę, jak zмага się ze swoją godnością. Jest w nim coś, co chciałoby do końca, jak ci jego żołnierze, pozostać buntownikiem, pójść na śmierć z uniesionym czołem. Jest jednak i druga strona jego osobowości, ta zaś wcale nie zamierza umierać.

– Tak, chcę łaski – mówi wreszcie. – Czy też, jak to ujęłaś, czegoś na kształt łaski.

– Skazuję cię na to, byś resztę swoich dni spędził w śmiertelnym świecie i nigdy już więcej nie dotknął dłonią żadnego oręża.

Zaciska usta w cienką linię, po czym chyli czoła.

– Tak, moja królowo.

– Żegnaj, ojciec – szepczę, gdy go odprowadzają. Szepczę na tyle cicho, że raczej tego nie słyszał.



Po koronacji Taryn i ja wybieramy się razem z Vivi oraz Dębem do śmiertelnego świata. Teraz, gdy zapanował pokój, Dąb mógłby bezpiecznie wrócić do Elysium, uczęszczać do pałacowej szkoły, tak jak jeszcze niedawno ja i Taryn. On jednak chce jeszcze dłużej pożyć wśród ludzi, nie tylko dlatego, że spędził tam już większą część roku, ale również z tej przyczyny, że Oriana postanowiła towarzyszyć na wygnaniu Madokowi – a Dąb tęskni za swoimi przybranymi rodzicami.

Vivi przez tydzień krążyła tam i z powrotem między dwoma światami; wrywała się na randki z Heather, właśnie zaczęła wszystko od nowa, zaczepiła ją i zaczyna podrywać. Teraz jednak już się przenosi na dobre do świata śmiertelnych, więc pakuje do torby różne ciuchy, które chce ze sobą zabrać z krainy elfów, na przykład kurteczki z pajęczego jedwabiu. Rozważa przy tym rozmaite aspekty śmiertelnego świata, które zamierza objaśnić tacie.

– Pomyśl, na przykład telefony komórkowe – wymienia. – Albo kasy samoobsługowe w supermarketach. Rany, ale będzie niesamowicie. Powiem ci, że jego wygnanie to najlepszy prezent, jaki mogłabym od ciebie dostać.

– Przecież wiesz, że z nudów będzie próbował kierować twoim życiem – wtrąca Taryn. – Albo zaplanuje podbój sąsiedniego apartamentowca.

Uśmiech znika z twarzy Vivi.

Za to Dąb jest bardzo rozbawiony.

Razem z Taryn pomagam Vivi przypiąć do siodła aż cztery torby. Cała Vivi, choć przecież ma do dyspozycji poletko krwawnika, więc może w każdej chwili wrócić po wszystko, na co ma ochotę. Grima Mog wręcza jeszcze Vivi listę rzeczy, których jej teraz brakuje w Elfhame. Chodzi przede wszystkim o rozpuszczalną kawę i różne ostre sosy.

Cardan chce jechać z nami – tego się nie spodziewałam.

– Ależ koniecznie, doskonały pomysł – popiera go w tym Taryn. – Możemy urządzić porządną imprezkę. W końcu wzięliście ślub, trzeba to jakoś uczcić.

Nie wierzę własnym uszom.

– No co ty. Po co nam jakieś...

– Dobra, dobra – wchodzi mi w słowo Vivi, jak zawsze przemądrzała starsza siostra. – Założę się, że Cardan nawet nie wie, co to pizza.

Dąb spogląda z niedowierzaniem, czuje się w obowiązku wyjaśnić, jakich odmian tego przysmaku można się spodziewać w ludzkim świecie: hawajska z anansem, pepperoni z kiełbasą i jakaś tam jeszcze z anchois. Jeszcze nie znaleźliśmy się w śmiertelnym świecie, a już mam duszę na ramieniu. Najprawdopodobniej Cardan będzie na wszystko kręcił nosem i nie omieszka dać mi do zrozumienia w możliwie najwredniejszy sposób, jak bardzo mu się tam nie podoba.

Nie mam jednak pomysłu, jak go od tego odwieść, więc w końcu wsiadamy wszyscy na krwawnikowe wierzchowce. Potem lecimy nad wodami. Wkrótce zaś lądujemy na trawie, blisko bloku Heather, ale nie na tyle blisko, żeby jej sąsiedzi nas zauważyli. Zeskakuję na ziemię, od razu widzę, jaka nędzna jest ta trawka, czuję zapach spalin w powietrzu. Spoglądam z obawą na Cardana, spodziewając się, że zaraz zmarszczy nos, ale on przede wszystkim jest zaciekawiony, zagląda w rozświetlone okna, potem patrzy w stronę pobliskiej autostrady.

– Jeszcze wcześniej – mówi Vivi. – Pizzeria jest blisko, można iść na piechotę. – Przygląda się nam krytycznie. – Ale najpierw musimy zajrzeć do mieszkania, żeby się przebrać.

Chyba rozumiem, co ma na myśli. Cardan wygląda, jakby właśnie zszedł ze sceny jakiegoś kostiumowego przedstawienia; co prawda mógłby za pomocą czarnej magii zmienić swój wygląd, ale wątpię, czy wiedziałby, jaką iluzję powinien wokół siebie wytworzyć.

Vivi wpuszcza nas do mieszkania; nastawia wodę na kawę, do zmielonych ziaren dodaje wiórki cynamonu. Dąb ze swojego pokoju przynosi jakąś elektroniczną grę, w której natychmiast pogrąża się bez reszty, rozsiadłszy się na samym środku kanapy.

My tymczasem dobieramy stroje. Obcisłe spodnie i wysokie buty Cardana ujdą, zamiast wyszywanego kaftana znajdujemy dla niego T-shirt zostawiony tu przez któregoś z ludzkich przyjaciół. Pożyczam od Vivi sukienkę, która na niej jest luźna, a na mnie raczej nie.

– Opowiedziałam o was Heather – powiadamia nas Vivi. – Skoczę teraz po nią i powiem, że mam gości, że to właśnie wy i że może chce do nas dołączyć. Wtedy ją poznacie, to znaczy poznacie jeszcze raz, no wiecie. A tymczasem Dąb zaprowadzi was do pizzerii.

Mój braciszek chwyta za rękę mnie i Cardana, z chichotem ciągnie nas do schodów. Vivi biegnie za nami, wciska mi pieniądze.

– Masz tu swoją kasę. Od Bryerna.

– A to za co? – pyta Cardan.

– Za to, że pokonałam w pojedynku Grimę Mog.

Zatrzymuje się, patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Za to powinien ci dać tysiąc korców złota.

Gdy tak idziemy chodnikiem, bawi mnie, że Cardan wcale nie czuje się tutaj obco. Pogwizduje jakąś melodyjkę i gapi się na mijanych ludzi. Cały czas duszę mam na ramieniu... Ale nie: nie rzuca na nich klątw sprawiających, że wyrastają im ogony takie jak jego; nie kusi ich prajabłkiem i w ogóle nie robi żadnej z tych rzeczy, które mógłby wyczyniać psotny król elfów.

W pizzerii Dąb zamawia trzy gigantyczne placki z mnóstwem dodatków; jestem pewna, że nikt mu dotąd na coś takiego nie pozwalał: krewetki i wołowina po bolońsku, czosnek i pomidory, kozi ser i czarne oliwki, do tego pieczarki, do tego bekon.

Kiedy wracamy do mieszkania, dźwigając wielkie, płaskie kartony tchnące smakowitą wonią, Heather i Vivi już tam są. Nad drzwiami zawiesiły transparent z napisem wykonanym jaskrawymi farbami: SZCZĘŚCIA I ZDROWIA MŁODEJ PARZE! Na kuchennym stole króluje lodowy tort z żelkowymi wężami, do tego kilka butelek wina.

– Tak się cieszę, że mogę cię poznać – mówię, podchodzę do Heather i obejmuję ją. – Jestem pewna, że cię polubię.

– Vee opowiadała mi o was niestworzone historie – odpowiada Heather.

Vivi dmucha w piszczałkę zakończoną papierowym paluchem, który rozwija się i zaraz potem zwija.

– Proszę – mówi, rozdając nam papierowe korony.

– Nie wygłupiaj się – rzucam, ale wkładam to coś na głowę.

Cardan zerka na swoje odbicie w drzwiczkach mikrofalówki i starannie poprawia swoją koronę, tak żeby była przekrzywiona.

Śmieję się cicho, on posyła mi uśmiech. I aż coś mnie kłuje w sercu, bo jesteśmy wszyscy razem i bezpieczni, i nawet nie wiedziałam, że można czegoś takiego chcieć. Cardan też jest

trochę onieśmielony, tak samo nieprzywykły do prostego szczęścia jak ja. Jestem pewna, że czeka nas jeszcze wiele zmagañ, ale akurat w tej chwili jestem również pewna, że znajdziemy sposób na wyjście z każdych opałów.

Vivi otwiera pudełka z pizzami, odkorkowuje wino. Dąb sięga po porcję z krewetkami, rzuca się na nią łapczywie.

Unoszę plastikowy kubeczek.

– Za rodzinę.

– I za krainę elfów – dodaje Taryn, wznosząc swoją.

– I pizzę – wtrąca Dąb.

– I opowieści – mówi Heather.

– I nowe początki – dorzuca Vivi.

Cardan uśmiecha się, zapatrzony we mnie.

– I za powodzenie przebiegłych planów.

Za rodzinę, krainę elfów, pizzę, historie i nowe początki. I za chytne plany. Za to można wypić.

PODZIĘKOWANIA



Nadzwyczaj trudno byłoby mi ukończyć tę książkę bez wsparcia, pomocy, krytycznych uwag i merytorycznego heroizmu osób takich jak Sarah Rees Brennan, Leigh Bardugo, Steve Berman, Cassandra Clare, Maureen Johnson, Joshua Lewis, Kelly Link i Robin Wasserman. Dziękuję wam, niestrudzona czeredko!

Dziękuję wszystkim Czytelnikom, którzy zechcieli się zjawić na moich spotkaniach autorskich, dziękuję za listy od Was; dziękuję tym, którzy tworzą artystyczne wizje elfowego świata, a nawet przebijają się za postacie z moich książek. Wszystko to znaczy dla mnie więcej, niż potrafiłabym wyrazić słowami.

Ogromne podziękowania składam wszystkim w wydawnictwie Little, Brown Books for Young Readers za wspieranie mojej szalonej wizji. Szczególne podziękowania zechcą przyjąć moja fantastyczna redaktorka Alvina Ling oraz Ruqayyah Daud, Siena Koncsol, Victoria Stapleton, Bill Grace, Emilie Polster, Natali Cavanagh i Valerie Wong, tudzież reszta załogi, a w Wielkiej Brytanii wydawnictwo Hot Key Books, zwłaszcza Jane Harris, Emma Matthewson, Roisin O'Shea i Tina Mories.

Dziękuję Joannie Volpe, Hilary Pecheone, Pouyi Shahbazian, Jordanowi Hill, Abigail Donoghue oraz wszystkim z New Leaf Literary za to, że dzięki nim rzeczy trudne stały się łatwiejsze.

Dziękuję ci, Kathleen Jennings, za cudowne i pobudzające wyobraźnię ilustracje.

Przede wszystkim podziękowania dla mojego męża, Theo, za to że mi pomaga układać historie, które chcę opowiedzieć i naszemu synkowi Sebastianowi za to, że przypomina mi, że czasem najważniejszą sprawą jest zabawa.